



Tomáš
Zmeškal
List
miłosny
pismem
klinowym



Tomáš
Zmeškal
List
miłosny
pismem
klinowym

Przełożyła
Dorota Dobrew

Lew, niespodziewany i dziki, odzwierciedla współczesność, wilk, unoszący swoje ofiary, obrazuje przeszłość, która okrada nas ze wspomnień, pies, co łasi się do pana, przypomina przyszłość, która nieustannie zwodzi nas nadzieją.

Makrobiusz

Podstawowym zadaniem języka jest potwierdzenie lub negacja faktów.

Bertrand Russell

Ślub

Zanim Alicja otworzyła oczy, śniło jej się, że unosi się w powietrzu, a może w wodzie. Takie porównania są oczywiście nad wyraz banalne i nie mogą oddać tego uczucia, któremu się poddała – jakby ze wszystkich stron coś ją opływało. Na moment zapomniała o sobie. Zaraz potem odezwało się serce, które przerwało na okamgnienie swój lot ciężkoskrzydłego ptaka. Alicja jeszcze przez chwilę pozostała w kolibrzym migotaniu obrazów, potem nabrała tchu i w końcu powiedziała na głos: „Wtorek”. To była jej jedyna myśl, właściwie ona sama była tą myślą, dzień już nastał, a z wypełniającym pokój zapachem zaczęła się oswajać.

Pomiędzy wdechem a wydechem, zatrzymaniem powietrza a kłującymi skurczami ekscytacji w podbrzuszu, pomiędzy bezwolnością pragnienia, które złociło się w słońcu, a łzami potu wsiąkającymi szybko w pościel, zobaczyła przed sobą dwa punkty. Z lękiem próbowała powstrzymać wdech. Nie była pewna, czy te dwa tańczące punkty przed mocno zaciśniętymi powiekami wywołane są napięciem mięśni i uciskiem siatkówki, czy też może czymś innym... czymś metafizycznym. Po krótkim zastanowieniu Alicja wybrała to drugie. Zakończyła cykl wdechów i wydechów, ale nie zdobyła się na odwagę, by poruszyć się w łóżku. Leżała, a punkty krążyły przed jej zamkniętymi oczami. Jeden z nich był przeszłością, a drugi teraźniejszością. Co prawda nie bardzo wiedziała, który jest który, ale tak czy inaczej

czuła, że dzień dzisiejszy jest najbardziej teraźniejszym, najdoskonalszym i z całą pewnością najbardziej pachnącym dniem, jaki kiedykolwiek przeżyła. Dopiero teraz to do niej dotarło. Tak. Oczywiście – to ten zapach! Gdyby nie leżała na łóżku, pewnie przyprawiłby ją o zawrót głowy. Zapach! Ten zapach ją obudził! Mieszał się z muzyką, która docierała tu z sąsiedniego pokoju. Alicja nagle straciła kontrolę nad swoim ciałem i zadrżała, gwałtownie nabierając powietrza. Niechcący wciągnęła do płuc więcej, niż gdyby zrobiła to świadomie, i więcej niż mogła wytrzymać. Drgnęła ze strachu, ale powtórzyło się to znowu i znowu, jakby topiła się w rzece i dławiała wodą. Przestała odczuwać przeszłość i teraźniejszość, już dawno zapomniała, który z punktów co oznaczał. Towarzyszyło temu niejasne wrażenie, że coś przyjemnie muska jej stopy. Oczy się otwały, a z krtani wyrwało się westchnienie. Potem nastąpiła eksplozja, wybuch, detonacja, erupcja, wiatr słoneczny, lawina, oberwanie chmury, zamieć... płaczu. Wokół niej, wokół łóżka, wszędzie wokół były rozrzucone róże. We wszystkich barwach i odcieniach, o różnych zapachach. Od najciemniejszej, w kolorze czerwieni wpadającej w czerń, aż po najjaśniejszą, białoróżową, od brązowej i ciemnożółtej, aż po tę o barwie złota z motyli skrzydeł. Były wszędzie, były jej kołdrą, okryciem, welonem. Otaczały ją, osaczały i nie pozwalały jej przejść. A za nimi, za terenem róż, przy drzwiach i na parapetach stały lilie i chryzantemy. Cały pokój pachniał. Wszędzie, gdzie spojrzała, były kwiaty, wszędzie, dokąd mogła sięgnąć wzrokiem, były róże. Dziś wtorek. Dzień jej ślubu.

Z sąsiedniego pokoju dobiegała muzyka. To znaczy, że ojciec już wstał. Po pierwsze, denerwował się, i dlatego słuchał muzyki o tak wczesnej porze. Po drugie, żeby się uspokoić,

słuchał swojego ulubionego Haydna, ryzykując, że porysuje płyty, bo rano zawsze trzęsły mu się ręce. A po trzecie, nie było słyhać, żeby sobie podśpiewywał pod nosem, więc pewnie jadł śniadanie. Alicja rozejrzała się i usiadła na łóżku. Róże leżały wokół niej i łaskotały ją w podeszwy stóp. Wszystkie świeże. Dlaczego nie słyszałam swojego ukochanego, dlaczego mój najdroższy pozwolił mi spać?, pytała w myślach. Wyszła z pokoju, przeszła przez korytarz i weszła do kuchni.

– Gdzie on jest? – zapytała ojca, który siedział w kuchni i patrzył w okno. – Gdzie jest? – powtórzyła pytanie.

– Siedzi albo raczej przysypia w dużym pokoju – odpowiedział.

Odwróciła się i weszła do pokoju. Był tam, na wpół siedział, na wpół leżał.

– Maksymilianie! – zawołała, a zanim zdążył otworzyć oczy, uświadomiła sobie, że w ostatnich kilku miesiącach jej słownik zredukował się do wykrzykników, eufemizmów i zaimków dzierżawczych typu „mój”, „twój”, „nasz”, „nasze”, przeważnie w połączeniu z czasownikami w czasie przyszłym. Przynajmniej tak to komentował ojciec. Maksymilian otworzył oczy, ale jeszcze przedtem się uśmiechnął. A ona, chociaż myślała, że po tych wszystkich miesiącach już się na jego półuśmieszki uodporniła, odpowiedziała mu uśmiechem, którego nie mógł widzieć.

– Maksymilianie! – powtarzała. – Maksymilianie!

Maksymilian, imię-słońce. Imię cesarzy. Imię jak monstrancja niesiona w procesji w słoneczny dzień. Imię lśniące promieniami rozchodzącymi się na wszystkie strony. Wibrowało i iskrzyło się w zależności od nastroju, energii, radości, od możliwości strun głosowych, ich zmęczenia, magii,

częstotliwości drgań i barwy śmiechu. Za każdym razem miało inny odcień i inny blask. Olśniewające i twarde jak szlifowane diamenty z Antwerpii, roziskrzzone, a więc kochające, złociste jak aureola, jak objęcie. Jest... jest... jest to imię loretańskie, nie miała wątpliwości. A więc za każdym razem, kiedy je wymawia, rozjarza się jedna z monstrancji w skarbcu praskiej Lorety, wzniosła i wspaniała, ze złota i drogich kamieni. Objął ją z zamkniętymi oczami.

– Maksymilianie – znowu wypowiedziała jego imię.

– Z przykrością stwierdzam... – odezwał się ojciec z sąsiedniego pomieszczenia. – Nie dość, że stwierdzam to z przykrością, to jeszcze całkiem wyjątkowo tak właśnie myślę... Zanim przyjdzie matka, macie niezapomnianą i ostatnią okazję, żeby zjeść ze mną śniadanie, w dodatku jako ludzie stanu wolnego. Mam wstawić wodę na kawę i dla was?

Odczekał chwilę, ale nie usłyszał odpowiedzi, więc poprawił się na krześle, kilka razy odwrócił się ku drzwiom i spojrzął na płytę, aby sprawdzić, ile jeszcze zostało do końca sonaty Haydna. Chciał uniknąć konieczności słuchania kolejnego utworu – sonaty Beethovena. Uważał, że Beethoven od z górą stu czterdziestu lat jest niesłychanie przeceniany jako kompozytor. I to dlaczego? – zastanawiał się ojciec – dlaczego? Z powodu *Ody do radości*? Jeśli ten utwór czymś się odznacza, to tym, że zawsze jest grany na zakończenie festiwalu Praska Wiosna. A poza tym jest to niewątpliwy przykład muzyki pozbawionej wesołości. Typowo niemiecka rzecz, pomyślał, *Oda do radości* bez radości.

– To znaczy, bez niewymuszonej radości – powiedział już na głos. – Rzeczy, idee i ludzie o pompatycznych imionach, za to bez krzty radości, zawsze robią karierę.

– Co takiego, tato? Co mówisz? – odezwała się Alicja, która po cichu weszła do kuchni.

– No... – Powiedziałem: bez krzty radości, ale mniejsza o to – odpowiedział. – Słuchaj, będziecie chcieli zjeść ze mną śniadanie, kiedy się skończy muzyka...? To znaczy, zanim wróci matka?

– No może... Jeszcze nie wiem – powiedziała Alicja. – Zapytam Maksa.

Tymczasem ojciec wstał i poszedł do sypialni wyłączyć gramofon. Nie zdążył, zabrzmiały pierwsze takty sonaty Beethovena. Ostrożnie wyłączył urządzenie, mamrocząc pod nosem:

– Tutaj nie pomoże nawet Schnabel. Nasz boński muzykant najwyraźniej cierpiał na zabójczy brak talentu oraz przesadną skłonność do patosu.

– Kto to jest Schnabel? – zapytała Alicja z kuchni.

– Bardzo zdolny pianista, który jednak w naszych postępowych czasach ma szansę zostać zapomniany.

– Aha – powiedziała Alicja i pobiegła do salonu, by zapytać Maksymiliana: – Zjesz śniadanie z tatą?

– Jak chcesz, Alusiu, jak chcesz... – odpowiedział Maksymilian.

– No to dobrze – podjęła decyzję Alicja.

Tymczasem ojciec ciągnął w myślach: ...A taki Haydn, ten to ma poczucie humoru, Boże, może nawet... więcej poczucia humoru niż Mozart. Ale Haydn Niemiec czy Haydn Austriak? To dopiero pytanie. Czyżby narodowość nie miała z tym nic wspólnego? Chyba nie, już prędzej głupota. Już się nawet nie śmieję ze swoich własnych dowcipów... podsumował swoje przemyślenia. Ostrożnie schował płytę do koperty i wstawił wodę na kawę.

Maksymilian i Alicja przysiedli się do niego. Maks miał nadzieję, że jego przyszły teść nie rozleje całej kawy na kuchenny stół. Zawsze zaskakiwało go, że miał już zawnoczu przygotowaną czystą ścierkę, którą natychmiast wszystko wycierał, jakby nigdy nic. Zaczynał przyzwyczajać się do tego, że ojciec Alicji zazwyczaj wszystko rozlewa. Dawno przestał się nim interesować, podobnie zresztą jak uporczywym trwaniem tego, co zostało z małżeństwa rodziców Alicji.

– Skąd wzięłeś te wszystkie róże? Gdzie je zdobyłeś? – zapytała Alicja.

– To tajemnica – odpowiedział.

– No powiedz, powiedz, skąd je wzięłeś? – nalegała.

– To jest ściśle tajne – odrzekł.

– Ten zapach mnie obudził – powiedziała Alicja.

– Miałem nadzieję, że tak będzie – oznajmił Maksymilian, musnął ustami jej szyję i roześmiał się.

– Alicja mówi, że spędził pan parę dni w Niemczech. Co pan tam robił? – przerwał im ojciec.

– Miałem się tam spotkać z wujem – odpowiedział Maksymilian.

– No i jak było? – dopytywał się ojciec. – Czy może nam pan coś opowiedzieć o tamtych stronach?

– Nic specjalnego, wuj wyremontował dom i chciał mi go pokazać, ale na jakieś dwa dni przed moim przyjazdem złamał nogę, więc odwiedziłem go w szpitalu i tyle. I tak wypadłem jak ubogi krewny.

– Hmm... – kiwnął głową ojciec.

– Ale jeszcze – włączyła się do rozmowy Alicja – Maks mówił, że pociąg się spóźnił!

– To prawda – przytaknął Maksymilian. – Nawet dwa pociągi się spóźniły.

– Czyli pociągi w Niemczech się spóźniają – kiwał głową ojciec. Po chwili dodał: – To by się zgadzało z moimi obserwacjami.

– Jakimi obserwacjami? – zapytał Maksymilian.

– Jeśli tato tak zaczyna, to nie będzie to nic wesołego.

– A więc po wnikliwych obserwacjach doszedłem do wniosku, że wikary, który odprawia msze w naszym kościele, nie tylko nie jest wyjątkowo inteligentny, ale jest wręcz kompletnie przeciętny.

– Nie każdy musi być Einsteinem, tato – wtrąciła Alicja.

– Oczywiście, że nie każdy, na miłość boską, ja też jestem całkiem przeciętnym, zwyczajnym człowiekiem i wcale się tego nie wstydzę, ale on jest członkiem Towarzystwa Jezusowego, czyli jezuitą, a przeciętnie inteligentny jezuita to, wybacz moja droga, to samo co głupi jezuita. To jest po prostu sytuacja żenująca i niedopuszczalna. No niech pan zważy, Maksymilianie... – ojciec odwrócił się do niego i zaczął wyliczać na palcach: – Po pierwsze, głupi jezuita. Po drugie, pociągi w Niemczech jeżdżą niepunktualnie, jeszcze trochę, a doczekamy się, że w Anglii obalą królową i ogłoszą republikę. Z Europą jest kiepsko, mówię wam, kiepsko.

Z przedpokoju dobiegł szczeł zamka, potem skrzypienie otwieranych drzwi, któremu towarzyszyły dwa głosy.

– Mama! – powiedziała Alicja do Maksymiliana, czo-
chrając mu włosy. – Ale nie, jest z nią jeszcze ktoś – dodała, wstała i ruszyła do przedpokoju. Po chwili usłyszeli kroki oraz męski głos towarzyszący kobiecemu.

– Aaa, to będzie nasz doktor... – rzucił ojciec entuzjastycznie, spoglądając na Maksymiliana, który odpowiedział mu grzecznym uśmiechem, chociaż nie wiedział, o kim mowa – ... i Kwietka – dokończył ojciec, podnosząc się z krzesła.

Do kuchni weszła matka Alicji i mężczyzna nieco młodszy od ojca. Mężczyzna lewą ręką objął Alicję w talii i szepnął jej coś na ucho.

– Czołem, doktorku, wiedziałem, że to ty – powiedział ojciec i panowie uścisnęli sobie dłonie. – A to jest Maksymilian.

Maksymilian wstał i podał przybyłemu rękę.

– Antonin Lukavsky – przedstawił się doktor.

– Czyli wujek Tonda – wtrąciła Alicja – alias Dottore.

– Tak jest, to ja we własnej osobie – potwierdził mężczyzna.

– Maks – powiedział Maksymilian.

Do kuchni weszła matka Alicji.

– Cześć, Kwieto – rzucił ojciec.

– Cześć, Josefie – odpowiedziała matka. Wuj ciągle jeszcze obejmował Alicję w pasie, oboje patrzyli na Kwietę i Josefa.

– Co robiłeś? – zapytała matka.

– A co miałem robić? Czekałem na was.

– Czego słuchałeś? – dopytywała się Kwietka, rozglądając się wokół.

– Zdaje się, że Beethovena – powiedział Maksymilian. – Czy może nie?

– Nie, Beethovena z całą pewnością nie słuchałem. Beethoven zaczął grać, zanim zdążyłem go wyłączyć. Słuchałem Haydna, Maksymilianie, Josefa Haydna!

– Żebyś sobie tylko nie porysował płyt. Przecież wiesz, że rano zawsze trzęsą ci się ręce.

– Na marginesie, nie jesteście czasem spokrewnieni z rodem Esterhazych, Maksymilianie?

– Nie, nie jesteśmy – odpowiedział Maksymilian. – Ród Esterhazych jest dużo starszy. Sięga roku 1238. W czasach,

kiedy oni byli już książętami, my byliśmy co najwyżej koniuszami.

– Widzisz?! – odezwała się matka. – No czy widzisz?!

– Czy co widzę? – zapytała Alicja.

– No te ścierki. Znowu coś rozlał. Zobacysz, że porysujesz sobie płyty, Josefie!

– Dajże spokój, mamó, to są przecież jego płyty – powiedziała Alicja.

– Ty tych ścierek nie pierzesz, więc nie zaprzataj sobie tym głowy – odpowiedział Josef. – A wie pan, Maksymilianie, że tam jest pochowany Haydn?

– Gdzie?

– No na ich ziemiach, wie pan, zaraz, jak to się nazywało...

– Znowu sobie porysuje płyty, potem będzie chodził skwaszony, a przede wszystkim będzie się tym zamartwiał

– Kwietka mówiła do Alicji i Antonina, który uciekał wzrokiem w bok.

– Bardzo cię proszę, niech cię o to głowa nie boli, co ja robię z moimi płytami, a czy będę chodził skwaszony, czy nie, to też nie twoja sprawa, bo nie mieszkam z tobą i w ogóle nie ma takiej możliwości, żebym kiedykolwiek z tobą zamieszkał! Tak więc, Kwietko, z łaski swojej przestań się tym interesować. Tak! Bardzo cię proszę. Względnie: żądam i ostrzegam!

– Aha – powiedziała Kwietka. – To coś nowego. Myślałam, że jesienią sprowadzisz się do nas, kiedy skończysz remont na wsi?

– Nie sprowadzę się – odrzekł ojciec i wzruszył ramionami.

– O, to wielka szkoda.

– Z pewnością.

– Gdzie go pochowali? – zapytał Antonin.

– Kogo?

– Haydna.

Podczas gdy Antonin próbował skierować rozmowę na inne tory, Alicja chwyciła matkę za rękę i pociągnęła ją za sobą do sypialni. Zatrzymały się w drzwiach.

– Boże, coś pięknego! Alusiu, Boże, coś pięknego! Tyle kwiatów, tyle kwiatów. I ten zapach. Coś przepięknego. Ten zapach...

Matka przysiadła na łóżku.

– Ach, tam są jeszcze lilie, i te, no, jakżeż się one nazywają? I skąd on to wszystko wziął, teraz w marcu?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia – odpowiedziała Alicja. – Nie chce mi nic powiedzieć, mówi, że to tajemnica. Nie chce i już, nic się z niego nie da wycisnąć. Będę musiała go rozpracować. Może za tydzień albo dwa coś z niego wyciągnę.

– Popatrz, jak cię kocha! Jaka to wielka miłość. Co to za kwiatki, o, tamte?

– Które? – zapytała Alicja, ostrożnie zbierając z dywanu róże i uważając, żeby się nie pokłuć. Kiedy się obejrzała, zobaczyła, że matka płacze. Alicja podeszła do łóżka, usiadła obok niej, delikatnie położyła naręczę róż na poduszce i objęła matkę, która się do niej przytuliła.

– Wiedziałaś o tym, prawda?

– Nie, nie wiedziałam.

– Alusiu, nie mów...

– Nie wiedziałam, może coś przeczuwałam.

Płacz z wolna ustawał.

– Co za zapach... – dodała po chwili matka. – Dobrze, że przynajmniej ty jesteś szczęśliwa, moja córeczko. Przynajmniej ty jesteś szczęśliwa.

– To chyba ja powinnam płakać, skoro dzisiaj jest mój ślub? – powiedziała Alicja. Matka skinęła głową.

– Popatrz, zabrali im wszystko, ale dobre wychowanie zostało. To nie do wiary, tyle róż! – I dodała po chwili milczenia: – Naprawdę nic ci nie powiedział?

Alicja bezradnie wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Chodź, pomożesz mi, wstawimy je do wody, dobrze?

W sąsiednim pokoju pojawiło się kilka osób. Dwie przyjaciółki Alicji, świadek, jeszcze jeden wuj i jedna ciotka, dla odmiany ze strony Maksymiliana. Alicja przebrała się w strój ślubny i weszła do pokoju. Niebieski kostium, jasnoniebieska bluzka i kapelusik z woalką. W tych postępowych czasach biała suknia byłaby nie na miejscu. Po kawie i herbatnikach, szybkim zapoznaniu się i krótkiej wymianie zdań o pogodzie członkowie rodziny i goście wsiedli do dwóch aut własnych i jednego wypożyczonego i ruszyli w niedługą podróż za miasto. Ojciec i matka jechali osobno. Po półgodzinie byli na miejscu. Zatrzymali się na rynku miasteczka, stolicy powiatu. Po jednej stronie rynku wznosił się zamek z poczerniałymi sgraffitami, przed nim na ławeczce siedział ksiądz proboszcz. Najpierw podszedł do niego Maksymilian, przywitał się i po kolei przedstawił gości. Ksiądz każdemu podał rękę i poprowadził towarzystwo wąskimi uliczkami do kościoła. Tam już czekał kościelny. Akurat wymieniał jakieś ogłoszenia w gablocie umocowanej obok wejścia. Przywitał się ze wszystkimi uściskiem dłoni, trzymając pod pachą zrolowane arkusze. Otworzył drzwi, poczekał, aż wszyscy znikną w środku, a kiedy zamierzał właśnie zamknąć drzwi, nadeszło kilku turystów. Kościelny zaczął im tłumaczyć, że dziś jest zamknięte, chociaż dniem bez zwiedzania jest poniedziałek, a dzisiaj mamy wtorek, więc powinno być

otwarte. Najbardziej nieustępliwy turysta miał na sobie pumpy i jasnoniebieską ortalionową kurtkę. Argumentował tak donośnie, że jego głos dotarł do zakrystii, gdzie proboszcz jeszcze w skrócie przypominał uczestnikom uroczystości, jak będzie wyglądał jej przebieg. Nagle, urwawszy wywód w pół słowa, burknął coś, co zabrzmiało jak „praszamnachfile”, wybiegł z kościoła i stanął oko w oko z turystą w błękitnej wiatrówce, który tak głośno nalegał. Turysta zamilkł, zaskoczony. Proboszcz spojrział mu prosto w oczy i powiedział:

– Ten kościół jest dziś zamknięty z powodu ważnej uroczystości. Jakieś pytania, młody człowieku?

Przybysz odpowiedział po chwili wahania, oglądając się na swoich towarzyszy:

– My nie będziemy przeszkadzać, chcielibyśmy tylko obejrzeć freski.

Ksiądz odkaslnął i odpowiedział:

– Jeżeli w ciągu pięciu minut będziecie państwo w stanie przebrać się w stroje wizytowe, zgodzę się na was poczekać. Jeżeli nie, to niestety. Macie państwo stroje wizytowe?

– Stroje wizytowe? – zapytał turysta, jakby nie zrozumiał pytania.

– Stroje wizytowe – powtórzył proboszcz.

Turysta spojrział na siebie oraz na pozostałych, którzy stali w pobliżu, i powiedział:

– No... nie wiem.

– Obawiam się, że nie macie strojów wizytowych – stwierdził ksiądz. – Czy mam rację?

– Co takiego? – zapytał mężczyzna w pumpach.

– Domyślam się, że nie macie innych ubrań niż te, których jaskrawe kolory właśnie rażą mój wzrok.

– No... nie mamy nic na zmianę, przyjechaliśmy, proszę księdza, tylko na jeden dzień.

– A więc moje obawy były słuszne. Tak więc: jako że nie macie państwo strojów wizytowych, muszę z żalem oświadczyć, że z powodu ważnej uroczystości, która za parę minut rozpocznie się w naszym kościele, nie mogę państwu zezwolić na zwiedzanie. Każdego innego dnia będziecie w tym świętym przybytku mile widziani.

– Hmmm... – bąknął turysta. – Czyli że dziś nas ksiądz nie wpuści, czy tak?

– Wnioskuje pan prawidłowo, młody człowieku. Mimo to cieszę się, że miałem przyjemność państwa poznać – dodał proboszcz, a w jego głosie, wibrującym energią, nie pobrzmiwał nawet cień próżnej ironii.

Turysta odwrócił się na pięcie, a kościelny zamknął główne wejście. Ceremonia mogła się rozpocząć. Proboszcz wygłosił długie kazanie, w którym ciągle powracała jedna myśl: że kobieta ma być ciałem rodziny, a mężczyzna głową. Przyjaciel domu, doktor Antonin Lukavsky, słuchając tego, zadawał sobie pytanie, jakie też doświadczenie z kobietami może mieć ksiądz dobrodziej, podczas gdy matka Alicji zastanawiała się, czy nie ma zapuchniętych oczu od płaczu. Cieszyła się, że w przyćmionym świetle kościelnego wnętrza zapuchniętych oczu nie będzie widać. Pod koniec kazania proboszcz wspomniał, że jeden z przodków pana młodego, niejaki Henryk, już w roku 1716 został wyniesiony do godności hrabiego przez cesarza Karola VI, a niedługo potem jego syn Mikołaj kupił tutejszy zamek i nie tylko ufundował wystrój zamkowej kaplicy, ale i ten właśnie kościół. Następnie zauważył, że co prawda obecnie tytuły szlacheckie już nie obowiązują, jako że zostały zniesione przez państwo i jego

pierwszego prezydenta Tomasza Masaryka, ale nie będzie naruszeniem prawa przypomnienie czasów, kiedy wartość miały nie tylko tytuły i dobre maniery, ale przede wszystkim słowo boże, głoszone przez Święty Apostolski Kościół katolicki. Przez chwilę mówił o jedności tronu i ołtarza, a kiedy wygłaszał co bardziej śmiałe fragmenty swojej starannie przygotowanej przemowy, na jego twarzy pojawiał się łagodny uśmiech.

Potem Alicja i Maksymilian wymienili się obrączkami, pocałowali się, a na koniec złożyli podpisy na dokumencie, który potwierdził, że stan małżeński jest, o dziwo, przede wszystkim umową, co jednakże było ostatnią rzeczą, o której nowo zaślubieni skłonni byli myśleć. Po zakończeniu ceremonii proboszcz ponownie zaprosił wszystkich do zakrystii. Alicja i Maksymilian mieli w tej chwili wrażenie, że są sami na świecie. Odpowiadali na pytania, prowadzili rozmowy o pogarszającej się jakości mszalnego wina w tych czasach komunistycznego upadku, Alicja żartowała z koleżankami, Maksymilian popijał śliwownicę, którą w takich okolicznościach zawsze ktoś skądś wyciągnie, ale przy tym zaczęli już odczuwać, jak z wolna wyrasta wokół nich metalowa koronka – na razie ledwo namacalna i niezbyt zwarta, ale dająca poczucie, że są małżeństwem. Zaczynała ich otaczać koronkowa sieć z coraz mniejszymi okami, dająca schronienie i zamknięcie.

Nowożeńców i gości czekała jeszcze jedna uroczystość, gdyż ślub kościelny nie był uznawany przez państwo. A więc powrót do Pragi i ceremonia, tym razem świecka. W drodze do miasta wuj Antonin rozmyślał o kazaniu. Odebrał je jako swego rodzaju zgrzyt w tej nowoczesnej dobie emancypacji końca lat sześćdziesiątych, które chlubiły się tym, że są lepsze od czasów, które je poprzedzały. Przynajmniej jeśli

chodzi o sprawy zasadnicze. Minuty, które poświęcili na wysłuchanie kazania, nie były czasem straconym. Jednak daleka od tolerancji treść kazania sprawiła, że wydały się czasem rozciągniętym aż do granic wytrzymałości, a wymiana obrączek stała się czymś więcej niż tylko rozedrganym ukoronowaniem szczęścia. Uniesienie woalki, pocałunki i złożenie podpisów okazały się nagrodą za przetrwanie kazania, które było czymś w rodzaju obelisku zawalidrogi, zbudowanego ze sprasowanych bloków bezwzględnych pouczeń. W końcu Antonin, który zabrał się razem z nowożeńcami autem prowadzonym przez ojca Alicji, nie wytrzymał i zapytał, co towarzysze podróży myślą na ten temat. Maksymilian był co prawda tego samego zdania, lecz próbował usprawiedliwić księdza, mówiąc, że do wystąpienia przygotowywał się długo i niezwykle starannie, z nadzieją, że spodoba się wszystkim zebranim. Ku zdziwieniu Antonina odezwała się Alicja:

– Czy ty sobie, wujku, wyobrażasz, że miałby bronić hipisów albo propagować LSD? No, zastanów się. Przecież jest księdzem, prawda? – powiedziała. – No przecież to ksiądz!

– No tak, Antoninie, przecież to ksiądz – powtórzył ojciec. – Wszystko jest tak, jak ma być.

Po przyjeździe do Pragi zostało im jeszcze trochę czasu, bo uroczystość cywilna miała się zacząć dopiero za godzinę. Sala ślubów była niedaleko, a do ceremonii, która miała nastąpić, nikt nie podchodził tak poważnie jak do tej poprzedniej. Alicja, Maksymilian i ojciec przynieśli kanapki, wino i ciasto weselne. Goście rozproszyli się po mieszkaniu, by chwilę odpocząć przed ślubem cywilnym.

Rosły człowiek w białym fartuchu uporczywie naciskał dzwonek u drzwi wejściowych. Brązowa czapka zsunęła mu się na spocone czoło. Towarzyszył mu nieco niższy

jasnowłosa mężczyzna średniego wzrostu, w beżowych spodniach i białej czapce, przepasany czystą zapaską. Najbliżej drzwi akurat znajdował się świadek pana młodego. Otworzył, a niższy z przybyłych uklonił się i oświadczył, że chciałby mówić z panem Lukavskim. Świadek wzruszył ramionami, powiedział, że nie zna tutaj nikogo, a nazwiska tych, którzy mu się przedstawili, od razu wyleciały mu z głowy. Jeśli poczekają, to się rozejrzy. Poszedł po Maksymiliana, a Maksymilian znalazł doktora. Doktor podszedł do drzwi. Wyższy mężczyzna w płaskiej czapce nachylił się ku niemu i coś mu powiedział na ucho. Doktor uśmiechnął się do obu przybyłych i wprowadził ich do mieszkania. Przeszli slalomem wśród gości i dotarli do ojca Alicji.

– No więc, Josifku, już jest – powiedział.

– Co jest, Toniku? – zapytał ojciec.

– Mówiłem ci przecież, ta niespodzianka.

– Aha, dobrze, dobrze. Czyli chcesz ten pokój na tort, tak?

– Ciszej, Josefie – skarcił go Antonin – bo wszystko zepsujesz!

– Jasne... No, to postawimy go w moim dawnym pokoju... Jest posprzątany i jest tam stół.

Weszli do pokoju. Stał w nim ciemny drewniany stół, na którym leżały okulary, długopis i otwarta gazeta z nie do końca rozwiązana krzyżówką. Mężczyzna w zapasce uważnie obejrzał stół. Zdjął z niego gazetę, okulary i pisak, po czym wyciągnął z kieszeni miarę krawiecką. Pod czujnym wzrokiem pozostałych dokładnie zmierzył mebel.

– Niecałe półtora metra – powiedział z wyrzutem.

– A co? To za mało? – zapytał doktor.

– Przecież powiedziałem wyraźnie, że ma być metr siedemdziesiąt pięć na dwa metry! Mówiłem wyraźnie! – dodał rozdrażniony.

– Można go rozłożyć – powiedział ojciec. Spojrzał na doktora i dodał: – Ale przecież mówiłeś, Tondo, że to będzie tort... ta niespodzianka?

– No... to jest tort. Czy może nie? – doktor zwrócił się do mężczyzny w białym fartuchu.

– Jak najbardziej, bracie – odpowiedział zagadnięty, jednocześnie sprawdzając, w jaki sposób można rozłożyć stół. Zignorował kolejne pytające spojrzenie doktora i zaczął wysuwać składane blaty.

– Wie pan, rzadko go rozkładamy, więc ciężko chodzi – powiedział ojciec i chwycił mebel z drugiej strony.

– No, teraz wystarczy. Teraz jest w sam raz – powiedział człowiek w zapasce, zmierzwszy rozłożony stół. – I jeszcze bym poprosił – dodał, rozejrzawszy się wokół – żeby do tego pomieszczenia przez najbliższe pół godziny nikt nie wchodził.

Ojciec spojrział na doktora, a doktor na mężczyznę w fartuchu i powiedział:

– Myślę... że to się da załatwić, prawda, Josefie?

– Tak – odrzekł ojciec.

W ciągu następnych paru minut człowiek w zapasce rogościł się w pokoju, a jego postawniejszy towarzysz w białym fartuchu wraz z doktorem donosili mu różnej wielkości pudełka. Za każdym razem pukali do drzwi, tamten je uchylał, a oni podawali mu pakunki, po czym pilnowali, żeby przypadkiem nikt nie wszedł do pokoju. Dokładnie po upływie dwudziestu dziewięciu minut drzwi się otwarły, a do środka zostali wpuszczeni doktor, mężczyzna w płaskiej brązowej czapce oraz ojciec Alicji. Weszli i spojrzeli na stół.

Wznosił się na nim marcepanowy tort wysokości półtora metra.

Człowiek w zapasce był cukiernikiem, teraz wszystko stało się jasne, a to, co stało na stole, wyglądało jak skrzyżowanie gotyckiej katedry z zamczyskiem i pałacem o kilku dziedzińcach.

– Panie Svoboda, tego się nie spodziewałem – wyjąkał doktor.

– Bracie doktorze – odrzekł cukiernik – człowiek powinien mieć tylko jeden ślub w życiu, tak samo jak tort weselny. Tak więc niech się nim państwo młodzi i goście nacieszą. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Mam nadzieję... myślę, że... hmmm... chciałbym wygłosić parę słów do nowożeńców. – Odkaslnął i dodał: – Jeżeli to możliwe...

Rozejrzał się po zebranych i zatrzymał wzrok na ojcu, który nie mógł oderwać oczu od marcepanowej budowli.

– Josefie, co ty na to? – zapytał doktor. Ojciec Alicji go nie słyszał, okrążał stół z marcepanowym pałacem i katedrą w jednym i tylko kręcił głową, mrużąc pod nosem:

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem...

Od czasu do czasu śmiał się przy tym półgłosem. Zamiast odpowiedzieć doktorowi, zapytał:

– A te figurki... te figurki też można zjeść?

– Oczywiście! – odpowiedział cukiernik, nieco urażony. – Wszystko, co pan widzi przed sobą na stole, jest jadalne.

– To jest coś niesamowitego – mamrotał ojciec. – To jest fantastyczne... po prostu dzieło sztuki.

– Bez wątpienia – rzucił cukiernik.

– Josefie, myślisz, że pan Svoboda mógłby wygłosić krótką mowę do młodej pary i gości? – powtórzył pytanie doktor.

– Jak najbardziej, Toniku – odpowiedział ojciec. – Tylko poczekajcie chwilę, przyprowadzę wszystkich.

Pomieszczenie stopniowo zapełniało się weselnikami, którzy żeby się zmieścić, musieli obstąpić stół z marcepanową budowlą. Na widok tortu goście nie kryli zdziwienia, rozmowy ucichły, a kiedy zegar na wieży kościelnej zaczął wybijać pełną godzinę, nikt nie miał głowy do tego, żeby policzyć uderzenia. Kiedy wszyscy już byli w środku, ojciec rozejrzał się po zebranych i powiedział:

– Drodzy Alicjo i Maksymilianie, widzicie przed sobą prezent od wujka Tondy, który chciałby wam teraz powiedzieć parę słów. Ja zaś chcę was poinformować, że, jak mnie zapewnił pan cukiernik, nawet te malutkie ludziki są jadalne.

– A więc, drodzy państwo młodzi, szanowni goście – zaczął doktor. – To jest mój prezent ślubny dla młodej pary i muszę przyznać, że jest większy i o wiele piękniejszy, niż się spodziewałem. Jeszcze nie tak dawno sam szczepiłem Alicję przeciw... przeciw...

– Przeciw tężcowi, wujku! – wykrzyknęła Alicja.

– Właśnie, przeciw tężcowi. Patrzcie państwo, jeszcze pamięta – doktor przytaknął i rozejrzał się wokół. – Ale nie będę was zanudzać rodzinnymi historyjkami... A tak się wtedy bała, że schowała się do szafki na dokumenty, skąd nie mogłem jej wyciągnąć, a z tymi papierzyskami potem przez tydzień nie mogłem dojść do ładu, taki mi w nich zrobiła bałagan. No i nawet się człowiek nie obejrzał, a nadszedł szczęśliwy dzień waszego ślubu, który, mam nadzieję, na zawsze pozostanie w waszej pamięci i będziecie o nim myśleć także w takich chwilach, kiedy nie wszystko będzie się układać po waszej myśli. Jeszcze raz życzę wam wszystkiego

najlepszego, a także chciałbym podziękować panu Svobodzie, mistrzowi rzemiosła cukierniczego, bo to jemu zawdzięczam ten pomysł z tortem. Jest to właściwie dzieło sztuki, znacznie bardziej okazałe, niż sobie wyobrażałem, a pan Svoboda chciałby teraz coś o nim powiedzieć. I nie dziwcie się, że pan cukiernik czasem nazywać was będzie braćmi i siostrami. Proszę, panie Svoboda.

Cukiernik stanął przed marcepanową konstrukcją, ukłonił się, powolnym ruchem wyciągnął z kieszeni złożony na czworo arkusz papieru i zaczął czytać drżącym głosem:

– Szanowna panno młoda, szanowny panie młody, szanowny panie doktorze, szanowni i mili goście, szanowny panie pielęgniarzu, drodzy bracia i siostry. W obecnych czasach rzadko się zdarza zamówienie, które chciałoby się wykonać z większą radością niż to właśnie zlecenie, które otrzymałem od szanownego pana doktora Lukavskiego, który, co mogę z dumą oświadczyć, jest moim przyjacielem. Mimo że nie znałem osobiście ani ciebie, siostro, ani ciebie, bracie, a może właśnie dlatego, pozwoliłem sobie poprzez swoją kreację wyrazić symboliczne i uniwersalne zarazem cechy stanu małżeńskiego.

Cukiernik skłonił się i stanął bokiem do swego dzieła.

– Jak z pewnością państwo zauważyli, ten pałac składa się z trzech pięter. Najwyższe z nich symbolizuje niebo. Umieściłem w nim wszystkich świętych, Pana Boga, anioły i inne istoty nadprzyrodzone, i jak widzicie, dominuje tu biel, a konkretnie marcepan i ozdoby z bitej śmietany. Jest to, można rzec, królestwo niebieskie, które nas przerasta i rozpościera się w górze. Być może wszyscy kiedyś tam się znajdziemy. Proszę zauważyć, że każdą z warstw można otworzyć i przez otwór zajrzeć do środka.

Mówca przeniósł wzrok na zebranych i uniósł sklepienie zamku. Ukazały się figurki, które wyglądały tak, jakby o czymś rozprawiwały.

– Kolejny poziom to nasz ziemski padół. Znajduje się tu panna młoda, pan młody i weselnicy, i jak widzicie, wszystko utrzymane jest w szarościach. Taki efekt został osiągnięty dzięki domieszce mielonej kawy. Jest to sfera naszego ziemskiego bytowania, jak wspomniałem. No i na koniec mamy ostatnie piętro, sam dół, czyli piekło, całe w brązach. Jest to poziom czekoladowy i proszę, żeby skupili na nim uwagę ci wszyscy, którzy gustują w czekoladzie. Gnieźdzą się tu, jak dostrzeżecie przez okienka, czterej diabli, kilka pomniejszych biesów oraz tu i ówdzie jakaś inna czarcia gadzina. Są to zaświaty albo, jak kto woli: siedziba dusz potępionych. Ten poziom szczególnie wszystkim polecam, krem czekoladowy kręciłem jeszcze dziś rano według własnego przepisu.

Pan Svoboda podniósł wzrok znad kartki z przemówieniem.

– Ale jak tak patrzę od tyłu, to przypomina mi to coś jeszcze, panie Svoboda – odezwał się doktor Lukavsky.

– Słuszna uwaga, bracie doktorze, bardzo słuszna. W końcu nie może być inaczej. Nie może.

– No więc mam rację czy nie? – doktor domagał się odpowiedzi. – Coś mi to przypomina... Ale co?

– Oczywiście, pan doktor jest osobą bardzo spostrzegawczą. I myślę – ciągnął cukiernik – że on dotarł już do najwyższego piętra. Naprawdę tak myślę, on już jest na samej górze. Ponieważ jego dusza przepiętna jest zrozumieniem... tak, zrozumieniem. Co prawda, znana mi jest jego słabość: здаje się, że stawia czekoladę ponad bitą śmietaną, a czekolada znajduje się na piętrze najniższym, w czarciej jamie, tak więc,

chcąc nie chcąc, będzie musiał zstąpić do piekieł... Ale aby powrócić do pytania brata doktora... Najbystrzejsi z was być może spostrzegli, że fronton budowli odwzorowuje kościół Świętego Ignacego na placu Karola. Tym samym obiektem inspirowane są wszystkie ornamenty oraz postaci świętych. A teraz niespodzianka: część główna, ta, którą wskazałeś, bracie doktorze, to nic innego jak niedokończona praska katedra, tak, tak, ta sama, z czasów Wacława któregoś, Trzeciego czy Czwartego, sam już nie wiem, właśnie ta, która stoi tak rozrzucona już paręset lat w ogrodzie za Jungmannem. Wiecie, którą mam na myśli. No więc właśnie ta katedra stoi tu cała i skończona, i mam nadzieję, że będzie wam smakować. Poza tym chciałbym jeszcze zauważyć, że ten tortowy świątynio-pałaco-zamek zbudowany jest w następujący sposób. A mianowicie: można go rozłożyć na kawałki. Tutaj przygotowałem dla państwa składane pudełka, do każdego z nich zmieści się jeden kawałek tortu. Czyli krótko mówiąc – proszę nie kroić! Naprawdę, proszę nie kroić, bo budowla mogłaby się zawalić! Nie kroić, tylko rozkładać po kawałku. Roz-kła-dać! Szanowna siostrzyczko młoda, bracie panie młody, dużo szczęścia.

Pan Svoboda zakończył przemowę i uklonił się. Rozległy się brawa, a Alicja podeszła do niego i pocałowała go w policzek. Cukiernik nie krył zaskoczenia i powiedział:

– Tylko od ciebie, siostrzyczko młoda, zależy, które piętro stanie się twoim domem. Tylko od ciebie.

– Co pan opowiada – odpowiedziała Alicja. – To przecież zależy od nas obojga, ode mnie i od Maksa.

– Oczywiście, to miałem na myśli – przytaknął cukiernik.

Potem Alicja rzuciła się na szyję doktorowi Lukavskiemu, a goście zaczęli okręzać tort, zaglądać przez okienka, podziwiać figury świętych w niszach na fasadzie i napawać

się wonią kakao, kawy i wiórków kokosowych. Tymczasem pan Svoboda i jego pomocnik pożegnali się, a Maksymilian, Alicja i doktor Lukavsky odprowadzili ich przed dom. Obaj mężczyźni wsiedli do czekającej na ulicy karetki i odjechali. Kiedy zniknęli, Alicja zapytała:

– Wujku, skąd go wytrzasnąłeś?

– Co skąd wytrzasnąłem? Cukiernika czy tort?

– Jedno i drugie – powiedział Maksymilian, trzymając Alicję za rękę.

– To jeden z naszych pacjentów – odrzekł doktor. – Bardzo ciekawy przypadek. Kiedyś ci o nim opowiem, Alu. I panu też, Maksymilianie, oczywiście jeśli będzie to was ciekawiło. – Potem spojrzął na Alicję i dodał: – Kiedyś ci o nim opowiem, jak sam się czegoś dowiem.

Tymczasem ojciec Alicji ogłosił, że czas ruszyć do urzędu. Urzędnik był w czarnym garniturze, na szyi miał zawieszony łańcuch. Podeszedł do narzeczonych, przywitał się, wyjaśnił, kto gdzie ma stanąć, i dodał, że za parę minut mogą zaczynać. Chociaż zamówiono mniejszą salę, i tak ponad połowa krzeseł była wolna.

– Taki śliczny kameralny ślub, prawda? – zauważył urzędnik.

– Drogi panie mistrzu ceremonii – odpowiedział mu Maksymilian. – Gdyby przybyli tu wszyscy członkowie mojego rodu, który w roku 1716 edyktem cesarza Karola VI został wyniesiony do godności hrabiowskiej, a do grona rodów szlacheckich dołączył już w roku 1578, to nie zmieścilibyśmy się w największej sali w Pradze.

– Ach tak... – bąknął urzędnik i przestał się uśmiechać. – Dzięki Bogu nasza socjalistyczna republika zagwarantowała nam wszystkim równość. Dzięki Bogu.

- Uhu – Alicja wydeła usta. – Nieźle się zaczyna, tato.
 - Co się dzieje? – zapytał ojciec.
 - Maks poucza tego komunistę.
 - Aha, walka klasowa w praktyce – dodał wuj.
 - Wszystko dobrze, tylko że on ma tę pieczęć, która jest nam potrzebna – powiedziała Alicja, marszcząc czoło.
 - Ja nie mam nic przeciwko tej republice – ciągnął Maksymilian. – Tylko nie podoba mi się, że jej godło nie jest zgodne z najbardziej podstawowymi regułami heraldyki.
 - Czego? – zdziwił się urzędnik.
 - Heraldyki – powtórzył Maksymilian. – Jest to nauka o tworzeniu herbów, godeł państwowych i symboli rodowych.
 - A w jakież to sposób nasze godło państwowe łamie reguły tej pańskiej heraldyki czy jak jej tam?
 - A w taki, że czeski lew nie może mieć na piersi godła słowackiego. Jak powszechnie wiadomo, w centrum może być umieszczony wyłącznie znak dynastii panującej.
 - Dynastii panującej?
 - Tak właśnie. Dynastii panującej.
 - Ale przecież dzisiaj nie mamy dynastii panującej, drogi panie! Dziś mamy rządy ludu, o ile zdołał się pan zorientować.
 - Właśnie o to chodzi.
 - Czyli o co?
 - O to, że w sytuacji, kiedy nie mamy dynastii panującej, godło państwowe powinno być dwu- lub czteropolowe, aby jego czeska i słowacka część miały tę samą rangę.
- Matka Alicji przysłuchiwała się tej rozmowie z boku, stojąc przed wejściem do sali. Dotarło do niej, o czym jest mowa,

wzniosła oczy do nieba i podeszła do Josefa. Pociągnęła go za rękaw i wzrokiem wskazała miejsce na uboczu.

– Co tu się dzieje, Josefie?

– Nic takiego, Kwietuszek, mamy tu całkiem interesującą dyskusję.

– Interesującą dyskusję? Czy do ciebie nie dociera, że twoja córka wychodzi za mąż?

– A co mam zrobić, według ciebie?

– Przerwij im jakoś, bo zaraz będzie z tego awantura.

– Ale jak?

– Jakoś!

– Co mam powiedzieć?

– Cokolwiek, wszystko jedno... Boże święty, Josefie! – Kwietka odwróciła się na pięcie i stukając obcasami, podeszła do rozmówców i stanęła między nimi.

– No więc, panowie, już zaczniemy, prawda? Ślub to nie jest takie zwykłe wydarzenie, panna młoda i my wszyscy mamy nerwy napięte jak postronki. Pan też, prawda, panie mistrzu ceremonii? Maksymilianie, panna młoda zaraz nam tu zemdleje. Oj, przepraszam pana, ja jestem...

– Pani jest matką panny młodej...

– Ma pan fantastyczną pamięć! Jak pan może to wszystko spamiętać, codziennie tylu nowych ludzi, mnie na przykład wylatują z głowy całkiem zwyczajne rzeczy, no ale ja już się starzeję, to zrozumiałe...

– Ależ droga pani... – zaproponował urzędnik, a matka panny młodej delikatnie ujęła go pod łokieć i poprowadziła w stronę bufetu z poczęstunkiem.

Uczestnicy ceremonii zgromadzili się wreszcie przy wejściu i przy dźwiękach muzyki z taśmy magnetofonowej wkroczyli do sali ślubów. Tam już oczekiwał ich urzędnik

z łańcuchem na szyi, na którym wisiało godło państwowe przeczące regułom heraldyki. Nerwowa atmosfera nie rozwinęła się całkiem, a urzędnik w swojej przemowie zdawał się szczególnie akcentować wszystkie wyrazy, które miały związek ze słowem „socjalizm”. Maksymilian i Alicja po raz drugi nałożyli sobie obrączki, po raz drugi pocałowali się i po raz drugi podpisali akt małżeństwa. Po nich podpisali go świadkowie i na tym ceremonia się zakończyła. Przy pożegnaniu urzędnik zagadnął Maksymiliana:

– To było dobre, z tym godłem państwowym, to było dobre.

– Jak to? – zdziwił się Maksymilian. – Co pan ma na myśli?

– No bo, proszę pana, ja się urodziłem w Bańskiej Bystrzycy, jestem Słowakiem.

Po uroczystości ślubnej wszyscy znowu zebrali się w domu. Państwo młodzi przebrali się, mężczyźni rozluźnili węzły krawatów, a Kwietka usiadła w salonie na kanapie obok męża. Kiedy większość zebranych znalazła się w salonie, Maksymilian zastukał łyżeczką w kieliszek, po czym w imieniu swoim i żony podziękował wszystkim za to, że dochowali tajemnicy. Potem wstała Alicja i zaprosiła gości na kolację do pobliskiej restauracji. Ciotka Anna ze łzami w oczach zaczęła snuć wspominki o dzieciństwie Alicji i już popisywała się jakąś historyjką, ale przerwał jej wuj Antonin i przypomniał, że należy wznieść toast za rodziców Maksymiliana, którzy nie dożyli ślubu syna. Potem ciotka próbowała zapanować nad sytuacją i dokończyć swoją opowieść, ale goście stracili już dla niej zainteresowanie i zaczęli rozmawiać w małych grupkach.

– Dlaczego nie zareagowałaś, Josefie? – spytała Kwietka. – Wtedy, przed uroczystością w urzędzie? Nie wiedziałaś, jaki z niego komunista?

- Przecież to nie ma znaczenia, nic wielkiego się nie stało.
 - Ale mogło się stać! A ty nic, tylko stałeś jak ten kołek.
 - Bo słyszałem co drugie słowo.
 - To trzeba było sobie podkręcić aparat!
 - Podkręciłem go przecież.
 - To trzeba było wymienić baterię.
 - Baterie kupuje mi Alicja. Mam jeszcze zapas.
 - Chcesz powiedzieć, że nie słyszałeś tej ich rozmowy?
 - Coś tam słyszałem. Piąte przez dziesiąte.
 - Widzisz, nie wiedziałam... A rozmawiałeś o tym z Tondą?
 - Przecież Tonda jest psychiatrą, nie neurologiem czy laryngologiem.
 - Wiem, ale mógłby ci kogoś polecić, na pewno ma znajomych.
 - Kwietuszek, to starość. Na starość nie pomogą żadni znajomi.
 - Ale dajże spokój... I mówisz, Josefie, że nie chcesz się z powrotem sprowadzić?
- Josef odwrócił się do niej, spojrzął w jej ciemnozielone oczy i powiedział:
- Nie, Kwieto. Nie mogę. Już nie.
 - Ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Zaczęłam wszystko przygotowywać, żebyś tam miał miejsce dla siebie.
- Josef położył jej rękę na ramieniu i już jej nie słuchając, wstał z kanapy i wyszedł z pokoju. Goście przenieśli się do restauracji i dokładnie o ósmej po kilku toastach przystąpili do kolacji. Było ich nie więcej niż piętnaście osób, koło dziesiątej sala zaczęła pustoszeć. Był wtorek, następnego dnia wszyscy szli do pracy, tym właśnie wymawiali się goście, opuszczając towarzystwo, choć woleliby zostać dłużej. W końcu nowożeńcy zostali tylko z ojcem.

Josef zapłacił i ruszyli we trójkę do domu. Przed wejściem Alicja i Maksymilian pożegnali się, bo chcieli się jeszcze przejść.

– Ślub jest tylko jeden w życiu, w końcu macie klucze. Uroczystość w kościele była piękna, to był dobry pomysł. A poza tym wszystko w porządku?

– Tak, panie inżynierze – odpowiedział Maksymilian. – W najlepszym porządku.

– Ali, wszystko dobrze?

– Tatusiu, cieszę się, że ci się podobało.

– Było pięknie.

– Tak, warto było się o to pokusić.

– Tylko dlaczego nie chciał wpuścić tych biednych turystów? – zapytał ojciec.

Maksymilian wzruszył ramionami.

– Skąd znasz tego księdza, Maksymilianie? Chciałem go o to zapytać, ale było mi jakoś niezręcznie.

– Wcale go nie musiałem namawiać, panie Czerny. Ten ksiądz chował mojego tatę. I właściwie to był jego pomysł. Ja chciałem go tylko zaprosić na ślub, a on zaproponował ceremonię w kościele.

– Aha – powiedział ojciec. – No dobrze, ja już pójdę się położyć. I pamiętajcie, że zostało mnóstwo jedzenia, najlepsze rzeczy są upchane w małej lodówce i wszyscy o nich zapomnieli, więc przynajmniej wy się do nich dobierzcie. Choćby w środku nocy. Przed spaniem wyłączam swój aparat, więc nie zbudzą mnie nawet armaty. Zjedzcie, na co tylko przyjdzie wam ochota.

– O nic się nie martw, tato, i idź się położyć – powiedziała Alicja i pocałowała ojca w policzek. Josef uścisnął Maksymilianowi dłoń, odwrócił się i wszedł do domu.

Młodzi przechadzali się jakiś czas. Przeszli kilka ulic i skręcili do parku, ale wkrótce poczuli chłód, więc zawrócili. Ojciec już spał. Alicja czekała na Maksymiliana, który mył zęby w łazience, i starała się nie zasnąć. Żeby powiedzieć mu dobranoc... Nie przypuszczałam... że szczęście... szczęście może tak zmęczyć człowieka... tak bardzo... szczęście... może... nie może... może...

Cukiernik

Kierowca milicyjnego samochodu od niechcienia dał ręką znak portierowi, ten w odpowiedzi lekko dotknął palcem wskazującym siwych włosów w zdawkowym geście pozdrowienia, a ponieważ świeciło słońce, zamiast nacisnąć guzik, co połączyłoby przewody i doprowadziło prąd do silnika, który z kolei miał podnieść szlaban, on sam, portier, ruszył się z krzesła. W końcu było ładnie, a portier chciał rozprostować kości. Wyszedł na wąski betonowy chodnik obramowany donicami, odwrócił się bokiem do auta i sięgnął od zewnątrz do swojej dziupli. Przez okno nacisnął guzik. Był piątkowy poranek, zegar nad jego głową wskazywał dokładnie piątą czterdzieści trzy. Leniwy gest kierowcy oraz niedbałe pozdrowienie były doprawdy godne łabędzi z jeziora, które swoją nazwę wzięło od tych ptaków. Kierowca w ten wystudiowany sposób okazywał, że jest zmęczony nocną służbą, która już dobiegała końca, lekkie zubożenie, a także autorytarnie demokratyczną postawę życiową, której wszakże nie należy mylić z egalitaryzmem. Precyzyjnie rozłożona w czasie reakcja portiera zdradzała respekt dla autorytetu milicyjnego kierowcy, który i m – tak, i m, ponieważ, jak powszechnie wiadomo, portier jest również częścią procesu leczenia – a więc który i m wiezie pacjenta (a nie, jak obecnie, klienta). Podstawowym elementem choreografii portiera było nonszalanckie kiwanie się na ugiętych kolanach – notabene portier miał już siedemdziesiątkę

na karku, pracował w swoim fachu ładnych parę lat i widział w życiu niejedno – a więc podstawowym elementem tego luzackiego kiwania się było lekkie, niemal niezauważalne, trwające ułamek sekundy zatrzymanie się na obcasach. To właśnie dawało świadectwo o tym, kto jest tutaj panem. Rzecz jasna, potem był czas na wyciągnięcie asa z rękawa: on nie zostanie w swojej przytulnej dziupli, nie będzie z niej wyglądać na zewnątrz, on z niej wyjdzie, ale zamiast łaskawie obdarzyć choćby jednym spojrzeniem milicjanta lub kierowcę, odwróci się lekko i naciśnie z zewnątrz guzik, co sprawi, że silnik elektryczny zagranicznej produkcji podniesie szlaban. Portier oczywiście nie zastanawiał się nad tym scenariuszem, tak jak Paganini nie zastanawia się nad właśnie granym vibrato, to po prostu przychodzi samo, po wielu latach praktyki. Tak, mój drogi, nic na to nie poradzisz, choćbyś nawet wiozł samego majora od komandosów. To kiwanie się na obcasach, to przechylenie się w stronę dziupli ranną porą we mgle, to jest właśnie as z podwójną obstawą albo, jak wolisz, może nawet i dzoker. Teraz już wiesz, kto tutaj, przy bramie głównej, dokładnie o piątej, teraz już czterdzieści cztery, ma wszystko pod kontrolą. Tak, mój kochany.

Szlaban przy głównym wjeździe do szpitala psychiatrycznego zaczął się unosić, można by rzec, elegancko, dzięki pracy silnika elektrycznego produkcji zagranicznej, którego dźwięk rozchodził się w porannej mgle. Portierowi przypominało to mruczenie obżartego angorskiego kota sąsiadów, który tylko jadł, pił mleko, spał i mruczał. Ta rozpuszczona gadzina nie robiła nic innego. Samochód wjechał na teren szpitala, portier zakołysał się na obcasach jeszcze raz i dopiero teraz mógł uznać dzień za rozpoczęty.

Auto podjechało pod różowy pawilon i zatrzymało się. Funkcjonariusz bezpieczeństwa, który siedział za kierownicą, wysiadł, zatrzasnął drzwi, odwrócił się i spojrzał na dwóch kolegów na tylnym siedzeniu. Pomiędzy nimi siedział niepozorny mężczyzna. Potem ruszył w kierunku budynku i nacisnął dzwonek przy drzwiach. Odczekał chwilę, przestąpił z nogi na nogę, a jego ruchy wskazywały na to, że zaczyna się niecierpliwić. Po chwili rozległy się kroki i w drzwiach stanął mężczyzna w białym fartuchu i płóciennych spodniach. Z otwartych drzwi doleciał szpitalny zapach, który rozptywał się w wilgotnym porannym powietrzu i wnikał w nozdrza milicjanta. Razem z nim pojawiło się natarczywe wspomnienie – może przyjemne, może nie – długich korytarzy instytutu. Ścian podzielonych na dwie części, z których jedną stanowił kończący się na wysokości oczu pas lamperii wymalowanej farbą olejną. Zmywalne ściany, kafelki na podłodze i te dwa kolory: żółty i zielony sprawiały wrażenie, że wszystko tu przesiąknięte jest bólem. Funkcjonariusz nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiał, nie udawało mu się to, bo odór używanych w nadmiarze kiepskiej jakości środków do dezynfekcji zawsze go irytował i mącił jego myśli. Gdyby to było możliwe, chciałby zmienić się w jakieś fantastyczne zwierzę, egzotyczne albo miejscowe, które nie musi oddychać, a tym samym nabierać do płuc tego śmierdzącego, podejrzanego, tanim kosztem odkazanego powietrza. Gdyby się dało, chciałby odizolować od świata wszystkie swoje otwory służące do oddychania, podłączyć się do butli z tlenem i objąć ustami ustnik fajki, a potem już mógłby, zadowolony i wyzbyty emocji, poruszać się niczym dziwaczny nurek po długich żółto-zielonych korytarzach, jak po dnie basenu. Teraz jednak przekazywał

stojącemu przed nim mężczyźnie w białym fartuchu informacje związane z przywiezieniem zatrzymanego obywatela, niepodważalne fakty, za którymi krył się jeden dostarczony zjadacz chleba, trzy osoby urzędowe oraz auto. To określanie sytuacji i uzgadnianie postępowania upodabniało ich krótką rozmowę do pertraktacji dawnych posłów, wysłanników od wieków nieistniejących mocarstw, którzy z nakazu ziemskiej lub boskiej władzy mają wprowadzić coś w rodzaju Keplero-wskich praw rządzących ruchem planet, coś, czego żaden z nich do końca nie pojmuje lub o czym mają ledwie blade pojęcie. Do tego, bez względu na to, czy to się im podoba, czy nie, po prostu muszą załatwić sprawę. Muszą doprowadzić do porozumienia się dwóch światów, według niezna-nych im reguł. Muszą zorganizować przekazanie dziwnego daru w ramach kuriozalnego ptasiego rytuału godowego, w którym nie ma tańców ani modłów. A przy tym obaj są starymi pragmatykami i przy omawianiu szczegółów procedury dawno już są myślami gdzie indziej.

Weszli do środka, szczęknął zamek w drzwiach. Mężczyzna w białym fartuchu szedł przodem. Po kilku metrach za-trzymali się przed innymi drzwiami. Pielęgniarz je otwo-rzył, przepuścił funkcjonariusza, potem przekręcił klucz od środka. Milicjant był tu nie po raz pierwszy i za każdym razem cieszył się nie tylko z tego, że jest w mundurze, ale i że ma przy sobie broń. Broń z siedmioma nabojami, nawet zabezpieczona i schowana w kaburze, zadbana i kochana, sprawiała, że od czasu do czasu jego duszę zalewało błogie, prawdziwe poczucie władzy. Prawdziwej władzy. Żadne pa-piery i pieczętki, żadne wypełnianie formularzy, odbywanie szkoleń czy uczenie się na pamięć nowych przepisów i no-welizacji, tylko zadbana i kochana broń – to była prawdziwa

władza. Gdyby przełożeni, nie daj Boże, znali jego fantazje, myśli i uczucia, z pewnością mieliby powody do niepokoju. A on wiedział coś bardzo ważnego: niech tam sobie łapiduchy przed nim otwierają czy zamykają drzwi, kiedy prawdziwa władza spoczywa w kaburze przy pasie jego munduru, prawdziwa władza to siódemka. Wyznacznikiem jego władzy jest liczba naboju w magazynku.

Potem przypomniał sobie, że jego przełożony już wcześniej przygotował grunt i kładł mu do głowy, że rozmowę z doktorem ma załatwić szybko i sprawnie. I tak zamierzał zrobić, ale w ostatniej chwili pojawiły się jakieś nowe okoliczności i zanim wyjechali z komendy okręgowej, już mieli telefon ze szpitala, żeby nie podjeżdżali na izbę przyjęć, tylko od razu pod różowy pawilon. Ktoś gdzieś sobie przypomniał, że zatrzymany mężczyzna ma już założoną kartę, no i tym sposobem znaleźli się tutaj. Taki obrót rzeczy zawsze trochę zaskakiwał funkcjonariusza, a przy tym trochę męczył, jednocześnie jednak pozwalał mu wyraźniej odczuć sens jego profesji. Od dawna zdawał sobie sprawę, że nie jest to zwykłe łapanie przestępców ani pilnowanie porządku czy jakiegoś abstrakcyjnego prawa. Coraz bardziej zmieniał się w urzędnika i nie wiedział, czy tak powinno być. Drażniła go ta niejasność, którą nikt nie zawracał sobie głowy. Obaj mężczyźni doszli do kolejnych zamkniętych drzwi, znajdujących się niemal w połowie długiego korytarza. Pielęgniarka zapukała i czekała. Nie doczekała się odzewu, więc spojrzała na milicjanta przepaszająco. Zapukała ponownie, tym razem drzwi się otworzyły. Stała w nich kolejna postać w białym fartuchu – lekarz. Otworzył drzwi na oścież, odesłał pielęgniarkę i wskazał funkcjonariuszowi krzesło. Ten usiadł, podziękował skinieniem głowy, odpiął guzik kieszeni munduru

i wyjął z niej notatnik. Lekarz zaproponował mu kawę i papierosa, ale milicjant odmówił. Spodziewał się, że po prostu przekaze zatrzymanego lekarzowi, ale cała rzecz okazała się bardziej złożona. Jego przełożony rzeczywiście wyjaśnił wszystko telefonicznie jednemu z lekarzy, lecz teraz osoby zapoznanej ze sprawą nie można było znaleźć. Przysłuchując się kolejnym rozmowom telefonicznym mającym na celu dotarcie do wtajemniczonego, zaczął nabierać przekonania, że będzie musiał wyjaśnić wszystko sam. Nie był z tego zadowolony, oznaczało to komplikacje, na razie jednak po prostu siedział, ścisnął w dłoni notatnik i patrzył na zewnątrz przez szerokie okratowane okno, za którym poruszały się gałęzie. Nie było słychać wiatru. Widać tylko było ruch liści i gałęzi, a za nimi asfaltową drogę.

Kiedy pani Marhoulova, sąsiadka zatrzymanego później cukiernika Svobody, wykonała telefon do urzędu bezpieczeństwa, zgodnie z notatką służbową była godzina druga w nocy i trzydzieści trzy minuty. Ponieważ była starszą panią, już dobrze po siedemdziesiątce, a w jej zgłoszeniu nie było nic niepokojącego, nikt się tym zbytnio nie przejął. Pani Marhoulova była wdową, mieszkała z małym pinczerkiem, a przedpokój w jej mieszkaniu wyglądał jak małe muzeum regionalne. Stały tam dwie szafki z próbkami minerałów i jedna z różnokolorowymi szlifowanymi butelkami. Na ścianach wisiało kilka obrazów i rysunków przedstawiających różne widoki miasta, a wśród nich jeden niepasujący do reszty, niedokończony szkic stacji kolejowej w budowie. Pani Marhoulova przywitała mundurowych, lecz nie zaprosiła ich do pokoju ani do kuchni, tylko zdecydowanym tonem zwróciła im uwagę, że przyszli ponad dwadzieścia minut później, niż

zapowiedział ich kolega, który z nią rozmawiał przez telefon. Obaj funkcjonariusze czuli się nieswojo – nie dość, że przytłaczały ich szafki, które wyglądały niepokojąco, jakby szykowały jakiś podstęp i lada chwila ich zwartość miała się roztrzaskać na drobne kawałeczki, to jeszcze obwąchiwał ich pies właścicielki. Przed pinczerkiem nie było gdzie się schować – z trzech stron otaczały ich szklane gabloty, a z czwartej tkwiła pani Marhoulova. Starsza pani postanowiła wygłosić pogadankę o kolekcji minerałów oraz o geologicznej budowie okolicy. Najpierw milicjanci myśleli, że jest to wyraz uprzejmości z jej strony, ale zanim się połapali, wykład o podłożu, uskokach tektonicznych i warstwach geologicznych przeszedł w fazę zaawansowaną. Nie dało się go przerwać ani tym bardziej odmówić słuchania. Starszy rangą jakimś cudem zdołał tak pokierować rozmową, że dotarli do sprawy wezwania przez panią Marhoulovą milicji. Taki rozwój sytuacji nie bardzo przypadł jej do gustu, ale zakończyła prelekcję stwierdzeniem, że okazy zgromadzone przez jej męża, a także namalowane przez niego obrazy, są dowodem na to, iż okolica jest ze wszech miar unikatowa. Unikatowa! Powtórzyła to słowo jeszcze kilka razy, i to z palcem wskazującym uniesionym do góry. Unikatowa. Okazy minerałów pobłyskiwały w przeszklonych szafkach jak latarnie, kamienie zdawały się fosforyzować. Leżały na koronkowych serwetkach, a przed każdym umieszczona była karteczka z trudną już do odczytania czeską i łacińską nazwą. Pani Marhoulova poinformowała również milicjantów, że wiszącego na ścianie rysunku stacji kolejowej mąż nie zdążył dokończyć. Wyglądało na to, że zaraz zacznie się rozwodzić nad ostatnimi miesiącami życia nieboszczyka w szpitalu i w sanatorium, więc starszy rangą postanowił zareagować: zapowie-

dział, że jeśli nie zamknie psa w sąsiednim pokoju, po prostu sobie pójdą. Wywołało to taką reakcję, jakiej się spodziewał, a mianowicie pani Marhoulova poczuła się urażona skandalicznym brakiem wychowania oraz szacunku dla starszych i nareszcie przeszła do rzeczy. O śmierci męża mówiła bez smutku, tak jakby już dawno nie było w niej bólu. To, co wezwani milicjanci usłyszeli, wynikało z przemożnego pragnienia opowiedzenia o swoim małżeństwie, a ponieważ ten temat był ostatnią rzeczą, która mogła ich interesować, wygłosiła coś w rodzaju prelekcji z wiedzy o ojczyźnie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby swoje wdowieństwo czymś wypełnić; była kobietą tymczasowo opuszczoną przez nieodpowiedzialnego męża, który na stare lata wykręcił jej numer i nagle umarł. Ciągle jeszcze obwiniąta go o to i z trudem się powstrzymywała, żeby mu nie wygarnąć tych wszystkich zarzutów, na które z pewnością zasłużył.

Tak więc mniej więcej około pierwszej w nocy z sąsiedniego mieszkania dobiegły ją krzyki, może nawet odgłosy bójki, po czym zapadła podejrzana cisza. Kiedy jeden z funkcjonariuszy zaczął się dopytywać, czy aby na pewno to wszystko słyszała, starsza pani poczęstowała go karcącym spojrzeniem oraz pouczeniem, że nie wszyscy starzy ludzie nie nadają się do niczego i, wbrew temu, co o nich myślą młodzi, nie wszyscy cierpią na otępienie starcze albo totalną głuchotę. Milicjant musiał ją przeprosić, a pani Marhoulova wykorzystała tę okazję, by pokazać mu czarny błyszczący kamień i oznajmić, że w średniowieczu w pobliżu miasta wydobywano srebro. Funkcjonariusze nie mieli ochoty na kolejny wykład, przerwali jej, podziękowali i wyszli na korytarz, by zapukać do drzwi sąsiedniego mieszkania. To ją uspokoiło i poprawiło jej nastrój; zapomniała o tym, że

kiedykolwiek miała jakieś zastrzeżenia do młodego pokolenia – wszystko przybrało pożądany obrót. Przez chwilę wyglądała na schody przez uchylone drzwi, ale ponieważ u sąsiadów nikt nie otwierał, młodszy milicjant poradził jej, żeby się dobrze zamknęła na wypadek, gdyby kręcił się tu jakiś niebezpieczny intruz, oni natomiast pójdą rozejrzeć się po kamienicy i ogrodzie. To ją usatysfakcjonowało i zrobiła to, co jej milicjant poradził.

Funkcjonariusze obeszlili cały dom, ale nikogo nie znaleźli. Dopiero w ogrodzie dostrzegli odłamki szkła, pochodzące z szyby mieszkania, o którym mówiła wdowa. Kiedy przeszukali ogród, skierowali światła latarek w krzaki rosnące wzdłuż ogrodzenia. Stamtąd dochodził sapiący, chrapliwy, rwący się oddech, jakby odgłos rozciąganych i ściskanych miechów – akordeonu albo może płuc ludzkich lub zwierzęcych. Nagle nocne powietrze od nieba aż po ziemię przeciął krzyk. Krzyk, jęk, rżenie. Ku zaskoczeniu obu policjantów ów odgłos zdawał się ich przyzywać. Tak, wołał ich. Wzywał pomocy, błagał o ratunek i krzyczał coś o tym, żeby go nie zostawiać samego, za żadne skarby samego z jakimś n i m. Głos prosił, błagał, jęczał i skamlał, chwilami zamierał. Milicjanci odbezpieczyli broń. Było słychać, że głos słabnie, braknie mu tchu, już długo nie wytrzyma i lada moment się załamie. Snopy światła z obu latarek skrzyżowały się, a milicjanci byli coraz bliżej źródła odgłosów. Przypuszczali, że ktoś kryje się wśród zarośli gdzieś pod murem. Co chwila oglądali się za siebie, w obawie, by nie spotkała ich jeszcze jakaś inna niespodzianka. Kiedy rozgarnęli ostatnie gałęzie zarośli, ujrzeli skulonego człowieka w brudnej brązowej marynarce.

– Milicja! – rzucił jeden z funkcjonariuszy. – Dlaczego pan tak wrzeszczy?

– Milicja? – powtórzył mężczyzna. – Naprawdę? Tak, jesteście przecież w mundurach... – zdołał wyjąkać i padł zemdlny. Tymczasem w budynku w kilku oknach od strony ogrodu pojawiło się światło.

Przy wyciąganiu delikwenta z krzaków okazało się, że ma złamaną nogę. Funkcjonariusze próbowali mu ją opatrzyć, ale ranny był tak zaklinowany między murem i krzakami, że ledwie udało im się go stamtąd wydobyć. Potem starszy rangą włączył krótkofalówkę, wezwał pomoc i poprosił o instrukcje. Karetka i auto policyjne przyjechały niemal jednocześnie. Znalezienie rannego osobnika oraz wybita szyba w oknie na pierwszym piętrze u sąsiadów pani Marhoulovej były wystarczającym powodem do ponownego przeszukania domu, ogrodu i najbliższej okolicy. Jeden z milicjantów pojechał karetką razem z rannym, żeby spisać protokół z przesłuchania podejrzanego, jeśli to będzie możliwe.

– To złamanie nogi w dwóch miejscach mogło powstać na skutek upadku z pierwszego piętra – oznajmił lekarz milicjantowi, który był wściekły, bo najpierw cały dzień nudził się jak mops w komisariacie, a teraz tu, na chirurgii, musiał pilnować kogoś, kto i tak nie może uciec. Dwukrotnie powtórzony opis skomplikowanego złamania nie zrobił na nim wrażenia. Wynikało z niego, że podejrzanemu osobnikowi nic więcej nie dolega. Złamanie w dwóch miejscach – a więc na razie nigdzie nie będzie się wybierał. Kiedy rannego opatrzono, milicjant wszedł do sali, w której wsparty na kilku poduszkach leżał człowiek ze złamaną nogą. Na widok wchodzącego uśmiechnął się radośnie. Oprócz niego leżało tam jeszcze dwóch chorych; jeden z nich co chwila przewracał się w łóżku z boku na bok, a drugi oddychał spokojnie, pochrapując lekko przez sen.

– Wszystko powiem – zaczął niepytany. – Bardzo wam dziękuję, naprawdę bardzo. Już go macie? Musi gdzieś tam być.

Milicjant pokręcił głową, przystawił sobie krzesło do łóżka i usiadł.

Uśmiechnięty pacjent nazywał się Karel Souczek, był złodziejem i przyznał, że miał zamiar okraść mieszkanie na pierwszym piętrze. Do cukierni przedostał się od strony bocznej ulicy, a potem wyłamał zamek w drzwiach, które prowadziły na pierwsze piętro, do mieszkania cukiernika i jego żony. Złodziej zauważył, że straty materialne są minimalne, ponieważ wyłamał tylko jeden zamek, z dwoma pozostałymi poradził sobie za pomocą wytrycha. Kilka razy podkreślił, że nie znał właściciela mieszkania, tego cukiernika Marka Svobody. Zaproponował, żeby milicjant poszedł po maszynę do pisania, w szpitalu na pewno jest jakaś maszyna, kto by jej w nocy – a może już jest rano? – potrzebował. No więc niech przyniesie maszynę, bo on, złodziej Karel Souczek, złoży zeznanie i nareszcie będzie miał to z głowy. A z tym świrem nie chce mieć nic wspólnego. Nigdy w życiu go nie widział. Był już dwa razy karany, czyli jest, jak to się mówi, recydywistą, ale tylko za kradzieże, nigdy za żadną większą sprawę.

Milicjant nie miał spisywać zeznań, tylko wstępnie przesłuchać złodzieja, poza tym nikt jeszcze nie zgłosił włamania. Zauważył, że złodziej zachowuje się nienaturalnie nerwowo i co chwila się do niego uśmiecha, więc oświadczył, że zeznania zostaną spisane rano, bo teraz przeszkadzałyby dwóm śpiącym chorym z tej samej sali. Złodziej przyznał mu rację, ale nalegał, żeby przynajmniej zanotował co nieco odręcznie, coś, co mógłby jeszcze dziś podpisać, żeby było jasne, czarno na białym, że od samego, ale to samego początku współpracował.

Tak więc Karel Souczek wszedł do cukierni bocznym wejściem, od ulicy Hlavsy. Na tej ulicy stały tylko trzy domy, do jednego z nich – właśnie tego, do którego się włamał – przylegał ponaddwumetrowy mur otaczający ogród. Właśnie wtedy wyłamał zamek, ten jedyny, który musiał wyłamać, przez co spowodował, jak się wyraził, szkodę materialną. Przeszedł przez cukiernię, spróbował po kawałku z dwóch albo trzech tortów, zajrzał do kasy, ale nie znalazł w niej pieniędzy. Nie zdziwił się, właściwie tego się spodziewał. Odnalazł drzwi prowadzące do mieszkania na pierwszym piętrze i otworzył je za pomocą wytrycha. Wszedł po schodach na górę, a kiedy rozglądał się po mieszkaniu, zaskoczył go cukiernik, pan Svoboda, który właśnie wychodził z kuchni. W pierwszej chwili złodziej się przestraszył, ale ku jego zdziwieniu cukiernik go przywitał, przeszedł obok niego, wszedł do ubikacji i nawet nie zamknąwszy drzwi, załatwił mniejszą potrzebę. Potem wszedł do łazienki, umył starannie ręce, a mijając go w drodze do kuchni, znowu skinął mu głową. Złodziej był zdumiony, a ponieważ podejrzewał, że coś tu nie gra, ruszył za nim. Obawiał się, że pan Svoboda zadzwoni na milicję. Podczas gdy zastanawiał się gorączkowo, co robić, cukiernik po raz kolejny się pokazał, tym razem, by zapytać, czy nie jest głodny i nie chce czegoś przekąsić. Może go poczęstować tylko serem, bo nie ma żony, a on nie zdążył kupić nic do jedzenia, za co przeprosza. Zaskoczony złodziej zapytał, czy naprawdę wcale się go nie boi.

– Dlaczegoż miałbym się ciebie bać? – odrzekł cukiernik. – Wszyscy jesteśmy tylko braćmi w cierpieniu, ty złodziej i ja cukiernik. Słońce świeci tak samo dla wszystkich...

– Teraz nie świeci żadne słońce, teraz jest noc – wyjąkał złodziej.

– Masz rację, bracie – odpowiedział pan Svoboda – i w mojej duszy jest noc. – Po chwili dodał: – Nuże, bracie, weź to, czego ci trzeba lub co myślisz, że ci trzeba.

Dodał tylko, by złodziej z łaski swojej zostawił mu radio w dużym pokoju, bo słuchanie wiadomości o nieszczęściach tego świata pomaga mu się skoncentrować. A koncentracja jest bardzo potrzebna przy pracy. Tak więc złodziej wziął pieniądze i parę drobiazgów, ale wciąż był zdenerwowany, jako że dotąd nic takiego mu się nie przytrafiło. Doszedł do wniosku, że cukiernik jest pomyłony, więc trzeba brać, co się da, i jak najszybciej zniknąć. I trzeba było tak zrobić, trzeba było zdzielić go czymś w łeb i prysnąć. Nie leżałby teraz w szpitalu z girą złamaną w dwóch miejscach i uniknąłby tych wszystkich kłopotów.

– Jakich wszystkich kłopotów? – zapytał milicjant.

– No właśnie – odrzekł złodziej.

Zanim wyszedł, zabrał znalezione pieniądze i już-już miał schodzić na dół, kiedy pomyślał, że wszystko to jest jakieś podejrzané, i postanowił jeszcze trochę się tu rozejrzeć. Uchylił więc drzwi od kuchni, tam jeszcze nie był. Starał się zrobić to cicho, ale cukiernik usłyszał skrzypnięcie zawiasów i odezwał się, pochylony nad stołem kuchennym, nawet nie odwracając się i nie przerywając tego, co robił:

– Wejdz, bracie, wstąp do mej pracowni, w której ukazuje się oczom i uszom marność tego świata. Wnijdz, bracie, do mej muszli, do mego tabernakulum. Podejdz, abym cię przygarnął do serca przed twym odejściem.

Złodziej nie miał pojęcia, o czym cukiernik mówi, z jakiego powodu chce go przygarniać do serca i dlaczego kuchnię nazywa muszlą i pracownią.

– Już idę – odpowiedział i obrzucił wnętrze kuchni szyb-

kim, wytrenowanym i wszytkowidzącym złodziejskim spojrzeniem. Najpierw nie mógł zrozumieć, co widzi. Potem przemknęło mu przez głowę, że to niemożliwe. W całej kuchni leżały różne części ludzkiego ciała. Ręce, nogi, torsy... Kiedy otworzył usta, by zaczerpnąć powietrza, cukiernik, wciąż siedząc na krześle, powoli odwrócił się do niego. W ręku trzymał kobiecą głowę.

– To moja żona, bracie. Już jej nie ma i dlatego muszę ją ponownie stworzyć, żeby coś mi ją przypominało... Rozumiesz?

Złodziej pomyślał, że wpadł jak śliwka w kompot, a do tego cukiernik, wciąż dzierżąc kobiecą głowę, wstał z krzesła i zaczął się do niego zbliżać. Boże święty! W głowie mu huczało. Boże święty... Boże święty, tylko nie to. W tej chwili z jego pięt, ścięgien Achillesa i palców u stóp zaczęły wyrastać korzonki, które zespoliły go z podłogą. Stał jak wryty, nie mógł oderwać wzroku od tej koszmarnej kuchennej kostnicy. Kiedy cukiernik stanął z nim twarzą w twarz, wrzasnął:

– Stój! Nie zbliżaj się do mnie! Jasny gwint!

– Ale dlaczegoż to, miły bracie? – zapytał pan Svoboda.

Złodziej już o niczym nie myślał, tylko zaczął się cofać, potem odwrócił się i wybiegł przez najbliższe drzwi, tam dostrzegł okno prowadzące z tego koszmarnego domu do ogrodu, a ponieważ wydawało mu się, że czuje na karku oddech cukiernika (choć w rzeczywistości czuł tam własne jeżące się włoski), bez namysłu wyskoczył przez okno. W locie zdołał jeszcze zasłonić dłońmi oczy. Trzask zbitej szyby... Upadek. Upiorny ból nogi przywrócił mu przytomność, a także instynkt samozachowawczy. Natychmiast powrócił też strach przed szaleńcem: złodziej uświadomił sobie, że ogród okala mur wysoki co najmniej na dwa metry, a jego

niecne życie nieuchronnie zbliża się do kresu. Powinien zacząć żałować za grzechy. Nie znał słowa „skrucha”, ponieważ był bezbożnikiem, ale, mój Boże, jak dobrze odczuwał jego znaczenie. Pragnął zakończyć ten przeklęty, niegodziwy żywot przynajmniej czymś w rodzaju modlitwy albo ateistycznym wołaniem o wskrzeszenie ducha, tak jak mu wyjdzie, bez wiary i nadziei. Przypomniawszy mu się niedawno widziany film o jakiejś rewolucji, w którym pluton egzekucyjny wykonywał wyrok śmierci na skazańcach. Strzały, szeroko rozrzucone ręce, pieśń na ustach, ból. Czekająca go straszna śmierć, być może tortury, to jasne, i dlatego jego duch musi się przygotować – co do tego nie miał wątpliwości. Nie miał broni, nie mógł też wstać, a kiedy próbował, ból doprowadził go niemal do utraty przytomności. Usiłował dopełznąć pod sam mur, żeby się ukryć. Ciągnął za sobą bezwładną nogę i próbował nie krzyczeć z bólu. Bardzo się starał, ale nie wiedział, że jego chrapliwy oddech słychać w całym ogrodzie. Byle tylko się schować, zanim ten potwór przyjdzie, by zrobić z nim to samo, co zrobił ze swoją żoną! Musi się przygotować, nie wie jak, ale musi.

Komisarz, który wysłuchał spowiedzi złodzieja, miał mieszane uczucia – bez dwóch zdań, to straszna historia, ale z drugiej strony mogła z niej wyniknąć premia... a może nawet i awans. Wstał z krzesła, z przyzwyczajenia przykazał złodziejowi, żeby nie opuszczał pomieszczenia, i wyszedł na korytarz. Tam chwycił za rękę pierwszą siostrę, która się nawinęła, wciągnął ją do sali, polecił nie ruszać się stąd na krok i pilnować rannego, po czym odszukał telefon i poinformował przełożonego, jak się rzeczy mają.

Pod dom zajechało kolejne auto, tym razem milicjanci wyskoczyli zeń niezwykle energicznie. Otoczyli dom i ogród,

zabezpieczyli wszystkie otwory, którymi podejrzany mógłby się wymknąć. W ogóle poczynali sobie zupełnie inaczej niż patrol, który badał nocny incydent. W akcji wziął udział również zastępca naczelnika komendy. Samego naczelnika już obudzono. Poleciał zabezpieczyć teren, zatrzymać podejrzanego lub podejrzanych i przekazać sprawę kryminalnym. Zanim do tego doszło, upłynęło sporo czasu. Za godzinę będzie się rozjaśniać. Milicjanci byli na miejscu, ubezpieczali się nawzajem i z odbezpieczoną bronią cicho weszli bocznym wejściem do cukierni. Przeszukali ją w ciszy; dwóch z nich zostało na dole, reszta przedostała się schodami na górę. Drzwi były zamknięte na klucz. Naradzali się nerwowo przez chwilę, po czym postanowili je wyłamać. Udało im się dopiero za drugim razem. Wpadli do środka z latarkami i pistoletami w rękach i zaczęli przeszukiwać mieszkanie. We wszystkich pomieszczeniach panowała cisza, tylko w dużym pokoju głos z radia wyjaśniał zawiłości polityki międzynarodowej. Po chwili wahania milicjant, który znalazł się najbliżej radia, postanowił je wyłączyć. Cały dom pogrążony był we śnie. We wszystkich dotychczas przeszukanych pokojach drzwi były otwarte lub uchylone. Jedyne zamknięte drzwi prowadziły do kuchni. Szparą nad progiem sączyło się mdłe światło. Dwaj funkcjonariusze z odbezpieczoną bronią stanęli po obu stronach wejścia. Ten po prawej otworzył drzwi. Do kuchni wbiegli dwaj milicjanci, krzycząc: „Ręce do góry, a nic się wam nie stanie!”. W mgnieniu oka cukiernik został powalony na podłogę, wykręcono mu ręce do tyłu i skuto kajdankami. W kuchni nie było nikogo poza nim. Zaprowadzono go do auta i odwieziono do komisariatu, a kilku funkcjonariuszy pozostało na miejscu, by zabezpieczyć obiekt do czasu przyjazdu kolegów z kryminalnej. Zaczęli

rozglądać się po kuchni. Złodziej nie kłamał. Na wielkim kuchennym stole spoczywała kobieca głowa. Na lodówce leżał tors, a na półeczce pod zlewem – kawałek nogi. Milicjanci zapalili światło i oniemieli. Spojrzeli po sobie, a jeden z nich powiedział:

– Chłopaki, to się w głowie nie mieści. Przecież to wszystko jest z marcepanu.

Dopiero w ostrym świetle kuchennej jarzeniówki okazało się, że ten krajobraz po bitwie pełen ludzkich członków jest doskonale wymodelowany z marcepanu i innych materiałów cukierniczych. Wszystko było w najdrobniejszych szczegółach zaskakująco, wręcz przerażająco realistyczne. Na przykład na lewej ręce znajdowały się włoski zrobione z pokolorowanych włókienek karmelu. Na przedramieniu widniał pieprzyk, a na lewej kostce – tatuaż przedstawiający małą jaszczurkę i pasek z jakimiś indyjskimi motywami. Najbardziej zadziwiająca była jednak kobieca głowa, w chustce, spod której wymykały się gęste czarne włosy. Usta wygięte były w uśmiechu, a oczy patrzyły prosto na wchodzącego. Błyszczące i żywe, tyle że nie mrugały. Skonsternowani milicjanci chodzili po kuchni, nie mając pewności, czy istnieje jakaś urzędowa procedura, którą można by zastosować w takiej sytuacji. W tym momencie do kuchni wszedł zastępca naczelnika komendy.

– Boże święty! – powiedział, ledwie zdążył otworzyć drzwi. – A więc to prawda. Mamy tu jakiegoś maniaka. – Potem zauważył trzy pary wpatrzonych w niego oczu oraz funkcjonariusza, który nie zauważył jego wejścia, bo akurat był zajęty oblizywaniem ludzkiej ręki. – Ty chyba oszalałeś! – ryknął. Po chwili dodał: – Jesteś wylany, z mety i nieodwołalnie!

Na szczęście jego koledzy już doszli do siebie i zaczęli wyjaśniać dowódcy, że to, co widzi, to tylko iluzja. Że widzi nie to, co widzi, tylko to, co myśli, że widzi. Że widzimy swoje oczekiwania i wypełniamy życie czczą ułudą. Że, krótko mówiąc, to wszystko to kupa słodczy. Kiedy dokładne przeszukanie mieszkania nie przyniosło niczego nadzwyczajnego, oprócz zamka wyłamane przez złodzieja, obecność policji okazała się zbędna. Lokator w areszcie, złodziej w szpitalu, kradzieży nie zgłoszono, ciała nie znaleziono.

– No i co teraz? – zapytał jeden z milicjantów. – Tutaj właściwie nie mamy nic do roboty.

Ta sama myśl już przed chwilą przemknęła zastępcy naczelnika przez głowę, ale wciąż miał nadzieję, że albo coś jeszcze zostanie odkryte, albo pojawi się tu sam naczelnik. W końcu podjął decyzję:

– Wszystko obfotografować. I odwołać kryminalnych, bo narobimy sobie takiego wstydu, że się potem nie pozbieramy. Zabezpieczyć obiekt tymczasowo i czym prędzej się stąd zwinąć.

Odchodząc, jeszcze rzucił okiem na marcepanowy tors, tatuaż na kostce i przede wszystkim na kobiecą głowę, która miała oczy o źrenicach skierowanych zawsze dokładnie na tego, kto stanął w drzwiach.

– Niezła babka – powiedział. I w tej samej chwili tego pożałował. Było to jakoś... nie na miejscu. To wszystko było jakoś... nie na miejscu.

Cukiernik nazywał się Marek Svoboda, był niewysokim człowiekiem średniej postury, miał ciemne włosy o trudnym do określenia kolorze i odznaczał się manierami osobliwymi, lecz raczej przyjemnymi. Z rodzaju tych, których trudno zapamiętać. Jednakże ta niedefiniowalna nieokreśloność

znikała w chwili, kiedy otwierał usta. Po pierwsze, nie zachowywał się naturalnie, co do tego naczelnik komendy nie miał wątpliwości. Każdy na jego miejscu najpierw by się wystraszył, potem by się zdenerwował. Milicjanci wdzierają ci się do mieszkania, rzucają cię na podłogę, zakuwają w kajdanki i zamykają w areszcie, więc jasne, że będziesz się domagać adwokata, grozić, że złożysz skargę, żądać ustnych lub pisemnych przeprosin. A on nic. Kiedy go rozkuli, uśmiechnął się tylko i oświadczył, że swoim braciom milicjantom niczego nie ma za złe. Podobno wszyscy jesteście braćmi w cierpieniu. To, że nazywał ich braćmi, nie było ani przestępstwem, ani wykroczeniem, ani w ogóle niczym, za co można by go było zatrzymać w areszcie. Mimo to naczelnik wiedział, że cukiernik nie jest normalny i że coś tu śmierdzi. Na pytanie, dlaczego zaczął wytwarzać swoją żonę z cukru, odpowiedział, że dlatego, iż ta prawdziwa go opuściła. Zapytany, dlaczego nie zgłosił zaginięcia żony, odrzekł, że nie uważa jej za zaginioną, albowiem odeszła z kimś innym, ewentualnie do kogoś innego. Kiedy go poproszono, by przedstawił list pożegnalny, odpowiedział, że niestety jest to niemożliwe, ponieważ go zjadł. A dlaczego go zjadł? Pan Svoboda oświadczył, że pragnął przynajmniej jakąś część swojej żony mieć w sobie. Naczelnik go spytał, czy czasem jej nie zabił i nie chciałby przyznać się do tego, a on tylko się uśmiechnął i odpowiedział, że swojej żony nie zabił, gdyż ją kocha, po czym zapytał naczelnika, czy z kolei on nie popełnił czegoś karygodnego, za co powinien ponieść odpowiedzialność. I to był właśnie ten problem, który teraz dręczył naczelnika komendy. Ten człowiek na pewno nie jest w porządku, jego żona, która uciekła z kochankiem lub do kochanka, zniknęła, cukiernik odtwarza

ją sobie z marcepanu, a do tego wszystkich nazywa braćmi. Żadna z tych rzeczy nie jest czynem karalnym. A potem go olśniło: jest przecież przepis, który mówi, że człowieka, który stwarza zagrożenie dla samego siebie, można, nawet wbrew jego woli, zamknąć w domu wariatów. Najczęściej dotyczy to samobójców, ale w końcu dlaczego nie tego dziwaka?

Historia cukiernika Marka Svobody, zreferowana z notatek przez milicjanta, który go przywiózł do szpitala, ani trochę nie uszczęśliwiła lekarza. Dziwne zachowanie jeszcze nie jest powodem, dla którego miałby zatrzymać człowieka w szpitalu na przymusowym leczeniu. Z pewnością milicjant to rozumie (milicjant przytaknął), wtedy trzeba by zamknąć połowę miasta. Na chorobę to nie wygląda, raczej na to, co nazywa się skrajnym przypadkiem – coś pomiędzy zaburzeniem a nieszkodliwym dziwactwem. Milicjant nie był zachwycony. Nic na cukiernika nie mają, więc skończy się tak, że pana Svobodę trzeba będzie wypuścić i jeszcze przeprosić, a on zostanie tym, który nie potrafił załatwić sprawy w wariatkowie. Rozmowa rozwijała się w niepożądanym kierunku, jej wynik nie zapowiadał się dobrze. W dodatku lekarz grzebał w szufladzie i nie mógł znaleźć formularzy przyjęć, milicjant postanowił więc wykorzystać swoją ostatnią szansę.

– Panie doktorze... – zaczął. – Naczelnik wspominał, że lekarz, z którym wtedy rozmawiał, powiedział mu, że pan Svoboda był już u was leczony. Czy to prawda?

– Tak – usłyszał.

– A co mu dolegało?

– To jest tajemnica lekarska. Z pewnością pan zrozumie, że nie mogę tego panu powiedzieć.

– Dobrze. – Policjant postanowił spróbować inaczej. – Może jednak spojrzalby pan na niego? On naprawdę zachowuje się dziwnie.

Lekarz zasunął szufladę, w której nie mógł znaleźć formularzy, i skinął głową. Zaczynało świtać.

Kiedy cukiernik Marek Svoboda usiadł na krześle naprzeciwko lekarza, wyglądał na spokojnego i pogrążonego w myślach.

– Dzień dobry – powiedział lekarz. – Nazywam się Lukavsky, panie Svoboda. Pan, zdaje się, ma za sobą raczej niespokojną noc?

Cukiernik patrzył mu prosto w twarz, ale nic nie wskazywało na to, że miałby ochotę zareagować na ten wstęp.

– Wie pan, panie Svoboda, milicja uważa, że pańskie zachowanie nie jest całkiem typowe. Mam je ocenić w świetle wydarzeń ostatniej nocy. Co pan na to?

Cukiernik milczał, obserwował przez okno bezgłośnie poruszające się gałęzie i wydawało się, że nad czymś się zastanawia.

– Sądzi pan, że jest to uzasadnione?

Cukiernik uśmiechnął się, spojrzął na lekarza i oświadczył:

– Ale ja nie nazywam się Svoboda.

– Przepraszam... – powiedział lekarz. – Czyżbym się pomylił? Mam tu napisane: pan Marek Svoboda, z zawodu cukiernik.

– Tak się nazywałem kiedyś. Dawniej.

– Aha – powiedział lekarz. – A jak się pan nazywa teraz? Żebym miał porządek w papierach.

– Teraz nazywam się Jezus Sokrates Amenhotep Hitler, miły bracie.

– Dobrze... – powiedział lekarz i zapisał wszystkie imiona na kartce, którą przygotował sobie na notatki. W tej chwili pomyślał, że jednak nie obejdzie się bez tego formularza. Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że oddziałowa powinna już być w pracy. Wstał, otworzył drzwi i wezwał pielęgniarza, który akurat przechodził korytarzem.

– Proszę mi przynieść kilka formularzy, trzystapiętnastek.

Milicjant, który siedział przed gabinetem na ławce pod ścianą, pomyślał, że sprawy przyjęły dobry obrót. W końcu pozbędziemy się go bez wstydu.

Po ślubie. Pierwsze spotkanie z ojcem

Po ślubie młodzi zamieszkali u rodziców Alicji. Ojciec w tym czasie remontował domek na wsi. Wszyscy z niezwykłym zainteresowaniem obserwowali, jak piłuje belki, wbija gwoździe czy naprawia dach, i ma przy tym ruchy zdecydowane i precyzyjne. Ale kiedy tylko zszedł z drabiny i odłożył narzędzia do drewnianej komórki, w której miał wzorowy porządek, ruchy te rozsypywały się na tysiące kawałeczków, jak rozbite lustro, i układały się w rozmazane klatki filmu puszczonego w zwolnionym tempie. Kiedy nie remontował domu i przestał piłować belki, ręce zaczynały mu się trząść jak jesienne liście na drzewach, które niespokojnie drżą, zanim oderwą się od gałęzi, by nerwowym, tanecznym ruchem zacząć spadać na ziemię. Alicja i Maksymilian wybierali się w podróż poślubną dopiero pod koniec lata, ale w sierpniu tego roku przyjechały rosyjskie czołgi, tak więc młodzi, podobnie jak wielu innych, zaczęli zastanawiać się nad opuszczeniem kraju na zawsze. Była to ich pierwsza kłótnia. Maksymilian chciał wyjechać, ale Alicja nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby porzucić kraj, w którym się urodziła. Nie zobaczyć więcej ogrodu przy domku na wsi, swoich zagonków, sterczących dumnie z ziemi rzodkiewek, pomidorów i tulipanów? Urodzić dziecko w obcym kraju? Była pewna, że dziecko urodzone w Niemczech, w Anglii albo w Kanadzie będzie Niemcem, Anglikiem albo Kanadyjczykiem, nie żeby jej to jakoś przeszkadzało, ale była przeciwna

z tego prostego powodu, że wtedy swojego syna czy córki nie mogłaby nigdy do końca zrozumieć. A przy tym jeszcze te czołgi, te demonstracje – to wszystko nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. Najpierw zauważyła, że zniknęły bóle reumatyczne, które czasem jej dokuczały. Z dnia na dzień czuła się coraz lepiej. A w końcu stwierdziła, że jest w odmiennym stanie. Pewnego razu, kiedy ustawiała w kredensie słoiki z przetworami, otworzyła jeden z nich i palcem nabrała gęstej, złotawej, pachnącej morelowej masy. Maksymilian, który akurat przechodził, wysunął szufladę, wyjął z niej łyżeczkę i podał ją Alicji. Alicja tylko pokręciła obojętnie głową. Z wolna zaczynało do niej docierać to, czego nigdy sobie nie uświadamiała. Każdy początek, każdy prawdziwy początek, przed którym nie ma niczego innego, jest czymś przypominającym narodziny, podobnie jak każdy koniec jest małą śmiercią. Takie obserwacje są właściwie czczymi frazesami, stwierdziła, i słusznie należy im się ten tytuł, wysłużony w licznych potyczkach na polach bitewnych ducha i ciała. Zwykle doświadczenie, takie, które jest udziałem każdego z nas, powtarza się w nieskończoność tyle razy, aż zniknie zeń wszelka wyjątkowość, i to właśnie teraz czuła. Pragnienie wyjątkowości uważała za coś absolutnie bezsensownego, niebezpiecznego i zbędnego. Ważne było tylko, żeby dziecko, wszystko jedno – chłopczyk czy dziewczynka, było zdrowe. Kiedyś Alicja przeglądała jakiś gruby szmatławiec, na który składał się tygodniowy przydział ciekawostek z Indii, nowinek technicznych ze Stanów oraz reportaży o tym, jak syberyjscy myśliwi pożywili się mięsem mamuta spoczywającego w lodzie od tysięcy lat, i pomiędzy przepisem na pieczeń baranią a relacją z Mediolanu o trendach w modzie odkryła artykuł o średniowiecznych obrazach.

Dwa zdjęcia przedstawiały natchnionych świętych, a trzecie zwiastowanie. Marię Pannę otaczała jasna poświata, która Alicji przypominała bańkę mydlaną. Tak, to bańka mydlana, myślała Alicja, wpatrując się w obrazek. Można powiedzieć, że to widoczna bańka Bożej łaski. To było właśnie to, co czuła Alicja: bańka brzemienności jest bańką łaski Bożej. Najgorsze w tym wszystkim jest to, rozmyślała, że już nawet nie czuję się winna. Kraj był okupowany, po ulicach jeździły czołgi. Mąż chciał emigrować, matka i ojciec byli przygnębeni, zastraszeni, a po kilku tygodniach szalonej wściekłości szybko się postarzelili – a jej było to całkiem, doskonale i bez reszty obojętne, bo ona oczekiwała dziecka.

Kiedy patrzyła na obraz, na którym anioł zwiastował Maryi, że zostanie Matką Boską, rozumiała, że przygarbiony i zmęczony średniowieczny malarz, który ten obraz namalował, musiał wypytać swe średniowieczne kochanki, matki swych dzieci, o to, czym właściwie jest ta łaska Boża, i zaiste był dobrze poinformowany, bo jak inaczej ktoś taki – mężczyzna – byłby w stanie namalować tę fascynującą bańkę mydlaną łaski Bożej, którą sama tak intensywnie odczuwała. Alicja nie miała pojęcia o świadectwach średniowiecznych mistyków, nie wiedziała nic o ekstazach, o świetlistej niepojętości, niepojętej niemożności odróżnienia siebie samego od nieskończonych galaktyk przenikniętych Bożą chwałą. Maksymilian zauważył w Alicji tę zmianę, której źródłem był jej odmienny stan, i starał się ją jakoś po męsku zrozumieć. Lecz Alicja nie wiedziała, jak mu to wszystko wytłumaczyć. Jak objaśnić stan błogosławiony komuś, kogo kochała z pełnym oddaniem, jak mu opisać stan, którego nigdy nie doświadczy. Utknęła w ślepej uliczce języka, nad kamienistą przepaścią, rozciągającym się między nimi

stromym urwiskiem. A potem któregoś dnia po przebudzeniu po prostu przemknęło jej to przez głowę. Ni stąd, ni zowąd powiedziała:

– Błogość, Maksymilianie. Nosić nasze dziecko to błogie uczucie. Tak sobie myślę, że... jak ludzie wierzyli jeszcze w niebo... że tam też musiało tak być. Chociaż tak naprawdę... to jest o wiele lepsze.

Dziewięć miesięcy przeżytych w bańce mydlanej łaski Bożej. Alicja marzyła, żeby już tak zostało. I dlatego, kiedy Maksymilian podawał jej średniej wielkości łyżeczkę do kawy akurat w tej chwili, kiedy jej palec wskazujący niósł do ust masę pomarańczowej, przenikliwie pachnącej marmolady morelowej, tylko bez emocji spojrzała na jego zdziwioną minę i skupiając się na przyjemności, pozwoliła się rozpląnąć aromatycznej masie najpierw na języku, potem w ustach, smakowała lekko cierpką słodycz w jej drodze do podniebienia, po czym ją połknęła, a ściślej biorąc, rozkoszowała się jej smakiem, czekając, aż delikatnie wślizgnie się do przełyku. Maksymilian stał przed nią z wyciągniętą ręką w geście pomocy, której ona nie potrzebowała. Stał tak i patrzył na swoją urzekającą żonę, jak siedzi przy filiżance porannej kawy, w ogóle nie przejmując się tym, co ktoś sobie o niej pomyśli, i jest całkowicie zadowolona z siebie i swojego życia. Kiedy połknęła marmoladę, jeszcze dokładnie i z lubością oblizała palec, a jej usta wydały dźwięk, który można by zakwalifikować jako odgłos satysfakcji czy rozkoszy lub jako przeciągłe, niezbyt eleganckie mlaśnięcie. Maksymilian nie wiedział, jak ma ten cichy dźwięk przyjąć albo raczej – jak ma być ten cichy dźwięk odebrany. Kiedy marmolada została połknięta, zapytał:

– Ty chyba nie chcesz tej łyżeczki, prawda?

A po chwili trwającej tyle czasu, ile Alicji zajęło przeniesienie wzroku ze słoika na męża, dodał:

– Ale dlaczego?

Odpowiedziała:

– Maks, chcę to odczuć wszystkimi zmysłami.

Gdyby kiedyś Maksymilian chciał zastanowić się nad swoim życiem z Alicją, gdyby spróbował przeanalizować ich związek, dotarłby do tej chwili – do tego przełknięcia marmolady, zakończonego ostrym mlaśnięciem, którego nie zdołał pojąć i od którego zaczął Alicję tracić. W tej narkotycznej bańce błogości odmiennego stanu Alicja zmieniła się powoli, lecz trwale i bezpowrotnie, z kochanki w matkę. Stan ojcostwa nie dał się z tym w żaden sposób porównać, a tego właśnie Maksymilian obawiał się najbardziej. On też nie ukrywał swoich odczuć, a kiedy zwierzył się swojemu przyjacielowi Honzie, który był konstruktorem radiodbiorników tranzystorowych i przenośnych magnetofonów szpulowych, a przy tym chrześcijaninem, człowiekiem nieugiętych zasad i ojcem czworga dzieci, usłyszał:

– Wiesz, Maks, każda kobieta, która zajdzie w ciążę i urodzi dziecko, jest jak dioda. Może to zabrzmieć dziwnie, ale ja jestem inżynierem elektrykiem i znam się na instalacjach niskiego napięcia. Nie potrafię tego wyjaśnić inaczej.

Ponieważ Maksymilian nie wiedział, jaka jest funkcja diody w urządzeniach elektrycznych, zapytał, co właściwie jego przyjaciel miał na myśli, posługując się tym dziwnym porównaniem.

– Dioda przepuszcza prąd tylko w jedną stronę, a kobieta, która ma dziecko, już nigdy nie będzie taka jak przedtem, a ty jako mężczyzna zawsze będziesz dla niej na drugim miejscu.

To jest normalne i musisz się z tym pogodzić, Maks. Im prędzej, tym lepiej dla ciebie.

Ten przydługi wywód o charakterze etyczno-elektronicznym znużył Maksymiliana, który już nawet nie próbował go zrozumieć, choć podejrzewał, że to, czego nie rozumie, będzie trudniejsze do kochania.

Narodziny syna były dla Alicji nieprzyjemnym przebudzeniem z trwającego dziewięć miesięcy stanu błogości. Nagle zaczęła się obawiać tego, czego wcześniej przez długie miesiące obawiał się Maksymilian. W nocy zaczęły ją dręczyć koszmary, zapragnęła wyjechać z kraju na zawsze i często, w najbardziej niedogodnych okolicznościach, miała ataki ostrych bólów reumatycznych. Chciała uciec, ukryć się gdzieś z mężem i dzieckiem, tam gdzie jest spokojnie i bezpiecznie i gdzie nie ma rosyjskich żołnierzy. Problem polegał na tym, że kiedy była w ciąży i wszyscy ją o tym przekonwali, ona była odmiennego zdania i postawiła na swoim, a teraz już nikt nie miał chęci ani energii, żeby zdobyć się na coś nieoczekiwanego czy zaskakującego. Chłopczyk dostał na imię Krzysztof. Po kilku miesiącach Alicja zapragnęła następnego dziecka. Tak naprawdę nie chodziło o dziecko, tęskniła za stanem ciąży. Wuj Antonin, który był lekarzem, wysłał ją na jakieś badania i testy, a potem opowiadał coś o hormonach i poziomie różnych substancji we krwi, lecz dla niej brzmiało to zbyt naukowo i za dużo było w tym łacińskich terminów, żeby mogło ją do czegokolwiek przekonać.

Alicja urodziła się w 1950 roku, na kilka miesięcy przed aresztowaniem, skazaniem i uwięzieniem jej ojca. Nic z tego nie pamiętała, wszystko знаła tylko z opowiadań i wspom-

nień krewnych. Matka odwiedzała ojca co miesiąc. Czasami brała ze sobą Alicję, ale małej i tak nie wpuszczano do środka, więc zostawiała ją u ciotki w pobliskim mieście. A potem, po dziesięciu latach, ojciec pojawił się w domu.

Alicja знаła go z opowiadań i fotografii. Pisał do niej listy, które najpierw czytała jej matka, a później, kiedy już poznała litery, radziła sobie z nimi sama. Nie cieszyły jej. Mama zawsze potem płakała, zwykle w ukryciu, ale Alicja i tak zawsze o tym wiedziała. Aż wreszcie, kiedy skończyła dziesięć lat, ojca wypuścili. Cieszyła się, wszyscy się cieszyli, byli podeńwowani i szczęśliwi. Najpierw matka chodziła po jakichś urzędach, potem coraz częściej odwiedzali ich różni krewni i znajomi, przeglądali z matką stosy papierów, które później wypełniali i rozmawiali o tym w niezrozumiałym dla Alicji języku. W końcu pewnego ranka matka powiedziała, że ma dla niej wielką niespodziankę, a tą niespodzianką było to, że dokładnie za dwa tygodnie ojciec wraca do domu. Że wypuścili go już po dziesięciu latach, nie po trzynastu, jak miał w wyroku, i że znowu będzie mieszkał z nimi. Alicja była trochę zdezorientowana, bo z tego, co pamiętała, ojciec nigdy z nimi nie mieszkał, tak więc dla niej nie był to żaden powrót, bo nigdy jej nie opuścił.

Ojciec miał pojawić się w domu w czwartek. Przez te dwa tygodnie nie dało się z matką wytrzymać. Alicja nie mogła pojąć, co się z nią dzieje. Cieszyła się, że znowu będzie miała tatę, choćby dlatego, że do tej pory był w więzieniu i nie wolno było o tym rozmawiać. Alicja rozumiała, że jej tato jest odważnym człowiekiem, przynajmniej tak mówił wuj Antonin, że przeciwstawił się bezprawiu i dlatego zamknęli go w więzieniu, bo ten reżim, jak mówił wuj, to jedna wielka banda przestępców, od których nie można oczekiwać nicze-

go dobrego. Alicja nie bardzo rozumiała, co to takiego ten reżim, ale myślała, że to musi być ktoś co najmniej tak ważny, jak pan wizytator w szkole, którego bała się nie tylko jej wychowawczyni, pani Svobodova, ale i dyrektorka szkoły, pani Krausova, a to już było coś. Alicja wiedziała również, że są sprawy, o których można mówić tylko w domu, a nie w szkole ani w sklepie czy na ulicy. Cieszyła się, że tato wróci do domu, chociaż matka nic tylko ciągle prała, sprzątała, przestawiała rzeczy i wycierała kurz. Któregoś dnia usłyszała, że pyta wuja Antonina, czy ma zrobić malowanie. Wuj wybił jej to z głowy, mówiąc:

– Uspokój się, Kwietuszek, wróci Josef, to ci wszystko odmaluje. Razem będziecie malować, jeśli zechcesz.

Matka, jak zwykle, się rozplakała, a dlaczegóż to matka płacze z powodu malowania – tego już Alicja zupełnie nie mogła pojąć.

Wuj Antonin przynosił matce tabletki. Brała je i była spokojniejsza, ale i tak od czasu do czasu, na przykład w kolejce po chleb, matce ni stąd, ni zowąd zaczynały płynąć po policzkach łzy, a kiedy Alicja szarpała ją za rękaw, matka albo nie chciała z nią rozmawiać, albo na przykład mówiła, że w tym sklepie sprzedawali kiedyś jakieś ciasto, powiedzmy wiedeński tort Sachera, który tatuś bardzo lubił. Wszystko, co miało związek z ojcem, było smutne, matka płakała, kiedy o nim mówiła, w ogóle nie wiadomo dlaczego. Przez to Alicja zaczynała coraz mniej go lubić. Mieszkanie było wysprzątane, okna umyte, kwiatki przesadzone, matka przejrziała nawet zabawki Alicji, i to co najmniej cztery razy. Tego nie dało się wytrzymać, więc Alicja coraz więcej czasu spędzała u koleżanki Tereski. Matka pozwalała jej tam chodzić, bo dziadek Tereski też był w więzieniu, tylko że w innym niż

tato. W salonie wisiała jego fotografia, oprawiona w ramki. Był to potężny pan z wielkim brzuchem, sumiastym wąsem i o spojrzeniu, które przeszywało człowieka na wskroś. Jedną dłoń miał ukrytą pod połą kamizelki, z której zwisała dewizka od zegarka, a babcia Tereski mówiła, że był to bardzo poczciwy człowiek i że nie zasłużył sobie na to wszystko. W to Alicja nie mogła uwierzyć, bo dziadek patrzył na nią ze zdjęcia bardzo surowo i nieprzystępnie. A do tego ten wielki brzuch wzbudzał w niej niechęć, podobnie zresztą jak wąsy i odstręczające spojrzenie.

We wtorek Tereska przyszła do Alicji, miały razem odrabiać lekcje. Matka ostatnio kupowała sobie dużo rzeczy, których nigdy przedtem w domu nie było – szminki, grzebyki do włosów, przybyło puderniczek, pojawiło się też kilka flakoników perfum. Dziewczynki chciały wszystko wypróbować. Matka Alicji im pozwoliła, przykazała tylko, że mają uważać, bo kosztowało to mnóstwo pieniędzy. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, wiedziały, że to będzie sąsiadka, pani Polackova, żeby pożyczyć mąki, jajek, mleka, drożdży albo czegoś innego, lub też żeby mąkę, jajka, mleko, drożdże albo coś innego oddać. Dziewczynki spojrzały po sobie, uśmiechnęły się z przekąsem, a Tereska powiedziała:

– Polackova?

Alicja jeszcze raz się skrzywiła i poszła otworzyć. Po drodze rzuciła:

– „Zapytaj, skarbie, czy nie macie czasem trochę drożdży na zbyciu?”

Kiedy wyjrzała przez wizjer, nie dostrzegła nikogo. To musi być ktoś inny, Polackova zawsze stawała tak, żeby było ją widać przez wizjer. Alicja odwróciła się od drzwi i poszła do pokoju.

– Kto to był? – zapytała Tereska.

– Nikt – odpowiedziała Alicja. – Nie ma nikogo. A poza tym i tak nie wolno nam nikomu otwierać, więc co się mamy przejmować?

Po chwili znowu rozległ się dzwonek. Tym razem obie dziewczynki wstały i podeszły do drzwi.

– Ktoś tam jest – powiedziała Tereska. – Zobacz.

Alicja spojrzała przez wizjer. Stał tam mężczyzna zwrócony plecami do drzwi, w rękę trzymał torbę. Dziewczynki znów spojrzały po sobie, Alicja otworzyła. W drzwiach stał jej ojciec. Wiedziała od razu, że to on, bo w mieszkaniu było mnóstwo jego zdjęć, a najwięcej w pokoju matki. Był tylko o wiele, wiele chudszy niż na fotografiach. Spojrzał na Alicję i powiedział:

– Dzień dobry, Alicjo.

Alicja z ręką na klamce odpowiedziała:

– Dzień dobry panu.

– Jestem twoim tatą, Alicjo – powiedział przybyły.

– Wiem, proszę pana.

– Wpuścisz mnie? – zapytał ojciec.

– Tak, panie tato – odpowiedziała Alicja i niepewnie spojrzała na Tereskę, która stała w kącie przedpokoju i przyglądała im się bez słowa. Ojciec spostrzegł ją i powiedział:

– Ty jesteś pewnie Tereska, prawda?

– Tak, proszę pana – powiedziała dziewczynka. Po chwili dodała: – A pan jest tatusiem Alicji?

– Tak, jestem jej tatusiem – przytaknął ojciec.

– Aha... – bąknęła Tereska.

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi, pochylił się i objął Alicję, a kiedy uniósł ją do góry, znalazła się pod samym sufitem. Nie wiedziała, co robić, ale kiedy tak podnosił ją wuj

Antonin, ciocia Szarka albo wuj Henryk, zawsze obejmowała ich za szyję, więc i tym razem tak zrobiła. Mężczyzna zaczął się śmiać, to Alicji się spodobało, jednocześnie poczuła, że ma mokry policzek, a to już się jej spodobało mniej, bo właśnie przed chwilą wypróbowały nowy puder, pachnący i w pięknym odcieniu różu. Odchyliła głowę i spróbowała ukradkiem się mu przyjrzeć, kiedy tak trzymał ją wysoko nad podłogą. Po chwili ojciec postawił ją na ziemi, wyciągnął z kieszeni wielką chustkę i wytarł nos. Ta chustka Alicję zaciekała, bo ani ona, ani matka nigdy nie używały takich ogromnych płacht. Takie chustki do nosa, wyprasowane i równo ułożone, leżały w szafie razem z innymi rzeczami ojca. Można ich było użyć tylko do obwiązania rozbitego kolana albo palca skaleczonego przy krojeniu cebuli czy marchewki, w takie chustki nie wycierało się nosa. Potem trafiały do kosza z brudną bielizną, były gotowane, prasowane i składane jedna na drugiej w szafie w pokoju matki. Alicja odwróciła się i pobiegła tam, otworzyła szafę i z równo ułożonego stosu wzięła dwie wielkie, wyprasowane, pachnące mydłem chustki do nosa i włożyła je ojcu w dłoń. Ojciec nieoczekiwanie spojrzał jej prosto w oczy, aż się wzdrygnęła i wstrzymała oddech, a gdyby coś jadła, wiedziała, że na pewno by się zakrztusiła. Patrzył na nią tak poważnie, że bała się oddychać. To spojrzenie będzie musiała później obgadać z Tereską. Jak można tak patrzeć, tak dziwnie i surowo patrzeć, kiedy przecież nie zrobiła nic złego, tak przecież nie można. Potem mężczyzna oderwał od niej wzrok, rozejrzał się po przedpokoju i pogłaskał ją po głowie. Alicja wiedziała, że tak robią dorośli, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć, a chcą być mili dla dzieci. Tymczasem Tereska włożyła buty, dygnęła przed ojcem, pożegnała się z Alicją i poszła

do domu. Czuła się zbędna, chociaż nie wiedziała dlaczego.

Ojciec wszedł do kuchni, otworzył kredens, wyjął wielki kamionkowy kubas, stojący w drugim rzędzie, a którego do tej pory nikt nie używał, i pewnym ruchem sięgnął po wielką puszkę z kawą. Dobrze się tu orientuje, pomyślała Alicja. Mój tatuś, powiedziała sobie, mój tatuś wie, co gdzie stoi w naszym domu, w naszej kuchni.

Tak bardzo się cieszyła, tak bardzo się bała, tak bardzo się na niego złościła, a teraz nie wiedziała, co ma właściwie robić z tym postawnym, wysokim mężczyzną. Więc tylko tak stała, patrzyła na niego z dołu, bo był o wiele wyższy niż mama, a on patrzył na nią z góry, aż zrobiło jej się trochę nieprzyjemnie i od tego patrzenia w górę zaczęło się jej kręcić w głowie.

– Gdzie mama? – zapytał, kiedy usiadł z kawą przy stole, wciąż patrząc na córkę.

– Poszła coś załatwić – odpowiedziała Alicja. – Mama mówiła, że przyjdzie pan dopiero w czwartek.

Jakiś czas siedzieli w kuchni. Potem oprowadziła go po mieszkaniu, w którym przez te dziesięć lat niewiele się zmieniło. Ojciec pytał, dlaczego mówi do niego „pan”, w listach przecież był „tatusiem”, i nie mógł uwierzyć, że ma taką dużą córkę, chociaż ostatnia fotografia, na której ją widział, była sprzed pół roku. Ona z kolei dziwiła się, że chociaż jest taki wysoki, to nie uderza w nic głową, zręcznie omija lampy w kuchni i w pokoju i że jego koścista dłoń czasem prześlizgnie się po jej głowie, zaczepiając odciskami o włosy. Zauważyła też, że kiedy ją głaszcząc po rękach i ramionach, materiał jej ubrania zahacza o jego twardą skórę, odrobinę się bała, żeby nie pozaciągał jej bluzki. Jego dłonie trochę przypominały

tarki, przydałby się im manicure albo przynajmniej jakiś tłusty krem do rąk, z tych, których używa mama albo ciocia Szarka, ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Każdemu innemu by to powiedziała, ale to był przecież jej tato, a to zupełnie co innego. Nie zapamiętała, jak długo pokazywała mu pokój, kuchnię i przedpokój, ile razy powtarzała imiona swoich trzech lalek, które i tak wyleciały mu z głowy. Alicja zauważyła, że tato robi dziwne rzeczy, na przykład kilka razy usiadł na ziemi, czyli na podłodze, i oparł się o łóżko, a przecież takich rzeczy się nie robi, jak wszyscy wiedzą, po prostu na podłodze się nie siada, nawet jeśli leży na niej dywan, siedzi się na krzesłach albo w fotelach, na ziemi można się bawić, jeśli jest się małym dzieckiem, a nie takim dużym jak ona. Alicja nie wiedziała, jak mu to powiedzieć, bo był taki duży i trochę ją onieśmiał. A potem nie wiadomo kiedy zrobił się wieczór, on siedział tam w ciemności na ziemi, tam gdzie się nie siada, oparty o łóżko, ona siedziała mu na kolanach, i było to przyjemne, i chociaż zawsze trochę się bała w ciemnym pokoju, to tym razem było inaczej, chociaż z drugiej strony trochę się obawiała tego wysokiego, chudego człowieka, to mimo wszystko było jej też dobrze. Aż w końcu zazgrzytał klucz w zamku, a ona poczuła, że nagle pod koszulą i marynarką zaczęło mu bardzo głośno bić serce i gwałtownie ścisnął jej rękę, aż ją zabolalo, zaciskał też dłonie i dziwnym wzrokiem wpatrywał się w uchylone drzwi do kuchni. Wstał i bez słowa objął Alicję tak mocno, że zaczęła się delikatnie wyrywać, bo poczuła się jak płotka uwięziona w sieci. Ojciec otworzył szerzej drzwi od kuchni i usłyszeli, jak mama zmienia buty w przedpokoju i pyta, gdzie jest Alicja i czy Tereska już poszła do domu. Potem odwróciła się i dostrzegła ich stojących w otwartych drzwiach. Jego,

swojego męża, który trzyma w objęciach ich córkę. Jeszcze raz schyliła się i mechanicznie poprawiła pasek przy pantoflach, w których chodziła po domu, ale już nawet nie spojrzała na obuwie, tylko podeszła do nich ze słowami:

– Josefie, Josefie...

Przerwała w pół zdania, mimo że zawsze za to karciała córkę. Podeszła do nich i pogłaskała Alicję po włosach, potem przytuliła się policzkiem do jego twarzy, a Alicja miała wrażenie, że mama na pewno za chwilę się rozpłacze, czego nie lubiła, ale o dziwo Kwietka wcale nie zaczęła płakać, tylko wzięła męża za rękę i objęła Alicję, i Alicja zauważyła, że serce jej ojca, którego łomotanie jeszcze przed momentem przypominało tętent stada galopujących gazeli, biło już powoli i jakby z wahaniem, poczuła też, że w maminej dłoni zaczyna pod skórą pulsować cieniutka, ciepła strużka, a palce tej dłoni ją obejmują i głaszczą. Potem tato postawił ją na ziemi i nagle stało się jasne, że zaraz będzie kolacja, więc usiadła na swoim krześle, on usiadł naprzeciwko niej, a mama zaczęła ucierać pastę z sera, a ojciec się jej przyglądał, przy czym tyle samo czasu patrzył na żonę, co na córkę. Mama co jakiś czas, przechodząc, głaskała ją po głowie, jego też, tak jak się głaszczą małe dzieci, ale także czasem bardzo szybko, jakby chciała to ukryć, niby niechcący, czasem musnęła jego dłonie, które spoczywały na stole i były o wiele większe niż jej. Zjedli kolację, a ponieważ mama spodziewała się taty dopiero za dwa dni, w domu nie było nic do jedzenia, różne rzeczy były pozamawiane w sklepach dopiero na jutro, żeby wszystko było świeże, więc zjedli pastę serową ze szczypior-kiem albo, jak mówiła ciocia Szarka, z zieloną cebulką, co Alicji niespecjalnie smakowało, ale dzisiaj dało się zjeść, bo, szczerze mówiąc, sama nie bardzo wiedziała, co je. Patrzyła

na tatę i na mamę, która była zupełnie inna niż do tej pory. Kiedy skończyli, usiedli w dużym pokoju i mama pokazała tacie dwie płyty, które bardzo mu się spodobały, to było wi-
dać, bo zrobiła mu się na czole taka skośna zmarszczka, że
wyglądało, jakby się zachmurzył, ale jak się później przeko-
nała, to tylko tak wyglądało, a w rzeczywistości oznaczało,
że jest niezwykle zadowolony. Na okładce jednej z tych płyt
byli panowie w garniturach, którzy wyglądali jak odśwież-
nie ubrane, poważne pingwiny, jak ich potem nazywał tato,
i też miał przy tym poważną minę, ale ukradkiem puścił do
niej oko, tak szybko, że nikt inny tego nie zauważył, a ona
zwijiała się ze śmiechu, a na okładce tej drugiej płyty była
głowa jakiegoś innego pana, który miał bardzo kręcone wło-
sy i małe śmieszne okulary, i jeszcze był tam fortepian, cały
pomalowany na złoto. Tato poprosił mamę, żeby mu puściła
płytę z tym panem w komicznych okularach, i westchnął:

– Kwietuszek, tyle lat tego nie słyszałem...

A mama powiedziała:

– Teraz, Josifku, będziesz mógł słuchać do woli, choćby
i dwa razy dziennie.

I wcale jej się nie podobało, że mama mówi do taty „Jo-
sifku”, więc do nich podeszła, spojrzała na mamę i powie-
działa:

– To jest mój tatuś, a nie żaden Josifek.

A on znowu spojrzał na nią tak jak wtedy, ale tym razem
się nie wzdrygnęła, ponieważ już raz to przeżyła, no i poza
tym była dzielną dziewczynką, a on posadził ją sobie na
kolanach i rzekł:

– Mamusiu, Alicja ma rację.

I Alicja cieszyła się, że posadził ją sobie na kolanach, bo od
tej muzyki, która płynęła z płyty z tym panem w śmiesznych

okularkach, zaczęło się jej robić bardzo smutno, chociaż miała wrażenie, że także pięknie i jakoś wzniosłe, ale jednak coraz smutniej.

Z tego, co było dalej, zapamiętała tylko to, że dwie wielkie i silne ręce niosły ją w powietrzu i ułożyły w łóżku, a dwie mniejsze dłonie ściągnęły sukienkę i naciągnęły przez głowę koszulkę nocną. To unoszenie w powietrzu bardzo jej się podobało, i chociaż czasem brał ją na ręce wuj Oldrzych, to tym razem były to ręce jej taty, a to zupełnie co innego. I jeszcze zanim usnęła, przemknęło jej przez głowę, że musi naradzić się z mamą, jaki krem do rąk kupić tacie, bo ten mamy był za bardzo pachnący, a to mogłoby mu się nie spodobać, on chyba wolał pachnieć tytoniem. Teraz, kiedy zapadała w sen, też czuła zapach tytoniu; mama tego nie lubiła i każdy, kto chciał zapalić, musiał wychodzić na balkon, ale tatuś nie będzie musiał wychodzić na żaden balkon, tego była pewna, i już więcej nic z tego dnia nie pamiętała.

Następnego dnia Alicja obudziła się po wpół do dziewiątej. Kiedy spojrzała na zegar, przestraszyła się i zacisnęła dłonie na kołdrze, aż usłyszała, że mama i tato rozmawiają w kuchni, a mama się śmieje. Nie pamiętała, żeby mama kiedykolwiek tak się śmiała. Zdziwiła się, że mama nie obudziła jej tak jak zawsze. Usiadła na łóżku, opuściła nogi na podłogę i pobiegła do kuchni. Mama siedziała obok taty na krześle, tuż przy tacie, i trzymała go za rękę. Zobaczyli ją i umilkli. Nic, tylko tak na nią patrzyli. Alicja zatrzymała się zmieszana i natychmiast przypomniała sobie, że już późno i dawno powinna być w szkole. Mama spojrzała na nią z wyrazem twarzy, który przybierała, kiedy miała naprawdę dobry humor i były w domu same, i powiedziała:

– Alusiu, zaspaliśmy, prawda?

Alicja tylko kilka razy skinęła głową i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Załatwiłam to z waszą panią.

– A teraz buzi – powiedział tato, a Alicja podbiegła do nich i delikatnie pocałowała najpierw tatę, a potem mamę.

Hitler – wizja

Doktor Lukavsky nie miał więcej czasu dla nowego pacjenta, wypełnił formularz i przyjął go na oddział, tyle na razie. Przywieziony przez milicjantów Marek Svoboda, cukiernik, który do wszystkich, nie tylko do lekarzy i pielęgniarzy, ale i do pozostałych chorych mówił „bracie” i „siostró”, wydawał się spokojny i opanowany. Jeszcze nie trzeba było stawiać diagnozy, na to był czas. Człowiek, który przedstawia się jako Jezus Sokrates Amenhotep Hitler, chociaż nazywa się Marek Svoboda, trafił tam, gdzie jego miejsce, stwierdził lekarz. Po południu polecił wezwać pana Svobodę, by go zapytać, czy mógłby mu wyjaśnić, dlaczego odrzucił swoje imię i nazwisko. Cukiernik Svoboda spojrzął na lekarza w skupieniu i powiedział:

– Nie jestem pewny, bracie doktorze, czy zrozumiesz moje wyjaśnienie.

– Po pierwsze – przerwał mu lekarz – chciałbym pana prosić, żeby zwracał się pan do mnie normalnie, czyli: panie doktorze.

– Ależ bracie doktorze, czy ciebie to nie raduje, że wszyscy jesteśmy równi pod słońcem?

– Panie Svoboda, bardzo pana proszę – odpowiedział lekarz. Cukiernik milczał, więc spróbował jeszcze raz: – Czy mógłby mi pan zdradzić, dlaczego zmienił pan imię?

– Tak, bracie doktorze, mógłbym – odrzekł pan Svoboda – ale najpierw z łaski swojej otwórz okno i wpuść nam tu trochę braciszka wiatru, bądź tak po bratersku łaskaw.

Lekarz zapisał coś w papierach leżących w otwartej teczce, odłożył długopis na stół, wstał i otworzył okno. Do pomieszczenia zaczął przenikać szum wiatru poruszającego gęste korony drzew liściastych, które okalały główną aleję w szpitalnym parku. Cukiernik wstał, podszedł do uchylonego okna i patrzył przez kraty na zewnątrz.

– Jak daleko jest stąd do stolicy, bracie doktorze?

– Do Pragi?

– Właśnie to miasto miałem na myśli – powiedział cukiernik.

– Jakies dwie i pół godziny samochodem – odrzekł doktor Lukavsky.

– Widzisz, bracie, dwie i pół godziny samochodem to ogromna odległość, a przecież my, ludzie, jesteśmy jeszcze bardziej oddaleni od siebie.

– Co pan ma na myśli? – zapytał lekarz.

– Miły bracie, wiedziałem, że mnie nie zrozumiesz – stwierdził cukiernik.

– Chodzi panu o relacje między ludźmi?

– Ciepło, ciepło...

– Panie Svoboda, co się stało z pańską żoną?

– Miły bracie, moja siostra żona odeszła ode mnie, został mi po niej tylko list pożegnalny.

– Dlaczego od pana odeszła?

– Znalazła sobie romantycznego kochanka, bracie doktorze – odpowiedział cukiernik.

– Ma pan ten list, panie Svoboda?

– Miły bracie doktorze, zjadłem go – oświadczył cukiernik.

– Ach tak – powiedział lekarz.

– Ach tak – powtórzył po nim pan Svoboda. – Co, zimno, zimno?

- Wie pan co...? Zdaje się, że nie bardzo pana rozumiem.
- Oj, bracie doktorze, bracie doktorze, muszę cię zganić, bo w twoim głosie pobrzmiewa echo zniecierpliwienia.
- Owszem, panie Svoboda, jestem nieco zniecierpliwiony, czeka mnie długi dyżur, a chciałbym się jednak czegoś od pana dowiedzieć.
- Cukiernik, który ciągle stał przed zakratowanym oknem, przesunął dłońmi po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej kurz, podszedł do stołu i usiadł na krześle naprzeciwko lekarza.
- Dlaczego nazywa pan siebie Jezusem Sokratesem Amenhotepem Hitlerem?
- Miałem wizje, bracie... Miałem wizje.
- Wizje?
- Tak, bracie, wizje.
- Jakie wizje?
- Żałosne, bracie, żałosne...
- Zdaje się, że znowu nie rozumiem, panie Svoboda. Mógłby mi pan trochę pomóc?
- Robię, co mogę, bracie doktorze, na ile mi siły pozwalają...
- A... czego dotyczyły te wizje, bracie... to znaczy, panie Svoboda?
- Możesz mnie nazywać bratem, braciszku doktorze... – powiedział cukiernik z satysfakcją. – Przecież ty wiesz, że pod słońcem, księżycem i rozmaitymi kometami wszyscy jesteśmy równi...
- Tak, jesteśmy równi – uśmiechnął się lekarz. – Mamy to zapisane w konstytucji.
- To niestosowne, bracie doktorze, jakże niestosowne – odezwał się pacjent.
- Co jest niestosowne, panie Svoboda? – zapytał lekarz.

– Niestosowne jest to, co jest niestosowne. To jest niestosowne. Być ironicznym, sarkastycznym i cytować jakiś papier, zamiast zajrzeć w ludzkie dusze, bracie.

– Ach tak – powiedział lekarz. – Ach tak. Przepraszam, jeśli poczuł się pan dotknięty.

– Bracie doktorze, przed panem długa, długa droga... Dotknąć przecież możemy tylko sami siebie, a nie kogoś drugiego czy trzeciego, czy piątego, czy siódmego, czy jedenastego, czy trzynastego, czy siedemnastego...

– A więc, panie Svoboda, jak to było z tymi wizjami? – przerwał doktor Lukavsky z wyraźnym naciskiem.

Cukiernik złożył dłonie przed twarzą, jakby zamierzał odmówić modlitwę, i powiedział:

– Każde z moich imion zostało mi wyjawione w innej wizji.

– A może opowiedziałby mi pan o swoim ostatnim imieniu, o Hitlerze?

– Bracie doktorze, to była strasznie bolesna wizja, i długa, ale przede wszystkim... strasznie bolesna...

– Mamy czas, panie Svoboda, ja mam dzisiaj jeszcze nocny dyżur.

– Masz nocny dyżur, bracie, a nad głową nie masz ani gwiazd, ani obłoków... Jakże smutne, bracie, jakie smutne... Jakże nędzne i smutne jest twoje życie... Czy ty w ogóle jesteś tego świadom, bracie?

– Naturalnie... – Doktor odkaszlnął i dodał: – Naturalnie... No, ale może opowiedziałby mi pan coś o tej swojej wizji? Mógłby pan spróbować?

Cukiernik zamyślił się, kilka razy splótł i rozprostował palce, po czym oznajmił:

– Dzikie zwierzęta są dla siebie bardziej ludzkie niż ludzie, zapamiętaj to sobie, i niestety ja wcale nie jestem inny,

ale przynajmniej staram się być ludzki dla samego siebie. – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – Opowiem ci swoją wizję, ale pod jednym warunkiem, bracie doktorze.

– Ja panu niczego nie mogę obiecać – powiedział lekarz z wahaniem. – Cóż to za warunek?

– Jest to warunek... absolutny. Tak, absolutny – powiedział cukiernik. – Albo go pan spełni, albo niczego się pan nie dowie, bracie doktorze.

– Wie pan co, panie Svoboda, myślę, że pan nie może stawiać warunków. W końcu ja panu także żadnych warunków nie stawiam.

– Czy kraty to nie warunek, braciszku? – zapytał cukiernik.

– Panie Svoboda, przecież pan wie...

– Mój warunek jest... absolutny i nie będziemy o nim dyskutować – przerwał pacjent. – Jeżeli chce pan poznać wizję, czyli obraz mojej prawdy, i choćby wszechświat miał szczeznąć, a znaczy to tyle samo co: „niech będzie pochwalony”, nie wolno panu przerwać mojej opowieści, bo niczego się pan nie dowie. Wszechświat nie będzie miał z tego żadnej korzyści, ale też mu to nie zaszkodzi. I niech pan nie próbuje się ze mną układać! Tę krztę szacunku chyba może mi okazać osoba w białym fartuchu, któremu, notabene, należy się już pranie. W czymś takim nie odważyłbym się nawet miesić ciasta, fuj, fuj, fuj!

– Wcale nie mam zamiaru panu przerywać – odpowiedział doktor Lukavsky, nieco zaskoczony, jednocześnie uświadamiając sobie, że stara się nie spojrzeć na swój fartuch. – Trzeba było od razu tak mówić – dodał nieco urażony.

– Wystarczy mieć uszy ku słuchaniu, doktorze – powiedział pacjent karcąco.

– Niech pan zaczyna, panie Svoboda, nie będę panu przerywać, dlaczego miałbym panu przerywać, zamieniam się w słuch.

– Słowo?

– Oczywiście – odpowiedział lekarz.

– Nie przerwie mi pan ani razu?

– Przyrzekam.

– Tak więc, niech pan słucha, bracie doktorze – powiedział cukiernik i znowu złożył dłonie przed twarzą, jak do modlitwy.

Spałem. Spałem spokojnie snem człowieka zadowolonego z życia. Poprzedniego dnia moja żona miała urodziny. Świętowaliśmy tak, jak sobie życzyła, w małym gronie przyjaciół. Potem w nocy kochaliśmy się i zasnęliśmy przytuleni do siebie. Obudziłem się ze strasznym bólem głowy, miałem wrażenie, że czaszka rozpadnie mi się na kawałki. Ledwie zdołałem wstać z łóżka, kiedy dopadła mnie kolejna fala bólu. Być może była to migrena. Straciłem równowagę i prawą nogą uderzyłem się dotkliwie o nocną szafkę. Usłyszałem kobiecy głos:

– Kochanie, znowu?...

Ból zaćmił mi oczy, widziałem gwiazdozbiory i galaktyki pełne bolesnych, kłujących odprysków. Ktoś delikatnie wziął mnie za rękę i coś do mnie mówił. Był to ten sam głos, który słyszałem już wcześniej, tym razem mówił szeptem. Potem czyjeś ręce objęły mnie w pól i delikatnie posadziły z powrotem na łóżku, z którego przed chwilą wstałem. Ktoś włożył mi w dłoń szklankę. Zrozumiałem, że mam się z niej napić, a więc napiłem się. Poczułem smak soku z owocu mango. Przełknąłem i trochę się zdziwiłem, że napój ma

smak mango, które lubię, ale którego nigdy jeszcze nie miałem w ustach. Te same ręce, które posadziły mnie na łóżku, uniosły moją nogę, tę, w którą się uderzyłem, i zaczęły przemywać ranę. Po chwili poczułem, że te ręce bandażują mi nogę.

– Połóż się, kochanie – powiedział ten sam głos. – Za chwilę ci przejdzie.

Ale ja wstałem i powiedziałem, że nie mogę, muszę iść do łazienki, muszę się wysikać.

Czyjeś ręce pomogły mi się unieść, zrozumiałem, że mam wstać, i na ślepo, bo wciąż jeszcze nie mogłem otworzyć oczu, pozwoliłem się im prowadzić. Wszedłem do toalety, namacałem sedes i usiadłem. Oddałem mocz. Siedziałem dalej. Poczułem, że ból słabnie. Odważyłem się powoli otworzyć oczy. Siedziałem w łazience. Za jedynym dużym oknem zaczynało świtać, a do mnie w ogóle nie docierało, gdzie jestem. Wszystko było mi tu obce. Oparłem się o ścianę i starałem się oddychać wolno i głęboko. Spojrzałem na gołe nogi i zobaczyłem, że mam na niej bandaż. Ból zanikał, więc wstałem, zawiązałem ręcznik wokół bioder i wyszedłem z łazienki. W korytarzu siedziała kobieta. Kiedy otworzyłem drzwi, podniosła oczy, i wyczytałem w nich, że mnie kocha. Tak to wyglądało. Zapytała, czy wszystko w porządku, a ja przytaknąłem. Nie znałem tej kobiety, założyłem, że widocznie ja też ją kocham. Ale nie miałem pewności, tylko to podejrzewałem. Podeszła do mnie i znowu zapytała, jak się czuję, i zaprowadziła mnie do łóżka, tego, na którym się obudziłem. Usiadłem na nim, ból prawie zanikł, czekałem, co ta kobieta zrobi. Nie zrobiła nic specjalnego, położyła się obok. Spojrzała na mnie i powtórzyła:

– Znowu?

Nie wiedziałem, co ma na myśli, więc tylko wzruszyłem ramionami.

– Znowu masz migrenę, prawda? – spytała.

Kilka razy skinąłem głową, bo wydało mi się, że to jest najrozsądniejsza rzecz, którą mogę w tej chwili zrobić.

– To przez ten północno-wschodni wiatr z pustyni – powiedziała.

– Dziękuję, Marto.

Dopiero kiedy wypowiedziałem jej imię, uświadomiłem sobie, że je znam. Było to tak, jakby po długim czasie wsiąść na rower i przekonać się, że wciąż umie się na nim jeździć.

– Żeby ci tylko przeszło, Albercie – powiedziała. – Chciałeś jechać do miasta.

– Do miasta? – powtórzyłem.

– Tak, do miasta – potwierdziła. – Po te cebulki, które zamówiłeś. Przecież wczoraj dzwonili, że już je mają, i pytali, czy chcesz, żeby je przywieźli.

– Ach tak, lilie – powiedziałem jak automat.

Kiedy kąciki jej ust trochę się uniosły, wydało mi się, że skądś znam tę twarz.

– Lilie, lilie! Kochanie, ty musisz mieć okropną migrenę, naprawdę wyglądasz fatalnie.

Odpowiedziałem, że będzie dobrze, i na stoliku, o który się uderzyłem, namacałem portfel, klucze i prawo jazdy. Otworzyłem je, było tam napisane: Albert Hegel. A więc to byłem ja, Albert Hegel, to było moje prawo jazdy, to byłem ja, ogrodnik i botanik amator. Wyszedłem na zewnątrz, chodziłem po ogrodzie i przypatrywałem się różnym odmianom lilii rosnących na zagonkach. Wokół ogromnego domu, którego połowa służyła za mieszkanie, a połowa za magazyn, były ułożone przewody do zraszania upraw. A więc gotowe,

już to skończyłem, uświadomiłem sobie, teraz jeszcze trzeba przywieźć zapasową pompę. Byłem ogrodnikiem i botanikiem amatorem, specjalistą od nowych odmian lili i orchidei. Aha, więc stąd te rury, pomyślałem. Skonstruować coś takiego na skraju pustyni wcale nie było łatwe, ale ziemię odziedziczyłem, czyli miałem ją za darmo. Marta była moją żoną i następnego dnia rano mieliśmy jechać do miasta.

Podróż trwała około trzech godzin. A pustynia była – jak zawsze – wspaniała. W mieście wstąpiliśmy do centrum ogrodniczego, gdzie czekało na mnie kilka skrzynek cebulek lili. Były to specjalne pudełka, w których podłoże miało cały czas odpowiednią wilgotność, ale wiedziałem, że w domu cebulki będę musiał umieścić w roztworze zwalczającym pleśń. Sztefan, właściciel sklepu, który w nim również sprzedawał, mówił do mnie po imieniu. Ja nazywałem go Sztefkiem. Miałem wrażenie, że odnoszą się tu do mnie z podziwem, ale nie bardzo wiedziałem dlaczego. Marta patrzyła na mnie tak samo, jakby z szacunkiem, i widać było, że sprawia jej to radość. W drodze powrotnej powiedziała, że mają mnie tam za nadczłowieka, czy coś w tym sensie.

– Dlaczego? – spytałem zdziwiony.

– No, przecież jeszcze nikomu nie udało się wyhodować nowej odmiany lili ani orchidei na pustyni. Jakbyś o tym nie wiedział.

Zmarszczyła czoło. Owszem, wiedziałem o tym, ale ciągle miałem wrażenie, że nie jestem sobą.

Kiedy byłem w centrum ogrodniczym, Marta poszła do supermarketu i do fryzjera, potem wstąpiła na pocztę i wypożyczyła ze dwadzieścia kaset wideo.

– Dlaczego aż tyle? – spytałem w aucie.

– A jak myślisz, kiedy znowu wybierzemy się do miasta?

– Zazwyczaj jeździmy tak raz na trzy tygodnie.

– No właśnie, raz na trzy tygodnie – powiedziała.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jechaliśmy nie trzy i pół godziny, lecz o wiele dłużej, ale jakoś mi to umknęło, bo kiedy ona prowadziła, prawie cały czas spałem. Do domu dojechaliśmy późnym popołudniem. Marta od razu poszła pod prysznic, ja zacząłem wypakowywać skrzynki z cebulkami, potem każdą cebulkę opłukałem i ułożyłem w długim pojemniku z roztworem grzybobójczym. Zajęło mi to czas do wieczora. Potem spotkaliśmy się w kuchni, a mnie zaświtało w głowie, że widocznie taki mamy zwyczaj. Na lodówce leżała poczta – wyciągi z konta, reklamy, parę zaprenumerowanych czasopism i koperta z logo uniwersytetu. Otworzyłem ją od razu. Zawierała uprzejmy list, w którym jakiś urzędnik z sekcji naboru zawiadamiał mnie, zapewne z przykrością, że z powodu dużej liczby zainteresowanych nie mogę zostać przyjęty. Zacząłem chodzić po kuchni, po chwili wyszedłem na zewnątrz, sporządziłem kilka rutynowych zapisków o paru roślinach i dopiero potem ogarnęła mnie irytacja. Marta układała pojemniki z jedzeniem w zamrażalniku, ale przerwała tę czynność, kiedy wszedłem, usiadła przy stole i czekała na to, co zrobię albo co powiem. Nie wiedziałem, co zrobić ani co powiedzieć, byłem o prostu wściekły. Odezwała się:

– Uważaj, żebyś nie uderzył się znowu w tę goleń, kochanie.

Nikt przedtem ani potem nie mówił do mnie „kochanie”. Miałem wrażenie, że wie o moim niepowodzeniu.

– Tak strasznie bym chciała, żeby ci się udało – powiedziała po chwili. – Ale może powinieneś dać sobie spokój? Odwalili cię po raz piąty.

– Szósty – poprawiłem ją. – Raz mnie odwalili, kiedy jeszcze się nie znaliśmy.

– Wiesz, że życzę ci sukcesu, ale te niepowodzenia strasznie cię niszczą, a ja nie mogę patrzeć na to, jak się gryziesz.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Oglądanie filmów mieliśmy tak rozplanowane, żeby starczyło nam kaset do następnej wizyty w mieście, ale tego wieczoru obejrzeliliśmy co najmniej cztery, a ja przy tym wypłem niemal dwie flaszki jamajskiego rumu. Następnego dnia obudziłem się koło południa i nie chciało mi się rozmawiać. Tak minął tydzień.

W poniedziałek przyjechał do mnie zaopatrzeniowiec z pewnej firmy, która od czasu do czasu coś u mnie zamawiała, niejaki pan Winter. Nie wiem, co mu przyszło do głowy, żeby tarabanić się do mnie na sam koniec pustyni, ale przyjechał. Okazało się, że zabrał ze sobą siostrzeńca, który chciał obejrzeć moje uprawy. Pokazałem im je. Kiedy zbierali się do odjazdu, chłopak zapytał:

– Panie Hegel, co wam tam za płotem budują?

Śmiesznie to zabrzmiało, że chłopak mówił mi na pan. Mógł być ode mnie młodszy o jakieś dziesięć lat.

– Tutaj w okolicy nic się nie buduje – powiedziałem. – Wiedzielibyśmy o tym, prawda, Marto?

– Jasne że nie, na pewno byśmy wiedzieli – przytaknęła.

Ale przybysz nie dał się przekonać. Potem wyleciało mi to z głowy, lecz po kilku tygodniach zacząłem o tym myśleć. Jakiś czas temu doprowadziłem do końca swój plan nawilżania gleby. Kosztowało mnie to wszystkie pieniądze, które zarobiłem i uciulałem, do tego oszczędności Marty, ale na koniec wszystko działało bez zarzutu. Teraz jeszcze czekało nas jakieś cztery i pół roku zaciskania pasa, zanim spłacimy długi, a potem powoli nasza inwestycja powinna przynosić

zysk. Byłem Marcie wdzięczny, że też postawiła na mój projekt i że chciała tu ze mną być.

Nie ma pustyni bez wiatru. Pustynia i wiatr są jak dwaj bracia. Jeden jest spokojny i usatkwony, za to drugi to włóczęga, któremu nieczyste sumienie każe czasem zatrzymać się gdzieś na chwilę z workiem prezentów ze wszystkich miejsc, które odwiedził. Pustynia jest samotnym odludkiem, a znajomość świata zewnętrznego zawdzięcza wiatrowi. Jego dary to niewielkie, mikroskopijne cząsteczki ziemi, które ze sobą przynosi. To one wdzierają się w glebę i kruszą skały. Są tak małe, że nawet niewielki powiew utrzymuje je w powietrzu, jak chmury albo sterowce. Nie dotyczy ich siła grawitacji. Są zawieszane niczym dusze w czyścicu, zanim dotrą do raju albo spadną do piekła. Nie mają ciężaru ani zobowiązań, podróżują bez zbędnego bagażu wraz z powiewami wiatru, przedzierają się przez wiry powietrzne, brodzą w nich i przeslizgują się z jednego na drugi, z drugiego wspinają się na trzeci. Ziarnka piasku, mniejsze niż piąta część milimetra, są rozproszone w powietrzu jak mgła albo kurz. Podmuchy unoszą je zwykle centymetr albo dwa ponad diuną, a one przenoszą się z miejsca na miejsce dwa albo trzy razy wolniej niż wiatr. Potem ziarnko zderza się z innym ziarnkiem, wyrzuca je w górę i wszystko powtarza się od początku. Jedna czwarta wszystkich drobin piasku przemieszcza się w ten sposób po całej pustyni, zgodnie z kierunkiem i siłą wiatru. To zjawisko nazywa się transportem eolicznym, a kto je zrozumie, być może zrozumie też nieskończoność czasu. Każda pustynia jest ogromną klepsydrą, w której piasek przesypuje się z diuny na diunę, w górę, w dół i na boki. Czy muszę mówić, że kocham pustynię? Miałem siedem czy osiem lat, mieszkałem z rodzicami na jej skraju, tak jak i teraz, a na

urodziny dostałem nową encyklopedię. W niej wyczytałem, że pustynie istnieją nie tylko na Ziemi, ale i na Marsie i innych planetach, a to tak mnie zafascynowało i ucieszyło, że natychmiast pobiegłem z tą wiadomością do ojca. Widziałem, że jest zadowolony z tego, że tak się cieszę, ale myślę, że nie rozumiał przyczyny mojej radości. Dla mnie ważne było, że jest coś, co łączy Ziemię i Marsa. Wyobrażałem sobie obie planety jako jeden wielki zegar piaskowy. Wyobrażałem sobie też, że mieszkamy na Marsie wśród czerwonych burz piaskowych. Który chłopiec nie chciałby czegoś takiego przeżyć? Teraz też mieszkam na pustyni. Najbliższym miejscem o jakim takim znaczeniu w pobliżu naszego domostwa była Góra św. Alojzego, która wznosiła się na wysokość 1085 metrów. Tam mieszkam z Martą, tam był mój dom, tam miałem swoje zagony.

Od czasu, kiedy zakończyłem pracę nad swoim systemem nawadniania grządek, właściwie nie miałem zajęcia. Pieniądze inwestowałem w pompy i wiercenie kilku nowych studni, a jedyną rzeczą, której się czasami oddawałem, była konserwacja mojego systemu irygacyjnego, z którego byłem bardzo dumny, bo nikt przede mną czegoś takiego nie wymyślił. Kwiaty rosły lepiej niż kiedykolwiek przedtem, a to oznaczało większe zyski i szybsze pozbycie się długów. No i pewnego dnia, kiedy akurat nie miałem nic do roboty, wpadło mi do głowy, żeby wybrać się w to miejsce, o którym wspominał siostrzeniec Wintera.

Chciałem zabrać Martę, ale powiedziała, że nie ma czasu. Nie ma czasu...? U nas...? Pomyślałem, że chce się jakoś wykręcić, ale kiedy któregoś ranka po śniadaniu oświadczyłem, że jadę, zmieniła zdanie. Ruszyliśmy wcześniej. Kiedy mieszka się na pustyni, trzeba wyjechać skoro świt, żeby uniknąć

południowego słońca. Jechaliśmy parę godzin, a kiedy zbliżaliśmy się do miejsca, które opisali mi Winter i jego siostrzeniec, dostrzegłem długie, ciągnące się w nieskończoność ogrodzenie z drutu kolczastego. Za nim była zakurzona droga, prowadząca do sporych zabudowań. Podjechaliśmy pod domek, który stał przy wjeździe na ogrodzony teren i wyglądał jak portiernia. Zahamowałem, kilka razy nacisnąłem klakson i wysiadłem. Marta została w aucie. Wyglądała na zmęczoną, na czole miała krople potu, mimo że cały czas pracowała klimatyzacja. Po chwili wyszło dwóch mężczyzn. Jeden został przy bramie, drugi zbliżył się do nas i spojrział na mnie niepewnie. Obaj mieli na sobie jakieś mundury.

– Dzień dobry – pozdrowiłem tego, który zatrzymał się przede mną. – Jestem waszym sąsiadem. Mieszkamy z żoną jakieś trzy godziny drogi stąd – dodałem, wyciągając do niego rękę.

Spojrzał na mnie ponad moją wyciągniętą ręką i powiedział:

– Wdarł się pan bezprawnie na teren wojskowy. Proszę natychmiast się oddalić!

Jego ton mnie zaskoczył. Odwróciłem się do auta i spojrzałem na Martę, która siedziała w środku z twarzą ukrytą za wielkimi okularami słonecznymi.

– Z pewnością jest pan w błędzie – odpowiedziałem. – Znam w najdrobniejszych szczegółach mapy ewidencyjne najbliższych okolic i wiem z pewnością, że ten teren należy do państwa, nie, jak pan twierdzi, do wojska.

– Proszę niezwłocznie opuścić teren wojskowy albo rozkażę pana aresztować – powiedział człowiek w mundurze. Zirykowało mnie to.

– Jesteśmy w wolnym państwie, a pan nie będzie mi mówił, co mi wolno, a co nie. Ja znam dobrze swoje prawa obywatelskie... – zacząłem gniewnie, ale ten w mundurze mi przerwał:

– Znajduje się pan na terenie wojskowym w środku pustyni, panie Hegel, a tu, na terenie wojskowym, wszyscy podlegają żandarmerii wojskowej. Mam prawo natychmiast pana zatrzymać.

– Zatrzymać?

– Tak, proszę pana, zatrzymać. Proszę więc bezzwłocznie opuścić teren wojskowy!

– Przecież to nie jest żaden teren wojskowy... – zacząłem, lecz żołnierz wyjął z kieszeni jakąś małą książeczkę, wyglądającą na dokument urzędowy, otworzył ją i zaczął czytać:

– Ponieważ bez zezwolenia przedostał się pan na teren wojskowy i bez zezwolenia pozostał na nim pomimo kilkakrotnego wezwania do oddalenia się, funkcjonariusz żandarmerii wojskowej ma prawo zatrzymać pana zgodnie z obowiązującymi przepisami ustawy o ochronie terenów wojskowych i majątku armii, i...

Nie czekałem na ciąg dalszy. Odwróciłem się i podszedłem do naszego auta, wsiałem, trzaskając z wściekłością drzwiami, zapuściłem motor i zawróciłem. Marta spojrzała na mnie i powiedziała:

– Ładnie nam się zaczął ten tydzień.

Spojrzałem na nią, nie próbując nawet pohamować wzburzenia.

– Nie chcesz mi chyba wmówić, że tu jest jakiś teren wojskowy? Kiedy szukałem dodatkowych źródeł wody do mojego systemu irygacyjnego, przestudiowałem dokładnie

wszystkie mapy. I nic takiego jak teren wojskowy nigdy tutaj nie istniało!

– Przecież wiem, kochanie, że mieszkasz tu od małego i tak dalej – odpowiedziała Marta. – Ale chyba widzisz drut kolczasty, żołnierzy, wartownię, więc po co dyskutujesz!?

Droga powrotna wlokła się bez końca. Mniej więcej w połowie zmieniliśmy się za kierownicą. A mnie cały czas snuła się po głowie jedna myśl: ten wartownik wymienił moje nazwisko. Na pewno powiedział do mnie „panie Hegel”. Przypominałem sobie całą tę sytuację, ale nie wiedziałem, co to znaczy. Jeszcze zanim dotarliśmy do domu, powiedziałem o tym Marcie. Że jeden z tych żołnierzy, czy kto to był, znał moje nazwisko. Orzekła, że to niemożliwe, bo nigdy wcześniej tam nie byliśmy.

– Właśnie – powiedziałem. – A jednak z pewnością zwrócił się do mnie po nazwisku.

– Niemożliwe – upierała się. – To jest po prostu niemożliwe. Musiałeś się przesłyszeć.

Następnego dnia, kiedy robiłem coś przy aucie, zauważyłem, że nasz dżip ma rysę na błotniku. Marta musiała o coś nim zawadzić, kiedy wjeżdżała do garażu. Przez kilka następných dni nic szczególnego się nie działo. Kiedy zadzwonił do mnie Sztefko z centrum ogrodniczego, opowiedziałem mu, co mi się przydarzyło.

– Napisz skargę na tych drani – poradził mi. – Cholerne wojsko! Co oni sobie wyobrażają?! Że mogą tak ni stąd, ni zowąd założyć bazę na środku pustyni? A my? Mamy w ogóle jakieś prawa? Mówię ci, złóż zażalenie. Nie wiadomo, czym się tam zajmują.

Kiedy przy kolacji wspomniałem o tym Marcie, zauważyłem, że ogarnął ją niepokój. Udawałem, że niczego nie

dostrzegłem, ale przecież po sześciu latach wspólnego życia trudno nie zauważyć, że coś jest nie tak. Miałem wrażenie, że Marta coś przede mną ukrywa. Jakby coś wiedziała. Zabawne uczucie, nie wierzyć Marcie. Miałem nadzieję, że z tego wszystkiego wyniknie w końcu jakaś śmieszna sytuacja, że to jest jakiś żart. Wieczorem, kiedy już zasypiałem, Marta wstała i poszła po coś do kuchni. Chciałem za nią zawołać, żeby przyniosła mi coś do picia, ale usłyszałem, że zamknęła za sobą drzwi. Wstałem więc i ja. Już trzymałem rękę na klamce, kiedy uświadomiłem sobie, że Marta rozmawia z kimś przez telefon. Zaskoczył mnie nie tyle sam fakt, że telefonuje, co ton jej głosu. Mówiła nerwowym szeptem. Puściłem klamkę i zacząłem nasłuchiwać za drzwiami. Nie mogłem się połapać w tym, co mówi:

– Tak, właśnie, nie powinniście byli tego robić. Hmmm... nie, nie. On to chce rozdmuchać. Naprawdę! Kolega mu poradził, żeby złożył skargę. Hmmm. No jasne, że mamy problem! No jasne! Nie wiem. Wtedy wszystko wyszłoby na jaw. Ja nic nie wiem. Na pewno. Tak...

Otworzyłem drzwi i wszedłem do kuchni. Ku memu zaskoczeniu ton jej głosu się zmienił. Teraz był spokojny i cichy. Zmienił się też temat rozmowy.

– Już jest bardzo późno, jutro do ciebie zadzwonię. Dobrze, przekażę mu. – Odwróciła się do mnie i powiedziała: – Kochanie, mój brat cię pozdrawia...

Skinąłem głową, otworzyłem lodówkę, wyjąłem pierwszy lepszy sok i wróciłem do sypialni. Marta odłożyła słuchawkę, jeszcze zanim wyszedłem z kuchni. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale wiedziałem, że Marta mnie oszukuje. Próbowałem zasnąć. Tak samo jak ja przedtem, teraz ona zorientowała się, że coś mnie gryzie. Byłem skołowany. Zamiast

spać, ciągle myślałem o tym, co powiedziała. Mówiła o mnie i o tym, że mam złożyć skargę, a ta skarga mogła dotyczyć tylko dwóch rzeczy: albo tego, że po raz kolejny nie przyjęli mnie na uniwersytet, albo tej afery z terenem wojskowym, otoczonym drutem kolczastym, którego nie ma na żadnej ze znanych mi map. Nagle przypomniałem sobie ten zarysowany błotnik dżipa i wszystko zaczęło mi się układać w spójną całość. Po pierwsze, Marta próbowała mnie odwieść od wycieczki w to miejsce, o którym mówił siostrzeniec Wintera, a które było częścią kompleksu zabudowań wojskowych. Po drugie, w czasie naszej wizyty u żołnierzy ani na chwilę nie wyszła z auta, co kładłem na karb zmęczenia, a co pewnie wynikało z napięcia. Sam się sobie dziwiłem, że nie przyszło mi to do głowy od razu. Po trzecie, zarysowała dżipa przy wjeździe do garażu, kiedy jej powiedziałem, że jeden z wartowników znał moje nazwisko, chociaż nigdy przedtem tam nie byliśmy. Znowu nerwy. I w końcu ta rozmowa przez telefon.

Rano wstałem, jeszcze zanim zaczęło świtać. Uważałem, żeby nie obudzić Marty. Kilka razy na nią spojrzałem. Jej włosy, jej wiecznie wysuszona skóra. Patrzyłem na nią, a myśl o przygodzie napawała mnie radością. Mało brakowało, a byłbym ją pogłaskał i pocałował, tak jak zawsze. Z miłości robi się różne nieroztropne rzeczy. Powstrzymałem się, nie chciałem jej obudzić. Czekąłem na wyzwanie. Od czasu, kiedy system irygacyjny był gotów, miałem niewiele do roboty i trochę się nudziłem. Ubierałem się i uświadomiłem sobie, że wszystko przebiega zgodnie ze znanym schematem. Większość przygód, o ile mnie pamięć nie myli, zaczynała się o świcie. Wyjąłem z lodówki trochę jedzenia i kilka kartonów soku. Potem napełniłem wodą do pełna plastikowy

kanister. Wszystko załadowałem do bagażnika i wypchnąłem dżipa z garażu. Nie włączyłem silnika, żeby nie obudzić Marty. Na stole w kuchni zostawiłem jej kartkę – że pojechałem do miasta odebrać coś od Sztefka. Była to prawda, zrobiłem to. To, czego nie zrobiłem, było w drugiej części wiadomości, wcale nie miałem zamiaru zostać u Sztefka na noc. Zamierzałem wyprawić się wieczorem do obiektu wojskowego i sprawdzić, co tam się dzieje. Po dziesięciu minutach pchania auta wsiadłem, zapuściłem motor i ruszyłem w drogę. Minęło kilka dłużących się godzin, nim dotarłem do miasta. Najpierw poszedłem do kina, następnie zajrzałem do biblioteki miejskiej, gdzie poprosiłem o skopiowanie ostatnich kilku map okolicy, opracowanych przez państwowe wydawnictwo. Było dokładnie tak, jak myślałem: na mapach w miejscu, gdzie miał być obiekt wojskowy, nie było nic. Zapytałem bibliotekarza, czy to możliwe, żeby na mapie nie było zaznaczone coś, co istnieje; pomyślał chwilę i odpowiedział, że tak i że powinienem pójść do urzędu miejskiego, bo tam na mapach ewidencyjnych mogą mieć naniesione wszystkie najświeższe zmiany. W drodze do urzędu uświadomiłem sobie, że ani ogrodzenie terenu wojskowego, ani budynki po obu stronach drogi prowadzącej od wartowni w głąb obiektu, ani sama wartownia – to nie były nowe zabudowania. W dobrym stanie, owszem, ale nie nowe. To, wszystko musiało tam stać już ładnych parę lat. Kiedy dotarłem do urzędu miasta, pracownik w informacji skierował mnie na drugie piętro. Usiadłem na ławce w korytarzu i czekałem. Kiedy przyszła na mnie kolej, wyjaśniłem urzędniczce, o który obszar mi chodzi, a ona powiedziała mi od razu, że nic nowego się tam nie pojawiło, ale na wszelki wypadek poszła sprawdzić. Po chwili wróciła z wielką mapą

katastralną. Tak jak się spodziewałem, w tym miejscu nic nie było. Zapłaciłem za sporządzenie kopii i zanim wyszedłem, zapytałem jeszcze, w jaki sposób na takiej mapie zaznacza się obiekty wojskowe.

– Na żółto. Obiekt wojskowy byłby zaznaczony kolorem żółtym. I jeszcze opisano by go w legendzie.

Spytałem, czy w naszym województwie są jakieś tereny wojskowe. Odpowiedź brzmiała: nie. Urzędniczka zorientowała się, o czym myślę, bo dodała, że te sprawy regulują specjalne przepisy, bardzo szczegółowe. Że nikogo tam nie wpuszczają, to jasne. I nic nikomu do tego, co tam robią. Ale wszystko musi być zarejestrowane, dotyczy to wszystkich województw, bo tak stanowią przepisy. Wyszedłem stamtąd zadowolony i jednocześnie nieco zawiedziony, bo planowana przygoda wzbudzała we mnie dreszczyk emocji, a teraz, kiedy ustaliłem, że nic tam nie powinno być, ryzyko całej wyprawy wydatnie się obniżyło. W torbie miałem dokument, który stwierdzał, że żadni żołnierze nie mają tam nic do roboty. Po południu jeszcze wstąpiłem do Sztefka i powiedziałem mu, czego się dowiedziałem. Kręcił głową i mówił, że coś mu się w tym nie podoba. Obiecał mi, że jeśli zadzwoni Marta, sprzeda jej jakąś bajeczkę, która nie wzbudzi jej podejrzeń. Widziałem, że czuł się niezręcznie, bo zapytał, czy między nami wszystko jest w porządku. Powiedziałem, że tak, ale nie wdawałem się w szczegóły, ponieważ nie wiedziałem, jak mam mu wyjaśnić to swoje dziwne wrażenie, że Marta coś przede mną ukrywa.

Pod wieczór wyjechałem z miasta. Na mapie zaznaczyłem ołówkiem miejsce, w którym mniej więcej powinien znajdować się teren wojskowy, i postanowiłem podjechać do niego od tyłu. Miałem zamiar pokonać druty i przedostać

się do któregoś z budynków. Wszystko szło zgodnie z planem, nuda. Z drogi prowadzącej do domu skręciłem zgodnie z trasą zaznaczoną na mapie, a po upływie półgodziny o zachodzie słońca dotarłem na miejsce. Od ogrodzenia z drutu kolczastego dzieliło mnie jeszcze kilka kilometrów. Objechałem cały kompleks z daleka, tak żeby nikt mnie nie zauważył, i znalazłem się po przeciwnej stronie bazy wojskowej niż wtedy z Martą. Wypakowałem rzeczy i jeszcze raz sprawdziłem, czy mam wszystko, co będzie mi potrzebne. Rękawice, gruby koc do przerzucenia przez druty. Lina, dwie latarki, dwa noże, duży i mały, oba w futerałach. Dwie pary sznurowadek, na wszelki wypadek. Dwa duże termosy z kawą. Aparat fotograficzny. Dwa dodatkowe filmy. Czysta bielizna. Trzy pary skarpetek. Apteczka. Wyglądało na to, że niczego nie brakuje, czego mógłby potrzebować średnio zdolny botanik podczas ekspedycji. Obejrzałem bazę przez lornetkę. Teren wojskowy miał kształt wielkiego prostokąta. Mniej więcej pośrodku stało pięć podłużnych budynków. Wszystkie wyglądały tak samo. Na rogu jednego z nich widniała żółta tablica z literą H. W pobliżu innego znajdowało się coś, co wyglądało na jakieś urządzenie elektroniczne. Jedynie, co udało mi się rozpoznać, to były jakieś anteny i dwa helikoptery. Przez ten czas, kiedy patrzyłem przez lornetkę, z bloku do bloku przeszło kilku mężczyzn w mundurach.

W godzinę po zachodzie słońca zrobiło się ciemno. Rzeczy, których mogłem potrzebować, przełożyłem do plecaka, tylko latarkę i koc niosłem w rękach. Ruszyłem. Gdy dotarłem do ogrodzenia, musiałem się skulić, bo znowu pojawiło się kilku żołnierzy przechodzących z jednego budynku do drugiego. Ogrodzenie było wysokie na trzy metry, na górze wieńczył je drut kolczasty. Za drugim razem udało mi

się zarzucić na druty koc. Wciągnąłem rękawice i zacząłem się wspinać. Szło mi gorzej, niż się spodziewałem. Na samej górze rozerwałem sobie spodnie o druty, kiedy próbowałem przełożyć nogę na drugą stronę, mimo że miał mnie przed tym uchronić przerzucony przez nie koc. Było to trudniejsze, niż mi się wydawało po obejrzeniu tyłu filmów akcji. Uświadomiłem sobie, że brakuje mi praktyki albo czegoś w rodzaju wprawy. Zeskoczyłem i spróbowałem ściągnąć za sobą koc, żeby nie był widoczny z daleka i nie przyciągnął czyjejs uwagi. Kiedy szarpałem się z kocem, rozerwałem sobie rękaw koszuli o drut, którego jakoś nie zauważyłem. Stanąwszy na ziemi, wyciągnąłem z plecaka płyn dezynfekujący i plaster z opatrunkiem. Odkręciłem butelkę i odkażyłem ranę. Zakręciłem butelkę, schowałem ją do plecaka i przykleiłem plaster. Przygoda rozkręcała się na całego. Nawet zdążyłem już odnieść pierwszą ranę. Najpierw chciałem zostawić koc na miejscu, ale potem jednak postanowiłem wziąć go ze sobą.

Kiedy leżąc obok ogrodzenia, starałem się upchnąć go w plecaku, usłyszałem metaliczne buczenie. Przestraszyłem się i przywarłem do ziemi. Po chwili powoli zaczęły zapalać się lampy, których do tej pory nie zauważyłem. Leżałem dokładnie pod jedną z nich. Gdyby teraz ktoś wyszedł, zobaczyłby mnie jak nic. Było mnie widać jak na dłoni. Lampy przymocowano do ogrodzenia mniej więcej co sześćdziesiąt metrów. Dostrzegłem też inne, przytwierdzone do rysujących się niewyraźnie w oddali ścian budynków. Dzieliło mnie od nich jakieś trzysta metrów. Ruszyłem biegiem w ich kierunku. Gdzieś w połowie drogi usłyszałem głosy, więc przypadłem do ziemi i starałem się nie oddychać. Od tego napięcia rozboleła mnie głowa. Głosy dobiegały

teraz z drugiej strony budynku. Potem rozległ się dźwięk zamykanych drzwi i zapadła cisza. Wstałem i biegiem dotarłem do najbliższego zabudowania. Obszedłem je powoli i zorientowałem się, że wszystkie budynki rozmieszczone są na planie litery U. Idąc wzdłuż murów, nacisnąłem klamkę jakichś drzwi. Były zamknięte na klucz. Następne także. Przeszedłem do następnego budynku. Okna miały szyby z matowego szkła, nie mogłem zajrzeć do środka. W końcu któreś drzwi ustąpiły. Wszedłem. Stałem w korytarzu z mnóstwem drzwi prowadzących do pokoi biurowych. Wszystkie w górnej części miały przezroczyste szyby. W dwóch pokojach na drugim końcu korytarza paliło się światło. Nacisnąłem najbliższą klamkę. Nic z tego. Próbowałem otworzyć wszystkie drzwi po kolei, w końcu jedne z nich się poddały. Wszedłem do pomieszczenia i usiadłem na podłodze, żeby nikt nie dostrzegł mnie przez szybę. Rozejrzałem się. Były tam dwa biurka i jakieś urządzenia elektroniczne. Po drugiej stronie stało kilka monitorów, zwróconych ekranami do ściany. Dobiegał mnie szum, a na ścianie migotała słaba poświata, a więc były włączone. Wciąż skulony podszedłem do nich i spojrzałem na ekrany. Na początku nie mogłem się zorientować, na co właściwie patrzę. Na dwóch spośród pięciu monitorów nie było obrazu, tylko szare ziarno. Na trzech pozostałych widać było różne pomieszczenia, filmowane przez kamery przemysłowe. Było w tym coś dziwnego. Przyjrzałem się im uważniej. Jeszcze raz. Pierwszy monitor, drugi... I znowu.

Nigdy przedtem nie widziałem wnętrza własnego domu na czarno-białym monitorze. Nic nie rozumiałem, a kiedy to do mnie dotarło, obleciał mnie strach i mało brakowało, a zerwałbym się na równe nogi. Jak to możliwe? Patrzyłem

na swój dom – swoją sypialnię, swój salon, swoją pracownię. To niemożliwe, pomyślałem. Poduszki na kanapie w salonie w czerni i bieli wyglądały dziwnie, naprawdę są zielone, ale rozpoznałem je po wzorku na poszewce. Regał z książkami, którego róg widziałem na ekranie, także stał w moim domu. Album o Asyżu, który wczoraj przeglądałem i zapomniałem odstawić na miejsce, leżał tam, gdzie go zostawiłem. Panika. Musi być jakieś wyjaśnienie, przecież to niemożliwe. Śmiech. To jest niemożliwe, ponieważ jest to niezgodne z prawem. To jakaś paranoja. Jestem pożałowania godnym partaczem i awanturnikiem, a mój mózg nie może sobie z tym poradzić i podsyła mi halucynacje! Nie, to nie może być prawda, to jest sprzeczna z prawem inwigilacja! I dlaczego? Znowu panika. I łomotanie serca, zimny pot i suche gardło. Dlaczego?

Otworzyłem kilka szuflad. Nic ciekawego. Normalne biurowe przedmioty: zszywacze, gumki, ołówki i długopisy. Jakieś bloki. Skulony prześlizgnąłem się do długiej szafy i otworzyłem ją. Kartoteki i segregatory. Otworzyłem pierwszy z brzegu. Informacje o mnie. Drugi. To samo. Paranoidalne halucynacje rozsadzają mi mózg. Nie, tego już za wiele. Wszystko o mnie. W jednej teczce znalazłem swoje zdjęcia. W drugiej kopie moich świadectw, począwszy od pierwszej klasy. Wypadły mi z rąk. Nie miałem siły ich zbierać. Z trudem wyciągnąłem kolejny segregator, były w nim kopie moich artykułów o piwoniach i liliach. Byłem oszołomiony. W następnym znalazłem rysunki swoich zabawek z dzieciństwa, były rozrysowane w najdrobniejszych szczegółach. Tego już nie mogłem wytrzymać. Klimatyzacja w pomieszczeniu była wyłączona, musiałem odetchnąć świeżym powietrzem. Chwiejnym krokiem wyszedłem na korytarz i było mi wszystko jedno, czy mnie ktoś zauważy.

Co to wszystko znaczy? Musiałem się stąd wydostać. Otworzyłem drzwi wejściowe i wyszedłem na zewnątrz, dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że cały się trzęsę. Osunąłem się na ziemię przed wejściem.

Drzwi, z których się wytoczyłem i do których zwrócony byłem plecami, otworzyły się, a głosy, które słyszałem już dłuższą chwilę, nagle ucichły. Wokół mnie stanęło trzech mężczyzn w mundurach. Miałem wrażenie, że powinienem coś zrobić, więc z trudem uniosłem głowę i spojrzałem na nich. Kiedy spotkałem się z ich wzrokiem, jeden z nich gwizdnął ze zdziwienia. Drugi powiedział:

– A, pan Hegel przyszedł do nas z wizytą. – Potem zwrócił się do tego, który gwizdnął: – Idź to zgłosić. Instrukcja numer czternaście, artykuł osiem.

Kiedy żołnierz popędził wykonać rozkaz, jego zwierzchnik powiedział do mnie:

– No i co mamy z panem zrobić, panie Hegel, co mamy z panem zrobić? Spodziewaliśmy się pańskiej wizyty, ale nie tak szybko.

Patrzyłem na niego, a zanim przyszła mi do głowy jakaś odpowiedź, drzwi budynku, do którego wbiegł żołnierz, otworzyły się gwałtownie i pojawiło się w nich dwóch mundurów. Obaj pobiegli w kierunku jednego z helikopterów. Otworzyli kabinę i wsiedli, a po chwili ogarnął mnie ryk obracającego się wirnika. W oczach miałem kurz i piasek. Po chwili śmigło poderwało kabinę razem z dwoma pilotami i przy wtórze wycia motoru gdzieś ją uniosło.

– Będzie mi pan musiał sporo rzeczy wyjaśnić – powiedziałem, kiedy wycie ucichło. – Sporo, naprawdę sporo.

Oficer skinął głową i pomógł mi wstać, a ten drugi, stojący za mną, podał mi plecak, który upuściłem.

– Przede wszystkim niech pan się nie powołuje na konstytucję – powiedział oficer. – Jest od niej wyjątek.

– Wyjątek od konstytucji? – zachnąłem się. – Co pan sobie wyobraża? Że kim jesteście?

– A co właściwie zdążył pan u nas zobaczyć, panie Hegel? – zapytał oficer, przytrzymując mi drzwi budynku, z którego niedawno wyszedłem. – Co pan właściwie wie?

O nie, pomyślałem. Nie dam się tak głupio podejść.

– Teraz jesteśmy zmuszeni powiedzieć panu wszystko. Zgodnie z instrukcją numer czternaście pańskie dzisiejsze działanie zakończyło eksperyment.

– Jaki znowu eksperyment? – zdziwiłem się. – O czym pan mówi? Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, ile razy naruszyliście prawo?

Oficer milczał i gestem wskazał mi kierunek. Kiedy dotarliśmy do końca korytarza, otworzył drzwi jakiegoś biura i powiedział:

– Proszę usiąść. Czego się pan napije? Kawa, herbata, alkohol, woda mineralna? Bardzo proszę, mamy wszystko.

– Chcę, żeby mi pan to wyjaśnił – odpowiedziałem.

– Rozumiem – odrzekł oficer. – Właśnie rozpoczęliśmy działania zgodne z instrukcją numer czternaście.

– Człowieku, co mi pan tutaj opowiada? Co to ma ze mną wspólnego?

– Panie Hegel, proszę o cierpliwość... – powiedział oficer i spojrzął na zegarek. – ...Jeszcze nie więcej niż dwadzieścia trzy minuty. Instrukcja numer czternaście zakłada, że w związku z przerwaniem eksperymentu w przeciągu półgodziny ma się zebrać komisja kryzysowa, która wszystko panu wyjaśni. Ja nie jestem jej członkiem i mimo że przeszedłem przeszkolenie na podobną okoliczność, nie jestem w stanie

udzielić panu żadnych wyjaśnień. Jeszcze raz zwracam się do pana z prośbą, by zechciał pan poczekać, ponieważ w czasie krótszym niż trzydzieści minut zespół specjalistów, którzy opracowali ten eksperyment, wszystko panu wyjaśni. Tymczasem mogę panu zaproponować coś na ząb, a także sugeruję wezwanie lekarza, który opatrzyłby kilka pańskich zranień, jak widzę powierzchownych, które odniósł pan prawdopodobnie w czasie przechodzenia przez ogro-
dzenie.

Wzruszyłem ramionami. Oficer spojrział na kolegę, który skinął głową i gdzieś poszedł. Zostaliśmy w biurze we dwóch. Klimatyzacja chodziła na pełnych obrotach. Wszedł żołnierz z tacą z napojami, a za nim jakiś człowiek z walizką. Położył ją na stole i otworzył. Spojrział na mój plaster na rękę, zerwał go, zdezynfekował ranę i opatrzył ją na nowo. Miałem wrażenie, że trochę się mnie brzydzi. Jestem przewrażliwiony, pomyślałem.

– Muszę zadzwonić – powiedziałem. Oficer skinął głową i zapytał:

– A do kogóż to, panie Hegel?

– Do żony.

Znowu skinął głową.

– Będzie tu... – zerknął na zegarek – ...za siedemnaście minut.

Pokręciłem głową na znak, że nic nie rozumiem.

– Ten helikopter, który pan widział, leciał po nią – wyjaśnił oficer. – Ona też należy do komisji kryzysowej.

Co to znowu za bzdura, pomyślałem, po czym postanowiłem się napić i pozostawić wszystko własnemu biegowi. Usłyszałem helikopter. Potem za oszklonymi drzwiami pojawił się jakiś łysy człowiek koło sześćdziesiątki. Jedną ręką

poprawiał węzeł krawata, a drugą pukał do drzwi. Wszedł ze słowami:

– Dobry wieczór, panie Hegel, jestem kierownikiem projektu.

– Jakiego projektu? – zapytałem. – Co tu się właściwie dzieje?

– Zapraszam do sali konferencyjnej – powiedział, a po krótkiej pauzie dodał ze smutkiem w głosie: – Bardzo proszę, chodźmy.

Podniosłem się z krzesła i ruszyłem za nim. Wyszliśmy z biura i znaleźliśmy się przed wyjściem z budynku. Kierownik prowadził, otworzył przede mną drzwi i uśmiechnął się nerwowo, jakby miał zamiar złożyć mi kondolencje. Wyszedłem na zewnątrz. Teraz wszystko wyglądało inaczej niż wtedy, kiedy pokonywałem płot. Teren był oświetlony reflektorami, których wcześniej nie zauważyłem. W uliczce pomiędzy dwoma budynkami spostrzegłem swoje auto, ktoś musiał je tam zaparkować. Zrobiło mi się przyjemnie, ostatnio czułem się tak, kiedy mama przytapała mnie na paleniu. Miałem czternaście lat, czułem się dorosły, a ona nie wiedziała, jak się ma zachować. Chciała mnie skarcić, ale poznałem po oczach, że nie zrobi tego, że chce jej się śmiać. Uznała, że jestem dorosły, więc przeszła nad tym do porządku dziennego i nic nie powiedziała. Kierownik znowu przytrzymał mi drzwi i weszliśmy do innego budynku. Na podłodze leżał dywan. Za drzwiami stało dwóch żołnierzy. Szliśmy dalej, aż zatrzymaliśmy się przed wielkimi obitymi drzwiami. Za nimi stali kolejni wartownicy, jeden z nich nam otworzył. Kiedy go mijałem, odniosłem wrażenie, że unika mego wzroku. Prześlizgnąłem się spojrzeniem po swoich spodniach i koszuli, ale wszystkie guziki były w porządku.

Może za bardzo się pocę, pomyślałem. Rękawy pod pachami miałem kompletnie mokre. Kierownik znowu otworzył przede mną drzwi i weszliśmy do jakiegoś pomieszczenia.

Po lewej stronie stały ustawione w półokrag stoliki konferencyjne, siedziało przy nich sześć, siedem osób. Między nimi spostrzegłem Martę. Rzuciłem się w jej stronę. Siedziała skulona, miała na sobie spodnie, koszulkę i szlafrok. Musieli wyciągnąć ją z łóżka, pomyślałem. Zanim do niej dotarłem, poczułem na sobie czyjeś ręce, po parze z każdej strony. Te ręce uniosły mnie i rzuciły na ziemię, zanim zdążyłem powiedzieć słowo. Nade mną stał kierownik. W zakłopotaniu wzruszył ramionami i powiedział:

– Zapomniałem pana uprzedzić, panie Hegel. Nie może pan teraz rozmawiać z Martą.

– Jak to? – zapytałem ze złością, kiedy żołnierze, którzy przed chwilą powalili mnie na ziemię, postawili mnie z powrotem na nogi. Kierownik tylko pokręcił głową.

Po drugiej stronie stały dwa stoliki. Przy tym dalszym siedział lekarz, jedyna osoba, którą już znałem. Żołnierze popchnęli mnie w kierunku drugiego stolika.

– Łapy przy sobie, do cholery! – krzyknąłem. Teraz już straciłem panowanie nad sobą. – Cholerna banda! Sukinsyny pieprzone, na co sobie pozwalacie?! W co tu sobie pogrywacie ze mną i moją żoną?!

– Otóż, panie Hegel... Marta nie jest pańską żoną – powiedział kierownik. – Marta jest częścią eksperymentu.

Usiadłem przy stole. Kierownik zaczął półgłosem rozmawiać z członkami komisji w drugiej części pomieszczenia. Lekarz wstał i podszedł do mnie.

– Panie Hegel, to, co pan tu zaraz usłyszysz, może pana wyprowadzić z równowagi, a nawet wywołać szok. Szczerze

mówiąc – tu uśmiechnął się niemile – byłoby dziwne, gdyby to, czego dowie się pan tu dzisiaj, nie zszokowało pana. Mogę panu zaproponować zastrzyk uspokajający albo jakieś łagodniejsze sedativum, które nie ograniczy pańskich możliwości poznawczych.

– Niech pan siada na dupie, tam gdzie pańskie miejsce, i zostawi mnie w spokoju – warknąłem. Lekarz wrócił do swojego stolika, po czym rzucił w stronę kierownika, Marty i całej reszty:

– Możecie zaczynać.

Obrócił krzesło w moją stronę, tak żeby mógł mnie cały czas obserwować, i usiadł. Było to nieprzyjemne. Po drugiej stronie sali kierownik wstał i zaczął mówić:

– Szanowni zebrani, przepraszam, że musiałem państwa dziś tak wcześnie zerwać z łóżek, ale sytuacja jest nadzwyczajna, otóż pan Albert Hegel złożył nam dzisiaj wizytę. Przyjechał swoim autem, które zaparkował w pobliżu naszego instytutu. Sforsował ogrodzenie i przedostał się do bloku F, gdzie znalazł różne materiały i prawdopodobnie zdążył się z nimi zapoznać. Zgodnie z instrukcją numer czternaście w takim przypadku eksperyment dobiega końca, a na nas spoczywa obowiązek wyjaśnienia wszystkiego panu Hegłowi w taki sposób, w jaki nakazuje nam to rozporządzenie dotyczące jego praw obywatelskich. Jak państwo pamiętają, w zeszłym tygodniu pani doktor Wagnerova oraz Marta przedstawiły nam raport dotyczący sytuacji. – Wzdrygnąłem się, kiedy wypowiedział jej imię. – Prawdą jest, że spodziewaliśmy się jakiegoś działania ze strony pana Hegla, ale nastąpiło ono, zanim zdążyliśmy cokolwiek przedsięwziąć. Nauka nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego – stwierdził kierownik i przerwał, by uśmiechnąć się przepaszająco.

Proszę, jaki pewny siebie, palant jeden, a jeszcze do tego wygadany, pomyślałem. – Proszę panią doktor Wagnerową o zabranie głosu – zakończył kierownik i uklonił się. Teraz wstała jakaś kobieta, na oko czterdziestopięcioletnia, która siedziała po jego lewej stronie, zaraz obok mojej Marty, i zaczęła mówić:

– Panie Hegel, być może zaskoczy pana to, co pan zaraz usłyszysz, ale musi pan zrozumieć, że ten eksperyment, nie wyłączając jego idei, jest całkowicie zgodny z prawem, ponieważ badania, które się z nim wiążą, są niezwyklej wagi. Tak wielkiej, że w drodze wyjątku dopuszczono ograniczenie pańskich praw i wolności obywatelskich. Badania dotyczą rozpoznania i istoty zła. Jak pan wie, a pańska orientacja w historii najnowszej była jednym z naszych absolutnych priorytetów, jakiś czas temu w Europie zakończyła się druga wojna światowa. Nie będę teraz wchodzić w szczegóły, wspomnę tylko, że od tej pory wielu naukowców, historyków, polityków, a także zwykłych ludzi frapowało pytanie: w jakim stopniu na zaistnienie, przebieg i koniec tych potwornych wydarzeń miała wpływ najważniejsza postać niemieckiej Trzeciej Rzeszy, czyli osoba kanclerza Adolfa Hitlera. Obozy koncentracyjne, eugenika, bezmiar cierpień i tak dalej. Krótko mówiąc, to wszystko stanowiło jądro problemu, którego nikt nie potrafił zgłębić, ponieważ Hitler pod sam koniec wojny popełnił samobójstwo. Nie uczestniczył w procesie norymberskim i nie został postawiony twarzą w twarz z potwornościami, za które ponosi odpowiedzialność zarówno on, jak i inni współtwórcy tego koszmarnego reżimu. My dzisiaj mamy komfort patrzenia na to zagadnienie z dystansu czasu i wiemy, że proces norymberski nie dał odpowiedzi na wszystkie pytania, a śmierć Adolfa Hitlera stanowiła

poważny cios dla badań nad złem. Ponad pięćdziesiąt lat temu szczątki Führera zostały odnalezione i w tajemnicy przeniesione do naszego instytutu, który zajmuje się badaniem zła we wszystkich jego postaciach. Ojcem duchowym tego projektu był profesor Robert Fischer, który wszakże nie dożył jego wdrożenia. Jego główna myśl polegała na tym, by jednostki, które były przyczyną zła, odtworzyć i umieścić w innych historycznych i rodzinnych warunkach niż te, w których naprawdę wyrastały. Uważnie obserwować i oceniać ich rozwój, zachowanie i postępowanie, a potem zdecydować, czy zło jest dziedziczne, czy też w jego powstaniu ma udział całe społeczeństwo. Trwały dyskusje pomiędzy tymi zwawcami przedmiotu, którzy uważali, że cała druga wojna światowa była dziełem szaleńca, a tymi, którzy byli zdania, że wynikała jako skutek długofalowego rozwoju, a początków tego procesu niektórzy doszukiwali się nawet w starożytniej Sparcie. W tej debacie społecznej da się wyróżnić dwa stanowiska. Jedni twierdzili, że najważniejsze jest wychowanie, inni zaś, że dziedziczność, a dla obu obozów podstawowe znaczenie miał projekt Fischera, umożliwiający sprawdzenie tych tez w praktyce. Problem polegał na tym, że za życia profesora ten eksperyment nie był możliwy do przeprowadzenia. Przed trzydziestu laty osiągnęliśmy nareszcie odpowiedni poziom technologii, która pozwoliła wykorzystać szczątki tkanek zmarłych osób do stworzenia ich stuprocentowych, powiedzmy... duplikatów. Para słów: „oryginał” i „kopia”, w tym wypadku naprawdę traci sens. Tak więc, jak już się pan pewnie domyśla, jest pan identyczny z osobnikiem, który nazywał się Adolf Hitler. By upamiętnić ideę profesora Fischera, otrzymał pan imię i nazwisko o takich samych inicjałach, jak imię i nazwisko pańskiego pierwo-

wzoru. Nazwisko Hegel zostało przeforsowane przez grupę naukowców wyznających pogląd, że korzeni nazizmu można się doszukiwać już w klasycznej niemieckiej filozofii Hegla. Ich podejście nie było całkiem słuszne, ale cóż, swego czasu mieli przewagę. Tak więc nie odziedziczył pan nazwiska po przodkach ani po dziadku z Europy, jak pan przypuszczał. Filozoficznym aspektem projektu zajmują się doktor Reti oraz doktor Duchamp.

Atak paniki, pulsowanie w skroniach, gula w krtani. Patrzyłem na Martę, do której nie chcieli mnie dopuścić, ale ona nie odrywała wzroku od jednego punktu na dywanie, jakieś trzy metry przed stolikiem, przy którym siedziała. Przez ten czas ani razu na mnie nie spojrzała. Nagle wyrósł obok mnie lekarz ze strzykawką w dłoni. Pokręciłem głową. Stał chwilę, po czym wrócił na miejsce. Chciałem się obudzić, ale nie mogłem. Z tego, co mówili, wynikało, że całym moim życiem kierował ktoś inny. Zapytałem dla pewności. Jeden z obecnych potwierdził.

– No dobrze – powiedziałem. – Ale jakim cudem mam jasne włosy i metr osiemdziesiąt siedem? Przecież Hitler wyglądał inaczej, o ile dobrze pamiętam z lekcji historii i czarno-białych fotografii w podręczniku.

Kierownik zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Panie Hegel... panie Albercie... Nie chcieliśmy wpływać na pewne wariacje genów, po prostu zostawiliśmy je w spokoju. To że z wyglądu, powtarzam, tylko z wyglądu, nie przypomina pan Adolfa Hitlera, jeszcze nie znaczy, że pan nim nie jest. To pytanie jest często zadawane przez laików.

– Czyli że jestem nim, chociaż nie jestem do niego podobny? – zapytałem.

– Tak, właśnie tak – odpowiedziała doktor Wagnerova.

– Czy mógłbym porozmawiać z Martą?
– Oczywiście – powiedział ktoś, kogo nie znałem.
– A pan to kto? – zwróciłem się do niego.
– Przepraszam... Zapomniałem się przedstawić. Doktor Reti.

– Dobrze. Chcę z nią porozmawiać.
– Bardzo proszę. Niech pan rozmawia – odpowiedział Reti.
– Nie tutaj, chcę z nią porozmawiać na osobności.
– A, tośmy się źle zrozumieli. Nie może pan z nią rozmawiać na osobności.
– Niby dlaczego nie mogę? – drążyłem.
– Ponieważ eksperyment już dobiegł końca.
– Ale ja chcę z nią porozmawiać teraz, natychmiast! – nalegałem.

– Obawiam się, że to niemożliwe – powiedział Reti.
Na chwilę zapadła cisza. Potem podniósł się mężczyzna w wymiętej marynarce, bez krawata.

– Nazywam się Sommer. Doktor Sommer. Ten międzynarodowy projekt polegał na tym, że po sklonowaniu pańskiej osoby obserwowaliśmy wszystkie czynniki, które tylko dało się kontrolować. Wszystko podlegało ewidencji, tak więc wszystko albo przeważająca większość rzeczy i ludzi, z którymi miał pan do czynienia, była włączona do naszego projektu. Jak pan prawdopodobnie przypuszcza, członkowie naszej rady, podobnie zresztą jak cały eksperyment, pozostają w ścisłym związku z Urzędem Ochrony Konstytucji, Wolności i Demokracji. A to oznacza, że stosunkowo często korzystaliśmy z ich ekspertyz.

– I co z tego wynika?
– To, że w ramach naszego eksperymentu musieliśmy trzymać pana w pewnej izolacji i dlatego niby odziedziczył

pan ziemię tutaj, na skraju pustyni. Gdyby wyjechał pan do jakiegoś wielkiego miasta, zarówno wpływ metropolii, jak i niekontrolowane spotkania z innymi ludźmi uniemożliwiłyby ocenę wyników eksperymentu. Rzeczą o absolutnie podstawowym znaczeniu było, by pozostawał pan przynajmniej w częściowej izolacji od reszty świata.

– A Marta?

– Emmm... – chrząknął doktor Reti. Kilka razy przestąpił z nogi na nogę, odkaslnął, odkręcił butelkę wody mineralnej, stojącej przed nim na stole, zakręcił ją natychmiast i powiedział: – Rzecz jasna, wszyscy tutaj bardzo panu współczujemy, przecież nie jesteśmy bezdusznymi ludźmi czy jakimiś potworami, nawet jeśli stosujemy... powiedzmy... dość niestandardowe rozwiązania Urzędu Ochrony Konstytucji, Wolności i Demokracji.

– Tak, ale co z Martą? – powtórzyłem.

– Marta jest naszą niezwykle cenioną współpracownicą, wyłonioną drogą bardzo trudnego konkursu. Poza tym przeszła równie trudne szkolenie teoretyczne i praktyczne.

Słuchałem, czując, że kompletnie zaschło mi w gardle.

– Co to znaczy, że jest waszą „współpracownicą”? – zapytałem.

– No... to znaczy, że czuwała nad transmisją z ukrytych kamer, co tydzień pisała szczegółowe raporty, informowała nas o różnych sprawach, które odbiegały od normy...

– O jakich sprawach? – pytałem dalej.

– Hmmm... na przykład o pańskim dążeniu do tego, by studiować botanikę. Kosztowało nas wiele zachodu, by tak spreparować wyniki egzaminów wstępnych, żeby nie został pan przyjęty. I to kilka razy. Raz mało brakowało, a dostałby się pan na studia, mimo naszych starań. Tak, w przypadku

pańskiej chęci zdobycia wykształcenia musieliśmy naprawdę zmobilizować wszystkie siły. Ludzie zaczęli stawiać pytania. No a Marta starała się, niestety bezskutecznie, wpłynąć na pana tak... hm... żeby nie stanowiło to zagrożenia dla eksperymentu.

Marta nadal wpatrywała się w jeden punkt na dywanie, jakieś trzy metry przed swoim stolikiem.

– A dlaczego nie mogę porozmawiać z nią na osobności? – nie dawałem za wygraną.

– Byłoby to sprzeczne z regułą numer sześć, panie Hegel – do rozmowy wtrącił się kierownik. – Reguła numer sześć nie dopuszcza takiej możliwości.

– Mam w dupie wasze reguły – powiedziałem.

– My pana naprawdę rozumiemy, panie Hegel, ale niestety nie możemy zadośćuczynić pańskiej prośbie. Bardzo proszę, żeby się pan z tym pogodził, chociaż wywołuje to w panu frustrację – oświadczył kierownik.

– Jeszcze tylko słowo na zakończenie – podjął Reti. – Cała okolica była monitorowana, począwszy od pańskich narodzin. Został pan umieszczony w standardowym i doskonale zorganizowanym środowisku. Pańscy rodzice również byli członkami zespołu związanego z eksperymentem. Z tym że pańska matka musiała zostać z niego wcześniej wykluczona, ponieważ zbyt mocno związała się z panem emocjonalnie.

– Czyli moja mama nie umarła? – zapytałem.

– Oczywiście, że nie. Była częścią eksperymentu.

– I nie mogę się z nią zobaczyć, prawda?

– Niestety. Obawiam się, że w grę wchodzi tu znowu reguła numer sześć. A więc nie może pan. Co dalej... Wszystkie pańskie książki, filmy wideo, urządzenia elektroniczne, to wszystko również było monitorowane. Z kim się pan

spotykał, pańskie zapiski w dziennikach, pańskie wrażenia, intymne kontakty z Martą, to wszystko było monitorowane. Na przykład rzeczy, które były panu szczególnie bliskie jeszcze w dzieciństwie, zabawki, książki, pocztówki, pamiątki i inne drobiazgi, na temat tego wszystkiego prowadzono notatki, które zespół ekspertów regularnie analizował.

– Jesteście bandą szajbniętych paranoików! – krzyknąłem.

– Panie Hegel, nikt nie oczekuje, że zrozumie pan projekt mający na celu wykrycie podstawy zła. Z całym szacunkiem, nie jest pan specjalistą – odpowiedział Reti.

Nagle odezwał się kierownik:

– Ogłaszam półgodzinną przerwę.

Wszyscy wstali i wyszli. Marta też. Zostałem w sali z lekarzem i wartownikami. Miałem tego dosyć.

– Chcę wrócić do domu – powiedziałem lekarzowi. Coś mi odpowiedział, ale nie usłyszałem co. Podniosłem się z krzesła, byłem zmęczony. Strasznie zmęczony, zmęczony jakoś wewnątrz samego siebie, wewnątrz swojego ciała. Chciałem wracać do domu. Lekarz pojawił się po kilku minutach. Niósł jakieś papiery, które wcisnął mi do ręki. Wziąłem je, lecz nawet na nie nie spojrzałem. Zaproponował, że podrzucą mnie helikopterem. Nie chciałem. Wtedy powiedział, że mogą odwieźć mnie samochodem. Skinąłem głową.

Jeszcze nigdy droga do domu tak bardzo mi się nie dłużyła. Za kierownicą siedział żołnierz, za nami jechało wojskowe auto. Lekarz powiedział, że kamery w moim domu już są odłączone i usunięte. Zapytałem, dlaczego miałbym w to uwierzyć. Odrzekł, że wszystko jest w tych papierach, które mi przekazał, a które powinienem podpisać. Odmówiłem,

a on nie nalegał. Kiedy dotarliśmy do domu i kierowca odstawił dżipa do garażu, mój wzrok zatrzymał się na błotniku, który Marta zarysowała przy parkowaniu, po powrocie z naszej wyprawy do bazy wojskowej. Jeszcze spytałem lekarza, czy właściciel centrum ogrodniczego, Sztefan, też jest jednym z nich.

– Nie wydaje mi się. Na pewno nie. – Po chwili dodał: – Zresztą wszystko jest w tych dokumentach, których nie chciał pan podpisać.

Kierowca i lekarz wsiedli do drugiego auta i odjechali. Wszedłem do domu. Korytarz. Kuchnia. Salon. Sypialnia. Nigdzie żadnego śladu rzeczy Marty. Wszystko wyczyścili. Dokumentnie. Wyjąłem piwo z lodówki i postawiłem na stole. Potem wyciągnąłem dwie butelki wody mineralnej i wypiliem je powoli, jedną po drugiej. Piwo wstawiłem z powrotem do lodówki. Nie chciałem się upić. Obszedłem dom i plantację. Irygacja działała. Poprawiłem coś przy systemie i poszedłem do sypialni. Zajrzałem pod poduszki. Tam też nic. Ani nocnej koszuli, ani chusteczki do nosa. Byli konsekwentni. Obudziłem się koło szóstej rano. Miałem wrażenie, że to wszystko mi się przyśniło i że zaraz ten koszmar opowiem Marcie. Już się na to cieszyłem, a po chwili zorientowałem się, że Marta nie leży obok mnie, nie ma jej też na zewnątrz ani w salonie. Nie ma jej. Zgroza. Czysta, krystaliczna, śnieżnobiała. Na stole w salonie znalazłem stos dokumentów, które mi się śniły. Były tam. Poszedłem do składziku i wyciągnąłem rzeczy po rodzicach, którzy, jak się okazuje, nie byli moimi rodzicami. Przejrzałem kilka pudeł, zanim znalazłem to, czego szukałem. W końcu trafiłem na swoje stare podręczniki. Wyciągnąłem książkę od historii. Przekartkowałem rozdział o drugiej wojnie światowej.

Poczułem mrowienie w palcu wskazującym lewej dłoni. Nie wiem dlaczego. Poszedłem się umyć. Potem zajrzałem do pomieszczenia, w którym trzymałem nasiona, nawozy i różne chemikalia. Wziąłem stamtąd kilka preparatów i w kuchni zrobiłem z nich koktajl, do którego dodałem trochę bourbona i wódki. Smakował okropnie. Przyrządziłem tego z pół litra i wypilem. Położyłem się na łóżku i straciłem przytomność. Jeszcze przemknęło mi przez głowę, że podobnie chyba umierał Sokrates, przynajmniej tak pisali w którymś podręczniku.

No i tak umarłem, braciszku doktorze. Umarłem. Odleciałem. Aż tu nagle patrzę, nadlatuje helikopter i ląduje dokładnie na jednym z moich zagonów, jakby im nie przeszkadzało, że mam tam piwonie. W ogóle nie przeszkadzało. Mnie to trochę wkurza, ale co mogę zrobić, skoro nie żyję, prawda, doktorku, ale nie, niech pan nic nie mówi. I widzę, jak wynoszą moje ciało, jestem całkiem nieżywy, ładują to moje ciało do helikoptera. A potem widzę, jak leży w prosektorium, otwarte jak drzwi, na oścież, i widzę swoje serce, i płuca, i żołądek, a oni pobierają próbki. Szkoda, że nie jestem ze szkła, nie musieliby mnie oskrobywać tymi swoimi skalpelami. A potem wkładają wszystko do różnych urządzeń, o których nie mam pojęcia, do czego służą. A potem czytam: Wynik analizy: materiał genetyczny komórek macierzystych pana Alberta Hegla nie jest tożsamy z materiałem genetycznym Adolfa Hitlera, przeciwnie, charakteryzują się cechami, które pozwalają zaliczyć go do Słowian pochodzenia rosyjskiego. I tak dalej, i tak dalej, doktorku... A na końcu piszą: Wniosek ekspertów jest następujący: pan Albert Hegel jest w rzeczywistości klonem rosyjskiego żołnierza Aleksandra Iwanowicza Babla, któremu powierzono

zabezpieczenie szczątków Hitlera i był w jednostce, która jako pierwsza wkroczyła do Berlina po upadku Trzeciej Rzeszy. Niewątpliwie doszło do kontaminacji materiału genetycznego, prawdopodobnie był to włos lub płatek łupieżu Aleksandra Iwanowicza. Z tego względu musimy ogłosić materiał za całkowicie nieprzydatny, a eksperyment za nieudany. Pan Hegel był genetycznym duplikatem pana Aleksandra Iwanowicza Babla. I tak dalej, doktorku, i tak dalej. A świat bezdusznie kręci się dalej. Bez krztyny wstydu. A na końcu dokumentu dopisek: Próbę należy powtórzyć, zło trzeba pokonać. Bez krztyny wstydu, bracie, bez krztyny wstydu, bracie.

Przesłuchanie na własne życzenie

Pan Czerny siedział na drewnianej ławce stojącej w długim, wąskim korytarzu. Ławka była pomalowana brązową błyszczącą farbą. Minęła trzecia po południu, ale ciągle jeszcze nie wywołano jego nazwiska. Koło niego stało parę osób. Miał wezwanie na wpół do trzeciej. Siedział i czekał. Było październikowe popołudnie, z zewnątrz przez brudne szyby docierały odgłosy ulicy. Pan Czerny wstał, przeciągnął się i poprawił węzeł krawata. O niczym nie myślał, przynajmniej tak mu się wydawało, miał w głowie kompletną pustkę i zupełną ciszę. Minęło kilka minut, znowu przesunął zdrętwiałym palcem wskazującym po krawacie. Zatrzymał się na chwilę, przechylił głowę na bok, potem powrócił do poprzedniej pozycji, ruszył i znowu się zatrzymał. Potem zapukał do drzwi. Na drzwiach widniała blaszana tabliczka z numerem osiemnaście. Nasłuchiwał przez chwilę, potem usłyszał kroki. W otwartych drzwiach ukazała się dziewczyna.

– Dzień dobry – odezwał się pan Czerny.

– Dzień dobry – odpowiedziała dziewczyna.

Ciszę panującą na korytarzu przerwał zgrzyt tramwaju.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytała dziewczyna.

– Dostałem wezwanie – powiedział pan Czerny. – Wezwanie... – powtórzył, wyjmując z koperty złożoną kartkę. Dziewczyna wyjęła mu ją z ręki, obróciła do góry nogami i zaczęła czytać. Przeszła z nogi na nogę i powiedziała, nie odrywając wzroku od dokumentu:

– Ich już tutaj nie ma. Przenieśli się do sąsiedniego budynku.

Złożyła kartkę i oddała mu ją, ze słowami:

– To nie jest wezwanie, tylko zaproszenie.

– Aha – skwitował tę informację pan Czerny. – A jak mam się tam dostać?

Dziewczyna spojrzała gdzieś daleko za jego lewym barkiem, na ulicę, a potem jeszcze dalej, na park po jej drugiej stronie.

– Musi pan zejść dwa piętra niżej. Ale nie na sam dół, bo tamtędy nie ma przejścia. Tylko dwa piętra. Potem stanie pan twarzą do schodów... tych dużych. Głównych. Tych, przed którymi stoi Masaryk. Rzeźba. Odwróci się pan plecami do Masaryka, na wprost będzie pan miał te główne schody i skręci pan w prawo. Przejdzie pan korytarzem, skręci pan najpierw w prawo, potem w lewo, i dojdzie pan do innych schodów. Zejdzie pan na dół i będzie pan już w drugim budynku. – Przerwała na chwilę. – Na miejscu.

– Dziękuję – powiedział pan Czerny, odwracając się w drugą stronę.

– Chwileczkę! – usłyszał. – Jeszcze numer pokoju.

Dobiegł go stukot obcasów, weszła do biura, po chwili wróciła.

– 131 B.

– Dziękuję – powtórzył.

– To jest budynek A, a tamten jest B – dodała dziewczyna.

– Dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia – odpowiedziała.

W drodze z budynku A do budynku B kilka razy się zgubił. Dwa razy stawał przed rzeźbą Masaryka i dwa razy

odwracał się do niej plecami. Za trzecim razem dotarł na miejsce. Znalazł pokój 131 B, zapukał i nacisnął klamkę. Wewnątrz siedział mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna w okularach. Zdjął je i spojrzał na pana Czernego.

– Jestem inżynier Czerny.

– Dzień dobry, podporucznik Havranek – powiedział i szybko zerknął na zegarek.

– Trochę trwało, zanim tu trafiłem – powiedział pan Czerny.

– To nic, nie szkodzi. Od czasu, kiedy się przenieśliśmy, nikt nas nie może znaleźć. Czekał pan tam i czekał, a kiedy nikt pana nie wywoływał, zaczął się pan dopytywać, tak było?

– Hm... – bąknął pan Czerny. – Dokładnie tak.

– Przepraszam, że nie zawiadomiłem pana o nowym numerze biura, ale już nie zdążyłem.

– Czy mam przyjść kiedy indziej?

– Nie, jeśli ma pan czas, możemy przystąpić do rzeczy. Proszę usiąść.

– Do której pracujecie? – zapytał pan Czerny. .

– O to niech już pana głowa nie boli – powiedział podporucznik. – I niech pan siada – powtórzył. Przez chwilę przeglądał papiery. Zapytał: – Może kawy? Mamy tylko kawę. Wie pan, przez tę przeprowadzkę. Może pan sobie wyobrazić.

– Nie.

– Kawy?

– Nie, dziękuję – powiedział pan Czerny, a po chwili dodał: – Tej przeprowadzki. Nie mogę sobie wyobrazić.

– Lepiej, żeby pan nie musiał... – odpowiedział podporucznik. – Pan nam przysłał podanie o poddanie lustracji pana Janskiego. Może raczej o jego sprawdzenie.

- Tak.
- Dobrze, ale zanim do tego przystąpimy, dobrze by było, gdyby pan mi coś o sobie powiedział.
- A co pana interesuje? – zapytał pan Czerny.
- No, na przykład, gdzie go pan poznał, kiedy zobaczył go pan po raz pierwszy, takie rzeczy – wyjaśnił porucznik i uśmiechnął się zachęcająco.
- To tak, jakbym miał panu opisać całe swoje życie – odpowiedział Czerny. – Przecież macie to w papierach.
- Wie pan, nie są kompletne. – Porucznik pokiwał głową. – Całkiem sporo brakuje – powtórzył z tym samym ruchem głowy. – A pan to już chyba jest na emeryturze, prawda?
- Czy to ma jakiś związek ze sprawą?
- Nie. Ale jest pan?
- Tak – odpowiedział pan Czerny.
- Tak... Jeśli ma pan ochotę, możemy zacząć – powiedział podporucznik i znowu się uśmiechnął.
- No więc, czego wam brakuje w tych papierach?
- Co nieco mamy, ale obecnie obowiązujące prawo nie zezwala mi na to, żebym panu powiedział, czego się z nich dowiedziałem, a czego nie.
- A to dlaczego? Nie rozumiem – zaproponował inżynier.
- Mało kto rozumie, wie pan, zwłaszcza że mamy już trzecią ustawę w tej sprawie i Bóg wie którą nowelizację.
- Co to oznacza? – zapytał pan Czerny.
- To oznacza, że gdyby przyszedł pan pół roku wcześniej, mógłbym panu powiedzieć wszystko. Ale teraz nic panu nie powiem.
- Przecież pisałem do was wcześniej niż pół roku temu i dostałem odpowiedź, że zajmiecie się tym za pół roku.

- Właśnie. Dokładnie tak.
- No ale... Dlaczego nie zajęliście się tym, kiedy jeszcze było to możliwe?
- Nasz urząd ma teraz inne władze. Zupełnie inne.
- Mnie nie obchodzi, jakie macie władze.
- Wie pan co, ja pana nawet rozumiem. A także rozumiem, że człowiek nie może tego pojąć, przy tym ja nie potrafię tego należycie wyjaśnić. Rozumiem, irytuje pana, że to się tak ciągnie. Ale ja, jako pracownik tego urzędu, muszę postępować zgodnie z prawem. Bez wyjątku.
- Więc dlaczego nie wezwaliście mnie od razu?
- Proszę pana, pół roku temu jeszcze nie pracowałem w tym urzędzie. I mój szef też tu nie pracował. I jego szef też nie.
- Co mam w tej sytuacji zrobić?
- No... Miałbym do pana prośbę, żeby mi pan opowiedział, jak pan poznał tego Janskiego.
- Dlaczego? Przecież byłem skazany i uwięziony.
- To prawda, panie Czerny, ale pod koniec lat sześćdziesiątych nie został pan zrehabilitowany.
- Złożyłem wniosek o rehabilitację.
- Wiem, panie Czerny, wiem, ale...
- I nie zostałem zrehabilitowany, bo zaczęła się rosyjska okupacja. O ile pan tego nie wie.
- Panie Czerny, wiem. Wiem też, że to dla pana musi być bardzo nieprzyjemne.
- Skoro pan to wie, to po co mnie pan pyta?
- Nawet tego nie mogę panu powiedzieć.
- Ale pół roku temu mógłby pan?
- Tak, pół roku temu mógłbym. Ale teraz nie. Zmieniło się prawo, jak wspomniałem.

– I... i?

– Gdybym powiedział panu, co wiem, złamałbym prawo, nie to, które obowiązywało wtedy, tylko to, które obowiązuje teraz. A ponieważ zarzuty, które pan wnosi, są tak poważne, że ten Jansky mógłby trafić przed sąd, muszę ściśle trzymać się prawa. Rozumie pan?

– Nie bardzo.

– Jeślibym przymknął oko na prawo, to gdyby doszło do procesu, jego obrońca mógłby wykazać, że dopuściłem się naruszenia prawa. I tylko z tego powodu, z powodu naruszenia przeze mnie prawa, wszystko mogłoby wziąć w łeb. Czy teraz pan rozumie? Ja jestem po pańskiej stronie, ale wszyscy musimy przestrzegać prawa. Bez wyjątku.

– A jeśli prawo znowu się zmieni? – zapytał pan Czerny. Podporucznik wzruszył ramionami.

– Wtedy będziemy postępować zgodnie z nowym prawem. Z tym prawem, które akurat będzie obowiązywało.

Pan Czerny spuścił głowę, jakby nad czymś się zamyślił. Milczał. Podporucznik obserwował go bez słowa. Po chwili rzekł:

– Zapomniałem panu powiedzieć, że może pan tu palić. Bez problemu...

Pan Czerny uniósł głowę.

– Nie wiedziałem, że jest pan po mojej stronie. Tak pan twierdzi.

Porucznik skinął głową.

– Skoro jest pan po mojej stronie, to dlaczego nic pan z tym nie zrobił?

– To częste pytanie. Częste... Wie pan, my nie możemy podejmować żadnych działań z własnej inicjatywy. Tylko na podstawie postulatów wniesionych przez obywateli. A po-

nieważ teraz zgłosił pan wniosek, aby sprawdzić pana Jan-
skiego, możemy zainicjować odpowiednie działania.

– Zainicjować odpowiednie działania?

– Tak, zainicjować odpowiednie działania.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła na oko czterdziestoletnia, dość potężna kobieta z tlenionymi włosami.

– Dzień dobry, Łukaszu, jak ci idzie? A, dzień dobry – zwróciła się do pana Czernego. Postawiła torebkę i dyplomatkę na podłodze i zaczęła zdejmować płaszcz. Powiesiła go na wieszaku i poprawiła żakiet, podniosła torebkę i walizeczkę, podeszła do biurka, które przylegało frontem do biurka podporucznika, i usiadła. Potem położyła dyplomatkę na biurku, otworzyła ją, wyjęła z niej kilka teczek z dokumentami, które położyła na blacie. Walizeczkę zamknęła i postawiła na podłodze, po czym zaczęła szukać czegoś w szufladach.

– Idzie nam świetnie i wszystko jest w porządku, Helenko – odpowiedział podporucznik.

– To nieprawda! Przecież to nieprawda! Nic nie jest w porządku, nic! – wybuchnął pan Czerny.

– Ale, ale – powiedziała tleniona blondynka i spojrzała na podporucznika. Podporucznik nie odpowiedział i włożył okulary.

– Pan inżynier Czerny przysłał nam trzystaczternastkę – powiedział.

– Oho, trzystaczternastkę – powtórzyła blondynka. – Ale zgodnie z a czy z be? – zapytała.

– Według mnie raczej z be.

– No dobrze, czyli z be...

– Co to znaczy „zgodnie z a” albo „z be”? Co to za numer, który wymieniliście? – spróbował wtrącić się pan Czerny.

– Jeśli to będzie be, to musisz bardzo uważać. Nie możesz zostawić pana ani na chwilę samego w pokoju.

– Jasne, wiem, zresztą na razie nie było takiej okazji – powiedział podporucznik.

– Jakiej okazji? – dopytywał się pan Czerny.

– Takiej okazji nie było.

– Ale o jaką okazję chodzi? – Pan Czerny nie dawał za wygraną.

– No... gdyby pan porucznik musiał po coś wyjść do sąsiedniego pokoju albo, powiedzmy, za potrzebą, musiałby pan wtedy opuścić ten pokój – wyjaśniła blondynka.

– Żebym czegoś nie ukradł? – zirytował się pan Czerny. – Macie wszystkich za złodziei czy co?

– Ależ proszę pana, niech pan tego nie bierze do siebie...

– A jak mam to brać?

– Chodzi tylko o to, żeby nie mógł pan zajrzeć do teczki z dokumentami.

– Do teczki z dokumentami? Przecież to jest moja teczka!

– Bardzo możliwe – oznajmiła blondynka – ale rozporządzenie to rozporządzenie, a my musimy trzymać się prawa.

– Panu Czernemu nie podoba się, że trzeba jeszcze raz zainicjować całą procedurę – zwrócił się do niej pan podporucznik.

– Ja nie chcę niczego inicjować, bo nie wiem, o co chodzi, i nie zamierzam opowiadać tu całego swojego życia. W moim wieku... to chyba nietrudno zrozumieć?

– My to możemy zrozumieć, drogi panie, ale sądy niczego nie będą rozumieć. Na pewno nie sądy.

- Ja już mam...
- Nie ma znaczenia, ile pan ma lat. Prawo obowiązuje wszystkich.
- Ja już wyjaśniłem panu Czernemu, że jesteśmy po jego stronie.
- Tak – przytaknęła blondynka. – Jesteśmy po pańskiej stronie, i nie tylko to, my jesteśmy tutaj dla pana!
- Zapomniałem... – zreflektował się podporucznik. – Pani Novakova jest moją przełożoną.
- Blondynka skinęła głową:
- Major Novakova.
- Tak... – Podporucznik wzruszył ramionami.
- Właściwie... Byłaby pewna możliwość... – powiedziała Novakova, podchodząc do okna. Dotknęła ziemi w jednej z kilku doniczek, stojących na parapecie, potem skrzyżowała ręce na piersiach. – Widzę, że opiekował się pan moimi kwiatkami. Bardzo ładnie. Teraz już spokojnie mogę wyjeżdżać służbowo.
- Jaka możliwość? – zapytał podporucznik.
- No... Mógłby pan napisać oświadczenie.
- Oświadczenie? – zapytał pan Czerny.
- Żebyśmy nie musieli pana ciągle wzywać, pan nam spisz wszystko, co według pana ma związek z tą sprawą – powiedziała blondynka, odwracając się do Czernego.
- Proszę się nie gniewać, ale ja ciągle jeszcze nie rozumiem...
- Potrzebne są nam informacje, które pozwolą zainicjować lustrację, a tego, co mamy, i tak nie możemy panu udostępnić, ponieważ zabrania tego prawo. Krótko mówiąc, potrzebne jest nam coś w rodzaju pańskiego życiorysu.
- Życiorysu?

– Tak, byłby to właściwie pański życiorys, tylko jako tytuł napisze pan „Oświadczenie”. A treścią oświadczenia będzie pański życiorys. Dobrze mówię? – podporucznik zwrócił się do Novakovej.

– Dokładnie. Właśnie o to chodzi.

– No dobrze, ale co mam tam napisać? – zapytał pan Czerny.

– Najlepiej wszystko, co mogłoby być dla nas użyteczne – odpowiedziała blondynka.

– Tak by było najlepiej – potwierdził podporucznik.

– Zawsze potem można coś opuścić albo wyciągnąć najważniejsze rzeczy, ale na początek dobrze mieć jak najwięcej informacji.

– No dobrze... – powiedział pan Czerny. – A jak już to napiszę?

– Jak już pan to napisze, zadzwoni pan do nas albo nam to wyśle. My się z tym zapoznamy i powiemy panu co dalej.

– Ale to pisanie zabierze mi dużo czasu.

– I powinno to być napisane na maszynie – dodał podporucznik.

– Właśnie, to bardzo ważne – potwierdziła blondynka.

– Na maszynie?

– Tak. Żeby potem nie trzeba było tego przepisywać. Tylko kopiować. To nam zaoszczędzi mnóstwa pracy.

– Miałem gdzieś w domu maszynę do pisania – powiedział pan Czerny po chwili namysłu. – Zdaje się, że gdzieś powinna być...

– Doskonale – powiedziała major Novakova.

– A więc jesteśmy umówieni – podsumował podporucznik. – Jak pan będzie gotów, proszę do mnie zadzwonić. Ja to sobie przeczytam i postanowimy co dalej.

Obaj panowie wstali, podporucznik energicznie uściśnął dłoń Czernego. Blondynka przy oknie skinęła mu głową na pożegnanie.

Stary człowiek wyszedł na długi, wąski korytarz. Zauważył, że w promieniach jesiennego słońca w powietrzu unoszą się drobiny kurzu, a kiedy przemieszczają się w cień, znikają z widoku i przestają istnieć. Jakby nie działała na nie siła ciężenia. W pokoju 131 B blondynka z lubością patrzyła na doniczki z roślinami.

– Tego chyba w przyszłym tygodniu przesadzę. A te pelargonie rosną jak zwariowane – powiedziała.

– Nie wiedziałem, że tak to można rozwiązać – odezwał się podporucznik.

– Można, pod warunkiem że życiorys zostanie napisany jako oświadczenie. I złoży się go u nas w urzędzie, wtedy możemy działać na jego podstawie.

– O tym nie pomyślałem.

– Tak, tak, już parę razy taki numer zrobił Waszek w Budziejowicach.

– W życiu by mi to nie przyszło do głowy.

– Ale i tak nic z tego nie będzie.

– Tak? Dlaczego?

– Bo zanim dziadek się z tym upora, to umrze, biedaczyna, a jak nie umrze i nie zwariuje od tych koszmarów, które ma opisać, to już się szykują co najmniej trzy kolejne nowelizacje.

– I będą dotyczyć akurat tej ustawy?

– Nie bezpośrednio, ale jeśli nawet przygotuje ten elaborat, to zda się to psu na budę.

– Może powinniśmy mu o tym powiedzieć?

– Jak nowelizacja wejdzie w życie, to tak, ale na razie nie weszła.

- Ale może wejść.
- Może, i najprawdopodobniej wejdzie. Ale jeszcze nie weszła.
- Więc co zrobimy?
- Damy dziadkowi jeszcze parę miesięcy nadziei. Jeśli, Łukaszku, dalej będziesz się tak opiekować moimi kwiatkami, to zgłoszę cię do awansu.
- Wystarczy premia – podpowiedział podporucznik.
- Masz premię jak w banku, podlewanie pierwsza klasa.
- A co z dziadkiem?
- Jeśli będzie się to zapowiadać zupełnie beznadziejnie, to możemy zgłosić go do odznaczenia.
- Możemy? – zapytał podporucznik.
- No przecież nie oficjalnie, to chyba jasne. Ale są sposoby.
- Jakie?
- To zależy. Zobaczysz się. Dużo mu to nie pomoże, ale medale nikogo nic nie kosztują. Jeśli będzie odpowiednia atmosfera, to kto wie. Coś mi się zdaje, że będę musiała kupić nawóz.

Dante stosowany i pewna teoria języka

Tego dnia doktor Antonin Lukavsky przyszedł do pracy pół godziny wcześniej. Było prawdziwe, nieudawane przedwiośnie. Wszedł główną bramą do szpitalnego parku, przywitał się z jednym z dwóch znudzonych strażników, a kiedy uświadomił sobie, która godzina, usiadł na chwilę na ławce niedaleko sztucznej sadzawki, która nie była jeszcze całkiem napełniona. Przez chwilę przeglądał zawartość wielkiej torby sportowej, w końcu wyjął z niej grubą książkę, która, sądząc po okładce, mogła mieć charakter naukowy. Teraz, parę lat po Sierpniu 1968, coraz trudniej było o publikacje naukowe. Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął papierosa, otworzył książkę i zaczął czytać. Za plecami miał krzewy, które niedługo miały zakwitnąć i rozsiewać oszołamiający zapach. Na razie jednak były to tylko krzewy. Szpitalny park był tak zaprojektowany, by pacjenci mogli w nim znaleźć odosobnienie. Tylko z dwóch miejsc można było ogarnąć wzrokiem niemal cały teren. Alejki rozgałęziały się i potem nieoczekiwanie schodziły, tworząc ustronne zakątki. Czasami Antonin myślał, że wokół każdego pawilonu należałoby posadzić rośliny w jakiś sposób związane z chorobami, które były tam leczone. Kiedy zapalał drugiego papierosa, usłyszał za plecami głosy dwóch osób, które ze sobą dyskutowały. Przez chwilę starał się nie zwracać na nie uwagi, ale nie mógł się już skoncentrować na książce i zaczął się im przysłuchiwać.

– Oni nie mogą tego pojąć, Marku, ni w ząb – mówił pierwszy głos.

– Nie mogą, Vaclavie. Nie mogą i koniec – powiedział drugi, nieco wyższy i słabszy.

– Oni nie rozumieją, jaki jest sens mitu oraz pomocnika.

– Ani pomocnika – powtórzył Marek.

– A przecież... no... mit jest pomocnikiem, tak czy nie? – powiedział Vaclav.

– Ma się rozumieć, całkowicie się z tobą zgadzam, bracie. Nie ma co do tego wątpliwości.

– A mimo to oni nie mogą tego pojąć – stwierdził Vaclav.

– Z drugiej strony, bracie, problem postawiony w ten sposób nie jest uzasadniony, mało tego, nie jest wyjaśniony. No bo – ciągnął ze śmiechem głos wyższy – co oni tak naprawdę rozumieją?

– Co oni rozumieją? – powtórzył niższy głos.

– W ten sposób nie jest ani postawiony, ani uzasadniony, ani wyjaśniony, nieprawdaż?

– Ale rzeczy ciągle się dzieją – powiedział Vaclav. – Ani niebezpieczeństwo, ani radość niczego nikomu nie wybaczą, niczego nie puszcza płazem. Niebezpieczeństwa i radości ciągle tylko przebierają się w nowe szmatki i nikomu nie odpuszczają.

– Gdzież tam, braciszku, ani trochę... – powiedział Marek.

W tej chwili doktor Lukavsky uświadomił sobie, że ten drugi, wyższy głos należy do jego pacjenta, cukiernika Marka, więc zaczął nasłuchiwać jeszcze uważniej.

– Krótko mówiąc, co musiałbyś zrobić, przyjacielu, żeby stworzyć mit? O czym ten mit musiałby być?

– Ten mit, braciszku, musiałby być... najlepiej o... najlepiej chyba o ziemi albo o jakimś człowieku. Tak?

– Nie, przyjacielu, nie uważasz. Skup się. Zbierz się w sobie i przestań wreszcie jeść tyle tego francuskiego świństwa. Wiesz, jaki masz oddech! Brrrr!

– A mnie z kolei śmierdzą te twoje papierosy.

– Papierosy? Dajże spokój, smród tego francuskiego ziel-ska niesie się po całym parku.

– To się już nie powtórzy, Vaclavku...

– Odpowiedź, jak zawsze, kryje się w tym, o czym mówi-łeś. Te wszystkie tajemnicze problemy zawsze w końcu oka-zują się jasne jak słońce.

– Jak słońce?

– Tak, jak słońce – powtórzył Vaclav. – Są na widoku. Same wyłazą na widok. A więc mit musi być nie: „albo, albo”, tylko: „o i o”.

– O i o? – zapytał Marek.

– Właśnie, o i o. O ziemi i o człowieku.

– Ach tak...

– W rzeczy samej.

W tej chwili rozległo się donośne beknięcie, po którym dało się słyszeć ziewnięcie i do rozmowy włączył się trzeci głos. Mówił szybko i z przerwami:

– Właśnie się obudziłem, a byłem już przy brzegu tej wiel-kiej wody, bo szedłem po dnie. I właśnie miałem się wynu-rzyć, a wynurzenie to nic innego jak przebudzenie. Jeden zawsze równa się jeden. Przynajmniej w przypadku, kiedy nie dzieli się go przez zero. Tak więc obudziłem się i tym samym usłyszałem waszą rozmowę. Ale przede wszystkim muszę coś powiedzieć. Przestań, Franciszku, tak się opychać tym czosnkiem. Tego się nie da wytrzymać. A przecież jeste-śmy na dworze.

– Ciągle mu to powtarzam – odezwał się Vaclav. – Zasmro-

dził nas tu wszystkich, a do tego kto wie, jakie to może mieć działanie uboczne.

– Weź nie żartuj, braciszku, jakie działanie uboczne? – zapytał cukiernik.

– Co ty możesz wiedzieć, może działanie uboczne to rewolucja.

– Rewolucja? – zdziwił się Marek. – Rewolucja jako działanie uboczne obżerania się czosnkiem? Czyli, jak mówisz, francuskim świństwem? Alias kulinarnym śmieciem?

– Wpływ trawienia na rozwój idei politycznych i filozoficznych z pewnością nie został jeszcze dostatecznie przebadany – powiedział Vaclav. – Dam wam, przyjaciele, zadanie na jutro. Zastanówcie się poważnie nad tym, jakie menu najbardziej odpowiadałoby trzem hasłom.

– Będę musiał to sobie zapisać – odezwał się trzeci głos.

– Pytanie bynajmniej nieodszytne na jutro. Brzmi ono: jakie menu najlepiej reprezentowałoby „*Liberté, égalité, fraternité*”, a jakie: „*God save our gracious queen*”, a jakie: „Prawda zwycięży!”?

– To ostatnie jest łatwe, braciszku Waszeczku: dzik na borówkach – powiedział cukiernik.

– Dlaczego dzik i dlaczego na borówkach? – zapytał Vaclav.

– Kiedy dotarłem do brzegu, byłem cały mokry, we śnie trochę sobie pospałem, a trochę popływałem. No więc kiedy dowlokłem się na pomost, tam gdzie przybija łódź, to ci była pobudka. Co się tyczy waszej dyskusji o micie, to mogę wam powiedzieć, że opisałem ten problem już przed laty w liście do swego przyjaciela, generalnego wikariusza rządu cesarskiego w Vicenzie i Weronie, Skaligera.

– Drogi Duarte, do rzeczy, bo wszyscy tu uświerkniemy – wtrącił Vaclav.

– Dobrze – powiedział Duarte. – Wy dzisiaj macie głowy nabite iluzjami o równości, nas z pewnością ta choroba omi-
nęła. Krótko mówiąc, spisałem wówczas parę uwag, które
mogą przydać się również i wam.

– Duarte! – w głosie Vaclava zabrzmiała pogroźka. – Zważ,
księżę, że każde dzieło ma więcej sensów, więcej celów. Mówię
to prosto z mostu, każde dzieło, a więc i życie, życiunio,
jest wieloznaczne.

– Czyli? – zapytał cukiernik.

– Czyli – podjął Duarte – jest dużo sensów dzieła. Pierwszy
jest literalny. Od słowa *littera*, czyli litera, a więc dosłownie:
dosłowny. Kolejny sens jest alegoryczny, dalej: moralny, jak
również anagogeniczny.

– Siedź sobie sam w tym lesie, ty nędzniku! Albo nie nazy-
wam się Franciszek! – wykrzyknął cukiernik. Wyglądało na
to, że nie zdierży i rzuci się na Duartego. Doktor Lukavsky
poczuł lekkie zdenerwowanie i pomyślał, że powinien prze-
rwać tę dyskusję pacjentów. Nagle usłyszał głos Vaclava:

– Co się wygłupiasz? Przecież masz na imię Marek!

– Ach tak – powiedział Marek już spokojniej. – Wybacz-
cie, przyjaciele, ale długie słowa obcego pochodzenia dopro-
wadzają mnie do utraty zmysłów.

– Nie przejmuj się – odrzekł Duarte. – Z tego właśnie po-
wodu jesteśmy tutaj, pod opiekuńczymi skrzydłami szpitala.
Może spróbuję wyjaśnić to na jakimś przykładzie... na
przykładzie... – Duarte zawiesił głos i zaczął nieświadomie
pomlaskiwać – ...weźmy na przykład psalm sto czternasty,
który głosi: „Gdy wychodził Izrael z Egiptu i dom Jakubo-
wy z narodu obcego, stał się Juda poświęceniem jego, Izrael
panowaniem jego”. Tak to jest... – Ponownie mlasnął i po
chwili podjął wywód: – Tak więc jeśli pójdę spokojnie noga

za nogą od słowa do słowa, to okaże się, że te wszystkie słówka, które siedzą jak jaskółki na drutach, mówią, iż synowie Izraela wyszli z Egiptu, a prowadził ich Mojżesz.

– Wtedy nie było żadnych drutów telegraficznych, Duarte, co ty wygadujesz? – odezwał się Marek.

– Ma rację – poparł go Vaclav – nie było!

– Ale jaskółki były – odciął się Duarte i ciągnął: – Tenże psalm sto czternasty mówi nam w sposób alegoryczny o odkupieniu, naszym odkupieniu, właśnie naszym, moi przyjaciele. Odkupieniu poprzez Chrystusa, Pana naszego. A jeśli chodzi o sens moralny, nawet w naszej niemoralnej ojczyźnie i okolicach, sens moralny oznacza oddzielenie duszy od nędzy i deprymującego smutku i zwrócenie tam, gdzie osiągnie stan łaski. Jeśli idzie o sens anagogeniczny, jest nim przejście duszy z niewoli tychże ograniczeń do wiecznej chwały i wolności. Jednakże proszę, i podkreślam to z całą mocą, nie mylić tego z *liberté*. Wszystkie te rzeczy można nazwać alegorycznymi, ponieważ nie należy ich rozumieć dosłownie, inaczej: nie mają charakteru historycznego. Jak wykazałem, z tego wynika, że materia musi być dwojaka, podwójna lub też dwoista. Po to, aby mogły się ujawniać oba sensy.

– O ile dobrze cię zrozumiałem, Duarte – powiedział Vaclav – jest to coś na zasadzie dynama i prądu zmiennego. Ale prąd ma trzy fazy, więc to wszystko musi być potrójne.

– Może ma to coś wspólnego z Bożą trójjednością, ale gwoli ostrożności wolałbym na razie ten aspekt pominąć. Chociaż prawdopodobnie masz rację co do zasady.

– Czyli, jeśli wszystko pojąłem, sensem mitu powinna być ziemia – podsumował Vaclav.

– O to to! – z przejściem skandował Duarte. – W naszym przypadku jest to ziemia, na której dokonano gwałtu. Lecz

kiedy rozejrzemy się wokół, stwierdzimy z dużą dozą pewności, że jest jej to w smak. A ziemia, na której dokonano gwałtu, od niepamiętnych czasów alegoryzowana jest pod postacią kobiety.

– Powiedziałbym, że to stereotyp. Co ty na to, Duarte? – odrzekł Vaclav.

– Oczywiście, bez wątpienia, ale cóż ja mogę na to poradzić? Poza tym wolałbym teraz porozmawiać z wami o prądzie zmiennym oraz trójjedyności Bożej.

– Braciszkowie, tak mi się chce palić, że aż czuję dym papierosowy – odezwał się cukiernik.

– I ja go czuję – powiedział Vaclav, wstając z ławki.

W tym momencie do doktora Lukavskiego dotarło, że chodzi o dym z jego papierosa. Schował książkę do torby, zakaszał, wstał, zarzucił torbę na ramię i obszedł zarośla.

– Dzień dobry, Marku – powiedział.

– Przyjaciele, to jest mój brat doktor – oświadczył cukiernik. – A to są moi przyjaciele. To jest Vaclav – tu wskazał śniadego Afrykańczyka średniego wzrostu, który badawczo przyglądał się doktorowi – a to Duarte – skinął w kierunku o pół głowy niższego, zażywnego człowieczka. Ten uklonił się serdecznie doktorowi i powiedział:

– Jestem Duarte, dottore. Duarte Alighieri, wśród przyjaciół znany również jako Dante!

Doktor poczęstował ich papierosami, Duarte zapalił, a Afrykańczyk schował papierosa do kieszeni, nadal bacznie obserwując doktora.

– Na mnie już czas – powiedział doktor Lukavsky.

– Wcale cię nie zauważyliśmy, bracie doktorze – powiedział cukiernik. – To przez ten biały fartuch.

– Jak to? Przecież nie jestem w fartuchu – zdziwił się doktor.

- No właśnie, to mam na myśli.
- Dopiero idę do pracy – dodał lekarz.
- No to powodzenia – powiedział Afrykańczyk. Doktor omiół wszystkich spojrzeniem i ruszył w kierunku pawilonu. Potem w czasie przerwy na obiad przysiadł się do kolegi z sąsiedniego pawilonu i opowiedział mu o rozmowie, której był mimowolnym świadkiem.
- Ten jeden, ten czarny, czy może raczej mieszaniec, który ma na imię Vaclav, jest u nas już z miesiąc. To dość skomplikowany przypadek. A ten drugi to Dante – wyjaśnił kolega.
- Dante? – zapytał Antonin.
- Tak, Dante.
- A jakim cudem ten czarny ma czeskie imię? Do tego jeszcze Vaclav?
- Trzyma się trochę z boku, ciągle coś czyta i pisze. Jak zauważyłem, czyta różne rzeczy. W papierach, z którymi tu trafił, ma napisane, że jak na Murzyna zadziwiająco dobrze mówi po czesku.
- Mówiłeś, zdaje się, że tu się urodził?
- To prawda, ale niektórzy myślą, że dziecko z mieszanego małżeństwa, czesko-wszystko-jedno-jakiego, nie może się nauczyć mówić po czesku.
- Nawet jeśli się tu urodziło?
- Nawet.
- A co ty o tym myślisz?
- Ja nic o tym nie myślę. Nie chcę mieć nieprzyjemności.
- Czy to nie dziwne? – zapytał doktor Lukavsky.
- Niektórzy twierdzą, że to można udowodnić. Że dzieci z mieszanych rodzin nigdy nie nauczą się porządnie naszego języka. A Murzyni to już w ogóle.
- Nawet jeżeli przyszli tutaj na świat?

– Nawet. To jest nowa rewolucyjna teoria.

– A ja myślałem, że takie teorie nie istnieją. To znaczy, że nie dotyczą ras.

– Nawet nie wymawiaj słowa „rasa”. Jest zakazane! Mam nadzieję, że nikt nas nie słyszał – powiedział kolega doktora Lukavskiego i dyskretnie rozejrzał się po stołówce.

– No dobrze – powiedział Antonin. – Nie będę używał słowa „rasa”. Ale myślałem, że takie teorie po drugiej wojnie światowej nie mają racji bytu.

– Po drugiej wojnie światowej? Człowieku, nie obraź się, ale ty zawsze byłeś naiwny. Po drugiej wojnie światowej? – kolega z pogardą postawił oczy w słupek, podkreślając swoje zdziwienie brakiem orientacji Antonina w funkcjonowaniu lokalnego czechosłowackiego wszechświata i jego najbliższych okolic.

– No a co to właściwie za jeden ten Vaclav? Czym się zajmuje?

– Pytałem go, ale nie jest zbyt rozmowny. Powiedział tylko, że coś tam sobie gryzmoli. Tak dla siebie. I żeby mu pozwolić na to gryzmolenie. Że go to bawi, chociaż podobno z czeskim jest trochę na bakier. Z tego wnoszę, że słyszał o tej teorii.

– Aha – mruknął Antonin. – Gdybyś się czegoś dowiedział, to daj mi znać. Zdaje się, że się koleguje z moim pacjentem.

– Jasne. To znaczy, jeśli mi się poszczęści i będzie chciał ze mną mówić – dodał kolega doktora Lukavskiego, ustawił naczynia na plastikowej tacy, wstał, pożegnał się i ruszył w stronę rogu stołówki, gdzie postawił wszystko na małym stoliku, przeznaczonym właśnie do tego celu.

Oświadczenie personalne, czyli życiorys (lata dziewięćdziesiąte)

Szanowny Panie Podporuczniku!

Urodziłem się 24 listopada 1915 roku, a więc teraz mam lat z górą siedemdziesiąt. Zanim jednak przejdę do opisu mojego pochodzenia, przebiegu kształcenia i innych rzeczy, których zazwyczaj do tej pory wymagały ode mnie czeskie urzędy, chciałbym przekazać kilka uwag zasadniczych. Jak Pan wie, jestem emerytowanym inżynierem, specjalistą od statyki. Tak więc posługiwanie się słowem nie jest moją najmocniejszą stroną. Jednakże powód, który skłonił mnie do napisania tego oświadczenia, jest następujący: chciałbym zwrócić się do reprezentowanego przez Pana urzędu o prześwietlenie działań pana Janskiego i poinformowanie mnie o wynikach tego badania. Uważam, że jeżeli jeden człowiek katuje innego człowieka, to dopuszcza się złego czynu, a więc jest złoczyńcą, niezależnie od tego, kiedy i gdzie ten czyn popełnił. Tak więc jestem zdania, że znęcaniem się nade mną pan Jansky popełnił czyn karalny. Przede wszystkim jednak chciałbym podkreślić, że nie chodzi mi o to, by został ukarany w sensie fizycznym czy żeby trafił do więzienia; o ile dobrze pamiętam, jego urodziny przypadają na 23 marca, a więc jest on nawet parę miesięcy starszy ode mnie. W tym wieku, którego dane mi było dożyć, już nie zależy mi na rewanżu ani zemście, tym niemniej Pańskie dochodzenie pozostaje dla mnie ważne. Jest ważne z powodu mojej żony

Kwiety. Nie jest dla mnie jasne, co Pan wie, a czego nie. Zgodnie z Pańską radą oraz radą Pańskiej koleżanki, postaram się tu, na tych kartach, wyrazić i przekazać wszystko tak, żeby można było rozpocząć, jak Pan mówi: zainicjować dochodzenie.

Mam powód natury osobistej: wydaje mi się, że to ostatnia szansa na scalenie mojego małżeństwa. Nie wiem, co macie w dokumentach, ale faktem jest, że koleje mojego życia i życia mojej żony były – a obawiam się, że są nadal – powiązane z kolejami losu albo też z życiem Hynka, czyli pana Janskiego.

Hynka poznałem w szkole średniej, zwanej wówczas realną, i od tamtych czasów datuje się najpierw nasze koleżeństwo, a potem trwająca całe lata przyjaźń. Po jakimś czasie ja zacząłem studiować inżynierię budowlaną na Czeskim Uniwersytecie Technicznym, a on prawo na Uniwersytecie Karola. Chodziliśmy z przyjaciółmi na wycieczki i po gospodach, na koncerty i na mecze. I właśnie w czasie takiej wycieczki, kiedy wspinaliśmy się na jakiś szczyt, dołączyła do nas grupka dziewcząt. Jedną z nich była Kwietka. Mogę przyznać, że na początku niezbyt mi się podobała. Nie spodobało mi się ani jej imię, ani figura, jej głos uznałem za nieprzyjemny. Wszystko w niej, łącznie z imieniem, wydało mi się wtedy nieco... wulgarne. A kiedy jesienią dowiedziałem się, że jeśli chodzi o florę, to kocha dalia, wcale mnie to nie zdziwiło – za daliami też nie przepadałem. Byłem młody, panie podporuczniku, młody i uważałem, że nie można kochać innych kwiatów niż róże i hiacynty, a wśród kobiecych imion wchodziły w grę tylko Katarzyny, Marie i Barbary, żadne Kwietki, panie podporuczniku, żadne Kwietki! A potem powoli zacząłem sobie uświadamiać, że czegoś mi brakuje.

Tak, brakowało mi tej dziewczyny o zwyczajnym imieniu. Ale niczego jeszcze nie wiedziałem, nie byłem niczego świadom, nie byłem świadom miłości. Tylko mi jej brakowało, tylko do niej tęskniłem, tylko nagle byłem bardziej samotny niż kiedykolwiek. A kiedy czasem ktoś wspomniał, że widział ją tu czy tam, moje serce, wtedy jeszcze jak skała, przez krótką chwilę kołysało się, nim powróciło do równowagi. A do tego, ku własnemu zaskoczeniu, zacząłem być zazdrosny. O wszystkich, którzy byli z nią wtedy, kiedy ja, przynajmniej od czasu do czasu, musiałem się uczyć. Nie poczułem, że ogarnął mnie zapach miłosny. Nie wydawało mi się, że nie mogę bez niej żyć. Nie doświadczyłem agonii samotnej planety sunącej przez pusty wszechświat, naprawdę, nic z tych rzeczy, ale kiedy poprosiłem ją o rękę, spodziewałem się, że bez zastanowienia powie „tak”. A ona powiedziała, że bym dał jej tydzień do namysłu. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Zamiast wrócić do domu, a następnego dnia iść na wykłady, błąkałem się dwa dni po mieście, a trzeciego dnia po południu usnąłem gdzieś na ławce w parku na Letnej. Chciałem o tym z kimś porozmawiać, choćby z Hynkiem, ale wyczuwałem, że on czuje do niej miętę, więc milczałem. Spotkaliśmy się po kilku dniach, niecierpliwie zapytałem, co postanowiła. Powiedziała „tak”! Właściwie nie musiała nic mówić, domyśliłem się wszystkiego z tonu jej głosu. Dopiero przed narodzinami naszej córki Alicji zadałem jej pytanie, po co był jej ten tydzień. Odpowiedziała, że zachowywałem się zbyt władczo. „Ja, władczo?” – zapytałem. „Tak, ty, władczo” – powiedziała Kwietka. „W czym? Jak? O co ci chodzi?” „Zachowywałeś się tak, jakby inne rozwiązanie nie było możliwe”. „Dla mnie nie było innego rozwiązania – odpowiedziałem. – „Dla ciebie było?” „Właściwie

nie, ale chciałam tobą wstrząsnąć, przynajmniej troszeczkę, byłam w tobie tak zakochana, a ty tego w ogóle nie widziałeś”. „Przecież poprosiłem cię o rękę” – zaproponowałem. „No tak – powiedziała Kwietka – ale dopiero później, kiedy to samo zrobili już niemal wszyscy inni, a ja odrzucałam ich jednego po drugim, bo czekałam na ciebie”. Wtedy zrozumiałem, dlaczego Hynek zaczął mnie unikać. „On też – spytałem – Hynek też?” „Chyba ze trzy razy” – odpowiedziała. „Przez jakiś czas nawet był na mnie wściekły. Nie powiedziałam mu, że czekam, aż się zdecydujesz, ale on w tych rzeczach był zawsze bardziej bystry niż ty. Może dlatego wybrałam cię, jeśli nie liczyć tego drobiazgu, że byłam w tobie zakochana po uszy”. To powiedziała mi wtedy moja żona Kwietka. Wtedy zrozumiałem, że nie tylko zakochałem się i wybrałem, ale że także byłem kochany i zostałem wybrany. Dotarło to do mnie w jednej chwili, potem w kryminale. To poczucie, poczucie miłości Kwietki, było takie oczywiste: jej miłość do mnie. To było niczym małe Boże Narodzenie pośród syberyjskiej tundry.

Jestem technikiem, panie podporuczniku, uczuć doświadczam, ale ich nie analizuję, a do niektórych spraw, zwłaszcza tych związanych z emocjami, nigdy nie miałem, jak to się mówi, zdolności. W czasach, w których się urodziłem, uczyli nas, że miłość ma być romantyczna, więc kiedy ta prawdziwa miłość przyszła, o mały włos byłbym ją przegapił. Byłem tępy w sprawie uczuć, teraz wiem, ale dziś to już nie ma znaczenia. W moim wieku człowiek już tylko się wstydzi tych paru chwil fizycznej słabości, tak bardzo nie na miejscu, jak się wydaje, ale to może człowieka co najwyżej wprawić w zakłopotanie, i tyle. Właściwie poczytywałem sobie za powód do dumy, że uczucia nie ciągną się za mną tak jak za niektórymi moimi

przyjaciółmi i kolegami. Rzecz jasna, czasami zdarzało się, że poddawałem się emocjom, i pozytywnym, i negatywnym. Ale przeważnie doskonale się kontrolowałem. Kiedy miałem wrażenie, że mogę mieć problem z opanowaniem uczuć, rzucałem się w wir pracy albo udzielałem się rodzinie. Tak to ze mną było, przez całe życie. Rozumie się samo przez się, że czasy naszej młodości obfitowały w wydarzenia, jak to się mówi, przełomowe; gdzie jak gdzie, ale w mojej dziedzinie były one rzeczywiście przełomowe. Kiedy zacząłem studia i uczyłem się obliczać statykę obiektów, używałem suwaka logarytmicznego. Istotą suwaka logarytmicznego jest rozumienie odniesień, porządek wynikający z odległości na skali oraz korygowanie błędów. To, że został wymyślony, a potem doskonalony, wynikało ze specyficznego podejścia do problemu cyfr i skal. Potem pojawiły się kalkulatory, a dziś mamy komputery. Jak każdy stary człowiek, panie podporuczniku, najbardziej skłaniam się ku temu, czego nauczyłem się w młodości. Pamiętam, że jakoś tak przed trzydziestu laty, czyli mniej więcej w latach sześćdziesiątych, Kwieta przeczytała mi artykuł o jakiejś wschodniej religii czy filozofii. Autor próbował w nim wyjaśnić, czym jest całkowity i ostateczny spokój duszy. Ja powiedziałbym raczej: spokój umysłu. Ten artykuł ostrzegał, że myśli pełne uczuć i nastrojów są dla duszy zagrożeniem. Kiedy skończyła i wróciliśmy do tematu po kolacji, powiedziałem: „Przecież to jest to, co robię”. Oni coś tam piszą o jakichś mandalach, które, o ile dobrze pamiętam, są takimi okrągłymi obrazkami, o recytowaniu modlitw i różańcach o stu ośmiu paciorkach, które trzeba przesuwac palcami pomiędzy wdechem a wydechem, a także o uwolnieniu myśli. Taki spokój odczuwałem zawsze, kiedy pracowałem. Lubiłem pracować,

lubiłem liczyć. Lubiłem mieć w ręku suwak logarytmiczny, i nigdy nie przyzwyczałem się do kalkulatora, nawet kiedy później musiałem go używać. Rządki cyfr były moimi paciorkami różańca. Przesuwka, szybko poruszająca się wzdłuż skali, była tym, co uwalniało moje myśli. Przeprowadzanie obliczeń i zapisywanie ich wyników – moją recytacją, moją modlitwą. W zakładzie dostawaliśmy coraz to lepsze kalkulatory, a ja w trzeciej szufladzie od dołu, po prawej stronie biurka, zawsze trzymałem kilka swoich ulubionych suwaków logarytmicznych. Szuflady były zamknięte na klucz. To zrozumiałe. Nie chciałem, żeby je ktoś odkrył i pomyślał, że nie chcę iść z duchem czasu. Chciałem, tylko tego ducha czasu nie bardzo rozumiałem. Niewiele myśląc, opowiedziałem o tym wszystkim Kwiecie. Zrobiła wielkie oczy (oczy ma zielone) i zapytała: „To dlatego ciągle tak długo przesiadujesz w pracy? Ciebie to naprawdę bawi, Josefie?”. Już nie pamiętam, co odpowiedziałem, ale zdaje się, że moja odpowiedź była dość mętna.

Jedną z oznak starości, panie podporuczniku, przynajmniej w moim przypadku, jest to, że mózg przestaje działać racjonalnie. Zaczynam ulegać emocjom, nastrojom, a co najgorsze, kiedy nachodzą mnie te wybryki duszy, w znacznej mierze przecież mi obce, nigdy nie wiem, gdzie i kiedy się skończą. Jest to jak podróż bez mapy w nieznaną. O ile w nieznanym terenie zawsze znajdują się jakieś punkty orientacyjne, dzięki którym stopniowo można sobie wyobrazić jakieś uporządkowanie przestrzeni, to obawiam się, że w przypadku moich starczych emocji jest to niemożliwe. Raczej mógłbym to uczucie porównać do pustyni, na której cały system punktów orientacyjnych nieustannie się zmienia, więc jest przy ustalaniu położenia bezużyteczny.

Jednakże nie mogę pominąć faktu, że nawet Sahara składa się w dwudziestu procentach ze skał, o czym większość ludzi nie wie, tak więc to moje drugie porównanie też jest nieudane. Wydaje mi się, że tak samo jak nie można obiektywnie zmierzyć wielkości bólu czy miłości, ja też nie potrafię zmierzyć swoich uczuć przy użyciu stosownego, dobrze skalibrowanego przyrządu.

Na studiach miał z nami zajęcia asystent Horsky. Opowiadał nam czasem o swoich podróżach do Syrii i w ogóle na Bliski Wschód. Jeździł tam w młodości z profesorem Hroznym, naukowcem, który rozszyfrował język Hetytów. Opowiadał nam, że do niego należała opieka nad techniczną stroną wyprawy. Szkicował znaleziska, kreślił mapy okolicy i plany sytuacyjne, a także zbierał owady. Naprawdę! On, technik, zbierał owady. Podobno kosztowało go to mnóstwo wysiłku. Musiał się przemóc, bo nie lubił insektów, ale poprosił go o to ówczesny kierownik działu owadów w Muzeum Narodowym, bo wtedy jeszcze w Muzeum nie mieli eksponatów z tamtej części świata. Szczerze mówiąc, niezbyt byłem ciekaw tych tureckich i syryjskich eskapad asystenta Horskiego. Aż pewnego dnia swój wykład, w którym znowu zahaczył o Turcję z czasów swojej młodości, zakończył słowami: „24 listopada 1915 roku jest dniem, który wpisał się na zawsze, zapamiętajcie to sobie: na zawsze, w historię zarówno czechosłowackiej, jak również światowej nauki”. Ocknąłem się z półsnu, który zazwyczaj ogarniał mnie w czasie zajęć popołudniowych. Muszę tu zrobić małą dygresję, otóż zanim trafiłem do więzienia, między drugą a trzecią po południu miałem zwyczaj ucinać sobie krótką drzemkę. Niestety, skończyło się to po moim uwięzieniu, jak wspomniałem, dzisiaj też już nie potrafię usnąć po południu, nawet w najbardziej

sprzyjających warunkach. Chyba obawiam się tego, że nawiedzą mnie niezbyt przyjemne sny, które miałyby związek z tymi dziesięcioma latami, które spędziłem w więzieniach. Ale wracając do asystenta Horskiego, często się zdarzało, że właśnie jego zajęcia przypadają na wczesne popołudnie, więc musiałem zrezygnować ze swojej drzemki, ale tak czy inaczej przysypiałem na wykładzie. I nagle obudziła mnie data, którą wymienił, 24 listopada 1915 roku. Była to przecież data moich urodzin. „Co takiego stało się tego dnia?” – zapytałem, jeszcze nie całkiem obudzony. Asystent Horsky spojrzał na mnie podejrzliwie i z wyraźną ironią w głosie powiedział: „Zdaje się, że opuścił pan parę zajęć, panie kolego. Inaczej wiedziałby pan, że tego dnia w Niemieckim Towarzystwie Orientalnym profesor Hrozny wygłosił swój epokowy wykład, w którym przedstawił historię państwa Hetytów, jego kulturę i piśmiennictwo. A to wszystko, szanowni panowie, dzięki temu, że odczytał inskrypcje w nieznanym dotąd języku, zapisane wszakże znanym już wcześniej pismem klinowym. Jest to dokonanie godne geniusza, a my możemy poczytywać sobie za zaszczyt, że jest nam dane chodzić po ulicach Pragi w czasie, kiedy wciąż można na nich spotkać profesora Hroznego”. A więc tak – data moich urodzin była też datą jego wykładu. Po kilku dniach opowiedziałem o tym Kwiecie, którą zacieka- wiło to jeszcze bardziej niż mnie. „Ciebie to nie interesuje?” – zapytała. „Interesuje, ale to tylko zbieg okoliczności” – powiedziałem. „Wiem, ale właściwie co on odkrył?” „Nie odkrył, tylko rozszyfrował”. „Ale co?” – dopytywała się. „Ję- zyk, nieznaną język”. „Czy można rozszyfrować nieznaną język?” „Chyba tak. Skoro to zrobił, to znaczy, że można”. Kwiecie utkwilo to w głowie do tego stopnia, że wypożyczy- ła z biblioteki książkę o dawnych kulturach i językach, tych

rozszyfrowanych, i tych ciągle pozostających zagadką. Znalazła w niej tę datę, którą wymienił Horsky. Moja data. Dzień, w którym profesor przedstawił światu nowy język. Rozpracować język, który liczy sobie trzy tysiące lat, to nie byle co. I to bynajmniej nie na podstawie zapisów w alfabecie łacińskim, Panie Podporuczniku, tylko w piśmie klinowym. Język hetycki uchodzi za najstarszy język indoeuropejski, który zachował się w postaci pisanej. Na dobry początek. Historia imperium Hetytów. Ich bogowie, prawo, ich życie. Wesela i pogrzeby, nagrody i kary, wygrane i przegrane bitwy i wojny... Do tego wszystkiego, co zniknęło tysiąc dwieście lat przed Chrystusem, kluczem jest, Panie Podporuczniku, język.

Pismo klinowe? Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem te przedziwne znaki, wyglądały jak ślady łapek jakichś wodnych ptaków, z błonami pławnymi pomiędzy palcami. Tylko o wiele mniejsze, jakby je odcisnęły małe pływające wróble. Takie kształty odciska w wilgotnej glinie zaostrzony czubek trzcinowego rysika. Rysik miał kształt klina, stąd ta nazwa. Pismo klinowe powstało podobno w Mezopotamii i było dziełem Sumerów. Służyło wielu językom, podobnie jak dziś nasz alfabet łaciński. Kiedy człowiek jest w kropce i kiedy coś zdarzyło się dawno temu na Dalekim Wschodzie, nagle się pojawiają, czy też raczej przychodzą w sukurs Sumerowie, Panie Podporuczniku! Jest to uwaga starego człowieka, i całkiem nie na miejscu, niech Pan ją puści mimo uszu. Mówi się, że literatura hetycka, zapisana pismem klinowym, jest najstarszą literaturą indoeuropejskiego obszaru językowego. Gwoli informacji, Panie Podporuczniku, Hetyci żyli na terenach dzisiejszej Turcji i Syrii, a w mojej młodości nazywało się to Anatolią.

Dziś mogę powiedzieć, że zacząłem się tym wszystkim interesować właściwie tylko dlatego, że ta dziwna zbieżność obu dat: moich urodzin i wykładu profesora Hroznego zaciekała Kwietę. Miała większą wyobraźnię niż ja, a ja z biegiem czasu nauczyłem się, że moje logiczne argumenty i rzeczowe pytania tylko niepotrzebnie ją ograniczają. Nie było to trudne. Wie Pan, kiedy Kwietka popuszczała wodze swojej fantazji, czy raczej dopuszczała do głosu różne swoje fantazje, bo miała ich na kopy, stawała się niezwykle piękna. Im bardziej się rozmarzała, tym bardziej zmieniała się na twarzy. Na przykład zaczynała się zastanawiać, jakby to było, gdyby ci ludzie wiedzieli, że po upływie trzech tysięcy lat od ich śmierci ktoś będzie się nimi interesować. Jak przyjęliby tę myśl, gdyby przyszła im do głowy, tak jak czasem przychodzi do głowy i nam? Że musieliby o tym rozmawiać, kiedy wychowywali swoje dzieci albo ruszali na wojnę. Kiedy wyprawiali wesela. Być może, Panie Podporuczniku, wyda się to Panu mało oryginalne. I ja przypuszczam, że takie myśli przychodzą do głowy wielu z nas przy różnych okazjach, choćby w muzeum czy podczas zwiedzania zabytków. Ale kiedy Kwietka o tym mówiła, mrużyła oczy, a po chwili otwierała je szeroko, a czasami całkiem zamykała. Mogę powiedzieć, że zwyczaj zamykania oczu, kiedy się z kimś rozmawia, uważam za bardzo głupi i naprawdę niewiele rzeczy irytuje mnie bardziej niż to wykroczenie przeciwko dobremu wychowaniu. A jednak, Panie Podporuczniku, kiedy Kwietka zamykała oczy na parę sekund, to było zupełnie co innego, bo kiedy je potem otwierała, były jakby jeszcze bardziej zielone, większe, jakby bardziej syte. Przyznam, że nie zawsze rozumiałem to, co mówi, ale nie przerywałem jej nawet wtedy, gdy jej wywody były pozbawione rzeczowej, logicznej argumentacji.

Lubiłem na nią patrzeć. Na początku nie mogłem się z tym oswoić, było to jak rozwijająca się choroba, powolna rezygnacja z siebie – tylko jej słuchać, tylko ją obserwować, tylko się jej przypatrywać, tylko z nią być. Tak, kiedy mówiła, kochałem ją coraz bardziej. Po prostu – kochałem swoją żonę, nie było w tym nic oryginalnego, całkiem banalne uczucie.

Aż pewnego dnia przyszło mi do głowy – ważne rzeczy zawsze przychodzą człowiekowi do głowy pewnego dnia, przynajmniej tak się pisze – że istnieją języki, które jeszcze nie zostały zbadane. Jeden z nich zbadał profesor Hrozny. I wtedy pomyślałem, że ja też mógłbym rozpracować jakiś nieznaną język. Pamiętam, co wtedy powiedziała: „To byłaby sensacja!”. Byliśmy akurat na pływalni. Wiatr rozwiewał jej włosy i może ten widok sprawił, że to, co powiedziała, odebrałem jako zachętę. Pewnie chciałem jej zaimponować. Tak, na pewno, chciałem znaleźć się w świecie jej fantazji i wiatru w jej włosach. A także, choćby wydawało się to niemożliwe, muszę się przyznać do swojego ograniczenia – bo nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że na świecie mogą istnieć niezbadane języki. A przecież przez cały czas gwiazda profesora Hroznego jasno świeciła na firmamencie, w gazetach pełno było doniesień o jego odkryciach na Bliskim Wschodzie, przecież to wszystko rzucało się w oczy. A do mnie nie dotarło, że ciągle wiele języków stanowi zagadkę, nad którą łamią sobie głowy zastępy uczonych. Kilka razy byłem z Kwietą na odczycie naszego sławnego profesora. Siedziałem obok niej i patrzyłem na nią, a kiedy wychodziliśmy, z trudem próbowałem sobie uzmysłowić, o czym był ten wykład. Wiedziałem jedno: to, co czułem, to była zazdrość, uczucie, którego do tej pory nie doświadczyłem. Profesor zawłaszczył jej uwagę na całych czterdzieści

pięć minut. W drodze do domu była wesola i miła, miała świetny nastrój, ciągle się śmiała, a ja nie byłem w stanie na niczym się skupić. I wtedy pomyślałem: spróbuję rozszyfrować jakiś nieznany język! Razem spróbujemy. Jasne, że od razu zdałem sobie z tego sprawę, że zapuszczam się w sfery niebezpiecznych fantazji, ale bardzo mnie to pociągało. To była dziecinada, tak jakby marzyć o przechadzce w starych katakumbach albo wyruszyć na bezludną wyspę w poszukiwaniu skarbu. Dzisiaj wiem, chociaż wtedy nie dopuszczałem do siebie tej myśli, że czułem się trochę jak ojciec Faria i hrabia Monte Christo razem wzięci, do tego skrzyżowani z Henrykiem Schliemannem, odkrywcą Troi. Proszę, by nie osądzał mnie Pan zbyt surowo, Panie Podporuczniku. Chciałem tylko zaimponować kobiecie, czegoś takiego nie przeżyłem nigdy przedtem. Nigdy nie przejawiałem skłonności do fantazjowania i dlatego zapaliłem się do tego pomysłu. Tak więc spróbowałem dowiedzieć się czegoś o tym, w jaki sposób rozpracowuje się nieznane języki. Zataiłem to przed Kwietą. Nie miałem o tym zielonego pojęcia, co więcej, podejrzewałem, że nie będzie to miało nic wspólnego z obliczeniami statyki obiektów, które miałem w małym palcu. Po jakimś czasie upewniłem się za pomocą kilku niby przypadkowych pytań, że rozszyfrowanie nieznanego języka zrobiłoby na niej większe wrażenie, niż na początku przypuszczałem. Ciągle miałem przed oczami fotografię, którą widziałem w monografii o Schliemannie. On w czarnym garniturze, obok jego żona Sophie obwieszona liczącymi sobie tysiące lat klejnotami, które razem odkryli. Chciałem coś Kwiecie podarować, coś naprawdę niezwykłego, wspaniałego, co wykraczałoby poza granice moich zdolności, możliwości i sił. To naiwne i niedorzeczne, święta racja.

Starać się wyrazić miłość i życzliwość jest naiwne i niedorzeczne.

Wziąłem się do dzieła. Na początku ustaliłem, że wszyscy, którzy coś rozszyfrowali, byli fenomenalnymi językoznawcami. Ja nie byłem językoznawcą, tym bardziej fenomenalnym. Wszyscy znali też swój język ojczysty. Ja też go znałem. Wszyscy posługiwali się językami mocarstw europejskich – nieszczęsnym niemieckim, eleganckim francuskim, nieprecyzyjnym angielskim, czasem jeszcze martwą łaciną i greką, niektórzy do tego znali języki Starego Testamentu. Stopniowo odkrywałem bezmiar swojej głupoty. Lecz nie dawałem za wygraną, przecież wiedziałem, że to nie będzie łatwe. Najważniejszy jest system, powtarzałem sobie, system i logiczne myślenie. Jakoś przeoczyłem to, że między wierszami wspominało też o genialnej intuicji. Miałem nowego konika, nowe, wciągające zajęcie. Niestety w nasze życie, podobnie jak w życie dawnych Hetytów, wkroczyła historia. Żyliśmy w niezwykle ciekawych czasach: koniec wojny, dwa lata pędu na oślep ku demokracji, a potem komunistyczny pucz. Jeszcze trochę popracowałem, potem mnie zamknęli. Przyczyna dziś już nie jest istotna. Jakie to ma znaczenie, skoro zniszczyło to moje małżeństwo z jedyną kobietą, którą kochałem. Nie łudzę się, że w tej sytuacji i w moim wieku dałoby się jeszcze coś naprawić. Pragnę tylko jednego, żebyśmy mogli sobie wybaczyć. Albo raczej: żebym ja mógł wybaczyć, bo przecież w końcu nie mogę mówić w jej imieniu, chciałbym się wyzbyć goryczy, która zżera moje serce. Chciałbym przebaczyć. I Pana proszę o wybaczenie – niech Pan wybaczy starcowi, który swoją gadaniną zabiera Panu czas, a sam już od tego traci rozum. Kochałem tylko ją, taką rzecz dzisiaj uważa się za coś w rodzaju wady

materiału, ale ja jestem z innych czasów, tych, które odchodzą, a właściwie już bezpowrotnie odeszły. Ja jeszcze mogłem pozwolić sobie na luksus, by nie wybierać spośród wielu możliwości.

Zostałem aresztowany i przewieziony na przesłuchanie, a tam w pokoju przesłuchań spotkałem się z Hynkiem. On był po drugiej stronie, mój przyjaciel z tych najbliższych, mój partner od tenisa. Prawnik z wypranym mózgiem. Najpierw zaczął mnie namawiać, żebym coś podpisał, potem prosił, błagał i niemal płakał, kiedy mówił: Josefie, Josifku, przyjacielu, jeżeli nie zrobisz tego, o co cię proszę, to na moim miejscu pojawią się inni. A ci inni są tacy, jakby ich kto spuścił z łańcucha. Naprawdę, wierz mi, ja ich znam, a oni cię zniszczą. Nie przeżyjesz pierwszego przesłuchania, Josifku, obaj to wiemy, tego nawet największy bohater nie wytrzyma, a my nie jesteśmy bohaterami, jesteśmy zwykłymi ludźmi i partnerami od tenisa. I on, mój przyjaciel Hynek, miał rację. Całkowitą słusność. Ze mnie nigdy nie był żaden bohater, ale na początku niczego nie podpisałem. Tak, na początku, bo wtedy jeszcze do mnie nie dotarło, że nie chodzi tylko o mnie. Wszystko potoczyło się tak szybko, że w ogóle o tym nie pomyślałem. Byłem zupełnie zdezorientowany. I jeszcze miał rację, kiedy mnie ostrzegał przed tymi, którzy mieli go zastąpić. Naprawdę byli jak dzikie zwierzęta, które wyrwały się z klatki. Tylko zapomniał wspomnieć o jednym drobiazgu: że wykonywali jego rozkazy. Powoli w moich oczach zmieniał się z Hynka w kamiennego olbrzyma o imieniu Ullikummi. Ullikummi był ślepy i głuchy, żeby nie mógł dać się zwieść pięknu ani współczuciu. Narodził się w pewnym hetyckim micie – micie o Kumarbim, gdyby to Pana zainteresowało. W telegraficznym skrócie:

Kumarbi był ojcem wszystkich bogów. Potem stracił nad nimi władzę, mniejsza o to z jakich powodów, a po to, by tę władzę odzyskać, spłodził kilka monstrów. Jednym z nich był Ullikummi, który narodził się z zapłodnionej przez Kumarbiego skały. Ojciec umieścił go na barku Upelluriego, takiego naszego, powiedzmy, Atlasa. Ten Upelluri-Atlas był olbrzymem o ludzkich kształtach, który mieszkał w zaświatach i podtrzymywał swoim ciałem ziemię i niebo. I na nic nie zwracał uwagi, nie był niczego świadom, nie zauważył nawet tego, że kiedyś dawno temu ziemia została odcięta mieczem od nieba. A było to wydarzenie, które wstrząsnęło całym wszechświatem. Wydarzenie, które we wszystkich światach wzbudziło pragnienie, by rozpaść się na drobiny atomów. Wydarzenie, które bogom zaparło dech w piersiach i na chwilę zatrzymało serca. A ponieważ, Panie Podporuczniku, Upelluri alias Atlas nic wtedy nie poczuł, na jego ramieniu ojciec bogów usadowił swojego syna Ullikummięgo. Dopiero kiedy kamienny potwór zaczął rosnać, Upelluri-Atlas poczuł ból. Po piętnastu dniach potomek Kumarbiego wyłonił się z oceanu i sięgnął nieba, a wtedy spostrzegł go bóg słońca i kiedy o wszystkim opowiedział pozostałym bogom, ogarnęło ich straszliwe przerażenie. Wezwali boga burzy, ale nawet on był bezsilny. Jego siostra Isztar, która, jak możemy przypuszczać, była atrakcyjną kobietą, postanowiła, że Ullikummięgo uwiedzie. Jednakże ojciec giganta wziął to pod uwagę i dlatego spłodził go ze skałą, dlatego stworzył go ślepego, głuchego i niezdolnego do uczuć. Bóg burzy zarządził coś w rodzaju powszechnej mobilizacji i zwołał pod swoje chorągwie gromy, wichry, gradobicie a także wszystkie byki, których był właścicielem, ale nieszczęśnik został pokonany w bitwie razem ze swoimi siedemdziesięcioma

boskimi sprzymierzeńcami. Ullikummi rósł nadal i wkrótce zagroził pałacowi boga burzy – pałacowi, do którego nikt nie śmiał wkroczyć, o którym nikt nie odważył się nawet wspomnieć, podobnie jak o jego mieszkańcu, którego nigdy nie nazywano imieniem, tylko zawsze jakąś zagadkową parafrazą, aby go przypadkiem nie przywołać. W miarę jak Ullikummi rósł, jego cień zakrywał coraz większą część ziemi. Bóg słońca z obawy przed nim musiał zmienić swoją codzienną trasę. Wielkie połacie ziemi umierały, pozbawione światła słonecznego. Brak słońca spowodował głód, nędzę i śmierć, ale największy strach padł na bogów, nie na ludzi, bo bogowie mieli najwięcej do stracenia, a Ullikummi nadal rósł i rósł. Bogowie, tak, sami bogowie, byli bezsilni, więc nie pozostało im nic innego, jak udać się do boga mądrości Ea. Dzisiaj bez wątpienia zamówiliby analizę w jakiejś firmie doradczej, ale inne czasy, inne obyczaje, Panie Podporuczniku. Krótko mówiąc, bóg mądrości odkrył, że Ullikummi rośnie na ramieniu Upelluriego-Atlasa, i w starych przekazach odnalazł radę. Rada ta mówiła, że Ullikummi należy odciąć od Upelluriego-Atlasa tym samym mieczem, którym niegdyś została odcięta ziemia od nieba. Wszystko to stało się w Mezopotamii, w hetyckim micie przed tysiącami lat, a w moich uszach imię kamiennego potomka boga Kumarbiego, głuchego, ślepego i nieczułego Ullikummi, brzmiało tak niegroźnie, tak dźwięcznie, tak niewinnie – jak imię mojego byłego przyjaciela Hynka, tego świetnego tenisisty amatora, który, jak zasłyszałem, pewnego dnia ogłosił, że tenis jest sportem burżuazyjnym, i odtąd grał już tylko w tajemnicy, przyjaciela mojego i mojej rodziny, mojego druha Ullikummi. A później mój przyjaciel Ullikummi oświadczył mi nagle, że jestem nieszkodliwym wariatem, że

jestem zwyczajnym głupcem, ponieważ nie zrozumiałem, że w tym wszystkim w ogóle nie chodzi o mnie, lecz że jest to jakiś powszechny plan tyranii i zemsty, który już jest w toku, a w którym ja odgrywam nieistotną rolę. Tylko mi przypomniał, że jeżeli nie podpiszę i nie nauczę się na pamięć tego, co oni chcą, zainteresują się moją żoną, sprowadzą ją tutaj, i kto wtedy będzie się opiekował moją córeczką? Kiedy to mówił, stał odwrócony do mnie plecami, była wiosna, a przez okno widać było kwitnącą czereśnię. A ja wiedziałem, że rozsmakowuje się w efekcie, jakie wywołały jego słowa, w zgrozie, którą we mnie wzbudziły. Wiedział, że wystarczy tylko wspomnieć imiona dwóch osób, ot tak, niby przypadkiem zapytać: „Co tam u Kwiety i twojej ukochanej córeczki Alicji?”, a wtedy zrobię wszystko, czego zażąda, wszystko, czego oni zażądają. Wszystko. Tylko ciągle nie mogłem uwierzyć, że zmysły mnie nie mylą. W tamtej chwili zresztą mocno nadwerężone. Wtedy słyszałem już tylko na jedno ucho, bo jeśli ktoś strzeli człowiekowi z pistoletu przy samym uchu, to wywoła nie tylko ból, ale jeszcze pulsowanie krwi i trzęsienie ziemi, które rozbije mu ciało od kręgosłupa przez mięśnie aż po naczynia włosowate, które zaczną krwawić... Wówczas jeszcze nie mogłem uwierzyć, że to, co słyszę, to głos mojego przyjaciela Hynka, jego propozycja, jego szantaż, nie mogło to do mnie dotrzeć, bo nikt mi nigdy nie powiedział, że niepostrzeżenie zmienił się w Ullikummię. W kamiennego olbrzyma, który mnie niszczy, bo właśnie po to przyszedł, ślepego, głuche go i nieczułego Ullikummię, który nie ma pojęcia o miłości i pięknie, nie mówiąc już o współczuciu czy przyjaźni.

A więc mnie zamknęli. Siedziałem dziesięć lat. Do więzienia trafiłem, kiedy Alicja miała kilka miesięcy, a te dziesięć

lat leży mi kamieniem na sercu. Nie mogę odżałować, że nie widziałem, jak rośnie. Kiedy mnie wypuścili, miała już prawie jedenaście lat i szybko zmierzała ku dorosłości. I chociaż się starałem, nigdy nie udało mi się wynagrodzić jej tego czasu. Kiedy wróciłem, byłem dla niej obcym człowiekiem.

Ale jeszcze wcześniej, zanim ze wszystkiego zrezygnowałem, w tych chwilach, kiedy miałem jeszcze nieliczne strzępki nadziei, próbowałem ocalić swoje marzenie i dowiedzieć się czegoś, tyle, ile byłem w stanie zrozumieć, o starożytnych kulturach. Kiedy wyszedłem z kryminału, profesor Hrozny już nie żył. Wiedziałem, że próbował odczytać jeszcze jakieś inne pismo. Nazywało się pismo linearne B. Podobno nie udało mu się albo nie zdążył, ale jeszcze zanim mnie wypuścili, dokonał tego Anglik Ventriss, z zawodu architekt, w roku 1956. On architekt, ja statyk. Mogliśmy być kolegami. Tego wszystkiego dowiedziałem się po wyjściu z więzienia. Poza granicami naszego kraju czas płynął szybciej, u nas się zatrzymał. Już tylko z przyzwyczajenia wypożyczałem czasem książki o starożytności, w ramach luksusowego hobby. Chodziłem koło tego długo, ale w końcu przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby nauczyć się jeszcze jakiegoś języka, najlepiej światowego. Wybrałem francuski. Zacząłem powoli i muszę przyznać, że szło mi kiepsko. Rozumiałem gramatykę, znałem wyjątki i wymowę, ale kiedy zaczynałem uczyć się słówek, wpadałem w czarną dziurę. We wspomnienia, o których nie chciałem pamiętać. Ledwie zamknąłem oczy, żeby skoncentrować się na zapamiętaniu słówek, znajdowałem się na przesłuchaniu, w ciemności, w momencie, kiedy siedzę na metalowym krześle, oczy mam związane chustką nasiąkniętą moją zasychającą krwią, która ścieka mi po twarzy, i niemal nie oddycham.

Po jakimś czasie dałem za wygraną. Nie mogłem ciągle powracać do najgorszych chwil mojego życia. Przez całe studia trudnych rzeczy uczyłem się tak, że zamykałem oczy i czekałem, aż pojawią się przed nimi w postaci kolorowych obrazów, jak w soczewce obiektywu szerokokątnego. Teraz już tego nie umiałem. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zrezygnować z pragnień młodości i spróbować rozpaczliwie zdobyć na nowo miłość mojej żony.

Szanowny Panie Podporuczniku, nie mam pewności, czy to moje oświadczenie, czy też życiorys, okaże się do czegoś przydatne. W każdym razie pozostaję z nadzieją i całkowicie do Pańskiej dyspozycji.

Z najgłębszym szacunkiem,

Josef Czerny
(inżynier statyk na emeryturze)

Nieśmiertelność – wizja pierwsza

Wyjaśnienie cukiernika Marka Svobody, dlaczego jednym z przyjętych przez niego nazwisk jest Hitler, niezbyt zadowolilo doktora Antonina Lukavskiego. Rzecz jasna, w grę wchodzi tu skłonności paranoidalne przejawiające się w relacjach z kobietami i w ogóle w stosunku do całego społeczeństwa. Dalej można stwierdzić, że w głowie pacjenta – i tylko tam – zagnieździła się idea jakiegoś koszmarnego rozwoju nauki, który od strony technicznej w rzeczywistości nie mógł zaistnieć i nie zaistnieje również w przyszłości. Jedynie, co z tego wszystkiego nie budziło wątpliwości, to upodobanie pacjenta do niezwykłych historii. Doktor Lukavsky przez chwilę zastanawiał się także, czy pacjent mógłby mieć jakiś powód, by symulować chorobę psychiczną, lecz nie doszukał się prawdopodobnego motywu. Wraz z przyjęciem nowego pacjenta na oddziale zaszła pewna zmiana: wyrażnie poprawiła się jakość posiłków, dotąd raczej kiepskich. Cukiernik Marek Svoboda bardzo szybko zaznajomił się z kucharzem, a jedzenie, oprócz tego, że teraz pięknie pachniało, było także smaczne. Antonin nie mógł nie zauważyć, że pacjenci i personel, nie wyłączając jego samego, zaczęli sobie chwalić szpitalne posiłki. Jeśli zaś chodzi o Marka Svobodę, to po upływie kilku tygodni został wypisany do domu, ponieważ było jasne, że nie ma potrzeby, aby pozostawał na oddziale. Musiał tylko raz na miesiąc przychodzić na kontrolę do doktora Lukavskiego. Rozmawiali wtedy

o najróżniejszych rzeczach, a Antonin zauważył, że lubi te rozmowy. Marek Svoboda był prostolinijny, a to działało na Antonina ożywczo. Kilka razy zdarzyło im się dyskutować o sensie medycyny.

– Jaki ma sens medycyna? – pytał cukiernik.

– Zdrowie! – odpowiadał doktor.

– A co potem, kiedy odkryje się i usunie przyczyny wszystkich chorób?

– To jest problem czysto abstrakcyjny, który mnie nie dotyczy, ponieważ ja tych czasów nie dożyję.

– Ale co będzie dalej? – drażył Marek. – Wtedy ujawni się prawdziwa podstawa medycyny, którą jest marzenie o nieśmiertelności. Jestem tego niemal pewien, bracie – skwitował. Potem dodał: – Miałem o tym dwie wizje. Dwie wizje o nieśmiertelności. Dzisiaj opowiem ci tę, która przeniosła mnie bardzo daleko stąd, i w przeszłość. Za tydzień w czwartek będę miał coś do załatwienia w okolicy, wtedy opowiem ci tę drugą, która działa się tutaj, ale w przyszłości.

I zaczął:

Przemierzaliśmy wysokie góry. Ja, moja żona i mój młodszy brat, a także kilku krewnych, tragarzy, pomocników i służących. Sam już nie wiedziałem, czy jesteśmy kupcami czy uciekinierami. Różnica była trudna do określenia. Powiedziałem, że przemierzaliśmy góry, chociaż właściwsze byłoby stwierdzenie, że próbowaliśmy je ominąć. Przemierzać góry nie znaczy przeprowiać się przez nie. Roztropnie przemykaliśmy się ścieżkami i przesmykami, niczym mądre węże, przekupywaliśmy strażę, opłacaliśmy przewodników i omijaliśmy posterunki celne – staraliśmy się uniknąć pisanego nam losu, porywaliśmy się na niemożliwe: chcieliśmy przeżyć. Przemycaliśmy i sprzedawaliśmy różne towary,

handlowaliśmy, czym się dało, lecz starczało nam zaledwie na to, żeby nie umrzeć. Zmierzaliśmy do Persji i ciągle musieliśmy uważać, żeby nie trafić na jakieś wojsko. Chciałem z początkiem wiosny dotrzeć do Tebrizu w Persji, gdzie miałem umówione interesy jeszcze od zeszłego roku. W tym roku wyruszyliśmy nieco wcześniej, ale wiosna z młodego dziewczęcia zmieniła się w zgrzybiałą staruchę z twarzą pełną dziobów po ospie. Zima nie zamierzała odejść.

Dwunastego dnia naszej podróży zauważyłem, że moja żona wygląda na bardzo wyczerpaną i że ostatkiem sił utrzymuje się na koniu. Najpierw składałem to na karb kobiecych problemów, którymi Bóg wszechmogący obdarzył niewiasty z pewnością po to, by ukarać je za cierpienie, którego przysparzają mężczyznom. Potem jednak usłyszałem jej kaszel, który brzmiał, jakby ktoś łamał chrust na podpałkę. Jej oczy przygasły, granatowoczarne włosy straciły połysk, a ja się przeraziłem, czy zdołam odegnać od niej Azraela, anioła śmierci. Przez kilka nocy nie zmrużyłem oka, wsłuchując się w jej coraz słabszy oddech, kiedy zasypiała z głową na moich kolanach, i w końcu postanowiłem, że musimy zawrócić. Za późno. Znowu nadciągało parszywe wojsko innego mocarstwa, tym razem z przeklętej Europy, gnając przed sobą jak chmarę owadów kolejne fale ledwo żywych uciekinierów. Powrót na północ, do domu, był teraz niemożliwy, ponieważ Bóg, pod którego spojrzeniem powstają i giną gwiazdy, zesłał nam kolejny cios: barbarzyńcy chcieli znowu zawładnąć naszymi ścieżkami, naszymi górami, bogactwami znajdującymi się na naszej ziemi i tym, co skrywa się pod nią, a ja pragnąłem tylko jednego – aby Bóg, którego imię jest wieczne, zesłał na nich takie same nieszczęścia, jakich nie szczędził nam. Mój młodszy brat próbował sprowadzić lekarza

i mędrca, którego polecił nam mój przyjaciel, sprzedawca dywanów, jednakże kiedy dotarliśmy w umówione miejsce, zastaliśmy całą wioskę wyludnioną i spustoszoną przez ogień. Wstąpiłem do jednego, drugiego, trzeciego spalonego domu, po czym nakazałem dosiąść koni, mimo że moi ludzie mieli za sobą całodzienną wędrówkę i ich szemranie musiałem uciszyć kilkoma smagnięciami bicia. Nie pozwoliłem na to, by tracić czas na grzebanie ciał nieszczęśników, gdyż nie chciałem podzielić ich losu. Kazałem nabić strzelby, by nie oddać naszych nędznych żywotów zupełnie za darmo. Wołałem nie patrzeć na żonę, jechałem na czele i poleciłem bratu, by miał ją stale na oku i dał mi znać, kiedy jej siły będą bliskie wyczerpania, a anioł śmierci znajdzie się w zasięgu wzroku. W południe spotkaliśmy kilku innych kupców, którzy chętnie do nas dołączyli. Uradowałem się, bo nie znałem dobrze drogi. Gdy nadszedł czas modlitwy, przyszedł do mnie mój brat, by powiedzieć, że życie mojej żony zawisło na cieniutkiej jedwabnej nici nadziei, i dodał ze smutkiem, że jej włókna szybko się rozplatają. Usłyszał to jeden z kupców, którzy z nami podróżowali, i powiedział, że jego ojciec był lekarzem. Ponoć nauczył się od ojca tego i owego, więc poprosił mnie, bym mu pozwolił spojrzeć na chorą. Zaprowadziłem go do niej i wtedy po dwóch dniach znowu ujrzałem swoją żonę. Była piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem i umierała. Pozostawiłem przy niej kupca i wraz z bratem odszedłem, by zanieść modły do Boga, którego łaska jest bezgraniczna. Modliłem się i prosiłem o radę. Co robić? Okolica nieznana, na północy morderczy barbarzyńcy, na północnym wschodzie tysiące uciekinierów, do Tabrizu daleko, a jeśli zboczymy ze szlaku, wpadniemy w ręce jeśli nie zaciekłych i fanatycznych barbarzyńców z Europy, to kogo

innego. Nim zakończyłem powtórne modlitwy, przyszedł do mnie człowiek, który badał moją żonę, i powiedział, że jeśli natychmiast nie przerwiemy marszu, ona umrze przed upływem tygodnia. Jeżeli pragnę ją uratować, musimy natychmiast zejść w dolinę i rozpocząć leczenie. Ponieważ Bóg, który opłakuje nasze czyny, pokarał mnie gorącą i niezłomną miłością do mej cierpiącej żony, zdecydowałem się bez namysłu. Jeszcze tylko poradziłem się kupców, którzy znali te okolice, i nakazałem zboczyć do najbliższej doliny. Miało nas czekać zaledwie kilka godzin szybkiej jazdy, mogliśmy dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. W duchu podziękowałem Bogu, który zna wszystkie tajemnice naszych serc. Byliśmy gdzieś między Armenią i Persją. Najzdutniejszemu spośród moich jeźdźców oddałem najlepszego, swojego, konia i wysłałem go przodem. Bratu przykazałem, by pilnował mojej żony jak oka w głowie i ruszyłem w dół. Z trudem rozpoznawałem drogę, była usiana kamieniami i przez lata nikt jej nie używał. Każdej wiosny stawała się łożyskiem dla górskiego potoku. Wyglądała jak splątane kłębowisko węży. Miałem wrażenie, że nasze konie połamią sobie na niej nogi. Tak się nie stało. Nasze zwierzęta okazały się zręczniejsze niż jeden z moich sług, który runął w dół po zboczu. Po kilku godzinach natknęliśmy się na jego ciało, spoczywające u podnóża góry. Inny znów chciał skorzystać z tego, że przemieszczamy się w pośpiechu, i dyskretnie zawrócił, zatrzymując przy sobie kilka zwierząt. Najpierw zsiadł z konia i udawał, że nożem wydłubuje kamień, który utkwiał w kopycie, ale to jest zbyt stara sztuczka, żebym mógł się na nią nabrać. Co więcej, miał coś ciemnego w spojrzeniu, a kiedy przedtem z nim rozmawiałem, nie patrzył mi w oczy, lecz na guzy przy moim płaszczu. Człowiek, któremu

przestałem ufać, mógł liczyć już tylko na łaskę Boga, który jest bezgranicznie miłosierny. Tak więc poczekałem na jeźdźca za zakrętem, a kiedy nie nadjeżdżał, ruszyłem ku niemu. Zobaczyłem go, lecz nie odpowiedział na moje wołanie, tylko gnał zwierzęta w przeciwną stronę, z powrotem ku góróm. Moja kulka wyprawiła jego niegodną duszę z powrotem do Boga, który jest troskliwym ojcem wszelkich rzeczy na ziemi i niebie.

Nim słońce zaszło, znaleźliśmy się w dolinie i w oddali naszym oczom ukazała się wioska. Sądząc po domach, mogła liczyć około dwustu mieszkańców. Rozciągała się po obu stronach niewielkiej rzeki, nad którą wznosił się most. Na jego przęsłach były tak piękne ornamenty, że podobne widziałem chyba tylko w Bagdadzie, dawno temu, dokąd ojciec wybrał się w interesach i po raz pierwszy wziął mnie ze sobą w podróż. Teraz przede wszystkim musiałem znaleźć lekarza. W wiosce było ich nawet dwóch. Na początku żaden z nich nie chciał się podjąć leczenia, mówili, że ich zwyczaj zabrania im odwiedzać obcych po zachodzie słońca. Pokazałem im pieniądze, jeden z nich się skusił i poszedł do mojej żony. Drugi tylko wzruszył ramionami i zbierał się do odejścia, lecz chciałem mieć pewność, że moja żona będzie żyć, więc musiałem mu złamać kilka żeber, by zrozumiał, że swojego najdroższego kwiatu nie powierzę jednemu felczerzynie. Kiedy zmienili jej bandażę, napoili naparami z uzdrawiających roślin i natarli driakwiami, spostrzegli, iż wszystkie osoby drogie ich sercu zostały uwięzione w dwóch izbach gospody, w której stanąłem ze swymi ludźmi. Powiedziałem im jasno i wyraźnie, że jeżeli moja żona umrze, nie umrze sama. Więcej niczego nie musiałem wyjaśniać, tylko wieczorem podwoiłem strażę.

W nocy miałem sen, w którym czyniłem zabiegi, by ubłagać, a później przekupić Azraela, oferując mu po kilka lat mojego życia za każdy rok życia mojej żony. Rankiem w czasie obchodu spostrzegłem, że jeden z felczerów płucze w rzece pod mostem szal mojej żony. Rozgniewało mnie to wielce, ledwie mój brat zdołał mnie powstrzymać od tego, bym go nie zgładził na miejscu. To ma być kuracja? Szalałem z wściekłości! Dopiero z lamentów i rozpaczliwych krzyków rodziny lekarzy zrozumiałem, że woda w rzece pod okazałym zdobionym mostem ma moc uzdrawiania. Uwierzyłem w to dopiero następnego dnia, kiedy ujrzałem, że na gładkiej jak u niemowlęcia twarzy obitego przeze mnie felczera nie pozostał żaden ślad moich pięści ani butów.

Zanim wieczorem ległem do snu, cicho wstąpiłem do izby, w której leżała moja żona. Modliłem się za nią, nie wiedząc, co jeszcze mógłbym obiecać Bogu w zamian za jej życie. Własne życie już dawno Mu ofiarowałem, wydawało się wszak, że to za mało. Przez chwilę jeszcze snułem rozważania, po czym ruszyłem na przechadzkę ku podnóżu gór, aby skontrolować strażę. Następnego ranka czekałem pod jej drzwiami, aż się przebudzi, a kiedy usłyszałem, że nuci swoją ulubioną melodię, wszedłem do pokoju i ujrzałem, że jest uzdrowiona. Jej włosy lśniły, a policzki były zaróżowione tak jak zawsze, kiedy zdarzało mi się pocałować ją i objąć znienacka, oczy patrzyły wręcz zalotnie i, jak zawsze przedtem, z leciutkim błyskiem próżności. Niech będą dzięki Bogu, którego moc jest niezwyciężona. Zapłaciłem felczerom i uwolniłem ich bliskich. Kłaniali się do ziemi, bo takiej masy pieniędzy w życiu nie widzieli, jako że byli jeszcze większymi nędzaczami niż my. Po kilku godzinach powrócili do mnie, prosząc, bym przyjął z powrotem część

zapłaty. Powiedziałem im, żeby rozdali pieniądze biednym, a oni się zgodzili i odeszli z lżejszym sercem.

Pozostałem w wiosce ze swymi ludźmi i towarem jeszcze kilka dni, aż upewniłem się, że moja żona jest uleczona, po czym wyruszyliśmy ku jednej z dróg prowadzących przez najbliższą przełęcz na południe. Wyruszyliśmy o świcie, na drodze nie było żywego ducha oprócz syna oberżysty, którego najęliśmy za przewodnika, a który miał nas doprowadzić do przełęczy. Kiedy przejeżdżaliśmy przez most, nasze konie się spłoszyły. Wszystkie zaczęły stawać dęba, jakby diabeł w nie wstąpił, a kiedy spostrzegłem, że spłoszony deresz, którego dosiadała moja żona, lada chwila zrzuci ją z grzbietu, czym prędzej zeskoczyłem z konia i zdołałem ją pochwycić w tym skłębionym tłumie ludzi, zwierząt i towarów. Spojrzała na mnie z wdzięcznością, a w tej chwili jeden z koni uderzył mnie zadem i strącił z mostu do wody. Miałem szczęście – gdyby mnie kopnął, nie uszedłbym z życiem. Rzeczka pod mostem nie była głęboka, wdrapałem się na brzeg, wskoczyłem na konia i ruszyliśmy dalej. Po godzinie byłem suchy. Zauważyłem wszakże widoczną zmianę w zachowaniu naszego przewodnika. Kiedy zobaczył, że wpadłem do wody, przez jego twarz przemknęły oznaki śmiertelnego przerażenia.

– Jestem tutaj, siedzę w siodle cały i zdrowy, przyjacielu – mówiłem. – Nic mi się nie stało, tylko trochę się skąpałem w tej waszej uzdrawiającej wodzie.

Im bardziej zasmuconą miał minę, tym bardziej było mi do śmiechu. Jego wyraz twarzy sprawiał, że i mojej żonie unosiły się kąciki ust. Spytał, czy zanurzyłem się cały. Powiedziałem, że tak. Dopytywał się, czy z głową. Znowu przytaknąłem.

– W takim razie niech Bóg ci będzie miłościwy.

– Dlaczegoż to? – spytałem.

– Do rzeki wpływają wody z czterech potoków – odpowiedział. – Uczeni powiadają, że jest ona wszystkim, co pozostało z rajy, który według świętych ksiąg miał się znajdować na rubieżach naszych ziem, tutaj, w pobliżu granic Armenii. I dlatego – dodał głosem pełnym rozpaczony – woda z naszej rzeki daje nieśmiertelność. Z powodu zepsucia świata jej moc znacznie osłabła, ale ten, kto zanurzył w niej całe ciało, już pono nie ujdzie nieśmiertelności.

Zganiłem go za tę mowę, jako że człowiek może ujść mieczowi wroga, śmiertelnej chorobie czy kuli wystrzelonej z ukrycia, ale przecież nie nieśmiertelności.

– Boże, zmiłuj się nad nim, albowiem nie zna siły Twych czynów – powiedział nasz przewodnik, spuścił wzrok i wpatrywał się już tylko w kurz na drodze i pierwsze wiosenne kwiaty, które tu i ówdzie przebijały się przez resztki tającego śniegu.

– Zabobony – powiedział mój brat. – Nic tylko zabobony ciemnego ludu, który trzyma się starych wierzeń i nie wie o Bożym świecie, w którym wybuchają wojny i zmieniają się władcy.

I zaczął się śmiać, że ledwie utrzymał się w siodle. A ja śmiałem się razem z nim. Zabobony...

Dotarliśmy do przełęczy, przekupiliśmy strażę i przekroczyliśmy granicę. Byliśmy w Persji. Droga do Tebrizu stała otworem.

W Tebrizie kupiłem dom, moja żona powiła mi dzieci, poświęciłem się interesom i wraz z bratem handlowałem w całej Persji, a także w Turcji i Armenii. W mojej rodzinie zagościło szczęście, tak myślę. Pewnego razu na przedmieściach Bagdadu wdałem się w sprzeczkę z pewnym kupcem

na temat ceny kurkumy. Kupiec zaczął nam czynić wyrzuty, w końcu powiedział:

– Interes powinien prowadzić twój starszy brat, nie ty.

Roześmiałem się mu w twarz. Lecz następnego dnia na targu moje spojrzenie padło na jedno ze zwierciadeł wystawionych na sprzedaż... i skamieniałem. We włosach mojego brata pojawiły się siwe nitki. W moich nie. Jego włosy zaczęły rzednąć, moje były po dawnemu gęste. Na skórze mojego brata z dnia na dzień przybывało zmarszczek, moja pozostawała gładka. Tego dnia z duszą na ramieniu dosiadłem konia i zajeździłem go niemal na śmierć, i jeszcze kilka innych wierzchowców, zanim dotarłem do domu. Otworzyłem drzwi, powaliłem sługę, który wyrósł przede mną, i ostatkiem sił, których przydawało mi moje łomoczące serce, wpadłem do pokoju mojej żony. Porwałem ją na ręce, wyniosłem na taras i w pełnym blasku południowego słońca zacząłem liczyć jej zmarszczki. Najpierw się śmiała, potem się rozszlochała, nie mogąc pojąć sensu moich poczynań. Podobnie słudzy. Od tamtej podróży i choroby przybyło jej wiele zmarszczek. Miała zmarszczki, których jeszcze przed rokiem nie było, od śmiechu i od zmartwień, od strachu, zdumienia, od pewności modlitwy, od zacinania ust przy kochaniu i od swawolnych kobiecych pogaduszek. Potem wziąłem największe zwierciadło, jakie znalazłem w domu, i ukazałem mu swoją twarz. Znowu zamarłem. Jak zakłęty wpatrywałem się w swoje odbicie, a potem roztrzaskałem lustro. Przez te wszystkie jesienie moja twarz się nie zmieniła. Blizny, które zostały po ranach, zagoiły się bez śladu, nie byłem w stanie wskazać ich dawnych miejsc. Nie przybывało mi zmarszczek, byłem taki sam. Teraz już pojąłem, co się stało. Stałem się nieśmiertelny. Byłem przeklęty. Będę

świadkiem śmierci swoich bliskich, swojej ukochanej żony, zobaczę, jak zmienia się w starą kobietę, i mojej starości nie będzie dane spocząć w grobie u jej boku. Ujrzę swego brata, dzieci, swych przyjaciół i wrogów, jak zmieniają się w zastępy cieni, prowadzone przez Azraela. Tylko ja pozostanę taki sam, niezmienny, naznaczony klątwą. Oby Bóg, którego chwała nie ma końca, odpuścił mi pychę i zesłał na mnie cierpienie, którym zmyję grzechy. Oby Bóg, który jest wieczny, pozwolił, by mój czas się wypełnił.

W przypiływie smutku, który ogarnął moją duszę i zmuszał ją do jęku, pewnej bezsennej nocy wyznałem mojej żonie swoją straszliwą tajemnicę. Potem Bóg, którego wszechogarniająca miłość przerasta ludzkie pojęcie, zesłał na mnie ciężki sen bez wizji. Kiedy rankiem otworzyłem oczy, zrozumiałem, że mojej żonie noc upłynęła na czuwaniu. Domyśliłem się, że strzegła mego snu, broniła do mnie dostępu duchom ciemności i przywoływała na pomoc legiony aniołów. Następnego dnia jeszcze przed nastaniem świtu chwyciła mnie za rękę i poprowadziła do swego wuja, który mieszkał na przedmieściach. Opowiedzieliśmy mu naszą historię. Sączył herbatę i słuchał uważnie, a jego małe oczy gubiły się w sieci głębokich zmarszczek na twarzy. Ruchy miał opanowane, a jego skóra przypominała mi skórę afrykańskich słoni. Kiedy zamilkliśmy, spojrział na mnie smutno i powiedział:

– Mój synu, zbyt często obrażałeś Azraela. Można rzec, że twoja buta nie zna granic.

Poczułem się dotknięty i wstałem. Tylko mój szacunek dla sędziwego wieku powstrzymał mnie przed tym, by ubliżyć mu dosadnie i obrzucić go ciężkimi przekleństwami, takimi, spośród których porównanie jego duszy do duszy nędznego, parszywego, wałęsającego się psa byłoby obelgą

najłagodniejszą. Starzec spojrział na mnie z ukosa i zaczął się cicho śmiać. Potem polecił mi, bym podał mu kilka ksiąg i zwojów, po które sam już dawno nie mógł sięgnąć i do których od lat nie zaglądał. Otworzył księgi i rozwinął zwoje wypełnione dziwnymi literami, zagłębił się w lekturze, a na nas przestał zważać.

Właśnie zaczęło wschodzić słońce, a moja żona uśmiechnęła się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Powiedziała, że zawsze był taki, pamięta, że zawsze pochłonięty był księgami i po to, żeby dzieci go nie rozpraszały, nauczył się przyrządzać słodkie ciasteczka o delikatnym smaku, najlepsze w całym sąsiedztwie. Jeśli dzieciaki były grzeczne i nie przeszkadzały, pozwalał im siedzieć w pokoju i bawić się cichutko, a potem rozdawał im ciasteczka. Jeśli zaś rozrabiały, też dostawały słodycze, ponieważ wuj nie potrafił im odmówić. Podobno nigdy się nie ożenił, zresztą która kobieta zechciałaby takiego biedaka, co tylko siedzi w książkach i żyje z łaski i szacunku innych ludzi? Ale wszystkie dzieci w okolicy go uwielbiały. Tego dnia przesiedzieliśmy wiele godzin w jego ubogim domostwie. Nanosiłem mu wody, starając się odegnać ciężkie myśli niczym komary, a pod wieczór, kiedy właśnie zamierałem zapalić lampy, wuj nagle wstał i gwałtownie zamknął jedną z ksiąg. Spojrział na mnie i rzekł:

– Twoje strapienie nie jest dokładnie poznane ani opisane przez uczonych, ale wyjaśnię ci, co się stało. Otóż święte księgi mówią, że raj rzeczywiście znajdował się w Armenii. Zdaje się, że to, co powiedzieli ci mieszkańcy wioski, jest prawdą. Jak być może wiesz, nasza wiara, a także wiara barbarzyńców oraz chrześcijańskich psów pozwala marzyć o rajach. Tam nasza dusza dozna wyzwolenia z jaskini mroku i nieświadomości, tam chcemy się spotkać z Bogiem, którego chwala

będzie trwać przez wieki. Nawet ta dziwna prastara wiara, która nie zna Boga, a której twórca dostał oświecenia, zapewne olśniony boską skrą w jelenim zagajniku gdzieś w Indiach, ma we wspomnianej przez ciebie okolicy swoje świątynie. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że w tych legendach mogłoby się znaleźć ziarno prawdy.

A potem wuj zaczął opowiadać o różnych rodzajach aniołów i bramach prowadzących z jednego nieba do drugiego. O raju, do którego może dostać się tylko ten, kto jest odpowiednio przygotowany. Pokazywał mi nasze święte księgi oraz święte księgi pogan i barbarzyńców. Wyszukiwał podobieństwa między tym, co mi się przydarzyło, a historiami opowiedzianymi przez różnych proroków, nie tylko naszych, wskazywał zgodności oraz sprzeczności, które zmieniały się w Boski ład pośród takich – przynajmniej w mojej opinii człowieka ubogiego, nieuczonego i ograniczonego – obcych sobie rzeczy, jak zapomniany i usychający kwiat na targowisku, pierwsze spotkanie kochanków czy oświecenie świętych mężów. Słuchałem tego wszystkiego uważnie, w zdumieniu i przerażeniu, byłem pod wrażeniem jego wiedzy, lecz nie mogłem pojąć, w jaki sposób się to wiąże z moim nędznym losem, nie wiedziałem, gdzie w tym wszystkim znajduje się mój kismet. Mój duch słabł, a beznadzieja coraz większym ciężarem kładła się na moim przygarbionym grzbiecie. Wuj stał z boku, tyłem do nas, i ze wzrokiem utkwionym w ogrodzie opowiadał coś o Razjelu, aniele, który jest najbliższym Bożym sługą, oddzielonym odeń zaledwie cienką zasłoną. Chociaż moja żona nie odezwała się ani słowem, odpowiedział jej, wciąż zwrócony do niej plecami:

– Masz rację, dziecinko, wiem, wybacz staremu wujowi, rozmiłowanemu we własnym krasomównie. Tak więc –

zwrócił się do mnie – powiedz, co pojmujesz najlepiej, a ja spróbuję pomóc tobie i mojej dziecince.

Nie wiedziałem, co na to odrzec. Chciałem wyznać, że najlepiej pojmuję zasady rządzące kupiectwem. Skinął głową, choć nawet nie otworzyłem ust. Zamierzałem powiedzieć, że ostatnimi czasy największym popytem cieszą się nowe rodzaje strzelb, a zanim zdążyłem to wysłować, potrząsnął głową z niezadowoleniem. Potem oświadczyłem:

– Jestem najlepszym kupcem korzennym jak nasz kraj długi i szeroki. Skupuję i sprzedaję anyż, badian, estragon, galgant, kardamon, liść laurowy, kurkumę, kolendrę, gałkę muszkatołową, sumak, imbir, szafran i hyzop. Lubię zapach korzeni, tak samo, jak lubię brzęk pieniędzy, które mi przynoszą.

– Co powstanie – zwrócił się do mnie z pytaniem – kiedy pomieszasz ostrą paprykę, biały pieprz, kozieradkę, kurkumę, kolendrę i kardamon?

Zaśmiałem się.

– To skład mieszanki kari, wie to każde dziecko.

– Tak – skinął głową. – Twoja natura ma zbyt wiele domieszki ostrej papryki i cholerycznego pieprzu. Jesteś, łagodnie mówiąc, w gorącej wodzie kąpany i nieraz stanąłeś na ścieżce Azraela. Prawdopodobnie stało się to w pobliżu tej krainy, która jest dawnym rajem, a raczej tym, co po nim zostało. Czy odczuwałeś wyrzuty sumienia, kiedy zabiłeś sługę, który chciał cię okraść?

Jego pytanie było jasne, moja odpowiedź również.

– Rozumie się, że nie! – wykrzyknąłem. – Gdyby było inaczej, czy mógłbym prowadzić interesy? Czy mógłbym wszystkiego dopilnować? Czy mógłbym zapewnić byt mojej rodzinie? Czy mógłbym?

Starzec spojrział na moją żonę, wzruszył ramionami i rzekł:

– Nazbyt wiele ognia, dziecinko, nazbyt wiele. Kiedy zstąpiliście w dolinę drogą, która przypominała kłębowisko węży, a która, zapewne ku twemu wielkiemu zdziwieniu, jest opisana w jednej z ksiąg, które swego czasu zakupiłem w Medynie – ciągnął wuj – przekroczyliście dawną granicę Edenu, ziemi, na której niegdyś znajdował się raj. Tam właśnie zabiłeś swego sługę, a to spowodowało na twoją głowę klątwę, której nie możesz się pozbyć. Anioł śmierci kazał ci się zanurzyć w żywej wodzie i w ten sposób zemścił się na tobie. Trzeba przyznać, że wykazał się swego rodzaju dowcipem czy raczej ironią.

Jego słowa docierały do mnie z trudem, ale postanowiłem mu nie przerywać.

– Twoją ostatnią szansą – podjął – ostatnią i jedyną szansą jest skrucha.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że już nigdy nikomu nie odbierzesz życia, to znaczy, że okiełznasz swoją porywczosć i użyjesz jej by pomagać tym, którzy są bezsilni i na których Bóg zesłał cierpienie.

– Czy chcesz, żebym popadł w nędzę i zostałem żebrakiem?! – zapytałem podniesionym głosem.

– Dopóki będziesz postrzegać rzeczy jako ich przeciwieństwa, nie będzie dla ciebie ratunku – odpowiedział i zwrócił się do mojej żony: – Pomóż mu, dziecinko, o ile nie jest już za późno.

Spojrzałem na jego twarz i zrozumiałem, że mamy już odejść.

Po kilku dniach wysłałem do starca swego brata z zapytaniem, co to wszystko znaczy i co mam robić. Niech wyłoży

rzecz jasno, ja jestem tylko prostym kupcem, a nie uczonym, tak jak on. Odpowiedź brzmiała: „Wyzbądź się wszystkiego, co kochasz”. Po kilku dniach zmagania ze sobą i wzburzenia, wręcz gniewu, podarowałem swojego najlepszego, najbardziej skoczego ogiera zarządcy miejskiego sierocińca, żeby go sprzedał, a zyskany pieniądz przeznaczył na odzienie i jadło dla dzieci. Ten sprzedał mojego ulubieńca z wielką stratą, a kiedy dowiedziałem się o tym, ogarnęła mnie taka wściekłość, że natychmiast zapragnąłem się z nim rozmówić. Wpadłem do izby, w której siedział pochylony nad tymi swoimi żalosnymi rachunkami, i już zamierzałem porządnie zmyć mu głowę, bo za rumaka czystej krwi mógł żądać co najmniej o jedną trzecią więcej, niż uzyskał, ale przeszkodziły nam dzieci, które nagle wbiegły do pokoju: dziewczynka gonila brata, który uciekał przed nią z jej chustką. Najpierw go prosiła, a później spróbowała odebrać mu zdobycz. Ale chłopiec był o głowę od niej wyższy, a jeszcze do tego stanął na palcach, powiewając chustką wysoko nad głową. Jego siostra nie mogła jej dosięgnąć. Zarządca skarcił dzieci, odebrał chłopcu wyblakły kawałek materiału i oddał go dziewczynce, po czym wygnał oboje na dwór.

– Znasz te dzieciaki? – zapytał. – Nie znasz? Podobno jakiś czas temu ich najstarszy brat towarzyszył w podróży przez góry pewnemu kupcowi. I zaginął bez wieści. Dzieciaki miały tylko jego, ich rodzice zmarli już dawno, a potem i on ich opuścił, tak więc zostały same na świecie.

Zakręciło mi się w głowie, a kiedy opadłem na ławę, zorientowałem się, że zarządca mnie podtrzymuje. To były dzieci mojego sługi, który chciał mnie okraść i którego zabiłem bez wahania. Zarządca coś mówił, ale jego słowa nie docierały do mnie, widziałem tylko, że porusza

ustami i patrzy bezradnie. Doszedłem do siebie, dopiero kiedy wlał mi do ust filiżankę herbaty. Wróciłem do domu, a następnego dnia podarowałem mu pieniądze na jego przytułek. Po kilku dniach znowu do niego zajrzałem i dokładnie go wypytałem, czy mógłbym adoptować te dzieci, brata i siostrę człowieka, którego zabiłem. Rozpromienił się i powiedział, że wszystko, co o mnie słyszał, to nieprawda, że moja dusza wcale nie jest twarda jak kamień. Zobaczyłem, że w jego twarzy można czytać jak w księdze, że maluje się na niej każde drgnienie jego duszy, i doszedłem do wniosku, że mojego czystej krwi ogiera wcale nie sprzedał tak tanio. Potem uznałem oficjalnie dzieci mojego sługi za swoje, a ponieważ były starsze niż te, które wydała na świat moja żona, sporządziłem zapis, by dostały największą część mojego majątku, gdyby Azrael zmienił swoją decyzję i pewnego dnia pozwolił mi umrzeć. Później moja żona powiedziała mi, że przez kilka nocy krzyczałem przez sen takie rzeczy, jakich nigdy w życiu nie mówiłem, i że ponoć powtarzałem słowa „wina” i „wstyd” i prosiłem o wybaczenie. Niektóre z tych snów pamiętam do dziś, były ciężkie jak Boża sprawiedliwość, która miażdży nas tak, jak my miażdżymy oliwki w drewnianych prasach. Po kilku miesiącach usłyszałem rozmowę dwóch moich sprzedawców w składzie kobierców. Jeden z nich mówił do drugiego:

– Nasz pan w ostatnich tygodniach bardzo się postarzał.

Nigdy się nie dowiedzieli, dlaczego dałem im tydzień wolnego, a jednemu z nich ufundowałem posag dla córki.

Pewnego dnia wybrałem się do wuja mojej żony. Zastałem pusty dom. Sąsiedzi oznajmili, że wybrał się w podróż gdzieś ku granicom Armenii, by zakupić jakieś święte rękopisy. Moja żona, która czasem go odwiedzała, by oporządzić dom

i przygotować jadło, powiedziała, że u sąsiadów zostawił dla nas list. List był przepięknie wykaligrafowany, do dziś nie widziałem piękniej wyrysowanych liter. Wuj życzył mnie i mojej żonie, którą nazywał swoją dziecinką, dobrego życia i wyrażał radość, że mój żywot, jak słyszał, powrócił w utarte koleiny. A potem zwyczajem starych ludzi rozwodził się o czasach, kiedy moja żona bawiła się z innymi dziećmi w jego pokoju. O czasach, kiedy pycha kazała mu wierzyć, że zdoła uchylić zasłony, która zakrywa Boże zamysły. Teraz wszak pojął, że nasze losy skłoniły nas do tego, by wyruszyć w nieznane.

Niedawno przyłapałem się na tym, że sam zaczynam rozpamiętywać czasy własnej młodości, o czym zresztą świadczy ta opowieść, a tak czynią ludzie starzy lub chorzy. Jestem bowiem starym i chorym człowiekiem, który już tylko czeka na to, by przyszedł po niego Azrael. Chcę wierzyć, że przyjdzie w porze dojrzewania oliwek i że jeszcze zdążę zadbać o tegoroczne zbiory.

Doktor Lukavsky, słuchając tej historii, sporządził kilka notatek. Następnego dnia zaszedł do biblioteki i na stole przed sobą ułożył kilka tomów *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*. Zaczął od spisu treści, potem przestudiował indeks. Potem zatrzymał się przy tytułach poszczególnych historii, a niektóre z nich przeczytał. Nigdzie nie znalazł zasłyszanej opowieści. Po godzinie stwierdził, że nie może już dłużej wertować książek, bo spóźni się do szpitala. „Najwidoczniej ją przeoczyłem” – pomyślał. – Na pewno. Ta historia musi stąd pochodzić”, skwitował swoje poszukiwania Antonin, a nawet pracy nie pozwolił mu zająć się dokładniej źródłami fantazji cukiernika.

Igraszki miłosne

Kiedy zabrali Josefa z powodu oskarżenia o działalność wywrotową, Alicja miała dokładnie trzy miesiące i cztery dni. Kwietka nie wiedziała, co ma robić, dokąd pójść, czuła tylko, że natychmiast musi coś przedsięwziąć. Zupełnie jakby szybkość działania, natychmiastowy ruch, niepowstrzymany jak wzrost wiosennych kielków, dawał jakąś nadzieję. Wzięła dziecko i poszła do matki. A kiedy zobaczyła, jak przed nią stoi, taka stara i zagubiona, zrozumiała, że musi myśleć nie tylko o wyciągnięciu Josefa z więzienia, ale i o matce. Babcia przewinęła niemowlę, wyglądała przy tym na spokojną i pogodzoną z losem. Kwietka opowiedziała, jak po Josefa przyszli jacyś trzej, kazali mu wziąć dokumenty, a jej nie pozwolili nawet go dotknąć. Kiedy zignorowała ich polecenie i chciała go objąć, jeden z nich stanął pomiędzy nimi i gwałtownym ruchem rozłożył ręce na boki. Wtedy Kwietka po raz pierwszy poznała do tej pory nieznaną strach. Jej argumenty, usprawiedliwienia i gorliwe wyjaśnienia nie wywoływały żadnej reakcji. Sytuacja była tym trudniejsza, że właściwie nie było wiadomo, przeciwko czemu trzeba argumentować, co usprawiedliwiać i wyjaśniać. Prośby nie odnosiły żadnego skutku. A potem po prostu go zabrali. On, jej mąż, o dziwo zachowywał się spokojnie i był posłuszny. Jakby chciał, żeby już go zabrali, jakby chciał z nimi pójść. Jakby pomiędzy nim a tymi, co po niego przyszli, istniały jakieś nieznanne więzy. Jakby... Zabrali go i więcej go nie zobaczyła. Jeszcze zbiegła za nimi

po schodach, chociaż Josef wykonał nagle ostry ruch głową na znak, że ma zostać, jakby wiedział coś, co dla niej miało pozostać tajemnicą. Ale na dole przy drzwiach wejściowych dobiegł ją z góry płacz, i ten dźwięk, wydawany przez struny głosowe jej dziecka, odcisnął się jej w sercu, w duszy, a może w mózgu, przywrócił jej trzeźwość myślenia, przesłonił ból i już odczuwalną tęsknotę za Josefem. Tęsknotę, jak śmiały, rezolutny, wręcz zuchwały gość, który już się zgłosił w recepcji, wymachując dokumentami, już plasnął nimi o kontuar i wyciągnął z zanadrza listy polecające niczym atuty w grze z góry skazanej na przegraną, i w ogóle mu nie przeszkadza, że poprzedni gość jeszcze się nie spakował i nie wyprowadził, nie oddał kluczy i że pościel jeszcze nie została zmieniona. Tak więc mogła z jasnym umysłem i spokojnie patrzeć na to, jak jacyś trzej wyprowadzają Josefa, którego miejsce na długo zajęła tęsknota. Płacz dziecka zmusił Kwietę, by wbiegła po schodach do mieszkania i chwyciła małą na ręce, potem szarpnęła zasłonę i wyjrzała przez okno, spojrzała tam, gdzie musiał stać ich samochód z jej Josefem. Ale już ich nie było. Potem matka zaczęła mówić, że jest już przecież pięć lat po wojnie, myślała, że wreszcie będzie spokój, że przecież wszyscy są Czechami i że porządnemu, uczciwemu człowiekowi nic nie może grozić, że przecież nic nie może mu się stać.

Kiedy dziecko usnęło, Kwietka wyszła z domu. Nawet nie pożegnała się z matką. Dopiero na ulicy uświadomiła sobie, że nie wie, gdzie ma szukać Josefa. Do zmroku chodziła po mieście, chociaż nie miała z kim ani gdzie chodzić, ani nie miała celu. Kiedy zaczęły zapalać się latarnie, spojrzała przed siebie w górę i ujrzała pomnik świętego Wacława w otoczeniu czterech świętych mężów. Za nim wznosił się budynek Muzeum Narodowego, zapełniony skamielinami

i innymi okazami, wypchanymi ptakami i szkieletem wieloryba. Na placu Wacława Kwiety patrzyła na patrona czeskich ziem, który za plecami miał ogromne pozłacane pudło z tym wszystkim, co niegdyś złupiono i wydarto naturze. Potem usłyszała, że gazeciarz coś do niej mówi. Wzięła od niego popołudniówkę, zapłaciła i schowała portmonetkę. Znowu usłyszała jego głos i postanowiła przed nim uciec. Skręciła w ulicę Krakowską i weszła do pasażu. Nagle ktoś chwycił ją za ramię. Obejrzała się. Za nią stała jakaś starsza pani.

– Panienko! Upadła paniencie gazeta. Gazeta...

– Nie jestem panienką – odpowiedziała Kwiety. – Jestem mężatką, proszę pani.

– Upuściła pani gazetę – powtórzyła kobieta, podając jej dziennik. Kwiety podziękowała skinieniem głowy. Gazeciarza już nie było słyhać. Otworzyła gazetę. Na pierwszej stronie były wyniki spisu powszechnego. Tytuł głosił, że według stanu na dzień 1 marca 1950 roku w Czechosłowacji było 12338450 mieszkańców, w tym 8896233 na ziemiach czeskich. Kwiety szła spokojnie pasażem, nie myśląc o niczym. Wyszła na ulicę i znowu spojrzała na liczby w gazecie. Jak to w ogóle da się policzyć? Taka wielka liczba. Tyle osób. Tyle osób przecież nie można odwiedzić? Zamyśliła się. Na pewno zajmuje się tym jakiś specjalny urząd. A którym numerem jestem ja? Jakie numery mamy my troje – ja, Josef i Alusia? W końcu doszła do wniosku, że są tą ostatnią trójką. Na pewno. I bez wątpienia od liczenia obywateli jest jakiś urząd.

Po kilku dniach zajrzała do niej matka. Jeszcze w drzwiach podała jej kartkę, na której napisała swoim kanciastym, babcinym charakterem pisma: Hynek Jansky, adwokat. Ulica, numer domu, a niżej nazwa jakiegoś urzędu.

– On nam na pewno pomoże – powiedziała, wieszając płaszcz. – Na pewno nam pomoże – powtórzyła, wchodząc do kuchni. – Zawsze miał do ciebie słabość – dodała i zajęła się wnuczką.

Kwieta wiedziała, że Josefa aresztowano za coś, czego z pewnością nie mógł zrobić. No bo jakie przestępstwo mógłby popełnić, skoro cały czas spędza jeśli nie w domu, to w biurze, gdzie zajmuje się jakimiś obliczeniami. Inżynier statyk, jak mówił, to taki fachowiec, którego komuniści też będą potrzebować, ponieważ statyka, droga Kwietuszek, statyka to nauka, która ma zastosowanie w budownictwie i nie ma nic wspólnego z polityką. Chodzi w niej o to, żeby nie zawaliły się domy, żeby nie zawaliły się mosty, zapory, wieże i fabryki. Żeby to wszystko stało i nie zaważyło się. Tak mówił, ale teraz nie była już tego pewna. Kilka razy przyłapała się na myśli, chociaż zawsze starała się od razu wyrzucić ją z głowy, że być może możliwe jest to, co uważała za niemożliwe, że Josef mógł się mylić, że może na tym swoim pięknym, nowiutkim, plastikowym suwaku logarytmicznym po prostu się przeliczył.

Tak więc Kwieta stoi teraz przed doktorem obojga praw, kolegą i przyjacielem Hynkiem Janskim. Zdolnym tenisistą, niegdyś członkiem tego samego klubu tenisowego co Josef i Kwieta. A on, Hynek, uśmiecha się do niej i ma na sobie jak zawsze doskonale skrojony garnitur w delikatne prążki. Na stole w jego gabinecie stał wazonik z prymulką. Przy małym biurku w rogu pokoju siedział jakiś chłopak, pewnie sekretarz, właśnie wstał z papierami pod pachą, a Hynek dał mu znak, żeby wyszedł. W ten sposób Kwieta po kilku dniach bezskutecznego poszukiwania męża trafiła do Hynka, co w tych niepewnych czasach uznała za najlepszą rzecz, która mogła jej się przydarzyć.

– Kwietuszek, wejź, nie stój w drzwiach – powiedział i uściskał jej dłoń, krótko i mocno. Dłonie miał suche i pachniał wodą kolońską. Uściskał jej dłoń krótko, mocno i sympatycznie. A potem, kiedy jego sekretarz, pisarz, czy kto to był, zamknął za sobą drzwi, kiedy sprężyna w zamku zaskrzypiała i szcęknęła, szybkim ruchem przybliżył jej rękę do swoich ust, jakby chciał złożyć na niej pocałunek, jak na przedwojennych filmach, ale nie pocałował jej, ponieważ komuniści byli już drugi rok u władzy, a taki burżuazyjny zwyczaj należy uznać za głupi i kompromitujący, no i, trzeba przyznać, również niebezpieczny. Wyszedłby na jakiegoś burzuję czy zwolennika podejrzanych, wyrafinowanych obyczajów, już lepiej byłoby po prostu pocałować ją w usta.

Nic się nie zmieniła, prawie nic, pomyślał Hynek. Może trochę przytyła po dziecku. Jego sekretarz i pisarz zarazem, zanim wyszedł, skłonił się komisarzowi oraz nieznanemu mu, ale z pewnością znanemu komisarzowi kobiecie o ciemnozielonych oczach. Miały taki odcień zieleni, że zaparło mu dech. Dobrze, że nie musiał nic mówić, bo z pewnością by się zająknął. Ukłonił się, zamknął drzwi i wyszedł, by zapisać w swoim na wpół oficjalnym dzienniku, że towarzysza komisarza doktora praw Hynka Janskiego odwiedziła dziś pewna na oko dwudziestoosmioletnia kobieta. Jej nazwisko wyszukał pośpiesznie u strażnika w zeszycie ewidencji osób wchodzących, gdzie owa zielonooka brunetka w podejrzenie eleganckim kostiumie wpisała się jako Kwietka Czerna. W sąsiedniej kolumnie podała swoją datę urodzenia, a sekretarz poczuł satysfakcję, że nie pomylił się co do jej wieku.

Tak więc kiedy za sekretarzem zamknęły się drzwi, Hynek z trudem zapanował nad sobą, by nie unieść jej ręki do ust i nie pocałować, jednak niemiłosierna samokontrola, której

poddawał się bez dyskusji i która go krępowała, lecz jednocześnie swego czasu uczyniła z niego niebezpiecznego przeciwnika tenisowego, wzięła górę i nie dokończył ruchu. Tylko jakby lekko pocałował powietrze, a jego wargi zatrzymały się dokładnie trzy centymetry i siedem milimetrów ponad jej palcami. Uśmiechnął się i pomyślał, że jednak przytyła po dziecku. Kiedy podnosił wzrok znad jej dłoni, dostrzegł kragłe kształty jej ciała z dwoma wzniesieniami piersi, skryte pod ubraniem jak ziemia pod śniegiem.

Podsunał jej krzesło, usiadła, a on przyciągnął drugie dla siebie, tak by stały obok. Potem pozwolił jej mówić. Jej mąż został aresztowany, tak, i umieszczony w areszcie śledczym, lecz słowo „śledczy” nic nie znaczyło, na tronie w Kremlu siedział wujek Józef Wissarionowicz, a wyrażenie „w areszcie śledczym” znaczyło tyle, że Josef był w więzieniu. Nic więcej i nic mniej. Powiedział, że zrobi wszystko, żeby się czegoś o Josefie dowiedzieć. Nie wspomniał o tym, że jego chłopcy już go wzięli w obroty. Powiedział, że spróbuje i że nie może jej nic obiecać. Wszystko to ze szczerym, poważnym wyrazem twarzy, który jednak nie mógł zamaskować radości z tego, że ją znowu widzi.

W końcu mógł się cieszyć, że tuż przed wojną odrzuciła jego propozycję małżeństwa. I tak ciągle przesiadywał na zebraniach, nie miałby czasu na rodzinę. Trochę irytowało go to, że odrzuciła go z powodu Josefa. Czekala, żeby Josef wreszcie się zdecydował poprosić ją o rękę, a przecież on, Hynek, oświadczył jej się rok wcześniej. Był to zgrzyt. Tak, nieprzyjemny zgrzyt. Hynek był szczery i nie okłamywał jej. Może tylko... parę rzeczy przemilczał. Na przykład to, że jego chłopcy dali Josefowi porządnie do wiwatu. Nie on! Jego chłopcy. I to nie on ją odszukał. Nie zrobił tego błędu.

Począł, aż ona znajdzie do niego drogę. On zawsze interesował się Kwietą. Ale ona nim – nie. Dla niej ten rozdział zamknął się przed wojną. Dla niej! Ale nie dla niego.

Gdyby przynajmniej nie był to jego najbliższy przyjaciel. Josef, ten który nie miał pojęcia o kobietach. Przyjaciel niezguła. Przyjaciel Josef. Gdyby to nie był Josef, łatwiej byłoby mu przełknąć, że dostał od Kwiety kosza.

Kiedy Kwietka wychodziła z jego gabinetu, z ulgą pomyślała, że Hynek nie skorzystał z sytuacji, żeby zaprosić ją na obiad, kawę czy coś mocniejszego, że nie zamierzał wspominać starych, przedwojennych czasów i widocznie już się z tym pogodził, że od kilku ładnych lat jest żoną innego mężczyzny. W końcu wszyscy byli kiedyś przyjaciółmi.

Hynek otworzył przed nią drzwi na korytarz, wyszła, a on za nią zamknął. Potem rozłożył ręce na boki i z całej siły przywarł nimi do drewnianej żółtawej futryny. Jakby chciał chwycić i objąć drzwi. Cicho, żeby nie było słyhać po drugiej stronie, osunął się powoli na kolana. Potem mimowolnie zaczął głaskać krzesło, na którym siedziała Kwietka, i musnął wazonik, którego ona bezwiednie dotknęła. Przesunął po nim dłonią, potem jeszcze raz, i znowu, aż poczuł, że ogarnia go odurzenie. Dotykał wazonu i uśmiechał się błogo. No widzisz, Kwietuszek, idzie nam jak z płatkami. Jak po maśle. Ale tym razem wszystko ułoży się tak, jak ja będę chciał, mój skarbie. Jak ja będę chciał.

Ludzi zamykano teraz, jakby to była taśmowa robota, jednego po drugim. Pasy transmisyjne wprowadzono w Stanach Zjednoczonych w fabryce Henry'ego Forda przy produkcji samochodu Ford „T”. Od tej pory praca przy taśmie bardzo się zmieniła. Ford, podręcznikowy przykład kapitalisty, taśmową produkcję swoich samochodów doprowadził do

perfekcji. Ponieważ lakier w tęczyowych kolorach sechł na samochodach zbyt wolno, przez co proces produkcji wydłużał się i stawał bardziej kosztowny, Henry wypowiedział zdanie, do którego zwolennicy kapitalizmu odnoszą się z taką czcią, jak wyznawcy buddyzmu zen do paradoksalnych koanów: „Możecie dostać nowy model swojego auta w dowolnym kolorze, pod warunkiem że będzie to kolor czarny”. Świadczy to o tym, że Henry osiągnął wyższy stopień wtajemniczenia niż ci, którzy w głuszy bambusowych lasów próbowali zgłębić tajemnicę klaskania jedną dłonią. Zwolennicy kapitalizmu uchylają kapelusza przed mistrzostwem Henry’ego, dla którego objawieniem stała się kalkulacja, marża, rynek, reklama oraz nieprzewidywalne krzywe obrazujące zyski i straty. I dziwią się niczym chrześcijanie legendzie, według której święty Franciszek wygłosił kazanie do ptactwa, a potem tak posplatał nitki wywodu teologicznego, by w tę sieć chwycić swego chrześcijańskiego Boga. Podobnie Francuzi i Włosi chwyтали skowronki, by ich mięsem wzbogacić walory smakowe pasztetu. Szybki rozwój duchowy Europy Wschodniej zmierzał wytrwale ku produkcji taśmowej. Nadeszły czasy licznych procesów sądowych. Przesłuchania nic nie znaczą, wystarczy sam fakt oskarżenia. Tradycja tortur, która sięga początków historii Rosji carskiej, w połączeniu z klasyczną filozofią rodem z Niemiec oraz analitycznym geniuszem Marksa sprawiła, że zaczęto przeprowadzać egzekucje. To wieczne niedocenianie małych narodów i ich tradycji! Lekceważenie elementu słowiańskiego i jego udziału w budowaniu lepszego świata. Tyle energii, taka potęga myśli – to wszystko doprowadziło do powstania obozów koncentracyjnych i procesów sądowych, w których oskarżane były całe grupy. Tyle nierozpoznanego,

genialnego potencjału skierowanego na użytek wzbogacenia świata.

Hynek nie odzywał się przez miesiąc. Kwietka cierpliwie czekała i stopniowo uświadamiała sobie, że żyje w reżimie totalitarnym. Po upływie miesiąca odezwała się do niego sama, ale Hynek nie miał dla niej czasu. Dwa tygodnie później już go znalazł. Powiedział jej, że odbędzie się proces, Josef zostanie skazany, ponieważ wstawił się za którymś ze swoich kolegów z pracy i starał się ochronić go przed „niesprawiedliwością”. Wypowiadał się w obronie byłego właściciela upaństwowionej fabryki. W dzisiejszych czasach to straszny brak rozwagi. Podobno ten fabrykant był porządnym człowiekiem. Nie mógł być porządnym człowiekiem, Kwietuszek, ponieważ był kapitalistą! Powiedział jeszcze, że w tej sprawie nic nie może zrobić. Wszyscy aresztowani dostaną wyroki. Tak to już jest. Oskarżenie jest wystarczającym powodem. Mówił prawdę i nie miał zamiaru niczego zmieniać. Miał wobec niej dalekosiężne plany, ale jeszcze nie teraz, dopiero po jakimś czasie. Teraz ona będzie go obwiniać, teraz się załamie, teraz będzie na niego wściekła. Teraz trzeba zostawić ją w spokoju. Poczekać, aż spuści z tonu, zapomni o dumie i wysoko noszonej głowie. Aż uspokoi się jej duch i ciało. Ponieważ on, Hynek, ma wobec niej plany.

Swojej kariery Hynek nie zawdzięczał bynajmniej własnej gorliwości czy talentowi, lecz najzwyczajniejszej pokorze, której podstawą było zrozumienie, że najważniejsza jest nudna, męcząca, monotonna, można rzec anemiczna cierpliwość. To odkrycie było tak banalne, że aż przerażające. Wiedział, że większość ludzi napawa dumą to, że są wyjątkowi, niepowtarzalni i jedyni w swoim rodzaju. Kwietę też. Ale on, Hynek Jansky, doktor praw, wiedział, że jest

doskonale przeciętny, taki sam jak inni, i był z tego dumny, jakby co najmniej odkrył jakieś powszechnie obowiązujące prawo przyrody. Był dumny z tego, że nie jest ani wyjątkowy, ani niepowtarzalny, ani jedyny w swoim rodzaju. Był dumny z tego, że jest cierpliwy i potrafi się dostosować. Wszystkie tenisowe zwycięstwa zawdzięczał cierpliwości, nigdy nie ryzykował, trzymał się linii bazowej, nie ścinał ostro i nie stosował pomysłów lobów, nie – on nie. Czekał na okazję i wykorzystywał błędy przeciwnika, zlany potem w milczeniu odbierał wszystkie podania, póki nie opadł z sił, nie posyłał piłek tuż nad siatką, nie celował blisko linii, on je posyłał o metr od krawędzi kortu – i to on wygrywał.

Zachowanie Kwiety będzie całkiem zwyczajne. Przewidywalne i typowe. Tego uczyło doświadczenie z rodzinami innych skazanych. Nie należy się spodziewać żadnych nadzwyczajnych posunięć z jej strony, a to z tego prostego powodu, że nie należy oczekiwać rzeczy niemożliwych.

A więc najpierw, czyli już po kilku tygodniach, Kwietka będzie pogrążona w czarnej rozpacz, z tą swoją piękną twarzą i biodrami klaczy, z tym swoim dumnym chodem będzie się smażyć w piekle strachu, a w nocy, zazwyczaj między drugą a trzecią, będzie się budzić i płakać w poduszkę, i tak cały czas, dopóki nie zrozumie, że to, czego tak się boi, naprawdę się stanie. Będzie przetykać łyzy, aż jej podkrążone oczy, suche i nabiegłe krwią, będą pachnieć piaskiem, upodobnią się do fatamorgany, która nie zamierza się rozwiać, do neonu, który jarzy się w nocy, a ona wszędzie, gdzie spojrzy, będzie widzieć Hynka.

Przez ten czas Hynek nie będzie się z nią spotykał. Może raz czy dwa w jakimś miejscu publicznym, ale nie na dłużej niż dwadzieścia, trzydzieści minut. Musi podsycić w niej

nadzieję, ale bez żadnych zobowiązań, nie może narazić się na kompromitację, a już z całą pewnością nie może dopuścić do tego, żeby uwiesiła mu się na szyi i płakała w kołnierz. To by było zupełnie aseksualne i głupie. Wzmocniłoby poczucie wspólnoty i współprzeżywania nieszczęścia; niestety są to uczucia braterskie, a takie nie prowadzą do takiego rozwoju wypadków, jaki sobie zaplanował. On poczeka, aż po najczarniejszej rozpacz, po potach strachu, nadejdzie zmęczenie i bezgraniczny żal. No i, oczywiście, również wściekłość na tego, kto został skazany. I tak Kwietę ogarnie gniew na jej ukochanego męża Josefa.

To jest prawidłowość, ludzie zawsze obwiniają swoich zmarłych i tych, którzy dostali się do niewoli, zostali zabici albo nie zadbali o bezpieczeństwo. Tak zawsze jest i było. Inna sprawa, jak szybko ten etap nastąpi. Wtedy już Kwietka przestanie płakać, co prawda nadal będzie miała problemy ze snem i będzie czuła się winna, właśnie tak. W tym czasie Hynek znajdzie się już w pobliżu. Tę fazę rozpozna po tym, że oczy Kwietki już nie będą zaczerwienione od nocnego płaczu, a kręgi pod nimi staną się wyraźniejsze. Wtedy już będzie blisko niej. Kiedyś wreszcie Kwietka po prostu pogodzi się z faktem, że jej mąż trafił do obozu. Uspokoi się, przestanie się miotać i uświadomi sobie, że teraz może żyć już tylko dla dziecka. Potem, na samym końcu... pojawi się wstydliva myśl, że czasem powinna też zrobić coś dla siebie. Odkryje, że nie musi ciągle myśleć o obozie, w którym gnije jej mąż, i będzie gnić jeszcze trzynaście lat. A potem nadejdzie moment, tak, kiedy w końcu do niej dotrze, że ciągle jeszcze jest kobietą.

Ten okres trwać będzie parę ładnych miesięcy, mimo że na pewnych etapach można go odpowiednio stymulować

i przyspieszać. Niezbyt to przyjemne, wręcz irytujące, że ten proces potrwa tak długo, ale Hynek wiedział, że cierpliwość rzadko kiedy go zawodzi.

Po kilku miesiącach Josef został postawiony przed sądem i skazany na trzynaście lat. Wolność miał odzyskać w 1963 roku. Kwietka schudła, w jej włosach pojawiły się pierwsze siwe nitki, a kręgi pod oczami widoczne były z daleka. Hynek powiedział, że nie ma wpływu na przebieg procesu, ale przynajmniej może się postarać, żeby trafił do obozu o lżejszym rygorze. Teraz Kwietka była już pogodzona z losem i z surową logiką reżimu. Była wdzięczna Hynkowi za to, że chce pomóc Josefowi. Hynek pojawiał się u niej od czasu do czasu, wpadał bez zapowiedzi i przynosił jakiś deficytowy towar. Mniej więcej tydzień po pierwszych urodzinach Alicji przyszedł z wypchaną, pachnącą papierową torbą. Wyjął z niej pomarańcze. Zapach rozlał się po mieszkaniu niczym rzeka, w jednym miejscu w powietrzu unosiło się jezioro zapachu, w innym był to tylko wąty strumyk, gdzie indziej znowu zapachowy wodospad. Hynek nigdy nie zostawał dłużej niż pół godziny, kilka razy Kwietka złapała się na tym, że jest jej przykro z tego powodu. Ale na to, by wysondować przepaść beznadziei w jej oczach, nie potrzebował dużo czasu, niekiedy wystarczało parę minut. W ten sposób procentowało jego bogate doświadczenie zawodowe, które pozwalało mu w mig ocenić rozmiar piekła w duszy badanego nieszczęśnika czy nieszczęśnicy. Kiedy po ogłoszeniu wyroku Kwietka przyszła do jego gabinetu, zamaszystym ruchem zapisał jej na kartce swój adres i szepnął, żeby więcej nie odwiedzała go w pracy i jeśli czegoś potrzebuje, żeby przyszła do niego do domu. Raz w miesiącu pojawiała się u niego. Wtedy już jej matka również oswoiła się z myślą, że Kwietka straciła męża na trzy-

naście długich lat. Mąż jednej z jej przyjaciółek, człowiek po siedemdziesiątce, też trafił do więzienia. Zanim doczekał się procesu, tak schudł, że w sądzie można go było poznać jedynie po wąsach. I posiwiął. Trudno było mieć nadzieję, że człowiek, który swoje osiemdziesiąte urodziny miał obchodzić w kopalni uranu, w ogóle to przeżyje, zwłaszcza że od komunistycznego sądu dostał wyrok o dwa lata dłuższy niż Josef. Nie miało znaczenia, że skazani nie byli przestępcami, bezlitosna władza w ramach walki klasowej likwidowała tych wszystkich, których uznała za swoich wrogów.

Matka Kwiety czuła, że opuszczają ją siły, i bała się, że nie doczeka powrotu Josefa. Nie zwierzała się córce, tylko z mądrością starych ludzi, która polega na uświadomieniu sobie własnych słabości, starała się jak najwięcej czasu spędzać z wnuczką. W tym czasie Kwietka osiągnęła ostatnie stadium przeżywania bólu – pogodziła się z losem. Na tydzień przed wizytą u Hynka sprawiła sobie nową spódnicę. Kiedy po wielu latach robiła rachunek sumienia, wciąż nie mogła stwierdzić z całkowitą pewnością, czy było to dziełem przypadku, czy też reakcją na podstępny głos własnej podświadomości.

Kiedy go odwiedziła, był właśnie początek wiosny. Hynek poczęstował ją filiżanką brazylijskiej kawy, której nie można było dostać w normalnych sklepach, a Kwietka zapatrzyła się na rozkwitające drzewa, które rosły wzdłuż nabrzeża. Ujęła filiżankę obiema dłońmi, uświadomiła sobie, że kawa wciąż jest za gorąca, z przyjemnością zachłannie wdychała gorzki aromat, siedząc bez ruchu i patrząc przez okno. Hynek wyszedł do kuchni po cukier, ale wracając do pokoju, zatrzymał się na chwilę w drzwiach i obserwował ją, nieco zaskoczony kokieteryjnym uśmiechem, jakim obdarzyła rozkwitłe gałęzie. Już wiedział, że dni dyscypliny, którą sobie narzucił,

zbliżają się do końca. Kwietka pociągnęła łyk gorącej kawy, wstała z fotela, podszła do okna i oparła się o parapet. Ten nieodparty widok – spódnica-bombka, podkreślająca biodra i pośladki, rumieniec na twarzy, której pomógł tani róż, lekka bluzeczka, a do tego ciepło wiosennego dnia, to wszystko zmusiło Hynka, by zadał pytanie:

– Kwietko, co byłąbyś skłonna zrobić, żeby pomóc Josefowi?

– Wszystko – odpowiedziała, nawet nie próbując doszukiwać się w jego słowach jakiegoś podtekstu. – To oczywiste, że wszystko.

– Mówię poważnie – powiedział i powtórzył: – Ja teraz mówię całkiem poważnie.

Najpierw obejrzała się przez ramię, potem obróciła się w jego stronę i z nagłym rumieńcem, który wystąpił jej na twarzy, powiedziała niepewnie:

– Hynku... ale ja nie mam pieniędzy. Ledwie wiążemy koniec z końcem.

– Tym byś mnie obraziła – odpowiedział. – Tym byś mnie naprawdę obraziła, bo nie to miałem na myśli.

– Boże święty, przecież ja nie mówię, że to byłyby pieniądze dla ciebie. Myślałam, że trzeba będzie dać komuś łapówkę...

– Co jest dla ciebie najcenniejsze? – zapytał Hynek.

– Nie wiem – odpowiedziała.

– No zastanów się.

– Naprawdę nie wiem, Hynku.

– Ale chciałabyś mu pomóc? – naciskał.

– Oczywiście.

– Kwietko, ja mu pomogę. Zrobię to, ale chcę, żebyś przemyślała sobie to wszystko.

– Wiesz co? – odpowiedziała ostro. – Ja ciągle o tym myślę. Nic innego nie robię, tylko ciągle o tym myślę.

– Kwietuszek, nie o to chodzi. Chcę tylko jednego: żebyś sama to zrozumiała.

– Co masz na myśli? – zapytała z irytacją w głosie.

– Chcę, żebyś przyszła do mnie za tydzień. I żebym wtedy miał pewność, że wszystko przemyślałaś.

Kwieta nie odpowiedziała. Zdezorientowana usiadła w fotelu przed pustą filiżanką.

– Czy ty w ogóle wiesz, co tam się z nimi dzieje? – zapytał Hynek.

– No... Myślę, że głodują... że nie mogą się wyspać i że czasem są bici.

– Tak, Kwietuszek. Ale dlaczego to wszystko się dzieje? Dlaczego?

– Bo chcą, żeby...

– Bo chcą ich złamać – przerwał jej Hynek. – A żeby człowieka złamać, najpierw trzeba go upokorzyć. Chcę, żebyś w przyszłym tygodniu przyszła do mnie i powiedziała, co byłoby dla ciebie najbardziej nieprzyjemne. Co najbardziej by cię upokorzyło. Przyjdź i powiedz mi to, żebym przynajmniej wiedział, że nie angażuję się na darmo.

Kwieta pożegnała się z nim chłodno, a Hynek pomyślał, że kiedy ona czuje się urażona, jej szyja się wydłuża, a całe ciało jakby pnie się do góry. Tak, obrażona jest piękniejsza. Muszę zdecydowanie częściej wyprowadzać ją z równowagi.

Hynek w tajemnicy przed sekretarzem dopilnował, żeby zaprzyjaźniony urząd wysłał do Kwiety wezwanie. W uzasadnieniu napisano, że zaistniało podejrzenie, iż nie zapewnia dziecku właściwej opieki. Tak jak przewidywał, następnego dnia zadzwoniła do jego drzwi. Obiecał, że zrobi wszystko,

co w jego mocy, żeby nie odebrano jej Alicji, a potem odesłał ją do domu.

Ta nieoczekiwana przychylność Hynka zaskoczyła ją mile i uspokoiła. Kwietka powoli nabierała do niego zaufania. Usiadła i zaczęła mu się zwierzać ze swoich najgorszych obaw. Równie dobrze można było otworzyć diabłu bramy miasta. Hynek nastawił się na długie siedzenie z Kwietą. Słuchał uważnie, jak na liście spraw do omówienia przeplatają się nocne koszmary z codziennymi kłopotami, i czekał, aż przyjdzie kolej na punkt pod tytułem „ciało”. Po upływie mniej więcej czterdziestu minut, w czasie których wtrącił jakieś słowo czy dwa, w końcu poruszyła ten temat. Hynek słuchał, jak sprawy intymne mieszają się z fantazjami niczym główki kapusty z różami. Ciekawe, ale nie na miejscu. Kiedy z lekko zaróżowionymi policzkami opowiadała mu o zakazanych bólach i skrywanym pragnieniu miłości, Hynek jej przerwał, jakby w ogóle go to nie interesowało, i zapytał o coś z samego początku jej długiego wywodu.

– Mówiłaś, Kwietuszek, że nie mogłabyś znieść, gdyby ktoś cię związał albo nałożył kajdanki. Mam tu kajdanki. Pokażę ci, jak to działa.

Potem nastąpił krótki instruktaż.

– Tu są dwa kluczyki. Weź te kajdanki i wypróbuj je w domu. Wyobraź sobie, że masz je na rękach. Zabierz je do domu, a jak przyjdiesz do mnie za tydzień, założysz je sobie najpierw na nogi, a potem na ręce. Chodzi o to, żebyś to przeżyła. Żebyś to poczuła.

I tak stopniowo w czasie kolejnych odwiedzin posuwali się dalej krok za krokiem. Zaczęło się od więzów. Z początku Kwietka przyjmowała to jako zaskakującą a zarazem ekscytującą ekstrawagancję. Nie była pewna, czy przyczyna tkwiła

w Hynku i jego niezwykłych żądaniach, czy też w niej samej. W domu kilka razy nałożyła sobie kajdanki i bardzo uważała, żeby nie zapodziać gdzieś kluczyka. Potem u Hynka w mieszkaniu sama zatrzasnęła sobie większą parę wokół kostek, a mniejszą na przegubach. Potem Hynek związał jej sznurem ręce i nogi, i na tak spętana patrzył przez pół godziny, sącząc przy tym czerwone wino i paląc zaoszczędzonego na tę okazję amerykańskiego papierosa. Wreszcie Kwietka poprosiła go, żeby ją uwolnił, bo musi iść do łazienki. Zgodził się, bo wiedział, że przed nim jeszcze długa droga, a kiedy wróciła, objął ją i powiedział:

– No widzisz, ty moja wystraszona kaczuszko. To nic takiego. Paraliżuje nas nasz własny strach.

W ten sposób metodą drobnych kroków po paru miesiącach dotarli tam, gdzie chciał dotrzeć Hynek. Któregoś dnia powiedział:

– A teraz się pochyl.

Kwietka pochyliła się i podwinęła letnią spódnicę, ukazując nagie pośladki, biodra i łono. A potem nastąpiło zgłębianie tajemnicy rozkoszy, która wyrastała z bólu i zaspokajania pragnień, do których trudno się przyznać.

Jeżeli Kwietka nie przyszła na czas, musiała jeszcze w przedpokoju klęknąć i pochylić się, podparwszy się na łokciach, a Hynek odliczał jej tyle razów na pośladki i plecy, ile minut się spóźniła. Nie tylko jego pożądanie, ale i również ból, który sprawiał jej ciało i duszy, tak bardzo ją pociągał, że czasami czekała pod drzwiami, żeby zapracować na swoją porcję uderzeń. Z wolna zaczynała pragnąć Hynka i znajdowała upodobanie w swoim bólu. Po kilku miesiącach żadne z nich już nawet nie próbowało udawać, że w tym wszystkim chodzi o to, żeby Hynek pomógł Josefowi. To, co robili,

wytworzyło między nimi silne więzy. Kiedy zamykała drzwi, przestawała być Kwietą i stawała się klaczą, kobyłą, ogierzycą, jak nazywał ją Hynek. Ledwie zdążył otworzyć usta, a już czuła w całym ciele napięcie i wyciągała szyję, w oczekiwaniu na to, co nastąpi. Mówił do niej:

– Moja wyćwiczona kobyłka! Tak wierzgała, tak wierzgała, a teraz przyszła do złoza, i to jak chętnie... Prawda, moja dojna klaczko?

Ubliżał jej i poniżał ją, a ona przyjmowała to z osobliwą przyjemnością. Dopiero po kilku miesiącach przyszło jej do głowy, żeby go zapytać, jak to osiągnął. Jak udało mu się złamać kogoś tak dumnego i niezależnego jak ona.

– Pawłow – odpowiedział. – Pawłow i jego słynne doświadczenia na psach. Sposób prosty, sprawdzony, a do tego działa na każdego. Odruchy warunkowe. Nie zapominaj, moja dojna kobyłko, że znam świetnie rosyjski. Nie samym Uljanowem człowiek żyje.

Co jakiś czas Kwietka przysięgała sobie, że jej noga więcej u Hynka nie postanie. Nawet parę razy próbowała wytrwać w tym postanowieniu. Za pierwszym razem wytrzymała trzy tygodnie. Hynek oświadczył, że owszem, będzie mogła do niego wrócić, ale dostanie taką nauczkę, że nie zapomni jej do końca życia. Skinęła głową, rozebrała się do naga i poprosiła o kilka chusteczek do nosa, żeby mogła zacisnąć na nich zęby. Oszczędził tylko jej szyję, głowę i twarz, których nigdy nie tykał. Kwietka nawet w największy upał nosiła teraz bluzki z długimi rękawami, spódnice do ziemi i ciemne pończochy przez które nie przeświecało ciało. Zaczęła też zamykać się w łazience, żeby matka nie odkryła blizn, które pokrywały jej skórę niczym drucziana siatka kolczugi. Za drugim razem, kiedy po jakimś czasie znowu z płaczem i zaciśniętymi

zębami spróbowała zakończyć ten związek, dostała pokazową lekcję numer dwa, jak się wyraził Hynek. Nie chciała go więcej widzieć, ale tęskniła do orgazmów, które wywoływał w niej biciem. Po powrocie do niego jej ciało było w ogniu i płonęło jak nigdy przedtem. Stosował coraz to inne sposoby zadawania bólu i używał nowych narzędzi. Czuła się tak, jakby ktoś wysmagał całe jej ciało drobnymi gałązkami pokrzyw. On osiągał orgazm zaraz po skończeniu bicia, a prawda była taka, że ich orgazmy z czasem stawały się coraz bardziej intensywne. Kochała swoje ciało i nienawidziła swojej duszy. Poczucie całkowitej uległości oraz świadomość, że komuś na niej zależy, były tak wyjątkowe, że Kwietka nie potrafiła ich odrzucić. Zdarzało jej się nagle wybuchnąć płaczem w najmniej odpowiednich okolicznościach. Zawsze wtedy, kiedy myślała o Josefie i o tym, co się z nią stało. Wiedziała, że winę za to wszystko może przypisać tylko sobie.

Nacisnęła dzwonek, drzwi się otworzyły, a Hynek cofnął się, żeby mogła wejść. Miała spuszczonego wzrok. Prawą stronę korytarza zajmował regał z książkami po Niemcach, którzy mieszkali tu przed wojną. Hynek jeszcze nie zdążył się go pozbyć. Spojrzał na porządny rosyjski zegarek z wygrawerowaną dedykacją ministra spraw wewnętrznych – podziękowaniem za wkład w likwidację wrogów socjalizmu i pokoju – po czym powiedział:

– Spóźniłaś się dokładnie siedemnaście minut, głupia krowo. To liczba nieparzysta, więc pomnożymy ją przez jakąś parzystą. Powiedzmy: przez cztery. Ile to będzie?

– Sześćdziesiąt osiem – odpowiedziała.

– Dobrze – powiedział Hynek. – A teraz się pochyl.

Dręczyciel

1

Tuż przed przyjazdem pierwszych rosyjskich czołgów zaczęły się szerzyć pogłoski o okrucieństwach, jakich w latach pięćdziesiątych dopuszczano się na więźniach politycznych. W prasie pojawiły się informacje o tym, że jednym z najbardziej gorliwych oprawców był niejaki Jansky, komisarz-referent. Nie tylko posuwał się do bicia uwięzionych i zmuszał ich do robienia rzeczy, które przechodzą ludzkie pojęcie, ale też wykorzystywał członków ich rodzin, znajomych oraz tych, których uznał za ich bliskich. Wykorzystywał jednych przeciwko drugim, mężczyzn katował tak, że już nigdy nie mogli kochać się z kobietami, wzbudzał w swoich ofiarach wątpliwości i płonne nadzieje, szantażował więźniów i ranił ich dusze. Ci, którzy dostali się do jego gabinetu, po niedługim czasie pragnęli śmierci. Choćby w płomieniach, by pozostał po nich jedynie popiół. Artykuły w gazetach nawoływały do stworzenia specjalnych komisji, wszczęcia dochodzenia i rozliczenia oprawców przed sądem. A potem przyjechały sowieckie czołgi i rozpanoszyły się na placu Wacława. Wtedy już nikt nie domagał się żadnych dochodzeń.

W 1964 roku Hynek Jansky został zwolniony z pracy, a jego bliżej nieokreślone stanowisko komisarza-referenta zostało zlikwidowane. Wydawało się, że skończyło się zapotrzebowanie na to, od czego był specjalistą. Nawet przebąki-

wano coś o tym, że powinien ponieść karę i na własnej skórze odczuć dotkliwość swoich metod. Jego zwierzchnikom udało się pewna sztuczka: nie został zwolniony, lecz przeniesiony na inne stanowisko. Gdyby go zwolniono, odbiłoby się to na wysokości jego emerytury, no i w ogóle mogło z tego wyniknąć mnóstwo kłopotów. Z doktorem praw Janskim rozwiązano więc umowę o pracę i skierowano na stanowisko zastępcy głównego magazyniera w niewielkiej hurtowni warzyw i owoców na przedmieściach Pragi. Tam przez wiele lat odpowiadał za siedmioosobowy personel, kilka wózków widłowych oraz temperaturę, w której przechowywane były mrożone warzywa i owoce. Jego wieloletnie doświadczenie oraz niezrównane zdolności leżały odłogiem. Jego podwładni byli bumelantami, a jedyny zwierzchnik – alkoholikiem, który od samego rana wzmacniał sobie herbatkę rumem. Później nadszedł rok sześćdziesiąty ósmy. Niedługo potem kilka razy dawni koledzy zaczęli przyjeżdżać do niego w odwiedziny. Dostawał informację od portiera, więc podchodził do bramy. Goście chcieli się dowiedzieć, jak mu się wiedzie, a on nawet nie miał gdzie ich przyjąć. Wstyd. Czasami szli do gospody na kawę albo gulasz, i chociaż nikt mu tego nigdy otwarcie nie powiedział, Jansky wiedział, że dawni zwierzchnicy chcą się przekonać, czy jest gotów. Tak ciągnęło się to jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu pewnego dnia, gdzieś koło Bożego Narodzenia 1971 roku, kiedy jak zwykle przyszedł do pracy, przed bramą czekał na niego samochód z kierowcą, który wręczył mu dużą, grubą, zalakowaną kopertę. W chwili kiedy ją zobaczył, już wiedział, że koniec jego cierpień jest bliski. Ktoś doszedł do wniosku, że fachowiec przynosi korzyści tylko wtedy, kiedy znajduje się na swoim miejscu. Hynek drżącymi palcami oddał róg koperty

i wyjął z niej kilka kartek. Ta najważniejsza była dokumentem, który potwierdzał, że mianowano go wykładowcą w nowo powstałej akademii. Kierowca dyskretnie obserwował Janskiego, potem uśmiechnął się z zadowoleniem od ucha do ucha i zapytał:

– Mianowanie? Co, towarzyszu, mianowanie?

– Tak – odpowiedział Janski. – Skąd pan wie? – dodał zmieszany, choć było to nie na miejscu.

– Nie wy pierwsi, nie ostatni... towarzyszu – oznajmił dziarsko kierowca i wysilił się na swój najbardziej sympatyczny uśmiech. – A więc dokąd... dokąd mam was podrzucić? Może... – zająknął się, lecz po chwili dokończył, wskazując głową magazyn: – Może skoczę do środka po wasze rzeczy?

– Nie trzeba. Sam je przyniosę – powiedział Jansky i dodał z ciepłym uśmiechem: – Pamiętaj, żeby zawsze pożegnać się ładnie z kolegami z pracy. Możesz ich jeszcze kiedyś spotkać. Nigdy nie wiadomo. Jak to się mówi, towarzyszu kierowco: traktuj przyzwoicie tych, których spotykasz, pnąc się w górę, bo możesz ich spotkać, spadając w dół.

I tak doktor Hynek Jansky ni stąd, ni zowąd został wykładowcą. Jego miejsce pracy znajdowało się dokładnie na przeciwnym przedmieściu niż magazyn marchwi, ogórków i innych mrożonych warzyw. Hynek Jansky miał niejasne wrażenie, że dawni przywódcy w nowych czasach trochę się wstydzą tej nowej instytucji. Tak czy inaczej do budynku prowadziła ładna droga, zwłaszcza wiosną. Codziennie wysiadał z tramwaju i przechodził obok niewielkiego budynku żłobka, potem mijał plac zabaw. Za przedszkolem skręcał w lewo, potem czekało go dziewięć minut szybkiego marszu przez teren, który dawniej był pewnie sadem, a teraz bezskutecznie próbowano przeobrazić go w park. Na rozwidleniu

dróg znowu skręcał w lewo. Po upływie dwóch i pół minuty stawał przed przestronnym i miłym dla oka budynkiem akademii.

Doktor Jansky rozpoczął nauczanie przedmiotu o nazwie: Specjalne techniki przesłuchań niepolicyjnych. Jego nowy zakład pracy również nie miał nic wspólnego z policją. Być może wyglądało to dziwnie, ale nikt nie pytał, komu lub czemu ta szkoła podlega, nikogo też o tym nie poinformowano. Jansky natychmiast z entuzjazmem rzucił się w wir pracy. Na swoich zajęciach gruntownie omawiał najróżniejsze rodzaje bólu. Szczegółowo opisywał i charakteryzował wszystkie części ludzkiego ciała i znajdujące się w nich zakończenia nerwowe, które znane mu były równie dobrze, jak podróżnikowi dworce, hale przylotów i przystanie. Znał dokładnie wszystkie miejsca na ciele, które funkcjonują jako bramy, drzwi i ścieżki bólu. Jego studentami, których jednak nazywano kursantami, byli przeważnie mężczyźni. Przysyłano ich z jakichś nie do końca określonych instytucji, umiejscowionych na peryferiach miast, w domach, które nie były oznaczone numerami, przez co niechęć zwracały uwagę listonoszy i nazbyt gorliwych inkasentów z gazowni i elektrowni. Można powiedzieć, że ich pracodawcy, instytucje macierzyste, a w pewnym sensie i oni sami nigdy nie istnieli. Entuzjastyczne wykłady doktora Janskiego budziły przygnębienie nawet w jego kursantach, którzy czasem dziwili się w duchu, że można tak zmasakrować ludzką duszę, nie mówiąc już o ciele, i próbowali sobie wyobrazić, jakie to uczucie znaleźć się po tej drugiej, niewłaściwej stronie i wpaść w jego ręce. To nie było tylko kilka uderzeń otwartą dłońią ani nawet cios pięścią. To nie był kopniak w bok i połamane żebra. To była cała nauka. Przez te wszystkie lata,

kiedy wykładał w akademii, Janskiego gnębiło tylko jedno: że jego spostrzeżenia, częściowo przejęte od rosyjskich kolegów, lecz pogłębione przez niego samego z niezwykłą gorliwością i talentem, nigdy nie wyszły drukiem w postaci podręcznika lub skryptu. Nie udało mu się tego przeforsować, chociaż wielokrotnie o to zabiegał aż do swojego przejścia na emeryturę w 1980 roku. Tak więc jego nauki mogły się szerzyć tylko w obiegu ustnym, na wykładach wygłaszanych w czterech ścianach sal pełnych słuchaczy. Jak każdy dobry nauczyciel starał się jak najlepiej przekazać studentom swoją wiedzę. Dbał o to, by wszystko dobrze zrozumieli, i zachęcał ich do doskonalenia umiejętności. Dążył do tego, by uczniowie przerośli mistrza. Co roku swój pierwszy wykład zaczynał słowami: „Na ile sposobów nasze ciało sprawia nam ból, na tyle sposobów możemy nauczyć się przeżywać szczęście i rozkosz. Oto podstawa nauki, od której zawsze powinniśmy zaczynać. Lecz pamiętajcie, moi drodzy przyjaciele, że sposobów, żeby zmusić przesłuchiwanego do tego, by powiedział nam to, co wie lub co chcemy usłyszeć, jest co najmniej trzy razy więcej”. Tu robił pauzę, po czym dodawał: „Ćwiczenie pierwsze. Proszę opisać, jakie możliwości przeżywania bólu i rozkoszy daje nam nasze ciało. Do końca zajęć pozostało dwadzieścia minut. Proszę zaczynać, pod koniec zajęć zbiorę kartki. Praca jest na ocenę”.

2

Wiosną 1968 roku inżyniera Czernego odwiedził dziennikarz. Młody człowiek, jakieś dwadzieścia pięć lat. Już trzeci tego roku. Z niecierpliwością szczeniaka przeszedł od

razu do rzeczy. Josef nie miał ochoty z nikim rozmawiać, a w dodatku był zniesmaczony tym, że dziennikarz nie przejawiał żadnego zainteresowania muzyką klasyczną, choć cały czas próbował skierować rozmowę na ten temat. Na próżno. Młodego człowieka nie interesowała muzyka i nawet nie próbował udawać, że jest inaczej. Co więcej, jego adres młodzieniec uzyskał w organizacji, o której Josef nigdy nie słyszał. Nie chciał także kawy ani herbaty. Jak w takiej sytuacji można rozmawiać z kompletnie obcym człowiekiem? Josef nie wiedział. Dziennikarz chciał tylko usłyszeć, jak zachowywał się Jansky, i nie rozumiał, dlaczego Josef nie chce o tym rozmawiać. W kółko powtarzał swoje – o sprawiedliwości i naprawieniu dawnych krzywd. Co taki gołowąs może wiedzieć o sprawiedliwości, zastanawiał się Josef i mechanicznie wyrównywał stos papierów na biurku. Nagle, ku własnemu zaskoczeniu, zapytał:

– Jest pan zakochany?

Dziennikarz skinął głową i oblał się rumieńcem. To zdecydowało, że Josef postanowił nie wyrzucać go za drzwi, jak wszystkich jego poprzedników. Żaden z nich nie interesował się muzyką klasyczną, a statyka myliła się im ze statystyką. Wystarczające powody do tego, żeby nie tracić czasu na opowiadanie im o sobie. Dopiero rumieniec na policzkach młokosa skłonił Josefa do tego, by ostrożnie odpowiadać na jego naiwne pytania. Zaczął mówić, a dziennikarz coś szybko gryzmolił w małym bloku opartym na udzie, mrużąc przy tym oczy. Kiedy skończył, chłopak poprosił o szklanekę wody, wypił ją jednym łykiem, podziękował i pożegnał się. Potem Josef już nigdy o nim nie słyszał. Kilka tygodni później wpadł do niego Antonin z dodatkiem do gazety, w którym wśród innych nazwisk wymienione było również

nazwisko Josefa. Miało być tam również co nieco z tego, o czym opowiadał dziennikarzowi. Josef odłożył lekturę na później. Potem zaparzył sobie słabą, wieczorną kawę i przeczytał artykuł. Było w nim napisane, że jakaś komisja bada całą sprawę, że nadszedł czas, aby... itd. W każdym zdaniu jak nie sprawiedliwość, to zasłużona kara albo zadośćuczynienie. Pod artykułem podano adres organizacji, do której mogą zgłaszać się ofiary, by można było wszcząć dochodzenie. Josef poczuł zakłopotanie. Nie myślał o sobie jako o poszkodowanym. On ofiarą? To nie pasowało ani do niego samego, ani do jego zawodu. Zawsze postrzegał siebie jako człowieka, któremu, powiedzmy, przytrafił się wypadek, nieprzyjemny wypadek natury politycznej, który pozostawił trwałe następstwa, ale nigdy nie powiedziałby o sobie, że jest ofiarą. Usiadł przy biurku, wyjął z szuflady suwak logarytmiczny, którym się chlubił i którego kształt zawsze go uspokajał, i na nowo zaczął wszystko przeliczać, chociaż robił to już wczoraj i otrzymał prawidłowy wynik. Po sprawdzeniu obliczeń nadal nie wyszło mu, że jest ofiarą. Tak, komisja działa, ale czy krzywa jej sił może się przeciąć z wektorem jego politycznego wypadku? Z drugiej strony, w wypadkach drogowych, zwłaszcza tych z trwałymi następstwami, zawsze jest sprawca i ofiara. Ale Josef nie czuł się ofiarą i nic na to nie mógł poradzić. Poczekał na swoją żonę Kwietę, która była w domku na wsi, a kiedy wróciła, pokazał jej artykuł i zapytał, co o nim myśli. Kwietka nie chciała wypowiadać się na ten temat. Było jasne, że wszystko, co wiąże się z uwięzieniem Josefa, sprawia jej ogromny ból. Josef schował artykuł do szuflady i więcej go nie wyjmował.

W tym roku Kwietka postanowiła, że trzeba odświeżyć mieszkanie. Josef tym razem nawet się ucieszył. Na pomoc-

nika wybrał sobie swojego zięcia Maksymiliana i wszyscy razem, z Kwietą i Alicją, przygotowali mieszkanie do tego nieregularnie powtarzającego się rytuału, do tego dziwnego ruchomego święta estetyki pomieszczeń mieszkalnych, wywodzącego się z troski mieszkańców miast o higienę, zarówno powszechną, jak i osobistą. Josef pozostawił Kwiecie wybór kolorów oraz srebrnego wzorku na wałku. We wszystkich pomieszczeniach, z wyjątkiem swojej pracowni, w której nigdy nie chciał mieć na ścianie żadnych wzorków. Potem kobiety zostały wyprawione do domku na wieś, a Josef i Maksymilian mieli mieszkanie tylko dla siebie. Ku zaskoczeniu Josefa z malowaniem справиł się bardzo szybko, z Kwietą trwało to zawsze dłużej. Zakładali, że skończą w piątek wieczorem, tymczasem w czwartek rano było już po robocie. Mieszkanie było odmalowane i wysprzątane, a Josefowi został jeszcze jeden dzień urlopu. Nieoczekiwanie znalazł się sam w pustym mieszkaniu z wysokim sufitem i ścianami pachnącymi farbą, do którego przez otwarte okna docierały zapachy miasta. Josef zaczął odruchowo przeglądać powoli papiery w szufladach biurka i wtedy wpadł mu w rękę tamten artykuł o sprawiedliwości i konieczności wyrównania krzywd.

Zdecydował się w jednej chwili, niemal bez zastanowienia. Szybkość mojego działania pozostaje w ścisłym związku z nieobecnością moich kobiet, pomyślał. Zdecydowanym ruchem schował artykuł do teczki i wyszedł z domu. W piekarni kupił trzy rogaliki i ruszył do siedziby komisji. Tam jakiś urzędnik długo mu wyjaśniał, według jakich zasad działa komisja, a na końcu poinformował go, że doktor Jansky od kilku lat ma u nich swoją teczkę. Dodał jeszcze, że Jansky jest teraz magazynierem i pracuje gdzieś na przedmieściach. Josef był zaskoczony, poczuł, że jego zdecydowanie jakby

osłabło. Mimo to doszedł do wniosku, że tej sprawy nie może tak zostawić, i zażądał wszystkich informacji, jakie tylko mogli mu udostępnić. Nie było tego wiele, ale urzędnik, który uparcie tytułował go panem inżynierem, w końcu powiedział, że sprawa doktora Janskiego w ciągu kilku miesięcy powinna zostać przekazana do sądu. Josef odparł, że musi się nad tym wszystkim zastanowić, schował do teczki jakiś urzędowo wyglądający dokument, który dał mu urzędnik, i wyszedł. Po kilku dniach postanowił, że mógłby zeznawać jako świadek, choć nie z radością, i wysłał komisji swoją zgodę listem poleconym. Przez kilka miesięcy nic się nie działo. 21 sierpnia 1968 roku przyjechały rosyjskie czołgi. Pracownik komisji wyemigrował do Argentyny przez Niemcy Zachodnie, Kanadę i USA. W powstałym zamieszaniu dokumenty gdzieś przepadły, komisja została rozwiązana, a Hynek Jansky nareszcie odetchnął z ulgą.

3

Hynka raz na jakiś czas odwiedzał w magazynie któryś z jego byłych przełożonych. Szli razem do gospody i rozmawiali o pogodzie. Stara przyjaźń znajdowała potwierdzenie w przyjemnych pogawędkach. Przy okazji takich odwiedzin jeden z kolegów – który przedtem odszedł na wcześniejszą emeryturę, a teraz powrócił do służby – przyniósł mu paczkę starych papierzyk. Padało i paczka była mokra. Położył ją na krześle obok Hynka, potem ponarzekał na pogodę, dokończył bigos, życzył miłej lektury i na odchodnym powiedział:

– Na twoim miejscu nie oddawałbym tego na makulaturę.

Żartowniś, jak zawsze, pomyślał Hynek, uśmiechając się tylko lekko. Milczał, był mu wdzięczny i cieszył się, że są jeszcze przyjaciele, na których człowiek może polegać. W domu przeciął scyzorykiem kilka pasm sznurka, a paczka z papierami rozwinęła się przed nim niczym kwiaty niewinności. Było w niej całe jego życie. Świadcstwo z gimnazjum, kopia dyplomu wyższej uczelni. Donosy, pisane przez jego miłych współpracowników. Przebieg jego kariery. A także materiały i zeznania, które miały stanowić uzasadnienie oskarżenia. Wynik pracy tej dziwnej komisji, która zamierzała postawić go przed sądem. Hynek czytał, segregował, zapisywał uwagi i podkreślał fragmenty tekstu. Części więźniów, których przesłuchiwał, już w ogóle nie pamiętał, innych mętnie sobie przypominał. Nagle zobaczył formularz starannie wypełniony znajomym pismem. Cyfry jakby odrysowane od szablonu. Charakterystyczne „a” i „e”. A na końcu podpis: Josef Czerny, inżynier statyk.

Hynek poczuł się – po prostu dotknięty. Jak Josef mógł mu to zrobić? Jak śmiał na niego donieść? Jak to możliwe? Człowiek nie może już nikomu wierzyć, nawet dawnym przyjaciom. Wszyscy, i ci z tej całej komisji, i dziennikarze jęczą cały czas o prawdzie, o sprawiedliwości, a tak naprawdę to chcą się na nim zemścić. Jakby nie wiedzieli, że to nie od niego zależało, że tak się umówili już Churchill ze Stalinem, gdzie kto będzie mieszkał i gdzie będą czyje strefy wpływów, gdzie będą się zaczynać i kończyć granice imperiów. On tylko realizował geometrię władzy, to Josef jako statyk był chyba w stanie pojąć. I co, nie rozumie? On, który stale żyje z Kwietą, chociaż został, można powiedzieć, wykastrowany? On chce poznać prawdę? To niech ją ma. Niech się nią nacieszy, niech się nią nasyci, niech się nią udławi,

tą całą swoją pierdoloną prawdą. Jakby nie wiedział, że na wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone! Że ten będzie górą, kto nie cofnie się przed niczym, pójdzie na całość, czy to w podboju Państwa Środka, Tysiącletniej Rzeszy, czy krainy serca. Walczyć na zabój to znaczy posłużyć się siłą i zapomnieć o taryfie ulgowej. Kryształowo czystą siłą, przezroczystą jak górskie powietrze. Totalna siła jest totalną miłością. I dlatego miałem ją przez dziesięć lat. Przez dziesięć lat miałem jej umysł i ciało. Jej myśli i duszę. Jej ciemnozielone oczy i jej łono. Ponieważ byłem zwycięzcą w totalnej wojnie o jej miłość. A zwycięzca nigdy nie pyta, czy pokonani go kochają. Zwycięzca po prostu zwyciężył, a pokonani mogą zapomnieć o stawianiu warunków. Bo, drogi Josefie, zwycięzcą jest ten, kto zwyciężył. Proste. Jasne. I zrozumiałe. Zwycięzca zdobywa szacunek i miłość. Zwycięża. I dlatego to ja miałem Kwietę przez wiele pięknych, długich lat. Dlatego do mnie przychodziła. Bo miłość należy do tego, kto panuje, a zwycięzca to ten, kto zwyciężył.

Hynek uświadomił sobie, że dał się ponieść fantazji. Może i przesadził, ale był szczery. Odczuł potrzebę zrobienia czegoś praktycznego. Usiadł przy biurku i zaczął pisać. List nie był krótki, miał kilka stron, a niektóre sformułowania zdradzały, że jego autor był urzędnikiem państwowym, a do tego liznął trochę medycyny. Wyrazy były precyzyjnie jednoznaczne. Charakteryzowały szczegółowo stosunki łączące Kwietę Czerną, żonę inżyniera Josefa Czernego, ze śledczym, oficjalnie zatrudnionym na stanowisku referenta-komisarza, doktorem praw Hynkiem Janskim. List informował, kiedy te stosunki się zaczęły, jak długo trwały i co stanowiło ich istotę. Następnie w części zatytułowanej „Efektywność bólu” z niemal kliniczną precyzją wyliczał, jakie rodzaje

dotyku i uderzeń oddziaływały na ciało Kwiety Czernej. Odmiany bólu oraz odmiany rozkoszy. Z jakich powodów zawsze do niego wracała, nawet kiedy jej mąż Josef Czerny wyszedł z więzienia. Opis był rzeczowy i beznamiętny. Doktor Jansky był zadowolony, w pisaniu donosów nie miał sobie równych. Potem jeszcze raz przeczytał list i zirytowało go, że nie ma nic innego do zanieśienia na pocztę – rachunki popłacone, pocztówki wysłane. Na drugi dzień pojechał na pocztę główną przy ulicy Jindřiszskiej i wysłał swoje dzieło listem poleconym. Na formularzu w rubryce „Nadawca” napisał: Kwietka Czerna. Dobry dowcip, pomyślał. Na tym zakończył swoje działania w tej sprawie. Tak, czuł się trochę jak demiurg. *Spiritus agens*. Krótko mówiąc, jeszcze coś znaczy. To poczucie było źródłem przyjemnego ciepła.

4

Kiedy Josef usłyszał dzwonek u drzwi, był w domu sam. Żona z córką wybrały się na zakupy. Znowu, powtarzał sobie w duchu, bo z naiwnością właściwą mężczyznom już od kilku dni się zastanawiał, po co jeszcze chodzić po sklepach, skoro wszystko, co potrzebne do ślubu, już zostało kupione. Wyobrażał sobie, że te rzeczy można po prostu kupić i koniec, a potem przygotowania do uroczystości uznać za zakończone i zająć się czym innym. Tym razem poszły do domu mody po jakieś wstążki. Wstążki, powtarzał Josef. Przecież jakieś wstążki już mają. Po co im jeszcze jakieś inne? Zupełnie jakby nie wiedziały, że kolory to nic innego tylko fale elektromagnetyczne.

– Mierzałne. Jak najbardziej mie-rzał-ne! – powtarzał na głos. Ale nawet nie próbował im tego wyjaśniać. Zna je, wyśmiałyby go. Tak dobrotliwie. Tato, nie zwracaj nam głowy szczegółami technicznymi, tylko powiedz, który kolor bardziej ci się podoba. Tak powiedziałyby Alicja, a potem razem z Kwietą doszłyby zgodnie do wniosku, że nie ma wycucia barw. Wiedział, że tak by było. No właśnie.

Alicja coraz bardziej upodabnia się do matki, zauważył. Oczywiście ślub jest takim momentem... no ale z drugiej strony, tyle nowych rzeczy. Ale wyglądają kwitnąco. Obie. Bez dwóch zdań. I kupiły mu, zupełnie nieoczekiwanie, pudełko drogich, bardzo drogich i bardzo dobrych kubańskich cygar. Miał odłożyć sobie jedno z nich i zapalić na weselu, kiedy już wygłosi swoją ojcowską mowę. Naprawdę kosztowały majątek, w drewnianej skrzynce było ich dwanaście sztuk. To znaczy, teraz jest tylko dziesięć, ale ślub jest już za dwa tygodnie... Nie ma obawy, że skończą się wcześniej. Poza tym Josef nigdy dużo nie palił. Bardzo rzadko, i zawsze sam, żeby móc w pełni rozkoszować się paleniem. Najlepiej mu się paliło przy słuchaniu jakiejś przyjemnej muzyki. Czegoś, w czym można się rozsmakować. Najlepiej z Tondą. Z Tondą najlepiej się słucha i milczy. On też potrafi to docenić.

Josef przyglądał się pudełku z dziesięcioma cygarami i postanowił zaprosić Tondę. Tonda przyniesie koniak. Wypalą po cygarku, a do tego, rzecz jasna, kwartet smyczkowy F-dur Antoniego Dworzaka. Ten napisany za Wielką Wodą. Zwłaszcza jego trzecia część, pełna słońca. Tak, kwartet „Amerykański”, żaden inny.

Zanim listonosz oddał mu list, Josef musiał podpisać się po raz drugi, tym razem linijkę wyżej, bo przez pomyłkę złożył podpis przy innej przesyłce. Cały czas myślami był

gdzie indziej, rozmyślał o trzeciej części kwartetu Dworzaka, zastanawiał się, w jakim jest tempie. Nie był pewien. Melodię, zwłaszcza taką, bez trudu można sobie przypomnieć, ale tempo to co innego. Tempo pochodzi od Pana Boga, jak powiedział pewien dyrygent. Podniósł list do oczu i przestał nucić. Nadawcą była Kwietka. Zdumiał się i przez chwilę poczuł strach. O nią. Jego imię i nazwisko z pewnością nie zostały napisane jej ręką, to było widać na pierwszy rzut oka. Wziął z biurka wąski, długi i tępy nóż do papieru i rozciął kopertę. Czytał i tylko co jakiś czas robił krok w prawo albo w lewo. Kilka razy odchrząknął, potem znowu wysuwał nogę, lecz nie kończył kroków. Kiedy przeczytał list, uświadomił sobie, że zaschło mu w gardle.

Nagle zrozumiał dwie rzeczy. Po pierwsze: coś pękło jak sprężyna w zegarze na wieży. Coś się skończyło. Po drugie: przez całe życie nic nie wiedział o swojej żonie. Nic a nic. Schował list do koperty, kopertę do kieszeni. Czy to prawda...? Jeżeli tak, to co dalej? Co można zrobić w tej sytuacji? W głowie miał węzeł kolejowy bez zwrotnic. Przez chwilę kłębiły się w nim niejasne, bezmyślne uczucia, aż w końcu wykrystalizowała się z nich jedna myśl: Mądrze, głupio, byle tylko nie ulec panice! Sama ta myśl była raczej pozbawiona sensu, ale Josef powtarzał ją sobie jak katarzynka.

W ciągu paru chwil Josef doznał rozpaczki w kilku odmianach, na zmianę z wściekłością i poczuciem kompletnego zdruzgotania. Nagle poczuł w ustach smak słonego sera. Nie poddać się panice! Napomniawszy samego siebie kilka razy, ale nic to nie pomogło. Bezskutecznie też próbował odzyskać jasność umysłu. Co robić, kiedy człowiek dowie się, że jest rogaczem, a jego żona kurwą! Właściwie to jeszcze jakoś można przełknąć, chodzi o to z kim! Z kim się kurwiła! Kiedy

przełknął słony smak sera, zrozumiał, że przegryzł sobie wargę. Zaczynam... tak. Mądrze, głupio, byle tylko nie ulec panice! Może to tylko fałszywy donos, jakich wiele, tę tradycję mamy przecież we krwi. Najpierw trzeba zbadać teren, określić rodzaj podłoża i głębokość przemarzania gruntu, w którym będą kładzione fundamenty, i postarać się sprawdzić, czy stwierdzenia zawarte w tym oszczerczym donosie mają jakiegokolwiek uzasadnienie, przemknęło mu przez głowę, razem z całym mnóstwem innych myśli, które starał się zawzięcie stłumić, podobnie zresztą jak wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało jakiegokolwiek uczucie. Już wiedział, że uczucia mogą tylko przynieść śmierć jego małżeństwu, życie jest w myślach. Każde pojawiające się w nim uczucie było niczym zatruta śnięta ryba, złapana w rwącą się sieć myśli, które nieporadnie i na przekór wszystkiemu próbowały jeszcze uratować co się da. Nawet jego ulubiony pokój nagle zabarwił się krwią. Jego dobre, porządne biurko, zawsze stojące pewnie na swoich czterech nogach i dające mu poczucie stabilności, teraz, kiedy patrzył na nie spod na wpół przymkniętych powiek, wyglądało jak jakiś ołtarz, na którym lada moment zostanie złożona ofiara. Tak, myślał, jeżeli to wszystko jest niemiłosierną prawdą, to ja jestem tym kozłem czy innym nieszczęsnym zwierzęciem ofiarnym i moja krew zaschnie na napierających na nas ścianach. Myśli Josefa nie były w stanie znieść czekania. Jego myśli – nie on, lecz jego technicznie ukierunkowane myśli – zaczęły obliczać, jaką drogę mógłby przebyć strumień krwi tryskającej z jego tętnicy szyjnej, gdyby teraz ją sobie przeciął. Chociaż nie miał pojęcia o fizjologii ani medycynie, jego myśli zdołały przeprowadzić kilka złożonych obliczeń z zastosowaniem wybranych wzorów. Przeprowadzenie tej

arytmetycznej operacji było nieco utrudnione z powodu problemów z koncentracją. Serce jest pompą. Ilość litrów krwi jest dana, średnio od czterech do sześciu. Lepkość materiału, tarcie o wnętrze naczyń krwionośnych – żył i kapilar. Gęstość cieczy. Siła pompy. Średnica otworu. Nie było to trudne, nie tyle on, co jego myśl już była bliska rozwiązania. Odsunął się o kilka kroków od swojego sprawdzonego, stabilnego biurka, bo wyszło na to, że gdyby jego gardło zostało teraz poderżnięte, krew z pewnością trysnęłaby na świeżo pomalowane ściany. Przyszło mu też do głowy, że mógłby przecież zabić ją czy jego, i uspokoił się trochę. Ale jeszcze zanim ta zbawienna myśl wybrzmiała, już wiedział na sto procent, że nie jest zdolny do popełnienia takiej zbrodni. Doświadczenia, które miał za sobą, były, niestety, jednoznaczne. Łeb mi pęka, uświadomił sobie, a myśli robią, co chcą. W tym momencie dotarło do niego, że nie może czekać na Kwietę w domu. Musi wyjść! Jeszcze raz wyciągnął z kieszeni kopertę, wyjął z niej donos i przeczytał go znowu. Odłożył kartkę na biurko, z jednej z szuflad wyjął klucze od domku na wsi i wyszedł.

5

Alicja nigdy się nie dowiedziała, dlaczego tego dnia, kiedy biegały po mieście w poszukiwaniu ostatnich dodatków do jej sukni ślubnej i udało im się upolować rewelacyjne wstążki w kolorze miodu, matka nagle zamknęła się w gabinecie ojca i zaczęła płakać, a z kształtu jej zmarszczek można było wyczytać, że nie płacze z powodu ślubu. Listu, który Josef zostawił na biurku, Kwietą w pierwszej chwili nawet

nie miała zamiaru czytać. Zamierzała tylko ogarnąć biurko i wytrzeć z niego kurz. Zawsze tak robiła, kiedy była zdenerwowana, a teraz przed ślubem zdenerwowana była non stop. Już sama naklejka „Recommandé” sprawiała, że rzucał się w oczy na biurku, którego blat miał kolor przyjemnego brązu. Wziąć do ręki i przeczytać list to przecież nic takiego, przemknęło Kwiecie przez głowę w tych kilku ułamkach sekundy, które oddzielały jej dotychczasowe spokojne życie od nadchodzącego spustoszenia. Kiedy zrozumiała, co jest jego treścią, i dotarło do niej, że Josef już to przeczytał, rozpląkała się. Nie czytała do końca. Po co? Wszystko, co w nim było napisane, jest prawdą. Włożyła list z powrotem do koperty i poszła do łazienki. Tam podarła go na drobne kawałeczki, wrzuciła do muszli i spuściła wodę. Wróciła do pokoju, usiadła na krześle przy mężowskim biurku i przejrziała wszystkie szuflady, ale nic tam nie znalazła oprócz kilku suwaków logarytmicznych, tablic fizycznych oraz paru książek z dziedziny budownictwa i matematyki. To, że umiała je rozpoznać, zawsze napawało ją dumą. Nawet teraz ta duma nie zniknęła. Przestała płakać. Wiedziała, że teraz może już tylko czekać na męża. Że nie pozostaje jej nic innego.

Alicja zauważyła, że coś jest z matką nie tak. Nie martwiło jej, że ojca nie ma w domu, ale to, że matka ma zapuchnięte oczy i siedzi na jego krześle, nie zapowiadało nic dobrego. Zdarzało jej się to bardzo rzadko, i zawsze wtedy, kiedy się na niego gniewała. Teraz jednak sprawiała wrażenie, że się czegoś boi. Zobaczywszy Alicję, powiedziała:

– Zostaw mnie, skarbie. Nic mi nie jest, muszę tylko poczekać na tatę.

Zapachniało jej to kłopotami, ale dłużej nie mogła zajmować się matką, bo za pół godziny miała odebrać z dworca

Maksymiliana, który pewnie i tak się spóźni. Pocałowała matkę w policzek. Matka starała się udawać, że nic się nie stało, chociaż miała zaczerwienione oczy. Alicja na wszelki wypadek szybko rozejrzała się po pokoju, ale nie dostrzegła niczego, co mogłoby ją zaniepokoić. Wsunęła stopy w nowe pantofle i pobiegła na dworzec. Z przedpokoju jeszcze krzyknęła, że być może zostanie u niego na noc, i dodała, że jeszcze nie widział jej w tych pantoflach, ciekawe, czy w ogóle je zauważy, chociaż w Niemczech na pewno można dostać o wiele ładniejsze buty. I już jej nie było.

Josef wrócił do domu wieczorem. W mieszkaniu paliła się tylko lampka na jego biurku. Wszedł i zobaczył, że Kwietka siedzi w jego pracowni i mechanicznie porusza przesuwką jednego z jego suwaków logarytmicznych. Zobaczył, że ze strachu kuli się na krześle. Przypomniał sobie, że na biurku zostawił list. O nic już nie musiał pytać.

– Kwietuszek? Kwietuszek... – powiedział i spojrzał jej w twarz.

– Nie powinieneś był się o tym dowiedzieć. Mimo że... robiłam to także dla ciebie.

Chociaż układała sobie w głowie te zdania przez kilka ostatnich godzin, już wiedziała, że nie było to szczęśliwe sformułowanie.

– Będę w domku na wsi, Kwietuszek. Powiedz to Alicji.

Josef wziął teczkę, z którą codziennie chodził do pracy, i wyszedł.

Kwietka nie spała przez całą noc. Strzępki jej upartego czuwania oznaczały tymczasowy brak koszmarów sennych, chociaż i one raz i drugi machnęły nad nią czarnym skrzydłem, a w obrazach, które towarzyszyły przebudzeniom, migają długie leśne przecinki, za którymi gdzieś majaczył ból i żal.

Kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku i kroki córki, nabrała tchu i uświadomiła sobie, że śniło jej się coś dziwnego i nieprzyjemnego i że przebudzenie przyniosło ulgę. Śniło jej się, że mąż ją opuścił, odszedł na zawsze, a ból rozrywał ją na dwoje. Obudziła ją pustka. W pierwszej chwili ucieszyła się, że będzie mogła opowiedzieć ten koszmar mężowi. Ulga trwała krótko. Jeszcze zanim na jej czole pojawiły się krople potu, dotarło do niej, że to nie był sen. Kiedy Alicja wyszła rano do sklepu po rogaliki, mleko i gazetę, znalazła w skrzynce na listy klucze Josefa. Zapytała, skąd się tam wzięły. Kwietka nie mogła już dłużej zapanować nad rozpaczą, zaczęła krzyczeć i zanosić się płaczem. To, co jeszcze przed chwilą wzięła za sen, okazało się rzeczywistością. Alicja próbowała ją objąć i podtrzymać, żeby nie poraniła się o kanty mebli. Płacz wypełniał jej duszę i mózg. Alicji udało się zaprowadzić ją do sypialni, po czym zadzwoniła po Maksymiliana. Kiedy przyszedł, co chwila tylko obejmował nerwowo Alicję, bo żadne z nich nie wiedziało, co w takiej sytuacji można zrobić. Kiedy Kwietka nieco doszła do siebie, chwiejnym kokiem podeszła do drzwi sypialni i powiedziała:

– Twój ojciec odszedł ode mnie. Odszedł, ale ty nie będziesz mieć mu tego za złe, bo opuścił mnie, a nie ciebie, córeczko.

Potem wróciła do sypialni i znowu się rozszlochała.

Jej mąż wyprowadził się do domku w Lhotce. Wszystkim, którzy go o to pytali, mówił, że postanowił przebudować domek letniskowy na prawdziwy dom, w którym mogłby mieszkać, kiedy już będzie na emeryturze. I rzeczywiście rozpoczął przebudowę. Pytania, co na to Kwietka, po prostu pozostawiał bez odpowiedzi. Po swoje rzeczy przyszedł wtedy, kiedy wiedział, że nie zostanie jej w mieszkaniu. Po jakimś

czasie znajomi i przyjaciele przestali go wreszcie wypytywać i przyzwyczaili się do tego, że Czerni mieszkają osobno. To jego sprawa, że codziennie spędza dwie godziny w pociągu, by dojechać do pracy i potem wrócić – tak zbywał Alicję, która próbowała dociec prawdy. Aż w końcu i ona dała za wygraną.

Nieśmiertelność – wizja druga

Chociaż nikt nigdy o tym nie wspomniał, ani głośno, ani szeptem, rozniosło się najpierw po rynku, a potem po całym mieście, że należy naprawić mechanizm. Kiedy ten pogląd, można rzec: dotąd otulony słomą zapomnienia i wątpliwości, dotarł aż do nas, większość ludzi zaczęła sobie z przykrością i żalem uświadamiać, że właściwie nikt nie wie, do czego owa maszyna służyła. Ja też nie wiedziałem, chociaż prawdą jest, że mój pradziad naprawiał ją w czasie ostatniej rekonstrukcji ratusza oraz jego większej wieży. Doszło do tego, że rajcy, zmuszeni, właściwie nie wiadomo czym, chyba poczuciem jakiejś wyższej konieczności, postanowili przeznaczyć na ten cel pewne fundusze. Słyszałem o tym raz i drugi, aż w końcu poproszono mnie, oględnie i nie wprost, żebym podjął się naprawy umieszczonego na wieży mechanizmu. Problem jednak polegał na tym, że chociaż udało się nam znaleźć w różnych miejscach kilka starych rysunków i schematów, a także notatnik z obliczeniami, uwagami o zużyciu materiałów oraz zapiskami dotyczącymi honorarium w walucie, której dziś już nie ma, to po przestudiowaniu tych wszystkich dokumentów nadal nie wiedzieliśmy, do czego ta maszyna właściwie miała służyć. Rajcy i urzędnicy wystąpili z pomysłem, żeby ogłosić otwarty konkurs. Mówili: zarzucić sieci i przy okazji sprawdzić, czy czasem w czyjejś pamięci nie zachowało się przeznaczenie owej maszyny. Jednocześnie z powodu tej niewiedzy wszyscy odczuwali

skrępowanie pomieszane ze strachem i wstydem. Pewne było, że maszyna stanowiła przedmiot dumy naszych przodków. Wiele pokoleń wstecz do naszego miasta przyjeżdżali ludzie z całego kontynentu, żeby obejrzyć to чудо. Przed ratuszem kłębiły się tłumy turystów, którzy – wtedy jeszcze za pomocą prymitywnych aparatów, wykorzystujących prawa optyki – uwieczniali jego wygląd.

W tamtych zamierzchłych czasach nie można było w sposób satysfakcjonujący utrwać obrazu wraz z dźwiękiem, a kiedy czasem komuś się to udało, wszystko było płaskie i pozbawione naturalnej trójwymiarowości. Ludzie musieli przyjąć pozycję siedzącą i z daleka spoglądać na płaski obraz, bez możliwości włączenia się do niego w dowolnym momencie i uczestniczenia w przedstawianych wydarzeniach. Co dziwne, wydaje się, że wcale ich to nie nudziło. Historyk Vilem, którego poznałem przy pracy nad rekonstrukcją maszyny, wyjaśnił mi, że w tamtych czasach ludzie mieli zwyczaj spotykać się ze sobą, a te płaskie obrazki przechowywali w takich specjalnych małych książeczkach, które pożyczali sobie nawzajem. Podobno bywało tak, że kiedy już doszło do spotkania przyjaciół, wszyscy najpierw oglądali te książeczki i opowiadali sobie o nich. Na obrazkach zazwyczaj byli członkowie ich rodzin albo znajomi i miejsca, które odwiedzili. Przypuszczamy, że wokół tego zwyczaju wytworzyły się skomplikowane rytuały, dziś zrozumiałe jedynie dla wąskiego grona specjalistów.

Po długich, ale wyważonych dyskusjach postanowiono, że mechanizm zostanie naprawiony, mimo że jego przeznaczenie nadal pozostaje zagadką. Ja oraz mistrz Matyas Heinz stanęliśmy na czele Komisji Rekonstrukcji Mechanizmu. Mieliśmy czuwać nad jego remontem lub ewentualnie

kompletną odbudową. Mianowani zostaliśmy przez radę miejską i mogę otwarcie powiedzieć, że obie nasze nominacje zostały przez obywateli przyjęte przychylnie. Postanowiliśmy zacząć od zgromadzenia wszystkich dokumentów, dotyczących maszynerii umieszczonej na wieży, w największym pomieszczeniu ratusza, udostępnionym nam przez rajców. Dziś, po wielu latach, kiedy maszyna znowu działa, łatwo się śmiać z naszych poczynań. Byłoby postępkiem głupim i dającym o nas złe świadectwo, gdybyśmy podsumowali nasze poczynania stwierdzeniem, że tylko zbieraliśmy papiery, a nikomu nie przyszło do głowy – nie tylko członkom komisji, ale w ogóle nikomu w całym mieście – żeby po prostu wejść po schodach na górę, przejść po mostku na wieżę i zobaczyć, jak ta maszyneria właściwie wygląda. Mistrz Matyasz wpadł na pomysł, żeby jeszcze raz zastanowić się nad historią, którą w naszym mieście zna każde dziecko, a która wydarzyła się przed z górą dwustu laty. Wówczas gościł u nas sławny kompozytor, który dla naszego miasta napisał uroczą operę, której wykonanie spotkało się z zaskakująco entuzjastycznym przyjęciem. Aby twórcę szczególnie uhonorować, pozwolono mu wejść na wieżę i obejrzeć mechanizm. Słynny artysta opisał to później w pamiętnikach, stwierdzając, że jest to najdoskonalsza, najpiękniejsza i jednocześnie najbardziej okrutna rzecz, jaką w życiu widział. Jak dzisiaj wszyscy wiedzą, jego *Kantata poświęcona Maszynie Sprawiedliwości i Postępu* stała się czymś w rodzaju nieoficjalnego hymnu naszego miasta. Wspomnianym kompozytorem, którego oczywiście wszyscy znacie, jest rzecz jasna Leopold XVI. Jednakże w dokumentach związanych z jego wizytą na wieży nie ma ani słowa o tym, do czego umieszczona tam maszyna służyła. Jedno z dwojga: albo w owych czasach wszyscy to

wiedzieli, albo przeciwnie, i swoją ignorancję starali się jakoś ukryć.

Nieoczekiwanie najbardziej przydatne okazały się dla nas informacje finansowe. Po pieczołowitej analizie wszystkich istniejących rachunków jeden z naszych historyków zaskoczył nas odkryciem, że częściowa rekonstrukcja maszynerii, przeprowadzona sto pięćdziesiąt lat temu przez mojego pradziada, kosztowała o wiele więcej niż odbudowa kanalizacji miejskiej po pamiętnym siedemnastym trzęsieniu ziemi oraz instalacja nowej ekstraplanetarnej sieci 28-9 razem wzięte. Ten fakt w sposób oczywisty dowodził, że dla naszych przodków maszyna na wieży była czymś wyjątkowym i niezastąpionym, choć o jej przeznaczeniu nadal nie mieliśmy pojęcia. Ciągłe poruszaliśmy się po omacku. Mogę stwierdzić, że o dziwo, nawet nam to nie przeszkadzało. Oczywiście, kiedy człowiek zajrzał do jakiejś przytulnej gospody w naszym mieście, ten i ów czasem go zapytał, jak to jest z tym remontem. Tymczasem informacje o maszynerii, do których udało nam się dotrzeć, w ogóle do siebie nie pasowały, ba, niektóre wręcz sobie przeczyły. Z niektórych źródeł wynikało, że maszyna umożliwiała dotarcie do natury ludzkiej duszy. Z innych zaś – że za jej pomocą można zgłębić prawdę o jednostce, rodzinie, a nawet całym naszym społeczeństwie. Zupełnie inne teorie, które można by nazwać fizykalnymi, głosiły, że zagadkową maszynę skonstruowali astronomowie, aby za jej pomocą zajrzeć do najodleglejszych zakątków wszechświata i czasu. Istniały też dokumenty, które wskazywały na związek maszyny z poszukiwaniem istoty sprawiedliwości, filozofii, prawa oraz śmierci. Wszystko to skłaniało nas do sformułowania wniosku, iż w konkretnych czasach maszyna była czymś w rodzaju

żywego organizmu, która miała znaczący wpływ na życie miasta.

Postanowiliśmy, że wizytę na wieży utrzymamy w tajemnicy, a oględzin dokonamy w czasie, kiedy odbywają się zawody sportowe, które zawsze przyciągają uwagę większości mieszkańców miasta. Mniej więcej w połowie tygodnia miał się odbyć decydujący mecz z naszym głównym przeciwnikiem. To popołudnie w sam raz nadawało się na wyprawę do ratusza.

Mieliśmy ze sobą tylko urządzenia do zapisu oraz dusze pełne odwagi i nadziei. Wspięliśmy się na drugie piętro. Przeszliśmy długim korytarzem z obrazami ojców miasta, które powstały w czasach jeszcze dawniejszych niż pierwsza rekonstrukcja maszyny. Przyszło mi do głowy, że przed z górą stu pięćdziesięciu laty musiał tędy stąpać mój pradziad. I patrzył na te same portrety przedstawiające mężczyzn o chmurnym spojrzeniu, odzianych w ciemne szaty. Musiały być naprawdę stare, bo nie było na nich żadnej kobiety. A maszyna była jeszcze starsza. Potem dotarliśmy do końca korytarza. Otworzyliśmy drzwi, zeszliśmy w dół po kilku schodach i stanęliśmy przed następnymi drzwiami. Tym razem były to drzwi do wieży. Nie muszę wspominać, że byliśmy bardzo podnieceni. Mistrz Matyas i jego asystent wydobyli z przyniesionych ze sobą toreb kilka ciężkich żelaznych przedmiotów i przystąpili do otwierania drzwi. Dla nas, pozostałych członków wyprawy, ten skomplikowany rytuał był czarną magią i patrzyliśmy na to jak na jakiś spektakl, baletowy albo sportowy. Otwierający ciągle przekręcali te metalowe przedmioty, a one wydawały głośne zgrzyty. Aż wreszcie, kiedy już byliśmy bliscy myśli, że mistrz Matyas i jego asystent przecenili swoje siły, drzwi się otwarły.

Weszliśmy do środka i znaleźliśmy się w sali o półkolistym sklepieniu, mistrz Matyasz spojrział w górę, dotknął mojej ręki i powiedział:

– To jest sklepienie beczkowe.

Nie wiedziałem, co na to odrzec, i przystanąłem na chwilę. Pod schodami prowadzącymi na wieżę na kamiennym cokole stała rzeźba. Przedstawiała mężczyznę z głową orła i skrzydłami. Ręce miał rozłożone na boki, jakby chciał nas objąć, oczy przesłonięte kawałkiem materiału. Jakie to dalekowzroczne, pomyślałem. Jaką przewidującą wyobraźnią odznaczyli się ludzie, którzy przed kilkoma stuleciami nie mogli mieć pojęcia o możliwościach nowoczesnej genetyki.

Historyczka Eleonora zbadała później tę rzeźbę i dowiedziała się o niej czegoś więcej. Otóż tylko ona zauważyła, że kiedy wychodziliśmy z wieży, posąg miał te swoje uskrzydłone ramiona w nieco innym położeniu niż przedtem. Zwróciła nam na to uwagę, a takie rzeczy powtarzały się również w ciągu następnych dni. Rzeźba czasem miała wargi rozciągnięte w uśmiechu, czasem je zagryzała i otulała się skrzydłami, czasem na jej twarzy gościł wyraz zawodu. Ponieważ dokładne badania nie wykryły żadnego mechanizmu ukrytego w jej wnętrzu – był to bowiem odlew z brązu – uznaliśmy, że zmiany kształtu posągu są jeszcze jedną tajemnicą maszyny i wszystkiego, co się z nim wiąże. Eleonora znalazła w archiwach wzmiankę, że w dawnych czasach wieża nosiła miano Orlej Wieży. Jedną z najstarszych nazw maszyny brzmi: Orła Maszyna. Badacze spierali się o jej pochodzenie. Prawdopodobnie najlepiej udokumentowana teoria głosi, że kiedyś dawno, w mroku dziejów, w tym miejscu stał fragment umocnień, cytadela zwana Orlim Gniazdem, stąd też wzięła

się nazwa wieży. Etymologia, czyli nauka o pochodzeniu nazw, czy też może sztuka docierania do ich korzeni, jest w tym przypadku bezsilna. Nazwę maszyny zapisywało się kiedyś jako „orlostroj”, a więc było jasne, że chodzi o specjalnie nastrojoną orlą maszynę. Teraz już rozumieliśmy, dlaczego ten posąg człowieka-orła jest taki ważny – był to symbol dawnej Orlej Wieży oraz orlej maszyny. Nasi przodkowie postawili go tu jako symbolicznego strażnika maszyny. Po przeprowadzeniu dalszych badań Eleonora powiedziała nam, że w zapiskach pojawiła się nazwa, która być może jest nawet starsza niż „orlostroj”, a mianowicie „orloj”. Nikomu z nas nic to nie mówiło. Zapisy historyczne nic nam nie pomogły. Słowo „orloj” jest dzisiaj nieznane i być może oznacza orlą maszynę. Może gdzieś po drodze doszło do jakiegoś przekłamania w interpretacji, kto wie. Tak czy inaczej, postanowiliśmy nie używać słowa „orloj”, jako że dokładnie nie wiadomo, do czego tak naprawdę się ono odnosiło. Tak samo jak nie wiadomo, co ta rzecz, zwana „orlojem”, miała by niby robić. Wszystko wskazuje na to, że przy przepisywaniu dokumentów doszło do jakiejś pomyłki i stąd wzięta się ta dziwna – i najprawdopodobniej błędna – nazwa.

Zapaliliśmy światło i ujrzelśmy pociemniałe freski i kilka drewnianych ław ustawionych pod ścianami. Za nimi znajdowały się schody prowadzące na wieżę. Mistrz Matyasz szedł pierwszy, za nim jego asystent, ja na końcu. Zaczęliśmy wspinać się po schodach i po kilku minutach stanęliśmy zdyszani przed następnymi drzwiami. Mistrz Matyasz otworzył je za pomocą jednego ze swoich żelaznych przedmiotów. Weszliśmy do środka i znaleźliśmy się w wielkiej kwadratowej sali, której ściany stanowiły mury wieży. Byliśmy u celu. Pośrodku pomieszczenia stało kilka zsuniętych stołów, a na

nich piętrzyły się drewniane skrzynie różnej wielkości. Na niektórych z nich widniały jakieś malowane, dziś już wyblakłe, ornamenty, inne zaś miały metalowe i drewniane inkrustacje. Skrzyń mogło być z sześćdziesiąt: jakieś dwadzieścia wielkich i może z pięć średnich, a reszta małych. Każda z nich miała otwór na żelazny przedmiot mistrza Matyasza. Mistrz chwilę odsapnął, po czym wraz ze swoim pomocnikiem jął otwierać skrzynie, jedną po drugiej. Otoczyliśmy go kręgiem i zajrzeliśmy do pierwszej z nich. Wewnątrz leżały jakieś żelazne, połączone ze sobą koła, owinięte czymś, co przypominało skórę. W drugiej były zwierciadła, w następnej szkice i książki, w jeszcze innej fizyczne przyspieszacze i spowalniacze cząsteczek. Tak więc zrozumieliśmy, że w skrzyniach spoczywa rozłożona na części maszyna. Potem sporządziliśmy katalog wszystkich odnalezionych części. Dwie wielkie skrzynie wypełnione były papierami i książkami, podejrzewaliśmy, że wśród nich znajdziemy wskazówki, jak złożyć wszystkie części w całość. Ale nie byliśmy pewni, bo objaśnienia na wykresach, a także książki w większości spisane były w jednym z wymarłych języków, którym posługiwali się uczeni, prawdopodobnie w języku palijskim. Koledzy odkryli, że w jednej z małych skrzynek znajdują się notatki sporządzone ręką mojego pradziadka. Pokazali mi je, a wtedy ogarnęło mnie wzruszenie. Niektóre papiery były częściowo spleśniałe, inne rozpadały się w rękach, więc nie mogliśmy maszyny tak po prostu złożyć – musieliśmy ją częściowo stworzyć sami. Cały czas nie traciliśmy nadziei, że w trakcie prac rekonstrukcyjnych tajemnica jej przeznaczenia w końcu się wyjaśni. Eleonorze udało się odczytać jeden z tekstów, którego wymowa wydała się nam zasadnicza:

Teoria witalizmu – inaczej: siły życiowej – przed trzema wiekami spotkała się z miazdzącą krytyką i została całkowicie zarzucona, jednakże nowe badania ludzkiej świadomości nieoczekiwanie zbiegły się z osiągnięciami nauki zwanej mechaniką kwantową, a także z przekonującymi wynikami dociekań teologicznych. W ten sposób nauka o Bogu stopniowo zbliżyła się do nauki o powstaniu wszechświata, a wiedza o ludzkiej świadomości okazała się nieodległa od wiedzy o ludzkiej duszy. Wszystkie te odkrycia pozwoliły nam zbudować tę oto maszynę. Jej moc jest nieograniczona, na niej wspiera się i przez nią jest prowadzone nasze ziemskie bytowanie, zarówno poszczególnych osób, jak i całych mocarstw. Idea antropizmu – czyli poglądu głoszącego, że widzimy taki wszechświat, jaki jest w istocie, w przeciwnym bowiem wypadku nie byłoby nas, którzy go obserwujemy – została z powodzeniem połączona z konceptem nieograniczoności wszechświata, zakładającym, że w danym czasie wszechświat nie ma żadnych granic.

Minęło kilka miesięcy, zanim udało się nam złożyć maszynę. Tymczasem wieści o tym, że niebawem ją uruchomimy, rozniosły się po mieście i okolicy. Pojawiły się różne plotki i domysły – a to, że kto znajdzie się odpowiednio blisko maszyny, odczuje nadzwyczajną rozkosz, a ten, kto oddali się od niej, ogarnięty zgrozą zrozumie słowo, którego niejasne znaczenie stare encyklopedie wyjaśniają pod hasłem „piekło”, a to, że stanąwszy przed maszyną, człowiek ujrzy przyszłość nie tylko własną, ale i kilku najbliższych galaktyk, a jeśli stanie za nią, zobaczy przeszłość swoją, a także dużej części Drogi Mlecznej. Powiadano, że dotknięcie maszyny spowoduje połączenie myśli własnych z myślami przyjaciół oraz wrogów. Chodziły różne słuchy, ale niestety nic z tego nie było prawdą!

Przeznaczenie maszyny postanowiliśmy zachować dla siebie. A jej tajemnica powoli się przed nami odkrywała. Z początku nie mogliśmy uwierzyć w nasze szczęście. Pierwsza zaczęła się wszystkiego domyślać uczona w historii Eleonora. Zwierzyła się najpierw mistrzowi Matyaszowi, który zdradził mi jej podejrzenia. Eleonora, która pochodziła z Akwitanii, krainy w równej mierze francuskiej, co angielskiej, sprawiała wrażenie zakłopotanej, kiedy dowiedziała się, że mistrz wygadał się przede mną. Potem, kiedy każdy z nas wypróbował działanie maszyny i okazało się, że wszystko, ale to wszystko, co o niej mówiono, jest prawdą, Eleonora razem z mistrzem Matyasem i jego pomocnikiem stanęła przed nami i przedstawiła nam skomplikowane obliczenia, które świadczyły o tym, że machina kryje w sobie więcej możliwości, niż mieliśmy odwagę sobie wyobrazić. We trójkę wyłożyli nam teorię wielkiego zespolenia, w którym łączy się silna i słaba interakcja elektromagnetyczna, i przytoczyli zarówno argumenty, które ją potwierdzały, jak i te, które jej przeczyły, potem mówili o pojedynczości myśli i zjawisk w czasoprzestrzeni, w sytuacji gdy zakrzywienie owej czasoprzestrzeni zwiększa się wykładniczo wraz z dążącą do nieskończoności wartością ludzkich emocji.

Potem zapadła długa, nabrzmiąca smutkiem cisza. Podejrzewam, że, podobnie jak ja, mało kto orientował się w szczegółach obliczeń oraz pojął ideę transmutacji cząstek superlekkich i superciężkich w zależności od kurczenia się pól czasoprzestrzennych. A przecież to, co istotne, było dla nas jasne. Nikt nie odważył się pomyśleć, że maszyna mogłaby rozwiązać najbardziej podstawowy problem. Czy mogła być źródłem takiego dobrodziejstwa? Cisza wciąż trwała, było w niej słycać tylko nasze oddechy.

Eleonora postawiła tezę, że maszyna ma inne funkcje niż te, które wszyscy wypróbowaliśmy. Że jest w istocie maszyną egzekucyjną.

Kiedy po upływie jakiegoś czasu – jak długiego nie jestem w stanie ocenić – zaczynaliśmy powoli otrząsać się z zamyślenia, uświadomiliśmy sobie, że w powietrzu zawisło pytanie. Kto pierwszy zechce sprawdzić tę kuszącą teorię? W głosowaniu wyłoniliśmy dwie osoby, które obdarzyliśmy po równo naszymi głosami. Byli to mistrz Matyasz i Eleonora. Dwie czy trzy osoby z naszego grona nie mogły oddać głosu, ponieważ wciąż pozostawały w tak głębokim błogostanie, że postanowiliśmy im go nie przerywać. Już myśleliśmy, że sytuacja jest patowa, kiedy odezwał się Aleksander Pazdera – jeden z tych, którzy z nieprzytomnym uśmiechem na twarzy oddawali się przeżywaniu szczęścia. Powiedział jasno i wyraźnie:

– Niech idzie najstarszy z nas. Najbardziej na to zasługuje.

To nam nie przyszło do głowy. Wieku nie liczono już... przez tyle... stuleci. Aleksander znowu okazał swą niezwykłą zdolność przenikliwego myślenia. Jego propozycja została przyjęta zarówno przez naszą radę, jak i mistrza Matyasza i Eleonorę.

Mistrz Matyasz stanął w miejscu jednego z dwóch ognisk elipsy, będącej częścią maszyny. Potem maszyna ruszyła, a mistrz Matyasz zniknął nam wszystkim z oczu. Następnie usłyszeliśmy trudne do określenia dźwięki. Mnie przypominały fragment jakiejś tęsknej melodii, ale ktoś inny później powiedział, że był to odgłos, z jakim dusza opuszcza ciało. Bardzo możliwe, że każdy z nas słyszał co innego. A potem to się stało. Przed nami pojawiło się jego ciało. Mistrz Matyasz

nie żył. Wszyscy zaczęliśmy płakać z przejęcia i radości. Tak, mogę powiedzieć, że był to najszczęśliwszy dzień mojego życia.

Tego dnia pozbyliśmy się w końcu tej nieszczęsnej nieśmiertelności. Nieśmiertelności, która została nam po naszych ojcach i towarzyszyła nam jak zaraza już tyle stuleci. Tej koszmarnej nieśmiertelności, która była naszym przekleństwem, tak jak w zamierzchłych czasach naszych przodków, kiedy budowano katedry, przekleństwem był mór. Przez tysiące lat nasi poprzednicy pasożytowali na życiu i do tego stopnia ulepszali swoje – a co za tym idzie i nasze – życie, że w końcu osiągnęli to, co nazwali „absolutnym udoskonaleniem”. Słowo „nieśmiertelność” wyszło już wtedy z użycia, jego znaczenie zostało zapomniane. Ludzkość stała się nieśmiertelna. Całe pokolenia przestały wymierać z powodu chorób, urazów czy własnej woli. Ludzkość na swej drodze biorącej początek w mrokach najdawniejszych czasów osiągnęła etap absolutnej doskonałości. W ten sposób zostaliśmy wynaturzonymi potomkami wynaturzeńców. A potem, czyli teraz, przestaliśmy być nieśmiertelnymi potworami i na powrót staliśmy się śmiertelnikami, czyli ludźmi.

Maksymilian

Chłopiec dostał na imię Krzysztof. Było to najłagodniejsze męskie imię, z tych, które Alicja w ogóle brała pod uwagę. Maksymilian chciał, by nadanie imienia owocowi ich miłości było również uczczeniem połączenia dwóch rodów, i proponował imiona swoich przodków, którzy w jakiś sposób zasłużyli się w historii. Problem polegał na tym, że w większości były to imiona polskie lub niemieckie, a Alicja była zdania, że nie ma sensu komplikować dziecku życia imionami, których sami rodzice nie potrafią porządnie wymówić. Tak więc stanęło na Krzysztofie. Maksymilian twierdził, że w tym imieniu dość wyraźnie pobrzmiwa echo baroku, a przy tym brzmiało wyniośle, tak więc po kilku gorących kłótniach, przy których jednak oboje starali się panować nad sobą, poddał się i przystał na imię niosącego Chrystusa i zarazem jednego z Czternastu Świętych Wspomożycieli. Chociaż Alicja była przygnębiona nagłym i niczym nieuzasadnionym rozejściem się rodziców, to jednak prawie całą jej uwagę pochłaniało dziecko. Trudno było także nie zauważyć, że Maksymilian, który zawsze był niezależny i robił wokół siebie wiele szumu, zmienił nieco swój stosunek do Alicji. Teraz był ojcem, napawało go to radością, lecz jednocześnie wywołało nieokreślone wspomnienia i przeczucia, które zbijały się w stada, zmieniały szyki w poszukiwaniu przywódcy i w jaskółczym locie układały się w perskie wzory na kobiercach pamięci. Stada wspomnień, domysłów i wrażeń

kierowały jego myśli ku domowi, ku rodzicom. W Maksymilianie zaczynały kiełkować ziarna jakiegoś dziwnego poczucia zrozumienia. Praca przestała go cieszyć i zaczęła nużyć, czasami nocą z czołem pokrytym potem budził się z koszmarnych snów, których już nie potrafił przywołać. Nic go nie cieszyło. Nie był z siebie zadowolony, w obecnych czasach czuł się wyobcowany bardziej niż kiedykolwiek. Z Alicją ożenił się z wielkiej miłości. Ona już spełniła swoją część niepisanej umowy małżeńskiej tym, że wydała na świat ich syna. Ale co z nim? Jaka była jego rola? Nie wiedział, i to burzyło jego spokój. Tak samo jak ona był niewyspany od częstego wstawania w nocy do dziecka, a resztki szacunku do samego siebie udawało mu się zachować tylko dzięki temu, że codziennie po południu zamykał się w gabinecie, wyłączał telefon, zasiadał w jedynym fotelu, który stał w pokoju, i zasypiał.

Zakłady, w których pracował, produkowały pamiątki. Jego niejasno określony zakres obowiązków obejmował akceptację projektów nowych produktów. Czasem poprawił jakiś kardynalny błąd gramatyczny i dbał o to, żeby nazwy miejscowości, które zamawiały u nich pamiątki, były napisane bez błędów. Największą satysfakcję sprawiało mu sprawdzanie metalowych znaczków z herbami miast. Były tak tanie, że aż się dziwił, że jego praca w ogóle komuś się opłaca. Czasami zwracał uwagę, iż istnieje różnica między linią heraldyczną przepasaną i nieprzepasaną, ale i tak nikomu oprócz niego to nie przeszkadzało i nikogo to nie interesowało. Z czasem doszedł do wniosku, że lepiej siedzieć w gabinecie i nic nie robić, zwłaszcza teraz, kiedy był wiecznie niewyspany. Tak więc jego całkiem niemały zasób wiadomości o herbach miast, różnych instytucji i hierarchów kościelnych, które

przekazał mu ojciec, leżał odłogiem, a fragmentaryczna wiedza historyczna, pochodząca z tego samego źródła, nie miała żadnego praktycznego zastosowania. Na cóż bowiem mogło się Maksymilianowi przydać na przykład to, że znał szczegółowo historię i treść bulli papieskiej *Inter gravissimas*, ulubionego dokumentu jego ojca, który uchodził za najlepszego historyka w okolicy? Została ogłoszona 24 lutego 1582 roku i ustanawiała zmianę dat, a konkretnie fakt, że po 4 października miał nastąpić 15 października tegoż roku. Ale ani trochę nie pomogło mu to pozbyć się zamętu w duszy, wywołanego własnym ojcostwem. W Czechach nowy kalendarz został wprowadzony dopiero w roku 1584. Wtedy po 6 stycznia nastąpił 17 stycznia. Wszystko po to, by jakoś dojść do ładu z rokiem przestępnym z kalendarza juliańskiego, błędnie obliczonego w roku 46 p.n.e. przez Sosygenesa, astronoma Juliusza Cezara. Po upływie kilku wieków ta kilkuminutowa różnica niezmiernie się rozrosła, a zatem trzeba było zmienić kalendarz. To wszystko Maksymilian wiedział i do niczego nie było mu to przydatne. Teraz ze zdziwieniem obserwował swoją żonę i uświadamiał sobie, że po porodzie jej cielesność pociąga go w równej mierze, co odrzuca. Co jest w człowieku zwierzęce, a co jest ludzkie? To pytanie odbierało mu spokój. Tak samo jak to, że nie mógł się doczekać czasu, kiedy ze swoim synem będzie mógł rozmawiać o rzeczach, które nie interesują nikogo poza nim.

Zawsze gdy rozmyślał o szczęśliwym porodzie oraz swojej zdecydowanej podrzędnej roli w tym wydarzeniu, roli, jaka przypada w udziale mężczyznom, ogarniało go zwątpienie, które przechodziło w irytację. Czasem wybierał się do ojca Franciszka, który udzielił im ślubu. Kapłan jakby wytworzył własną wersję religii katolickiej, wydobył ją z głębi ziemi albo

może z głębin własnej duszy po to, by stała się dla Maksymiliana podporą, lecz sam nie zdawał sobie z tego sprawy, że właściwie odciąga go od kościoła. Ojciec Franciszek uważał, że w tych bezbożnych komunistycznych czasach jedynym ratunkiem dla tradycji jest ściśle przestrzeganie zasad wiary i surowość względem własnej duszy. Tu i teraz było oczywiste, że papież nie miał racji, kiedy niewierzącym podsuwał ślicznego Chrystusa w konsumpcyjnym gnieźle, niosącego jakąś niewłaściwie zdefiniowaną wolność. Życie w Czechach, życie tego najbardziej ateistycznego narodu pod słońcem, było tego najlepszym dowodem. Niemiłosiernie długie kazania dobrotliwego ojca Franciszka sprawiły, że Maksymilian czuł się całkowicie osamotniony. Ojciec Alicji wyprowadził się do domku w Lhotce, a matka do ciotki Anny, która była stara i samotna, ale żywo interesowała się młodą rodziną i chociaż imiona Maksymiliana i Alicji myliły jej się z imionami innych krewnych, żywych i martwych, nie miało to wpływu na jej uczucia rodzinne. Po narodzinach Krzysztofa ojciec zaproponował młodemu, żeby zostali z nim na wsi.

– Tu jest czyste powietrze – powiedział.

Potem wymienił całą litanię różnych pierwiastków chemicznych oraz ich wartości w różnych jednostkach miary.

– To wszystko znaleziono w praskim powietrzu.

Po chwili dodał:

– Ale to jest ściśle tajne, więc nie rozpowiadajcie o tym na prawo i lewo. Jeżeli nic się z tym nie zrobi, to wkrótce wyzdychamy tu jak zwierzęta. Albo zmutujemy i damy początek zupełnie nowemu gatunkowi.

Nigdy nie zdradził się z tym, skąd brał te wszystkie informacje o skażeniu wody, powietrza i żywności.

Maksymilian i Alicja zostali w Pradze, ale czasami odwiedzali Josefa w domku na wsi. Dziwna rodzina, myślał Maksymilian. Ojciec Alicji, dziadek jego syna, tuż przed ich ślubem ni stąd, ni zowąd wyprowadził się na wieś, a do Pragi przyjeżdżał na wakacje, i to tylko wtedy, kiedy wiedział, że na pewno nie spotka się tam ze swoją żoną Kwietą, teściową Maksymiliana i babcią Krzysztofa. Na wsi Alicja zajmowała się pieleniem grządek i praniem ojcowskiej bielizny. Po jakimś czasie Maksymilian doszedł do wniosku, że to właśnie jest prawdziwy powód ich wypadów do Lhotki. Maksymilian układał synka w wózku i woził go po wsi i okolicznych lasach. Kiedy było ciepło, siadał na ławce w ogródku przed gospodą w cieniu wielkich drzew, popijał piwo i kołysał dziecko. Pewnego popołudnia usłyszał głośną rozmowę, dobiegającą od stołu po drugiej stronie rozłożystego kasztana. Starsza siwa kobieta spierała się z jakimś mężczyzną, też niemłodym:

– Widziałam je, panie Horzejszi, widziałam na własne oczy.

– Co takiego pani widziała? No co, Rózenko?

– Te węże! Były olbrzymie! I grube jak moje udo.

– Hmm... jak pani udo... Pani udo... A przed ilu laty?

– Będzie już ze trzydzieści – wtrącił się jakiś inny głos.

– Przecież mówię panu, panie Horzejszi, to były dwa wielkie bydlaki, ogromne węże, wisały na drzewie, a ten większy był taki gruby jak, nie przymierzając, moje udo.

– A pani ciągle ma śliczne nóżki. Można zerknąć...? Mogę, prawda? – dopytywał się starszy pan, unosząc końcem laski rąbek spódnicy swojej rozmówczyni.

– Dajże pan spokój, panie Horzejszi! Łazi z tą laską nie wiadomo gdzie, a teraz będzie mi ją wtykał pod spódnicę!

Maksymilian zaczął się uważniej przysłuchiwać.

– Na pewno przyszedł tutaj z tego zwierzyńca, co był przy zamku. Kiedy Amerykanie rozpoczęli natarcie, to Niemcy zaczęli do nich strzelać z tej góry nad rzeką. A to było właśnie tam za rzeką, te szklane pawilony i to zoo; tam gdzie teraz jest składnica złomu. No i ci Amerykanie rzucili jakiś granat czy co, na tych Niemców, ale trafili w ogród zoologiczny, a wtedy te wszystkie zwierzęta pouciekały i zaczęły się włóczyć po lesie. Mój świętej pamięci mąż jeszcze rok później natknął się tam na wielkiego jeżozwierza. A wielebny z tej drugiej wsi, jeszcze zanim go zamknęli, to mówił, że widział w lesie małpy. Tak było!

– Ależ pani Rózenko, czego to ludzie nie naopowiadają... Taka tam pusta gadanina.

– No to niech mnie pan nie pyta, jeśli mi pan nie wierzy, panie Horzejszi! Po co pan pyta? Niech pan nie pyta!

Kobieta odwróciła się od rozmówcy, wstała i ruszyła w stronę Maksymiliana.

– Proszę pana! Tak, do pana mówię. Pan jest od Czernych, prawda?

– No... tak – odpowiedział Maksymilian. – Jestem ich zięciem.

– Niech się pan zapyta pana inżyniera Czernego, czy to prawda. On też je widział.

– Co widział?

– No słyszycie, ludzie...?! – kobieta odwróciła się z powrotem do mężczyzny z laską i pozostałych starców, którzy spojrzeli na nią z uwagą. – To przez to, żeście tu wszyscy przyszli po czterdziestym piątym.

– Pani Rózenko – obruszył się mężczyzna z laską. – Niech pani tu nie wyciąga takich rzeczy!

– Niech pan zapyta Czernego! Czerny też widział w lesie mały, kiedy rozwalili ten zwierzyńiec. Cały ogród zoologiczny biegał po lesie, mówię panu!

– A... a jak się pan właściwie nazywa? – zapytał starzec z laską.

– Maksymilian.

– A ten mały to pewnie Krzysztofek?

– Tak, to mój syn. A skąd pan wie, jak ma na imię? – zdziwił się Maksymilian.

– Tu wszyscy wszystko wiedzą. Ale niech pan zapyta inżyniera, swojego teścia, czy je widział. Czy widział te mały.

– Dobrze – odpowiedział Maksymilian. – Zapytam.

Kobieta pożegnała się, machnęła ręką panu z laską i odeszła z dzbanem piwa.

– Przecież pozdychałyby z zimna! – ciągnął pan Horzejszi, podkreślając każdą sylabę uderzeniem laski o ziemię. – Przecież to zwierzęta z ciepłych krajów. Nie są przyzwyczajone do zimna, jeśli pochodzą z Afryki czy innej Australii. No nie mam racji? A poza tym, czym by się tam żywiły?

– Liśćmi, panie Horzejszi, liśćmi! – krzyknęła pani Różenka od furtki, gdzie przystanęła, słysząc, że sąsiad jeszcze coś mówi.

Tego dnia jakoś się nie złożyło, ale następnego Maksymilian dokładnie wypytał teścia o wszystko, ponieważ przyśniło mu się, że błąka się po jakimś nieznanym ogrodzie zoologicznym.

– Tak, widziałem. Widziałem tam różne zwierzęta – powiedział teść. – Niemcy się wycofywali, Amerykanie nacierali, w czasie strzelaniny rozwalili ogrodzenie, a zwierzęta pouciekały. Wojna, co robić. Później po wojnie przyszła bardzo ostra zima, nie pamiętam już dokładnie kiedy, ale mróz

był straszny. Wtedy te wszystkie zwierzęta wyginęły. A ten ksiądz, co wtedy u nas odprawiał msze, nazywał się Róźiczka czy jakoś tak, chociaż wcześniej nosił niemieckie nazwisko, to ten ksiądz miał wtedy bardzo piękne kazanie, że żyjemy tu wszyscy jak w rajskim ogrodzie. Że jesteśmy w raju, chociaż sami o tym nie wiemy. Że to do nas nie dociera. On też widział te zwierzęta. To było tuż przed przewrotem. A może już po? Już nie pamiętam. Kiedyś ci o tym opowiem, Maksymilianie.

W małżeństwie Maksymiliana i Alicji nie układało się dobrze. Dziecko nie scementowało ich związku, nie wypełniło go radością i miłością. Zawód na całej linii. Po porodzie Alicja rzadko bywała w dobrym humorze, a kiedy z jej krwiobiegu zniknęły słodkie hormony stanu błogosławionego, odkryła, że wokół niej nie ma nic oprócz beznadziejnej szarości zakurzonych ulic. Wyjazdy z dzieckiem na wieś nieco poprawiały jej nastrój, ale tam z kolei nie mogła patrzeć na to, jak ojciec żyje w samotności i coraz bardziej się zaniedbuje. Nie pamiętał o obcinaniu paznokci, czasami po kilka dni się nie golił, a bywało, że zapominał o posiłkach. Z początku Alicja przypominała mu o tym wszystkim, ale z czasem dała spokój, widząc, jak źle to znosi i czuje się winny. Wyrzuty, które mu czyniła, wracały potem do niej niczym podstępne strzały wycelowane w rodzinne gniazdo. Zagadkowe rozstanie rodziców, mimo że prześcigali się w propozycjach pilnowania dziecka, nie poprawiało Alicji nastroju. Każde z nich przedstawiało listę własnych win. Maksymilian zmienił pracę, żeby lepiej zarabiać, ale im lepiej zarabiał, tym rzadziej bywał w domu. Kiedy wracał, był tak zmęczony, że zasypiał na krześle przy kolacji.

Na pierwszych urodzinach małego Krzysztofa spotkała się cała rodzina, po raz pierwszy od z górą roku. Kwietka szykowała

się na to spotkanie niczym do jakiejś operacji wojskowej. Nowa sukienka, nowa fryzura, manicure, pedicure, nowe, ale już wygodnie rozchodzone buty, żeby jej nie cisnęły, bo mogłaby być wtedy niemiła dla Josefa. Cały tydzień wybierała perfumy stosowne do jej wieku oraz celu, który sobie założyła. Nie uwodzicielskie, ale przyjemne. Przyjemne, a więc uwodzicielskie, nie jak gwałtowne zapachy młodości, tylko jak swobodny zapach późnego popołudnia. Przygotowaniom oddawała się przez kilka miesięcy, z takim przejęciem, jakby zamierzała zdobyć biegun północny. A kiedy w końcu jej mąż się pojawił, całkiem ją to wytrąciło z równowagi. Przyjechał ze wsi do Pragi w starym swetrze i z dwudniową szczecina na policzkach, przygarbiony bardziej niż wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni. Prawie przez cały czas bawił się z małym, a wychodząc, zapomniał prezentu od żony: dwóch biletów na koncert, na który Kwietka chciała pójść razem z nim. Kilka dni biegała po mieście z łapówkami, zanim udało jej się upolować bilety na występ młodego kanadyjskiego pianisty, o którym krążyły legendy, zwłaszcza o tym, jak gra *Wariacje Goldbergowskie* Bacha. Kwietka wykorzystwała najcięższą amunicję, nie miała już żadnych atutów – ani w rękach, ani w sercu. Chociaż Alicja i Maksymilian dzielnie grali role dumnych rodziców, to nie mogli spokojnie patrzeć na to, co rozgrywa się między Kwietką i Josefem. Kiedy Josef wyszedł na balkon zapalić papierosa, z kieszeni wypadło mu parę niedopałków. Alicja wściekała się w duchu już z tego powodu, że założył ten stary brązowy sweter, chociaż ostatnim razem wyprasowała mu garnitur i dwie koszule oraz wypastowała półbuty. Chłodne, nieobecne i skrywające strach spojrzenie jej matki, która zobaczyła męża po raz pierwszy od roku, było bardzo wymowne, a atmosferę urodzinowego

przyjęcia psuło zakłopotanie, które odczuwali wszyscy – oprócz dziadka. Dziadek łąził za małym na czworakach po wszystkich zakamarkach mieszkania i nie zwracał uwagi na resztę towarzystwa, podobnie zresztą jak jego wnuk. Kiedy obaj poczuli zmęczenie i Krzysztof zaczął przysypiać, Josef wyszedł na pociąg. Zaskoczył tym wszystkich, bo nawet się nie pożegnał. Nie była to prawda, pożegnał się, ale tylko z Krzysztofem, który jednak na razie nie umiał tego nikomu powiedzieć. Kiedy parę minut później do wyjścia zbierała się Alicja, Kwietka powiedziała:

– Powinnaś była mnie uprzedzić, Alusiu, że jest w takim stanie. To naprawdę nieładnie z twojej strony, że nic mi nie powiedziałaś.

Od tej pory Alicja dała za wygraną. Miała dość problemów z własnym małżeństwem, nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby pomóc rodzicom. Nadal opiekowała się starzejącym się ojcem i starała się wykorzystać te rzadkie chwile, kiedy jej mąż przebywał w domu.

Słodycz pierwszej i jedynej ciąży coraz wyraźniej zamieniała się we wspomnienie. Teraz Alicja tkwiła na samym dnie wolno poruszającej się brei codzienności, a jedyną jasną rzeczą w tym wszystkim był jej ślub, na który patrzyła jak przez szybkę. Maksymilian wiecznie był poza domem, a pytania zbywał jakimiś niestworzonymi wymysłami albo milczeniem. Kiedy Krzysztof skończył trzy latka, Alicja postanowiła porozmawiać z mężem o następnym dziecku. Po tej rozmowie była pewna, że nie zobaczy go przez kilka dni. Potem pojawił się któregoś nocy przed świtem, pijany i w towarzystwie wstawionych koleżków, a droga do łazienki zmieniła się w dziwny tor przeszkód, który trzeba było przebyć, nie nadepnawszy na żadną rękę, nogę ani brzuch pogrążonych

w ciężkim śnie ciał, których oddech zapełniał mieszkanie oparami wódki. Kiedy wytrzeźwiał, a Alicja próbowała z nim porozmawiać, wybuchła piekielna kłótnia o wszystko – również o pieniądze. Ich rozmowy stały się pyskówkami, które nie mogły doprowadzić do żadnego porozumienia, bo każde z nich zajadłe broniło swoich racji. Po tych kłótniach oboje czuli się zbrukani i znękani, a brudna rozpacz, która ich ogarniała, miała zapach mieszaniny karbolu, chloroformu i płynu Lugola. Ranili się nawzajem coraz dotkliwiej, a potem chwyтали się każdego środka, który łagodził ból, choćby nawet miał wprawić w odrętwienie połowę duszy. I wcale nie chodziło o brak wrażliwości. Przeciwnie, był to smutek płynący z rozczarowania, Maksymilian uświadamiał to sobie coraz wyraźniej. Rozczarowanie z posmakiem potu, bólu i krwi. Spojrzenie w pustkę działało na niego paraliżująco. W nocy miewał różne sny. W jednym z nich, tym najbardziej dziwnym, był kosmonautą. Przez długi czas starannie zakładał skafander, a potem przemieścił się poza statek, by w przestrzeni międzygwiazdnej dokonać naprawy pokrycia rakiety. Nagle pękła lina łącząca go z pojazdem, a on zaczął coraz bardziej oddalać się od niego a także od kuli ziemskiej, na której rozpoczął podróż. W jednej wersji tego snu statek kosmiczny miał okrągłe okienka, w drugiej nie. Ale on za każdym razem wiedział, że wewnątrz pozostała jego żona, która parzy dla niego kawę albo piecze strudelę jabłkową, taką właśnie, jaką Maksymilian uwielbia. Alicja nigdy nie zdążyła podejść do okrągłego okienka. Za każdym razem Maksymilian budził się przytłoczony przerażeniem, którego ciężar czuł na płucach. Było jasne, że w warunkach nieważkości nie da się zaparzyć kawy, ale we śnie to nie miało znaczenia. W zakłopotaniu rozmyślał nad tym, że wewnątrz

działało prawo ciężenia i wszystko było jak na ziemi. Nieważkość panowała tylko na zewnątrz, a to przeczyło prawom przyrody. Mniejsza o to, i tak w tych wszystkich snach chodziło o jedno: o to że jest przegrany.

Po ślubie zaczęło do Maksymiliana docierać, że grunt usuwa mu się spod nóg. Nie wiedział dokładnie, co się dzieje, ale emocje, zmęczenie i wieczny brak pieniędzy skłoniły go do tego, żeby spróbować coś zmienić, przynajmniej dla siebie. Chciał być bardziej szczery, nie taki jak ojciec. W końcu czasy sprzyjały takim postanowieniom. Teraz, w latach siedemdziesiątych nadszedł czas zbierania plonów myśli zasianych dekadę wcześniej. Sny o braterstwie, równości, miłości i harmonii – to wszystko docierało za żelazną kurtynę, również do Czechosłowacji. Maksymilian chciał się wyzwolić nie w sensie politycznym, lecz ludzkim. W końcu w czechosłowackich koszarach stacjonowali rosyjscy żołnierze ze swoimi czołgami. Chciał się uwolnić – sam nie wiedział od czego. Zaglądał do czasopism, w których można było znaleźć artykuły szczegółowo przedstawiające najnowocześniejsze trendy w psychologii. Z nich dowiedział się, że pragnie uwolnić się od samego siebie i swoich własnych uprzedzeń. Maksymilian nie był świadom swoich uprzedzeń, ale kiedy zapoznał się w zarysach z teorią wzrostu, zrozumiał, że diabeł niewiedzy może skrywać się w każdej myśli i w każdym uczuciu. Dotarło do niego, że jeżeli jego życie ma mieć jakiś sens, to jest nim zrozumienie samego siebie. Pomyślał, że jego wysiłki wyjdą też na dobre jego małżeństwu. W ten sposób gdzieś na miedzach wśród urodzajnych pól poszczególnych teorii psychologicznych wyhodował sobie ideę szczerości. Szczerość miała polegać na tym, by nie tłumić własnych emocji. Ograniczyć samokontrolę i pozwolić płynąć emocjom.

Wszystkim uczuciom, bo tylko one są prawdziwe. Mniej więcej tak to rozumiał Maksymilian. W praktyce oznaczało to, że na wieczornych spotkaniach pił jeszcze więcej, a kiedy potem wracał do domu, był jeszcze bardziej agresywny niż przedtem, kiedy jeszcze nie wprowadzał w życie teorii szczerości. Kiedy kłócił się z Alicją, nie powstrzymywał się przed tym, by wałnąć pięścią w stół. Po kilku miesiącach zdarzało mu się ścisnąć ją boleśnie za nadgarstki i nie minęło wiele czasu, a podniósł na nią rękę. Kiedy uderzył ją po raz pierwszy, pomyślała, że jest może bardziej pijany niż zwykle. Za drugim razem był trzeźwy i oznajmił, że musi dać upust gniewowi. Za trzecim razem, kiedy rzucił ją na przeciwległą ścianę, wciąż jeszcze nie chciała się go bać. Z czasem pojawiły się sińce i strach.

Kiedy Krzysztof miał cztery i pół roku, lekarz poradził Alicji, żeby na jakiś czas zrezygnowała z antykoncepcji. W tym czasie Maksymilian pomieszkiwał u znajomych i rzadko nocował w domu, a Alicja nie chciała słyszeć o kilku kochankach, które o niego rywalizowały. Tak ciągnęło się to jeszcze przez kilka miesięcy. Do domu wpadał rzadko i o nieprzewidzianych porach, równie nieczęsto i nieregularnie uprawiali miłość, aż wreszcie Alicja stwierdziła, że jest w ciąży. Przeczowała to już wcześniej. Powróciło to błogie uczucie, którego nie doświadczyła przez pięć długich lat. Mały Krzysztof też coś zauważył, chociaż coraz więcej czasu spędzał z dziadkiem, który zabierał go na wieś na soboty i niedziele. Alicja znów znalazła się w bańce mydlanej bezbrzeżnego błogostanu. Słodkiej, pożywnej, gwarantującej ochronę i bezpieczeństwo. Nie miałyby nawet nic przeciwko temu, żeby rozwieść się z Maksymilianem – miałyby teraz dwoje dzieci i tylko to się liczyło. Nadal jeździła z Krzysztofem do domku

na wsi, gdzie dziadek wprowadzał małego w tajniki rachunków, geometrii i warcabów. Czasami, zazwyczaj w soboty, wpadał Maksymilian na jeden wieczór lub trochę dłużej. Kłótnie, których nie dało się już uniknąć, przypominały zaciętą walkę dwóch wojsk kryjących się w okopach. Nieuniknione było również i to, że ich miłość się wyczerpała, zostały z niej może krzemienie i siarka, może nienawiść. Wszystko przebiegało błyskawicznie, wystarczało jedno spojrzenie, kpiąca intonacja czy dobrze obmyślany gest, by rozpoczął się atak. Na pierwszy ogień szły wyrzuty, potem następowało kontrnatarcie. W jednej z takich kłótni Alicja powiedziała:

– Wynoś się! Wynoś się i więcej nie wracaj! To, co mi potrzebne, już od ciebie dostałam: Krzysztofa i to drugie dziecko, które noszę! Sama o nie zadbam, tobie i tak nie powierzyłabym żadnego z nich nawet na pięć minut, żeby nie wyrosło na coś takiego jak ty!

Dopiero potem, kiedy ją uderzył, a ona leżała na ziemi i ocierała z twarzy krew, dotarło do niego, co powiedziała.

– Ty będziesz miała dziecko?

– Tak – odpowiedziała. – Z tobą, skarbie, z tobą!

– A kto ma na to zarobić? Co? Jak myślisz? – rzucił Maksymilian, po czym chwycił ją za włosy i zaczął bić.

Josef długo nie wiedział o ich wieczornych kłótniach. Spał piętro wyżej razem z Krzysztofem, a poza tym przed snem zawsze wyjmował z ucha aparat. Kiedy małemu śniło się coś niedobrego, budził się, wchodził dziadkowi do łóżka i chwycił go za rękę. A kiedy sen był naprawdę straszny, tak długo za nią szarpał, aż dziadek się obudził. Josef wtedy zapalał nocną lampkę na stoliku obok łóżka, patrzył na wnuka i zakładał aparat. Krzysztof wiedział, że bez tego nie ma sensu w ogóle się do dziadka odzywać. Tym razem było tak samo,

tylko zamiast opowiadać dziadkowi, że śniło mu się coś strasznego, położył palec na ustach i powiedział:

– Posłuchaj, znowu się kłóć.

Z dołu dochodziły głosy Maksymiliana i Alicji. Dziadek usiadł na łóżku, zarzucił szlafrok na ramiona i powiedział:

– Pójdę zrobić z nimi porządek, nic się nie bój, będzie dobrze, nie jak tydzień temu.

Zszedł na dół, a kiedy otworzył drzwi, zobaczył, że Maksymilian trzyma za włosy jego córkę, bije ją i próbuje wyciągnąć ją spod ławy, a ona krzyczy, skulona. Rzucił się w kierunku zięcia, ale skok starca nie wystarczył, by udało mu się go dopaść. Zawadził o przewrócone krzesło i upadł jak długi. Kiedy próbował się podnieść, pijany Maksymilian już nad nim stał i krzyczał, żeby nie mieszał się w nie swoje sprawy.

Krzysztof co wieczór szeptał coś dziadkowi przed snem, więc Josef miał w aparacie głośność nastawioną na maksimum. Głos Maksymiliana w jego uchu zabrzmiał jak wrzask, którego nie dało się wytrzymać. Josef, odruchowo broniąc się przed tym bolesnym hałasem, wymierzył mu policzek, w który włożył całą swoją siłę. Maksymilian się zachwiał, zamilkł i uderzył Josefa. Potem Josef uznał, że ten cios można by od biedy uznać za niezbyt udany prawy hak. Spróbował uskoczyć, ale był już zbyt powolny, żeby całkowicie uniknąć ciosu. Uderzenie, które zostało wymierzone w brodę, trafiło w lewy policzek. Josef padając, nadział się na przewrócone krzesło. Widział je, ale nie mógł go ominąć. Poczł ból w prawym przedramieniu i żebrach. Zapadła cisza. Maksymilian jeszcze wściekle kopnął jakiś przedmiot i wyszedł. Deski podłogi, na której leżał Josef, przeniosły drżenie wywołane trzaśnięciem drzwiami. I cisza. Josef zaczął się podnosić i gramolić na czworakach w poszukiwaniu

aparatu, który wypadł mu z ucha. Założył go, ale nadal nic nie słyszał, więc znowu go wyjął, otworzył klapkę, pod którą były baterie, poprawił tę, która się przemieściła, i ponownie założył aparat. Popatrzył na córkę, która powiedziała:

– Ja chyba krwawię! Tato leci ze mnie...

Sąsiad, który zawiózł ich swoim samochodem do szpitala, założył na piżamę sztruksowe spodnie i wiatrówkę. Josef miał na sobie podarty szlafrok, piżamę i skarpetki. Krzysztof jechał w szkolnym ubranku. Sąsiad rozłożył tylne siedzenie i położył na nim Alicję, która leżała zwinięta w kłębek i krwawiła z dróg rodnych. Przez cały czas powtarzał:

– Co za łajdak, panie inżynierze, mógł was przecież wszystkich pozabijać. Takiego drania trzeba zamknąć.

Zanim ruszył, dał każdemu czapkę narciarską, ze słowami:

– Wysiadło mi w aucie ogrzewanie, weźcie te czapki, żebyście nie zmarzli.

Tej nocy Alicja straciła swoje drugie dziecko. W szpitalu nie udało się go uratować. Lekarz ujął Josefa za rękę i powiedział mu o straconej ciąży. Josef zaklął. Lekarz przyjrzał mu się i powiedział:

– Pana też nieźle załatwił.

Jeszcze raz ujął go za łokieć, a Josef jeszcze raz zaklął.

– Zaprowadzę pana na rentgen – powiedział lekarz.

– Nigdzie nie mogę iść, nie jestem sam – odrzekł Josef, wskazując na wnuka.

– Mały pójdzie z panem, musi pan zrobić rentgen.

Krzysztof chodził po szpitalu razem z dziadkiem, któremu opatrzono złamaną szczękę, lewe przedramię i dwa żebra. Kiedy dziadka zaczęli bandażować, a potem zagipsowali mu rękę, Krzysztof zaczął płakać. Nie zainteresowały go nawet kieszonkowe warcaby, które sąsiad znalazł w aucie. Córka

Josefa poroniła. Straciła dziecko, o którym nawet nie wiedział, że jest w drodze. Zapytał, czy może zadzwonić, i wykręcił praski numer Kwiety. Kiedy podniosła słuchawkę, powiedział:

– Chyba powinnaś przyjechać. Alicja poroniła. Ja jestem pobity, a mały się drze. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale myślę, że jesteś tu potrzebna.

1

Do tego łóżka u ciotki Anny nigdy nie mogłam przywyknąć. Spałam na nim tyle lat, a jednak wciąż mnie kusilo, żeby je sprzedać albo wyrzucić. Kiedy wprowadziłam się do ciotki Anny, chciałam je naprawić, ale tapicer, którego wzięłam z ogłoszenia, zaczął się do mnie umizgiwać, zamiast zająć się tapicerką. Był o parę lat młodszy ode mnie, więc oczywiście schlebiało mi to. Po tych przejściach z Josefem trochę schudłam i wróciłam do swojej dawnej wagi. Nie żeby nie miała ochoty ulec, ale wtedy jeszcze miałam nadzieję, że Josef do mnie wróci. A to łóżko nie do końca było łóżkiem. Była to właściwie kanapa-fotel. Miała ruchome oparcie, wysokie i miękkie, które w razie potrzeby można było tak ustawić, żeby podpierało głowę i część pleców. Było mi na tym meblu wygodnie i bezpiecznie. Kiedy nie chciałam spać, mogłam tylko zakopać się w poduszkach. Z tyłu ustawiłam lampę, którą ciotka Anna miała u siebie, naprawiłam stary, wypłowiały żyrandol i odtąd lampa unosiła się nad moim fotelem niczym mały baldachim. Wypróbowałam kilka żarówek o różnej mocy, aż w końcu dobrałam sobie taką, przy której jeszcze dało się czytać, ale nie raziła w oczy.

W tym mieszkaniu wszystko było stare. Meble, dywany, lampy, kuchenka, ale najstarsza była ciotka Anna. Zanim z nią zamieszkałam, taka jedna wysoka urzędniczka z dziwną

fryzurą chciała wyekspediować ją do jakiegoś domu starców. Ciotka Anna nie miała dzieci, mieszkała sama, a mnie wydało się podejrzane, że urzędy przypomniały sobie o niej akurat wtedy, kiedy różni ludzie w okolicy zaczęli interesować się jej mieszkaniem. Dzwoniłam do niej raz czy dwa razy w miesiącu, pytałam, czy czegoś nie potrzebuje, i pomagałam jej załatwić różne rzeczy, ale przez ostatnich kilka miesięcy po rozstaniu z Josefem prawie cały czas płakałam, no i ciotkę Annę trochę zaniedbałam. Kiedy zajrzałam do niej po jakimś czasie, zorientowałam się, że z pamięcią tej nieboraczki jest coraz gorzej. Sąsiadka, pani Martincova, która czasem mi przy niej pomagała, leżała w szpitalu ze złamaniem szyjki kości udowej, więc ciotka była zdana sama na siebie. Przez niemal pół roku, kiedy do niej nie zaglądałam, strasznie się posunęła. Na początku wszystko było niby tak jak zawsze, starała się być dla mnie bardzo miła, ale kiedy zaczęła się do mnie zwracać a to Libuszo, a to Haniczko, a to Karolino, tylko tej Kwiety nie mogła sobie przypomnieć, już wiedziałam, że jest z nią coraz gorzej. No i tak zamiast Josefa, zaczęłam opiekować się ciotką Anną. Najpierw przez dwa tygodnie nic innego nie robiłam, tylko prałam, wycierałam kurze i wyrzucałam niepotrzebne stare graty. Potem wzięłam się do mycia okien i drzwi. Ciotka mnie obserwowała i zwracała się do mnie w zależności od tego, co robiłam. Raz, kiedy tarabaniłam się na podwórko z dywanem do trzepania i byłam cała zakurzona i brudna, spojrzała na mnie ze swojego stołeczka w kuchni, jak tak stoję w drzwiach z tym dywanem na ramieniu, rozkraczona, w starej kiece, spocona i z wiklinową trzepaczką pod pachą. Zdjęła okulary, pokręciła głową i powiedziała:

– Ty to musisz być nasza Zorka.

Potem znowu pokręciła głową i powiedziała z przyganą w głosie:

– Ale się zapuściłaś, dziewczyno, powinnaś trochę o siebie zadbać.

Potem zauważyłam, że zwracała się do mnie w zależności od tego, jak byłam ubrana. Miała w tym jakąś swoją metodę.

Przy sprzątaniu natknęłam się na kilka albumów ze zdjęciami. A kiedy tamtego ranka zadzwonił telefon, akurat leżałam na jednym z nich, takim starym, w skórzanej oprawie, we śnie odgniotłam sobie o niego zebra, było jeszcze ciemno, a gdy podniosłam słuchawkę, usłyszałam głos Josefa. Jesienny głos. Powiedział mi, co się stało. O Alicji, o sobie i o Krzysztofku. Narzuciłam coś na siebie i z budki telefonicznej – bo przyszło mi to do głowy już na ulicy – zadzwoniłam po taksówkę i pojechałam na dworzec. Dopiero tam to wszystko do mnie dotarło i zaczęłam się cała trząść. Zadzwoniłam do Tonika, przecież jest lekarzem. Był w pracy, na szczęście schodził już z dyżuru, więc przyjechał po mnie swoim samochodem i oboje pojechaliśmy do szpitala. Po drodze opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami, co usłyszałam od Josefa. Tonik podał mi termos z kawą, której nie zdążył wypić w pracy, i zatrzymał się przy kiosku, żeby kupić papierosy.

Kiedy zaparkował pod szpitalem i wysiedliśmy z auta, zobaczyłam Vaszka, tego sąsiada, który przywiózł Alusię, Krzysztofa i Josefa. Stał na schodach, palił i wyglądał na przybitego. Był może o trzy lata starszy od Alicji. Strasznie mnie to przeraziło, bo zawsze miałam go w pamięci z uśmiechem na twarzy, taki wesołek był z niego, a tu nagle stoi tam taki smutny i przygaszony, że aż mi zaparło dech. Kiedy weszliśmy do sali, Alicja patrzyła w okno, a dwie inne chore

akurat jadły śniadanie w swoich łózkach. Przy łóżku Alicji stały dwa krzesła, po jednym z każdej strony, na jednym spał Krzysztofek. Drugie było puste. Usiadłam na nim. Tonik pogłaskał Alicję po głowie i poszedł po lekarza, który miał tej nocy dyżur i zajął się nimi wszystkimi.

Przyjechaliśmy za późno. Spóźniłam się, bardzo się spóźniłam, więc tylko objęłam swoją małą dziewczynkę, a Krzysztofa wzięłam za łapkę i starałam się nie rozplakać. Nie było to łatwe. Jak przyszliśmy, to mimo wszystko narobiliśmy trochę hałasu i Krzysztofek się obudził. Powiedział:

– Cześć, babciu.

A potem rozejrzał się za Josefem i dodał:

– Dziadek na pewno poszedł siku.

I znowu przytulił się do Alicji. Potem przyszli Josef i Tonik. Josef przywitał się ze mną i przez chwilę miałam wrażenie, że cieszy się z tego, że mnie widzi. I tak tam wszyscy siedzieliśmy, póki pielęgniarka nie wyprosiła nas na korytarz, bo tamte dwie chore nie mogły chodzić, a przyszła pora na podawanie basenów i w ogóle na poranną toaletę. Tonik powiedział nam, że lekarz spisał wszystko tak, żeby można było tego użyć w dochodzeniu policyjnym. Potem dołączył do nas sąsiad Vaszek, a kiedy to wszystko usłyszał, powiedział:

– Zamknąć go, gnoja cholernego!

A ja ucieszyłam się, że ktoś to głośno powiedział. Ale jednocześnie nie mogłam zrozumieć, jak to w ogóle możliwe, że sprawy między Alicją i Maksymilianem zaszły tak daleko. Potem Vaszek powiedział:

– Nie gniewajcie się, ale ja będę musiał jechać do pracy, więc mogę kogoś z was podrzucić na wieś, jeśli chcecie.

Powiedziałam, że ja pojedę, wezmę jakieś rzeczy dla Alicji, Josefa i małego. I że Josef z Alicją nie mogą tam wrócić,

że muszą pojechać do Pragi. Tonik przytakiwał i już wiedziałam, że będzie dobrze, że Josef się zgodzi i nie będzie problemu. Tonik oświadczył, że sam mnie tam zawiezie, i podziękował Vaszкови. Pojechaliśmy więc na wieś, a Josef i Krzysztofek zostali w szpitalu z Alicją. Spakowałam jakieś ubrania, a dla małego jeszcze kredki, układanki i dwa komplety klocków, dwa samochodziki i mały pomarańczowy traktor. Dla Josefa wzięłam płaszcz, półbuty, spodnie, parasol i teczkę. Teczka od razu oddałam Tonikowi, bo przypomniałam sobie, jak Josef zawsze się irytował, kiedy tylko jej dotknęłam. Była to, o ile dobrze pamiętam, jego czwarta teczka w ciągu tych trzydziestu lat, a wszystkie jej poprzedniczki trzymał gdzieś na strychu. Josef mawiał, że teczka w kobiecej ręce jest niczym odbezpieczony pistolet. Tak sobie ze mnie żartował. Nic sobie z tego nie robiłam, ale czasami porządnie wyprowadzało go to z równowagi, a mnie teraz niepotrzebne były żadne problemy, chciałam tylko, żeby oni wszyscy znaleźli się z powrotem w Pradze, żebym mogła się nimi zajmować, bo wiedziałam, że ciotkę Annę mogę zostawić nie więcej niż na trzy dni, żeby nie zaczęła niknąć w oczach. Tylko bardzo nie chciałam płakać. Ale jakoś wcale nie było mi do płaczu. Tonik powiedział, że w tej kawie, którą mnie poczęstował, rozpuścił środek na uspokojenie, żebym jakoś się trzymała. A kiedy się zdziwiłam, że przecież on też pił tę kawę, stwierdził, że to, co zrobił Maksymilian, jest straszne i całe szczęście, że nie wyżył się na małym. A kiedy to powiedział, to mimo tej kawy i tego proszka na uspokojenie rozryczałam się jak każda bezsilna kobieta, którą przecież w tej chwili byłam.

Moja córka straciła dziecko, którego istnienia nie podejrzewałam, a Krzysztofek stracił braciszka albo siostrzyczkę,

o czym nawet nie wiedział. A potem zawiozłam ich wszystkich do Pragi. Josef wymienił zamki, żeby Maksymilian nie mógł się dostać do mieszkania, i jeszcze obszedł wszystkich lokatorów w tej sprawie, a ja złożyłam doniesienie na policji. Josef mieszkał na razie z Alicją w naszym dawnym mieszkaniu i miałam wrażenie, że Krzysztofowi się tam spodobało, chociaż po kilku dniach zaczął się dopytywać, dlaczego tatuś zrobił mamie taką krzywdę. Napisałam do tego księdza, który udzielał im ślubu. Chciałam, żeby się dowiedział o tym, co zrobił Maksymilian, i żeby go uprzedził, żeby nie ważył się zbliżyć do mojej córki, bo zabiję go własnymi rękami, a on mi odpisał, że nie jest jego rzeczą sądzić grzechów Bożych dzieci, które wszystkie ponoć żyją pod słońcem. A potem pomyślałam sobie, że czego można się spodziewać po księdzu, który przecież nigdy nie miał dzieci. No ale musiałam do niego napisać, bo Maksymilian jakby się zapadł pod ziemię, nie pojawiał się ani w pracy, ani u znajomych i w ogóle nigdzie, ale z tego, co mówiła Alicja, wywnioskowałam, że ma gdzieś jakąś babę. Codziennie po południu odwiedzałam Alicję w szpitalu, zaglądałam też do Josefa i Krzysztofka. Przynosiłam im obiad i starałam się im nie narzucać, ale obserwowałam Josefa, tak, żeby tego nie zauważył, i stwierdziłam, że biedaczyna bez tego swojego aparatu już prawie nic nie słyszy. Tonik też czasem wpadał. W domu panowała taka cmentarna atmosfera, że chyba bym zwariowała, gdyby nie przepisał mi jakichś proszków. W końcu ciotka Anna zorientowała się, że dokądś regularnie chodzę, i powiedziała, że powinnam się porządnie wyspać, a w ogóle, to że pójdzie ze mną. Wzięłam ją więc ze sobą, skoro nalegała, chociaż ciągnąć ją ze sobą autobusami i tramwajami przez całe miasto to była mordęga. No ale jakoś sobie poradziłyśmy.

A kiedy dotarliśmy na miejsce, ciotka, która w ogóle nie pamiętała, kim jest osoba, do której przyszła w odwiedziny, wdała się w pogaduszki z Josefem, któremu akurat wysiadły baterie w aparacie. Przysłuchiwał się temu Krzysztofek i miał uciechę, że wszyscy ciągle się mylą i właściwie nikt nie wie, z kim rozmawia, i w ogóle się z nas nabijał. Kiedy Josef zorientował się, że ciotka zwraca się do niego za każdym razem innym imieniem, sam zaczął się z tego śmiać, to znaczy śmiał się, tylko jeżeli akurat to usłyszał. Ciotkę Annę też to w pewnym momencie rozbawiło. A potem w domu, kiedy usłyszała, jak zegar w bawialni wybijał pełną godzinę, odezwała się ni z tego, ni z owego:

– Co ja się tego zegara naszukałam... Mogliście mi powiedzieć, że jest tutaj.

I dodała:

– W przyszłym tygodniu pójdziemy wszyscy do zoo, mają tam przywieźć nowego słonia, wasze dziecko się ucieszy.

Odpowiedziałam, że Alicja jest już duża, a ona mi na to, że miała na myśli Krzysztofka, więc tylko przytaknęłam bez wdawania się w wyjaśnienia.

Kiedy już długo nie docierały do mnie żadne wiadomości o tej kanalii, moim zięciu, poszłam na policję, żeby zasięgnąć informacji, a tam mi powiedzieli, że postępowanie karne zostało umorzone. Policjant zajrzał do dokumentów i powiedział:

– Była tu pani córka i oświadczyła, że wycofuje oskarżenie.

Ogarnęła mnie złość, że jak to, przecież są dwa lekarskie zaświadczenia czy protokoły, czy jak to się fachowo nazywa, i że przecież ja nie wyraziłam na to zgody, a on mi na to, że mnie to nie dotyczy, bo nie uczestniczyłam w zajściu i nawet nie byłam jego świadkiem, i że moja córka, która

była uczestnikiem zdarzenia, tak powiedział: uczestnikiem, a miał na myśli, że została pobita, w ogóle nie zamierza składać zeznań. Strasznie się zdenerwowałam i powiedziałam:

– Miał ją ten łajdak zabić albo zrobić z niej kalekę? To za mało, że poroniła?

A ten policjant tylko tak patrzył na mnie smutnym wzrokiem, wreszcie się odezwał:

– Proszę pani, z przemocą w rodzinie zawsze jest problem...

Potem zaczął czegoś szukać, wyjął skądś szklankę, nalał do niej wody z kranu i postawił przede mną. Powiedział, że mnie rozumie, chociaż w ogóle mnie nie rozumiał, więc wyszłam stamtąd.

Wieczorem powiedziałam o tym Alicji, a ona oświadczyła, że i tak niczego się tym nie naprawi, po czym dodała:

– Mamo, ty byś naprawdę chciała, żebym wyszła do więzienia ojca swojego dziecka?

Nic nie odpowiedziałam i wróciłam do domu, do ciotki Anny.

Wieczorem ciotka spojrzała na mnie i powiedziała:

– Kwietuszek, jeśli nie będziesz na siebie uważać, wkrótce będziesz całkiem siwa.

A ja stałam z otwartą buzią, że po tak długim czasie nazywała mnie właściwym imieniem. Tak mnie to rozstroiło, że rozpłakałam się nad albumem z czarno-białymi fotografiami, próbując dojść, kto jest kim w tej naszej nieszczęsnej rodzinie.

Myślałam, że w czasie tych kilku miesięcy, kiedy Josef mieszkał w Pradze, będę się z nim częściej widywać, zwłaszcza po wyjściu Alicji ze szpitala. Właściwie wcale tak nie myślałam, tylko miałam nadzieję. Tymczasem na wiosnę Josef wrócił na wieś do Lhotki. Kiedy mieszkał w naszym

dawnym mieszkaniu razem z Alicją i Krzysztofkiem, dotarło do mnie, że ciągle go Kocham. Jasne, że wszystko było inaczej niż przed trzydziestu laty. Już nie chodziliśmy razem na koncerty i w ogóle mnie unikał. Czasami jeździłam do nich na wieś, Josef nic nie miał przeciwko temu od czasu tego nieszczęścia, które sprowadził na nas Maksymilian. Tolerował mnie. Jeździłam po całej Pradze, żeby zdobyć dla niego baterie do aparatu słuchowego, kładłam je na półeczce nad jego kolekcją płyt gramofonowych. Nic nie mówił, ale brał je, kiedy były mu potrzebne. Wiem, bo zawsze miałam je policzone. Kiedyś przyłapałam go na tym, że też mu na mnie zależy, choć stara się tego nie okazać. Wybrałam się z Krzysztofkiem na grzyby, lecz zaczęło padać, więc okryłam małego swoim płaszczem przeciwdeszczowym, ale sama przemokłam do suchej nitki. Kiedy usiadłam w kuchni przy piecu, Josef zrobił mi grog i przyniósł ręczniki. Tego grogu wcale nie miałam ochoty wypić. Miałam ochotę schować go sobie na pamiątkę. Potem jeszcze podał mi dwie aspiryny. Jedną połknęłam, ale tę drugą mam do tej pory schowaną w pudełku, które Josef przywiózł mi kiedyś z jakiejś wycieczki, i w ten sposób stała się ona moją sekretną, sentymentalną aspiryną.

2

Kwiecie nie udało się przekonać córki, że śledztwo powinno zostać wznowione, a Maksymilian odstawiony, jak to określiła, tam, gdzie nie będzie wchodzić w drogę porządnym ludziom. Za to Maksymilian wyraził zgodę na rozwód. Josef nadal mieszkał w domku na wsi, a Kwietka czasami zaglądała

tam w weekendy, żeby odwiedzić Alicję i Krzysztofka. Kiedy pewnego razu przyjechała bez zapowiedzi, Josef jeszcze w sieni oświadczył, że ma coś pilnego do załatwienia w Pradze. Tak więc spędziła w Lhotce dwa dni sama, i czuła się tak źle, że już nigdy więcej nie zdobyła się na niezapowiedziany przyjazd. Nie próbowała dociekać, czy Josef naprawdę musiał jechać do miasta. To nie miało znaczenia. Przeglądała stare ubrania w szafach. Sprzątała stare gazety i czasopisma. W najprzeróżniejszych miejscach natykała się na stare bukiety suszonych kwiatów, które Josef zapominał zastąpić nowymi. To wszystko zamykało ją w celi ciszy, milczenia i pełnej skupienia samotności. Wyszła tylko posiedzieć w ogródku przy gospodzie i na cmentarz, a i to dopiero po przyjeździe ostatniego pociągu z Pragi, kiedy już wiedziała, że Josef może pojawić się najwcześniej następnego ranka. Nie przyjechał. Kilka razy przemierzyła długą ulicę, wokół której stały zabudowania. Niełatwo było wracać do pustego domu, skoro człowiek, do którego przyjechała, czym prędzej go opuścił, kiedy tylko ona przestąpiła próg.

Krzysztof rósł, a Josef coraz częściej brał go ze sobą na wycieczki. Chodzili na różne zawody, wyścigi chartów, zwiedzali zamki i pałace, docierali do zatopionych kamieniołomów, dwa razy byli nad polskim morzem, raz w Jugosławii nad Adriatykiem. Pojechali na odpust do klasztoru brzevnovskiego w dzień jego patronki, świętej Małgorzaty, byli na zawodach motocyklowych, jeździli na mecze hokejowe i futbolowe. Josef pilnował, żeby przynajmniej raz w tygodniu chłopiec był w kinie na jakimś westernie, po czym słuchał, jak Krzysztof opowiada mu jego treść. Najbardziej jednak lubił wspólne wycieczki. Josef stał się wytrawnym znawcą wszelkich rozkładów jazdy. Stworzył cały system własnych

znaków i skrótów, którymi opisywał w kalendarzu wszystkie dworcowe gospody i restauracje. Nie pominął żadnego najmniejszego nawet bufetu, w którym posilili się parówkami, serdelkami czy kiełbaskami z sałatką ziemniaczaną. Josef uważał, że dzieci, w odróżnieniu od dorosłych, muszą odżywiać się regularnie, ale był też zdania, że powinny jeść to, co im smakuje, a nie to, co mama i babcia uważają za zdrowe. Kiedy przejeżdżali po raz drugi tą samą trasą, już wiedzieli, gdzie mogą smacznie zjeść, gdzie serwują całkiem przyzwoitą sałatkę, a gdzie nabawili się od niej niestrawności, a więc lepiej od razu zamówić kiełbasę albo mielone. I nie tracili czasu na kupowanie prowiantu czy innych niepotrzebnych rzeczy. Latem nocowali w schroniskach turystycznych. Zimą mniej podróżowali, ze względu na pogodę. Krzysztof nie miał problemów w szkole. Rachunków, fizyki i chemii Josef uczył go w ten sposób, że chłopiec nawet nie wiedział, że się uczy. Alicja bywała niezadowolona z tego, że Krzysztof czasem spędza więcej czasu na wsi niż w domu, i nigdy nie zdołała pojąć, dlaczego tak chętnie jeździ do domku, którego nigdy nie dało się porządnie ogrzać. Kiedy Krzysztof skończył dziewięć lat, dziadek uznał, że chłopiec powinien mieć własny pokój. Po dwóch latach stwierdził, że ten jest za mały i że w związku z tym musi urządzić na strychu nowe pomieszczenie. Po czterech miesiącach wspólnej pracy nowy pokój był gotów. Kiedy Krzysztof skończył trzynaście lat, jego kontakt z Pragą ograniczał się do tego, że co tydzień zawoził do domu torbę ubrań do prania, a na wieś zabierał rzeczy czyste, wyprasowane, pocerowane i połatane. Dzięki temu Alicja miała wrażenie, że wie, co dzieje się z jej synem i ojcem. Nie do końca tak było, bo czasami obaj wyprawiali się na jakąś dłuższą eskapadę, o której Alicja nie miała

pojęcia. Raz nawet udało im się w tajemnicy przed nią spędzić cały tydzień na Słowacji. Zatrzymali się tam u przyjaciela Josefa, który pisał, że do wioski czasem podchodzi niedźwiedź i że może uda się go zobaczyć, kiedy przyjadą. Niedźwiedź się nie pokazał, ale widzieli rysia i to wystarczyło, żeby byli zadowoleni. Krzysztof miał przez to stosunkowo dużo nieobecności w szkole, ale ponieważ dobrze się uczył, a na wywiadówki chodził dziadek, który wszystko zawsze załatwił, więc nie było się czym przejmować.

Rok 1989 zastał Josefa w szpitalu. Josef czuł się zmęczony, potem jakby trochę skołowany, aż nagle odmówił mu posłuszeństwa lewy kącik ust. Kiedy obudził się po kilku dniach, dowiedział się, że miał wylew. Przez to dopiero po upływie roku zorientował się, że w tym czasie w kraju zmienił się rząd. Krzysztof miał już dziewczynę, która pomieszkiwała z nim w Lhotce. Po powrocie ze szpitala Josef odkrył, że nie musi już jeździć z praniem do Pragi, bo Krzysztof i Libuša sprawili sobie pralkę. Alicję zaniepokoił fakt, że torby z ubraniami przestały kursować pomiędzy wsią i miastem, i w ten sposób dowiedziała się o chorobie ojca. Kiedy udzielała reprimendy synowi, który już przerósł ją o kilka centymetrów, usłyszała, że dziadek sobie nie życzył, żeby kogokolwiek informować o tym, że miał wylew.

Aksamitna rewolucja, która tego roku wybuchła, tak bardzo zaintrygowała ciotkę Annę, że staruszka przerwała przygotowania do śmierci i nawet zapisała się do okulisty, żeby dobrać sobie okulary. Potem zaczęła regularnie czytać gazety, słuchać wiadomości radiowych i oglądać telewizję oraz z radością zaglądać do różnych nowych czasopism, których coraz więcej pojawiało się w kioskach. Kiedy Kwietka zaczęła załatwiać dla ciotki Anny wyższą emeryturę, która od tego roku

jej przysługiwała, musiała wyrobić jej nowe dokumenty. Przy tej okazji odkryła ze zdziwieniem, że wcale nie jest z ciotką Anną spokrewniona. Przez kilka dni zachodziła w głowę, jak jej to powiedzieć, a kiedy w końcu zdobyła się na odwagę, ciotka tylko machnęła ręką i oświadczyła, że ostatnie badania naukowe wykazały, iż wszyscy ludzie na świecie są ze sobą spokrewnieni, wszyscy co do jednego, a ludzkość prawdopodobnie wywodzi się z Afryki. Tylko nie była pewna – z dzisiejszej Etiopii czy może z Mozambiku. Kiedy Kwietka zapytała, skąd to wszystko wie, odpowiedziała, że powinna mniej zajmować się sobą, a bardziej interesować światem, a w ogóle to czas najwyższy, żeby w końcu przygruchała sobie jakiegoś porządnego chłopca. Kwietka przypominała jej, że przecież przez niemal całe swoje dorosłe życie jest mężatką, ciotka uniosła w zdziwieniu brwi i oświadczyła, że w takim razie wypadałoby, żeby przedstawiła jej swojego męża. Od listopada 1989 roku ciotka czuła się znacznie lepiej, chociaż poruszała się z trudem. Kwietka nie mogła wyjść z podziwu, jak staruszka świetnie orientuje się w wydarzeniach światowych, a kiedy czasem nie mogła sobie przypomnieć czyjegoś nazwiska, na poczekaniu wymyślała mu jakieś przezwisko. Na przykład prezydenta nazywała Królem Hulajnogą. Bo mieszkał na zamku i w jakimś wywiadzie wspomniał, że po zamkowych korytarzach przemierza się na hulajnodze, żeby szybciej dostać się z jednej kancelarii do drugiej. Trudno było mieć coś przeciwko temu wyjaśnieniu – rozumowanie było logiczne, a określenie odzwierciedlało najważniejsze cechy osoby, choć widzianej tylko oczami ciotki Anny, a nie świata.

Z Maksymilianem widywał się tylko Krzysztof, i to rzadko, raz czy dwa razy do roku. Jego ojciec zjawiał się zawsze

bez zapowiedzi, a spotkanie z synem nie wynikało z zainteresowania tym, co się z nim dzieje, działa albo będzie się dziać, lecz miało na celu uspokojenie wyrzutów sumienia.

Pewnego marcowego dnia w roku 1991 ciotka Anna dostała list w żółtej kopercie, która była nieco dłuższa niż nakazywały normy obowiązujące w państwowej poczcie. Znaczek przedstawiał głowę królowej w koronie, a na pieczętce był napis: *London*. Po dłuższym namyśle ciotce zaświtało, że ma przecież jakichś krewnych, którzy jeszcze przed 1968 rokiem wyemigrowali za morze, tam urodziły im się dzieci, a po zakończonej sukcesem okupacji nie zdecydowali się na powrót do Czech. Z listu zrozumiała, że do Pragi wybiera się ich syn, którego imię akurat wyleciało jej z głowy, więc nazywała go po prostu kuzynem. Pisał, że przyjeżdża w najbliższych dniach i że od ciotki niczego nie potrzebuje, więc właściwie nie było wiadomo, po co w ogóle do niej napisał.

– Każdy czegoś potrzebuje – oświadczyła zdecydowanie, zwracając się do Kwiety. – Każdy! Ty na przykład potrzebujesz odzyskać swojego męża, chociaż o tym nie mówisz. Nie dość, że ukrywasz to przede mną, to jeszcze, do jasnej anielki, wstydzisz się tego!

1

Kuzyn Jirzi przyleciał do Pragi i wylądował na lotnisku Ruzynie. Był wyposażony w doskonałą znajomość języka czeskiego oraz szczegółową wiedzę z dziedziny historii Czech oraz Europy Wschodniej. Była to jego druga wizyta w Pradze. Z tej pierwszej nic nie pamiętał, ponieważ miała miejsce przed piętnastu laty, kiedy miał dziesięć lat, a polegała na tym, że jego matka, która przez całe życie szukała w świecie okolic, które swoim krajobrazem przypominałyby jej Czechy, a zwłaszcza rodzinną Nizinę Połabską, w drodze z Helsinek do Wiednia zatrzymała się na jeden dzień w Pradze. Natychmiast została poinformowana, że ma nieodpowiednią wizę, a tej odpowiedniej, czyli takiej, która zezwala na dłuższy pobyt, nie może otrzymać, ponieważ jest emigrantką. Tak więc, ku niezadowoleniu urzędników, ten jeden jedyny wieczór spędziła w hotelu, ponieważ samolot, który miał ją wywieźć razem z dzieckiem tam, gdzie jej miejsce, czyli na kapitalistyczny Zachód, odlatywał dopiero następnego dnia. Kuzyn wiedział o tym z opowiadania matki. Lotnisko Ruzynie też nie zapisało się w jego pamięci. Brakowało mu niepowtarzalnej atmosfery, a na jego wyjątkowość miały zapracować podobne do siebie jak dwie krople wody rośliny ozdobne, rosnące w bliźniaczych donicach ustawionych w tych samych miejscach jednakowych hal odpraw

przy identycznych szklanych drzwiach z napisem „Przyloty” i „Odloty”. Wiedział od matki, że w Pradze przyjedzie po niego daleka krewna ciotki Anny, jakaś pani Kwietka. W liście do ciotki Anny było zdjęcie Jirziego.

Jirzi to dziwne imię, którego w Anglii nikt nie potrafił wymówić. Jirzi czasem próbował nauczyć kogoś poprawnej wymowy, ale trwało to długo, a skutek był marny. W najlepszym wypadku jego imię było wymawiane jako „Jirzi”. Od samego początku był z tym problem, więc wolał przedstawiać się jako George. A teraz po raz pierwszy w życiu miał spędzić jakiś czas w kraju, w którym wszyscy jego dziwne imię będą wymawiać poprawnie i wszyscy będą znać czeski, ten sekretny język, którym w Londynie posługiwali się tylko jego rodzice, ciotka, siostra oraz parę osób, spotykających się od czasu do czasu w czeskim klubie. Życie za dawną żelazną kurtyną zapowiadało się jako jedna wielka przygoda.

Samolot, którym przyleciał, został wyprodukowany w Związku Radzieckim, coś w nim trzeszczało, a Jirzi miał wrażenie, że nity, które łączyły poszczególne części kadłuba, lada chwila puszczą z powodu zmęczenia materiału. Pilot zakomunikował pasażerom, że minęli granicę państwa, a kiedy zbliżali się do Pragi, stewardesa poinformowała wszystkich, że w dole po prawej stronie znajduje się Karlsztejn. Jirzi spojrzął przepaszająco na sąsiada i pochylił się ku oknu. Zamek z tej wysokości był jeszcze bardziej fotogeniczny niż na pocztówkach. Szybko przypomniał sobie, co piszą o nim przewodniki: że został wybudowany w 1348 roku jako miejsce przechowywania insygniów królewskich. I jeszcze: Karol IV, najważniejszy czeski król, myślnik, cesarz. Nazywany przez Czechów Ojcem Narodu, które to określenie jest czymś pomiędzy tytułem a wyrazem hołdu. To robi wrażenie. Potem

samolot wpadł w turbulencje i Jirzi pożałował, że zjadł podany w czasie lotu obiad, zamiast – tak jak czescy pasażerowie – zamówić piwo albo jakiś inny alkohol. Wylądowali. Na płytę lotniska wjechał autobus i przewiózł pasażerów do budynku. Jakiś czas czekali, a potem jak spod ziemi wyrósł przedstawiciel linii lotniczych, otworzył drzwi, przez które musieli przejść, i powiedział, że mają przygotować paszporty. To wszystko po czesku, a potem po angielsku. Zrobił, co prawda, dwa błędy, ale miał lepszy akcent niż ten francuski urzędnik w Paryżu, z którym Jirzi miał do czynienia całkiem niedawno, i w odróżnieniu od niego ten w Pradze przynajmniej się starał, żeby ktoś go zrozumiał. Jirzi pomyślał: dobry znak.

W sąsiednim pomieszczeniu znajdowały się dwie oszklone budki, w których siedzieli funkcjonariusze. Podróżni ustawili się w dwóch kolejkach i jeden po drugim kładli na ladzie paszporty. Policjant miał ciemnozielony mundur z czerwonymi naszywkami. Nie uśmiechał się. Jego wyraz twarzy był surowy, poważny, wręcz pogrzebowy. Jirzi, kiedy przysła na niego kolej, pokazał mu swój czeski paszport, w którym widniało czarno na białym, że urodził się w Londynie. To spowodowało, że funkcjonariusz obejrzał dokument dokładnie, strona po stronie, zważył go w ręku, po czym podniósł wzrok na Jirziego. Jirzi uśmiechnął się do niego zachęcająco. Na paryskim lotnisku wszyscy się uśmiechali, w Rzymie i Düsseldorfie także, nawet w Izraelu. Ale nie w Pradze. Tutaj policjant się nie uśmiechał. Jirzi zaczął się obawiać, że coś jest nie w porządku, więc żeby go nie urazić, przestał się uśmiechać. Policjant odnalazł kartkę, na której znajdowały się personalia.

– Urodzony w Londynie – powiedział.

Jirzi zmarszczył czoło, starając się zrozumieć, czy jest to pytanie, czy stwierdzenie faktu.

– Hmmm... – dodał funkcjonariusz. Ujął pieczętkę i z tym samym wyrazem twarzy przybił ją w dokumencie. Jirzi zrozumiał, że ten policjant na tym lotnisku nigdy do nikogo się nie uśmiechnie. Najwidoczniej mundur nakładał nań w tej mierze jakieś ograniczenia. Leśna zieleń narzucała mu określone zachowanie nawet tutaj, na praskim lotnisku. Zupełnie jakby lada chwila miał się skądś wyłonić transporter opancerzony, a wtedy funkcjonariusz wskoczyłby do niego, żeby gdzieś na pasie startowym wykonać jakieś bardzo ważne działanie obronne. Z pogardą rzucił na ladę paszport Jirzego i zawołał:

– Następny!

Ładny początek, pomyślał Jirzi. Co prawda, minęły już dwa lata od aksamitnej rewolucji, ale widocznie na lotnisko ta wiadomość jeszcze nie dotarła. Ale cóż, to moja pierwsza wizyta w Europie Wschodniej, więc nie ma co narzekać. I od razu szybko się poprawił: nie powinno się mówić Europa Wschodnia tylko Europa Środkowa. Mama i tato zawsze byli czuli na tym punkcie. A więc muszę się nauczyć mówić „Europa Środkowa”. Bo tak jest! Europa Środkowa! Środkowa Europa!

Odebrał walizkę i torbę, po czym wyszedł z hali przylotów. Za drzwiami stało może trzydzieści osób oczekujących na przybycie samolotu z Londynu. Pięć z nich trzymało tabliczki różnej wielkości. Jego nazwiska nie było na żadnej z nich. Widocznie pani Kwietka jeszcze nie dotarła, stwierdził Jirzi, rozejrzał się wokół i poszedł wymienić pieniądze. Potem kupił sobie puszkę coca-coli i usiadł z nią na ławce. Po kolejnych dziesięciu minutach grupa oczekujących znacznie się

przerzedziła. Podeszła do niego może sześćdziesięcioletnia kobieta o posiwiałych włosach.

– Czy pan Jirzi? – zapytała.

Jirzi zmierzył ją wzrokiem: miała palto trzy czwarte z futrzanym kołnierzem, który – jeśli byłby prawdziwy – wyłączyłby jego właścicielkę ze społeczeństwa, w którym żywa jest idea sprzeciwu wobec zabijania zwierząt. Jirzi miał nadzieję, że futro jest sztuczne.

– Jestem Jirzi, Jirzi Novaczek.

– A ja Kwietka Czerna – odpowiedziała kobieta, pochylając się nieco, by przywitać się z nim uściskiem dłoni. Jirzi szybko otaksował wzrokiem kołnierz, rzucił okiem na futrzane lamówki na rękawach palta, ucisnął jej dłoń i spojrzał jej w oczy. Uświadomił sobie, że takich oczu jeszcze nie widział. Szmaragdy są, zdaje się, zielone, pomyślał, ale nie był pewny, bo w życiu nie widział szmaragdów. Tymczasem pani Kwietka gdzieś go poprowadziła, a on ruszył za nią, niosąc walizkę i torbę. Przeszli na przystanek autobusowy, gdzie Kwietka zaczęła mu wyjaśniać, w jaki sposób dotrą tam, gdzie mają dotrzeć. Jirzi słuchał uważnie, a jeszcze bardziej wyostrzył uwagę, kiedy wspomniała o Vinohradach i ulicy Jana Masaryka.

– To był ten minister, którego zabili?

– Tak. Ty o tym wiesz? – zapytała Kwietka z satysfakcją.

Jirzi się zaczerwienił. Na pewno wszyscy to zauważyli. Żeby pokryć zmieszanie, powiedział:

– Ale nie wiedziałem, że w Pradze są winnice.

– Winnice? – zdumiała się Kwietka. – Ach tak... To tylko nazwa. Tak nazywa się jedna z dzielnic.

– Rozumiem – odpowiedział z lekkim uśmiechem. – Ale gdzieś w Czechach uprawia się winorośl. Mama mi mówiła. Gdzieś nad Łabą?

– Tak – przytaknęła Kwietka. Rozmowa o winorośli już przestała ją bawić. – W różnych miejscach. Na Morawach i w okolicach Mielnika. A wiesz, że będziesz mieszkał właśnie na Vinohradach, u mojej córki?

– Aha.

– Tak, u córki.

– U twojej córki, ciociu, na Vinohradach, gdzie nie ma winnic – dodał.

Kwietka zbyła to milczeniem. Zbliżała się czwarta po południu, a o tej porze zawsze stawiała ją na nogi mała filiżanka kawy. Już nie mogła się jej doczekać.

Na Vinohradach zaprowadziła Jirziego do pokoju swojego wnuka Krzysztofa, który ostatnio spał tam przed dwoma laty. Jirzi przywitał się z Alicją i rozpakował bagaże. Potem wszyscy wybrali się do ciotki Anny.

W mieszkaniu ciotki Anny Jirzi zarejestrował kilka zapachów. Przede wszystkim woń roślin, która przenikała z ogrodu przez otwarte okno. Potem – słaby zapach unoszących się wszędzie drobin kurzu. I jeszcze ledwie wyczuwalny odór moczu. W bawialni w wysokim fotelu siedziała otulona kilkoma pledami drobna pani o żółtawo pomarszczonej twarzy. Musiała mieć co najmniej dziewięćdziesiątkę. Jej siwe włosy kontrastowały z ciemnym obiciem fotela. Kobieta wszystkie ruchy wykonywała niezwykle wolno, a kiedy już odgarnęła z siebie kilka warstw pledów, skinęła na Jirziego swoją pomarszczoną dłonią w taki sposób, że nie miał wątpliwości, iż ma do niej podejść. Udzieliła mu audiencji.

– A więc ty jesteś ten Jirzik – powiedziała, sięgając prawą ręką po otwarty list, który leżał na toaletce. Drugą przytrzymała okulary. – Co tam u was słychać? – zapytała. – Mam

nadzieję, że wszyscy mają się dobrze. Jakżeby inaczej, skoro mają takiego syna.

– Mam jeszcze siostrę – wtrącił Jirzi i uśmiechnął się do wszystkich promiennie.

– Z córki nie ma żadnego pożytku – stwierdziła ciotka Anna. – Weź choćby mnie, ja tam nie miałam dzieci, a córki to w ogóle nie chciałabym mieć. Tylko popatrz na nas: trzy baby. – Po czym powtórzyła z naciskiem: – Tak, trzy baby! Ale chłopcy też nie mają lekko, co tam oni użyją na tym świecie. – Potem powolnym ruchem uniosła palec wskazujący i dodała: – A do tego żyją krócej. Nie ma czego zazdrościć...

– Ciociu, gdzie usłyszałaś te rewelacje? – zapytała Alicja, która szykowała razem z Kwietą kolację i jednym uchem przysłuchiwała się rozmowie.

– To przecież wszyscy wiedzą! A ty o tym nie wiesz? – odrzekła ciotka Anna. – Że umierają o sześć albo siedem lat wcześniej niż kobiety.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Kwietka poszła otworzyć, a po chwili wróciła, prowadząc ze sobą nieco łysiejącego mężczyznę, który obracał w dłoniach duże okulary w czarnej oprawce.

– Ten pan... pan...

– Verner – wtrącił przybyły.

– ...pan Verner twierdzi, ciociu, że zaprosiłaś go na kolację... – powiedziała Kwietka, nie kryjąc zaskoczenia.

– Karel! Tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała ciotka Anna.

– Czy pan zostanie z nami na kolacji? – zapytała Alicja, zwracając się do staruszki i obserwując, jak za jego plecami Kwietka wymachuje ramionami i przewraca oczami. – Zapomniałaś nam o tym powiedzieć...

Ciotka zignorowała pytanie, poczekała, aż gość się do niej zbliży, po czym chwyciła go za rękaw marynarki i powiedziała:

– Siadaj, no czemu nie siadasz? Wyobraź sobie, że ten młodzieniec jest synem Eviczki i tego... no... Boże, jakżeż mu było?

Jirzi pospieszył z wyjaśnieniem.

– Mój ojciec ma na imię Jirzi, tak samo jak ja.

– My się nie znamy – wtrąciła się do rozmowy Kwietka. – Nazywam się Czerna, a to jest moja córka Alicja.

– Verner – odpowiedział mężczyzna. – Bardzo mi miło.

– Kwietko, zostaw te rozmowy i zajmijcie się kolacją, Jirzik musi być strasznie głodny po takiej długiej podróży. Mam rację?

– Właściwie... chętnie bym coś przekąsił.

– Słyszysz, mój drogi, jak on pięknie mówi po czesku?

– Tak, naprawdę, mówi świetnie – przytaknął pan Verner.

– A wiesz, tak przyszło mi do głowy... – ciągnęła ciotka. – Ty ciągle jeszcze pracujesz w tych ubezpieczeniach?

– Nie, już od dawna tam nie pracuję, Andulko. Zwolniłem się stamtąd jeszcze przed rewolucją.

– No a gdzie teraz pracujesz?

– W banku. Mówiłem ci o tym, jeszcze wtedy.

– Aha, w banku. W banku też nie najgorzej. Wiesz co, znajdź tam coś dla młodego, co? Dla Jirzika. Jakies zajęcie.

– Ależ nie ma takiej potrzeby – zaproponował Jirzik.

– Ty się nie odzywaj, nie masz pojęcia o tym, jak się tutaj załatwia takie rzeczy – powiedziała ciotka i spojrzała na pana Vernera. – Wykapana matka, prawda? Cała Eviczka. Zwłaszcza usta, popatrz Karolu.

– Niech się pan nie gniewa, że my tu tak o panu rozmawiamy, jakby pana przy tym nie było – powiedział pan Verner.

– Nie szkodzi – odrzekł Jirzi.

– W moim wieku, Karolu – odezwała się ciotka – a mam już dziewięćdziesiąt pięć lat, no więc w moim wieku człowiek nie ma czasu na takie ceregiele.

Zmierzyła Jirziego surowym wzrokiem i uniosła rękę. Chłopak w mig zrozumiał, że ma podać jej ramię i pomóc podnieść się z fotela. Tak zrobił, za co ciotka Anna obdarzyła go lekkim uśmiechem i pogłaskała po rękę.

– A ty mi, Karle, podaj laskę... Tam stoi, o tę.

Pan Verner wykonał polecenie, ciotka wsparła się na lasce i powolutku, podtrzymywana z drugiej strony przez Jirziego, ruszyła do dużego pokoju na kolację. Jirzi starał się dostosować swoje kroki do kroczków ciotki Anny, a Karel Verner szedł z tyłu i obserwował, czy jej kruche ciało jakimś drgnieniem nie da sygnału, że czegoś mu trzeba. I tak noga za nogą wszyscy troje zmierzali w kierunku stołu, przy którym niebawem miała być podana kolacja. Przy kolacji Jirzi miał już wrażenie, że jego wysiłek umysłowy zmierzający do rozszyfrowania skomplikowanych stosunków rodzinnych, swoją złożonością przypominających splot w tkaninach pochodzących z warsztatów dawnych mistrzów weneckich, zaczyna przynosić efekty: że zaczyna rozumieć, kto tu jest z kim spokrewniony. Nie zdążył się jednak nacieszyć tym poczuciem, bo zaraz słowa ciotki Anny, Kwiety lub Venera burzyły jego orientację w zawiłościach relacji rodzinnych. Nie miało znaczenia, kto co wyjaśniał, wszystko było tak samo poplątane. Na przykład, kiedy ciotka Anna mówiła o jednej dalekiej linii swoich krewnych:

– Ale potem po przewrocie w trzydziestym ósmym on w tych Niemczech znowu się ożenił, a ta jej siostra przeniosła się z Kanady do Wiednia, a tam z tym swoim drugim mężem miała jeszcze jedno dziecko, a ta jej siostra mieszka na Wyżynie i przez to nie dostała się na studia. Później ta jej córka, co musi być mniej więcej w wieku twojego Krzysztofa, Alicjo, wydała się za dalekiego kuzyna z Opawy, no i to cała historia.

Jirziemmu zaświtało, że znajomość dat nie wystarczy do tego, żeby zrozumieć czeską rzeczywistość. Nie deprimowało go to jednak, po prostu uznał, że będzie go to kosztowało więcej energii i wysiłku umysłowego, niż spodziewał się na początku.

2

Data: jaka chcesz, drugi dzień w Pradze

Cześć siostrze,

piszę, tak jak obiecałem, i mam nadzieję, że tym razem mam dobry adres i że ten list nie będzie wędrował znowu przez pół świata z powrotem do Londynu i czekać na Ciebie następne trzy miesiące, jak ostatnio, kiedy pisałem do Ciebie z Rzymu.

Dla porządku: z mamą i tatą już rozmawiałem. Było z tym trochę zamieszania, bo dzwonili do mnie do hotelu, ale ja już odwołałem rezerwację, tylko że oni nie przekazali im tego numeru, który zostawiłem. Potem ojcu przyszło do głowy, żeby zadzwonić do tej ciotki Anny, która dla odmiany albo nic nie słyszy, albo wszystko od razu zapomina, ma

już chyba ze sto lat i wygląda jak pomarszczony zółw. No ale w końcu jakoś mnie znaleźli. Pewnie dała im telefon do Alicji, córki tej Kwiety. Niełatwo jest mi się połapać, kto jest kto, i nie mam bladego pojęcia, z kim tu jesteśmy spokrewnieni. Lotnisko – bez wyrazu, wszystkie rośliny uschnięte, a ulic nikt nie zamiata. Śmieci wypadają z koszy i wszędzie pełno niedopałków. Ale za to mają tutaj takie śmieszne urządzenie, które nazywa się tramwaj. *That's tram-way, for you sis.* Nawet nie wiedzą, że to słowo to amerykańizm, a są to takie małe elektryczne pociągi. Jeżdżą naprawdę punktualnie. Dziwny kontrast z tymi brudnymi ulicami. No ale mają tu metro. Fantastyczne, naprawdę coś niesamowitego. Powinnaś je zobaczyć, spodobałoby Ci się, jest jakby żywcem wyjęte z tych twoich zwariowanych wizji science fiction. Żebyś miała jakieś wyobrażenie: jeździ bez zarzutu, jest w nim czysto, prawie jak w Niemczech (nie to co na ulicach), no ale ten design! Prawie każda stacja wygląda jak wnętrze statku kosmicznego ze starych seriali s.f., takich, jakie lubicie już tylko ty, matka i Geoffrey – *Buck Rogers* albo *Star Trek*. Wyobraź sobie aluminiowe blachy w różnych kolorach, na których są wytłoczone geometryczne wzory: półkule, dziury itp. Nie wiem, skąd ten pomysł. Fantazja, po prostu, jak ma wia ojciec: „coś pięknego!”. A co więcej, tę całą resztę, gdzie im nie pasowały te blachy, wyłożyli marmurami. Słowo, nie kłamię, sztucznym marmurem czy jakimś kamieniem, wygląda tam zupełnie jak w mauzoleum wszechświata. *I just love it, sis!!!* Ale lepiej im nie mówić, co sobie o tym myślisz, mam wrażenie, że są trochę przewrażliwieni na tym punkcie, ale Tobie to by się spodobało. Takie to są moje pierwsze wrażenia z podróży. Pozdrów Geofreya i odezwij się do matki, bo znowu będzie na Ciebie pomstować. I żeby Ci czasem

nie przyszło do głowy powiedzieć im o tym, co się działo w Paryżu.

George

PS

I hope you notice my great Czech! Ech!!!

3

Pan Verner zawsze miał przy sobie okulary, grube szkła w czarnej oprawce, ale prawie nigdy ich nie zakładał. Ciągłe przekładał je z ręki do ręki, czasem odchyłał jeden zausznik, jakby koncentrował się na tej chwili, kiedy wreszcie je założy. Niekiedy jeden zausznik opierał o górną wargę, ale Jirzi nigdy nie widział go w okularach. Pan Verner, który Jirziego zawsze nazywał kuzynem, był średniego wzrostu i dużej tuszy. Kuzyn był zaledwie o kilka centymetrów wyższy i był dobrze zbudowany. W wieku dwudziestu sześciu lat odznaczał się tym eleganckim wyglądem, który przysparza człowiekowi sympatii otoczenia bez żadnych starań z jego strony. Pan Verner miał po bokach, wokół skroni i uszu białe, krótko przystrzyżone włosy, pozostałą część jego czaszki pokrywała łysa, ogorzała skóra. Oddychał głęboko, jakby wykonywał jakieś trudne ćwiczenie fizyczne, nosił luźno zawiązany krawat i zawsze się spieszył. Nie było wiadomo dokąd i po co, a kiedy kuzyn go o to zapytał, energicznie przygryzł zausznik okularów i głęboko się zamyślił. A ponieważ w głosie młodzieńca nie było cienia ironii, pan Verner uznał, że kuzyn pyta z czystej ciekawości, i postanowił odpowiedzieć:

– Każdy urzędnik, kuzynie, jest jak pociąg pospieszny. A właściwie jak coś pośredniego między pospiesznym

a ekspresem. Ekspres za bardzo rzuca się w oczy, ale pospieszny jest ważniejszy niż większość innych pociągów, z tym że jest mniej widoczny. Pośpiech jest podstawową cechą urzędnika. Wszyscy wtedy myślą, że masz trochę więcej pracy. Nie tyle, żebyś nie zdążył jej wykonać, ale więcej niż wynika z charakteru spraw, przepisów oraz wymagań klientów.

Kuzyn przez chwilę zastanawiał się nad tą wypowiedzią, próbując ją zrozumieć. Wszystkie słowa znał, ale jakoś nie mógł uchwycić jej sensu, więc tylko pokręcił głową.

– Gdyby wyglądało to tak, że nie zdążysz wykonać swojej pracy, ktoś mógłby uznać, że się nie nadajesz, rozumiesz?

Kuzyn skinął głową.

– A tak, z twojego zachowania wynika, że przełożeni wydają ci może nie całkiem bezsensowne, ale, powiedzmy, nie do końca przemyślane polecenia, które niepotrzebnie komplikują ci życie. No i jesteś wygrany.

Kuzyn ponownie skinął głową i starał się pojąć, jaki to wszystko ma z nim związek. Już tydzień pracował w banku, ale jeszcze nie zdążył się zorientować, na czym będą polegać jego obowiązki. Jego przełożony, niejaki pan Dostal, osobiście mu zlecił urządzenie trzech biur. Kuzyn kilka razy pytał, czym owe biura będą się zajmować, ale z odpowiedzi szefa wywnioskował, że on sam tego nie wie. Usłyszał tylko, że nie jest wykluczone, że te pomieszczenia przypadną bankowi, więc ma je wyposażyć w sprzęty dobrej jakości. Była to praca mniej więcej na dwa dni, a potem kuzyn znowu nie miał nic do roboty. Obiady jadali w restauracji oddalonej o niecałe dziesięć minut marszu od biura. Panowie Verner i Dostal codziennie się tam spotykali. Tęgi pan Verner przy zupie zawsze się pociał. Pochłaniał ją szybko i łapczywie, po czym wyjmował z kieszeni jasnoniebieską chustkę do nosa

i wycierał nią twarz. Wyraźnie się uspokajał i dopiero wtedy był z niego jakiś pożytek w towarzystwie.

Kuzyn mieszkał u Alicji, która kilka razy zabrała go na wieś do Lhotki, gdzie spędzał czas z jej ojcem Josefem i synem Krzysztofem. Alicja myślała, że kuzyn zaprzyjaźni się z jej synem już choćby dlatego, że obaj są mniej więcej w tym samym wieku, ale Krzysztof większość czasu poświęcał jasnowłosej Libuszy, i to z takim zaangażowaniem, jakiego matka jeszcze u niego nie widziała. A w przerwach grał z dziadkiem w warcaby.

Josef był już stary. Na początku kuzyn w ogóle się nie połapał, że coś go może łączyć z Kwietą. Ona wyglądała na sześćdziesiąt lat, choć w rzeczywistości była o dziesięć lat starsza, jej mąż wyglądał na osiemdziesiątkę, tak więc pozorna różnica wieku między nimi wynosiła dwa dziesięciolecia, chociaż w rzeczywistości Josef był tylko o siedem lat starszy od Kwiety. Kuzyn patrzył na Josefa i widział chudego starca, który czasem utykał na lewą nogę. Kiedy Josef zapytał, co tam słychać w Anglii, Jirzi nie wiedział, co odpowiedzieć. Często zadawano mu to pytanie. Wydawało mu się, że pytający zadowolą się każdą odpowiedzią. Na pytanie, jak mu się podoba w Czechach, odpowiedział, że właściwie nie był jeszcze nigdzie poza Pragę, ale że Praga jest piękniejsza niż Wenecja czy Jerozolima, dwa miasta, które znał doskonale i uważał, że są najpiękniejsze na świecie. To stwierdzenie wykrzesало w Josefie jakieś pokłady energii, ponieważ zaczął przekonywać kuzyna, że jest w błędzie, chociaż sam żadnego z tych miast nie widział. Kilka razy zatarł ręce, rozległ się przy tym odgłos przypominający szelest jesiennych liści, ułożył prawą nogę na obrotowym stołku, który pewnie kiedyś stał przy jakimś fortepianie, i powiedział:

– Za bardzo kochamy Pragę, za bardzo, a to wcale nie jest dobre. Przez całe życie, to znaczy z wyjątkiem tych dziesięciu lat, kiedy wysłali mnie do kopalni uranu, byłem statykiem i pracowałem w Pradze. Znam podłoże geologiczne całych środkowych Czech. Wiem, w jaki sposób należy budować i jakie warunki muszą spełniać fundamenty budynku w każdym miejscu Pragi. Wszystkie mapy przekrojów geologicznych kiedyś miałem w głowie... Teraz, kiedy jestem na emeryturze, już trochę zapominam rzeczy, o których myślałem, że nigdy ich nie zapomnę.

Josef nie miał pewności, czy kuzyna to w ogóle interesuje. Ale uczeplił się jednej myśli i ciągnął:

– Niech pan popatrzy. Zawsze kiedy przyjeżdżam do Pragi, czuję się jak w muzeum. Dwa lata temu, kiedy byłem w szpitalu, leżałem dwa kroki od Domu Fausta. Praga jest do granic możliwości naszpikowana historią.

Krzysztof w ogródku otaczającym chałupę rozkładał i czyścił kosiarkę. Przez otwarte okno dobiegło go kilka słów z tej rozmowy. Wszedł do środka, w kuchni napełnił dwie półlitrowe szklanki lemoniadą z malin nazbieranych przez Libuszę i zaniósł je mężczyznom. Kuzyn już się zbierał do wyjścia, ale kiedy Krzysztof postawił przed nim szklankę, upił trochę i usiadł.

– Dziadek nie jest za bardzo rozmowny – powiedział Krzysztof – ale raz od wielkiego dzwonu lubi sobie pogadać. Prawda, dziadku?

Krzysztof spojrział na Josefa. Josef wpatrywał się w szklankę z lemoniadą. Skinął głową i pogрузzył się w myślach. Myślał o tym, że stolica jest jednym wielkim prostacko obrzydliwym muzeum. Tak samo niegustownym, jak ekspozycje wypchanych zwierząt. Mimo to uznał, że może lepiej nie

mówić o tym młodemu gościowi z zagranicy. Co on może wiedzieć o Pradze, pomyślał, a głośno powiedział:

– Porozmawiamy o tym, kiedy trochę pozna pan Pragę.

Potem zaczął sączyć zimną lemoniadę, przesuwając co jakiś czas krawędzią szklanki raz po prawym, raz po lewym policzku. W lewym wciąż miał słabsze czucie niż w prawym. Jakby po znieczuleniu u dentysty. Zastanawiał się, dlaczego to miasto już nie robi na nim wrażenia. Być może jest tylko kilka stałych wzorców piękna. Być może to wszystko to nic innego, tylko zwyczajna geometria w użyciu. Kilka powtarzających się form. Czymże innym jest architektura niż geometrią stosowaną? Trójkąty. Kule. Krzywizny. Czym innym jest ten cały wirus baroku? Ale nie na tym to polega. Więc na czym? Może chodzi o to, że od z górą stu lat nic już się nie rozwija.

– Być może bierze się to stąd – powiedział, zwracając się do kuzyna – że to jest konserwa, dokumentnie i na śmierć zakonserwowana!

– Ma pan na myśli Pragę? Myśli pan, że w Pradze jest za dużo skostniałej przeszłości? – zapytał kuzyn.

– Niech pan sobie wyobrazi, że w praskim Muzeum Narodowym na placu Wacława znajduje się szkielet wieloryba. Nie wiem, co szkielet wieloryba może mieć wspólnego z moralnymi albo intelektualnymi wartościami narodu czeskiego, ale proszę sobie wyobrazić, że pan mieszka w tym szkielecie. Codziennie budzi się pan, przechodzi przez te wspaniałe sale pełne wypchanych świstaków, łasic i jeży, które trzeba szprycować naftaliną, żeby nie załęgły się w nich mole. Tak tam jest. Wszystko martwe, bez krztyny życia. Po prostu piękne ścierwo w makijażu, na które turyści rzucają się jak hieny na padlinę. Jedno wielkie turystyczne truchło. Właśnie

tak. Nowe elity w ogóle nie zwracają sobie tym głowy. Oni nawet nie próbują udawać, że myślą o ludziach, którzy tam mieszkają. Ani się obejrzymy, a Rynek Starego Miasta i plac Wacława przykryją szklanym dachem. Od strony technicznej to żaden problem. Coś takiego można wszędzie zamontować, obliczenia mogę zrobić w trzy dni. A potem to zamkną i zrobią z tego coś pomiędzy turystyczną atrakcją i durnym muzeum. Kto muzeum wojuje, ten od muzeum ginie. Z drugiej strony, czego możemy chcieć, w końcu nie zasługujemy na nic innego.

Krzysztofa niepokoiły takie rozważania dziadka. Martwiły go podobne przemowy, które były o niczym i prowadziły donikąd. A także to, że po wylewie już nie mógł grać w warcaby na przyzwoitym poziomie. Jeszcze zanim trafił do szpitala, utrzymywała się między nimi jaka taka równowaga, mniej więcej jeden do jednego. Natomiast teraz dziadek stale przegrywał. Do tego jeszcze zaczął używać wyszukanych zwrotów i wyrażeń, które do tej pory uważał za nieprecyzyjne i nadające się co najwyżej do operowego libretta. Zawsze wyrażał się prosto i rzeczowo. Mówił jasno i zrozumiale. Teraz jego myślom brakowało precyzji. Pocieszało go tylko to, że przez ostatnich kilka tygodni dziadek zabrał się do robienia porządków w domku. Zdaje się, że jego stan się poprawiał.

List o karpkach

Droga Saro,

postanowiłem opisać Ci kilka moich ostatnich dni. Wczoraj wróciłem do Pragi z kilkudniowej delegacji, na którą wysłał mnie bank, zaniósłem do domu walizki z prezentami i uznałem, że muszę kupić coś do jedzenia. Wyszedłem. Mróz był, jak się tutaj mówi, trzaskający, chociaż do tej pory jeszcze się nie dowiedziałem, o co chodzi z tym trzaskaniem. W każdym razie nie ma to nic wspólnego z trzaśnięciem – czyli uderzeniem kogoś czy czegoś, to tak na marginesie. Muszę Ci powiedzieć – żebyś też się czegoś nauczyła – że nasz język czeski jest zupełnie inny niż język czeski, którym mówi się tutaj; a Ty jesteś moją starszą siostrą, więc należy Ci się trochę informacji ode mnie. No więc, wyszedłem kupić coś do jedzenia i zobaczyłem, że na ulicach w różnych miejscach stoją ludzie w długich skórzanych fartuchach. Sami mężczyźni, kobiet ani dziewczyn nie widziałem. Z tych fartuchów kapiała brudna woda. Do wczoraj uważałem, że tubylcy są w miarę cywilizowanymi ludźmi o stosunkowo życzliwym usposobieniu. Przynajmniej takie robili wrażenie. Ale zaobserwowałem pewien ich rytuał, a to, co zobaczyłem, było wstrząsające. Pod osłoną nocy na ulicach porozstawiano wielkie kontenery z wodą i rybami. Te kontenery nazywają się beczki. Tubylcy mają to samo słowo na oznaczenie pojemników, w których przechowuje się piwo. Myślę jednak, że ryb nie trzymają w beczkach z piwem, chociaż po wczorajszym

przeżyciu chyba nic mnie nie zdziwi. Nawet nie chodzi o to, że rozstawili te kadzie w ciągu jednej nocy ani że są tam ryby. Najbardziej szokujące jest to, że oni te ryby zabijają. Tak, zabijają je tam na miejscu, na rogach ulic. Biorą nóż, a takich noży zwykle mają na podorędziu kilka, i podbierak, który wygląda jak nieco przerośnięta i źle wypleciona rakietka śnieżna. Tą rakieta wyławiają rybę z beczki. Człowiek w fartuchu rzuca wyłowioną rybę na ladę, narzuca na nią ścierkę i przytrzymuje ją przez tę szmatę, żeby mu się nie wyslizgnęła. A potem jednym ciosem ją zabija. Ryba przedtem zazwyczaj miota się na wszystkie strony, bo do tego jej rybiego mózdzku jednak dociera, co ją czeka. Wszystko w absolutnej ciszy, Saro. Nie jestem przekonany, czy tubylcy dokonywaliby tych mordów tak jawnie, na widoku, gdyby ryby miały głos, bo na pewno wydawałyby jakieś rozpaczliwe krzyki. Całe miasto wypełniałyby mokre, urywane jęki i zduszone krzyki. A tak, to tylko słyszeć plusk wody. Po zadaniu ciosu ludzie w fartuchach chwytają rybę i jednym ruchem, którego nawet nie byłem w stanie zaobserwować, taki był szybki, rozcinają rybie brzuch i wyjmują z niego jeszcze ciepłe, parujące wnętrzności. Kilka razy wydawało mi się, że ryba jeszcze żyje. To znaczy – że się rusza. Nawet o to pytałem, ale zawsze mnie zapewniano, że na tym etapie procesu zabijania ryba już jest martwa. Po rozcięciu brzucha wszystko jest we krwi, ale to nikomu, zdaje się, nie przeszkadza. Żółć, wnętrzności, serce i całą resztę organów wewnętrznych, to wszystko gdzieś wyrzucają. Tej fazy już się nie przyglądałem tak dokładnie, wybacz, Saro, i tak kilka razy zebrało mi się na wymioty. No i skończona parada – tak się tutaj mówi: skończona parada. Wyszedłem kupić coś do jedzenia, ale nic nie kupiłem. Chyba się nie zdziwisz. Nic kompletnie.

Przez dwa dni nie mogłem nic wziąć do ust, zwłaszcza że ciągle musiałem przechodzić koło tych kadzi z rybami. Próbowiałem jakoś ominąć te miejsca rybich egzekucji. Potem przyszły mrozy i na ulicach tworzyły się ślizgawki z zamrożonych kałuż wody zmieszanej z krwią. Po kilku dniach, kiedy już jakoś opanowałem mdłości i mogłem patrzeć na jedzenie, zacząłem się nad tym wszystkim zastanawiać. Zdaje się, że takie zjawisko nosi nazwę zwyczaju czy obrzędu. Dzięki Bogu żaden ze mnie ekspert, ale wydaje mi się, że takiego zachowania nie można określić mianem zbiorowej hysterii. Po pierwsze, tubylcy odprawiają ten rytuał raczej indywidualnie: rybę każdy kupuje sobie sam, a po drugie, nie przejawiają oznak podwyższonego napięcia emocjonalnego. No i po trzecie, tubylcy twierdzą, że temu rytuałowi oddają się od kilku stuleci. Nie mogę żadnego z tych stwierdzeń zweryfikować, a poza tym jestem nastawiony do nich raczej sceptycznie. Niemniej jednak prawdą jest, że ludność miejscowa przejawia przy tym pewnego rodzaju radość, którą stara się wszczepić dzieciom. Wydaje się, że ten obyczaj jest dla nich źródłem niejakiego zadowolenia i napawa ich poczuciem szczęścia. Uzyskałem także informację, iż niektórzy tubylcy zakupioną rybę przynoszą do domu i trzymają ją w wannie, a ich dzieci bawią się z nią przez jakiś czas. Potem tę – wciąż żywą – rybę wypuszczają do rzeki. To dobra wiadomość. Ale jest i zła – są i tacy, którzy przyniesioną do domu rybę zabijają sami. Czyli – nie potrzebują profesjonalnych zabijaczy. Nie wiem także, czy trzymają w domu rytualny ubiór profesjonalnego zabijacza, to znaczy długi gumowy albo skórzany fartuch, wysokie nieprzemakalne buty i czapkę o charakterystycznym kształcie. Nie wykluczam, że nakrycie głowy może stanowić tylko ochronę przed mrozem.

O to już się nie odważyłem wypytywać moich miejscowych przyjaciół. Wiesz, oni myślą, że my, cudzoziemcy w pięćdziesięciu procentach, nie dzielimy ich zabobonów, więc są raczej ostrożni w rozmowach ze mną, ale jednak wszyscy są zgodni co do tego, że właśnie w taki sposób należy obchodzić święta radości i pokoju. Boże Narodzenie.

Cześć, Saro,

George

1

Alicja dotarła do Lhotki w piątek po południu. Pociągiem, który miał przyjechać o 13.37, ale z powodu jakiegoś zakłócenia w ruchu pociągów podróżni musieli przebyć pewien odcinek trasy specjalnie podstawionymi autobusami. Autobusy były dwa i nie wszyscy się do nich zmieścili. Z tego powodu doszło do kilku pyskówek pomiędzy pasażerami a kierownikiem pociągu, który twardo utrzymywał, że on nie ma z tym nic wspólnego. Po dwudziestu minutach przyjechał jeszcze jeden autobus, który zabrał tych, dla których zabrakło miejsca w dwóch pierwszych. Pociąg poczekał na ostatni autobus, a Alicja przyjechała o dwie godziny później, niż planowała. I tak nie spotkałaby się z Krzysztofem i Libuszą, którzy wyjechali z samego rana, ale irytowało ją, że zmarnowała dwie godziny. Po drodze wstąpiła jeszcze do drogerii, gdzie kupiła kilka kolorowych butelek różnego kształtu z różnymi środkami czyszczącymi. Uświadomiła sobie, że nie zna sprzedawczyni, pewnie nie jest z Lhotki, a przy płaceniu stwierdziła, że dziewczyna mówi z obcym akcentem. Że też ktoś szuka szczęścia w takiej Lhotce, pomyślała. W jakimś większym mieście, to jeszcze rozumiem, ale tutaj, na wsi? Dotarła do domu, przeszła przez ogródek, drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszła do środka. Ojca nie było. Zostawiła torby w sieni, zdjęła płaszcz

i wyszła przed dom. Josef był w drewnianej szopie za chałupą. Drzwi były uchylone. Mocował się z warsztatem, na którym zamontowane było imadło, próbując przeciągnąć go w stronę okna.

– Cześć, tato – powiedziała.

Nie usłyszał jej. Powtórzyła powitanie, a on dalej ciągnął stół po podłodze z nieheblowanych desek. Przyglądała się mu. W końcu udało mu się ustawić warsztat dokładnie pod oknem. Potem pochylił się nad nim i położył się na nim górną połową ciała, z policzkiem przyciśniętym do blatu. Patrzył przez otwarte okno na niebo. Alicji wydało się to dziwne. Podeszła i delikatnie ujęła go za ramię. Trochę zaskoczony obejrzał się i powiedział nieco głośniej, niż było trzeba:

– O, cześć córko.

– No cześć – odpowiedziała i pocałowała go w policzek.

– Poczekaj chwilę – rzucił Josef i szybko poszedł do domu.

Po chwili wrócił i powiedział:

– No, teraz cię słyszę.

– To dobrze.

– Tak, tak, to świetne urządzone – ciągnął Josef. – Tylko popatrz.

Wyjął z ucha aparat słuchowy, położył go na dłoni i ostrożnie przybliżył do jej twarzy.

– Hmm...

– Widzisz? – powiedział, znowu nieco za głośno.

– Widzę – odpowiedziała Alicja. – Mały, prawda?

Ojciec przez chwilę jeszcze trzymał go na uniesionej dłoni przed jej oczami. Potem ostrożnie z powrotem umieścił go w uchu.

– Naprawdę mały i lekki. I w ogóle mnie nie ciśnie, wiesz. To dlatego, że prawie nic nie waży.

– No to świetnie, rzeczywiście.

– Jasne. To się nazywa postęp – ciągnął z uśmiechem. – Postępu nie da się powstrzymać.

Potem objął ją prawą ręką i razem poszli w stronę domu.

– Krzysztof mówił, że chyba trochę przesadziłaś z pracą, więc mam się tobą zająć i pilnować, żebyś nic nie robiła.

– Aha – powiedziała Alicja. I dodała po chwili: – No... może jest coś na rzeczy.

– Ale synem się nie nacieszysz, właśnie dzisiaj wyjechał ze swoją blondyneczką na wakacje.

– Przynajmniej nacieszę się tobą! – odpowiedziała Alicja i wzięła ojca pod rękę.

W domku na wsi Alicja spędziła dwa tygodnie. W tym czasie stwierdziła, że ojciec, o dziwo, jest w niezłej formie, chociaż czasami, zwłaszcza wieczorem, kiedy jest zmęczony, utyka na lewą nogę. Wypytywał ją o kuzyna i o ciotkę Annę, a kiedy zapytała go o Libuszę, skrzywił się i powiedział:

– Tylko nie próbuj bawić się w teściową, Alusiu.

Wyglądał przy tym jak prychnący kocur. Alicja uświadomiła sobie, że ojciec staje w obronie Libuszy. Zapytała, co mu w ogóle wiadomo o tej dziewczynie, nie zdając sobie sprawy z tego, że zachowuje się dokładnie tak samo jak jej matka, kiedy dowiedziała się, że Maksymilian ma wobec jej córki tak zwane poważne zamiary. Josef odpowiedział, że o jej ojcu właściwie nic konkretnego nie może powiedzieć, a matka to zdaje się też nie jest temat do rozmów.

– Najważniejsze – dodał – żeby nie mieszać się w ich życie. Przez ostatnie trzy dni ta biedna dziewczyna nie robiła nic innego tylko latała ze ścierą. Nic nie mówiła, ale jasne, że to z powodu twojego przyjazdu. Mną się tak nie przejmuję, już

do mnie przywykła, a Krzysztof z kolei ma to gdzieś, znasz go przecież.

Oczywiście Alicja natychmiast, ledwie przekroczyła próg domku, zorientowała się, że ktoś próbował w nim sprzątać. W ciągu następnych kilku sekund już wiedziała, jakie są zalety i wady jej ewentualnej przyszłej synowej, sądząc po efekcie tych generalnych porządków. Wiedziała, że kryteria, jakimi przyjaciółka jej syna kieruje się przy sprzątanii, nie powinny mieć decydującego znaczenia przy wyborze partnerki życiowej, ale mimo wszystko nie mogła nie zauważyć niedokładnie wymytego okna na pierwszym piętrze i kurzu na szafie w pokoju ojca, który dokładnie zlustrowała po południu, kiedy Josef był w szopie. Rozmowa przez telefon z Krzysztofem wprawiła ją w rozdrażnienie, choć nie od razu zdała sobie z tego sprawę. Krzysztof uważał, że w czasie jego dwutygodniowej nieobecności ktoś powinien mieć dziadka na oku, bo wydaje mu się, że coś z nim jest nie tak, chociaż badania wypadły dobrze. Z tej irytacji zdała sobie sprawę dopiero po dwóch dniach, kiedy stwierdziła, że ojciec nie powinien pić takiej mocnej kawy, i wygłosiła na ten temat nedorzeczne kazanie. Było to dla niej samej zaskoczeniem. A ojciec tylko patrzył na nią ze zdziwieniem, nawet nie protestował i dopiero kiedy skończyła, powiedział:

– Krzysztof miał rację. Jak zawsze. – Po chwili dodał: – Uspokój się, Alusiu, i spróbuj trochę wypocząć. Bardzo ci tego potrzeba.

Potem spokojnie i bez przeszkód wypił swoją zbyt mocną kawę i poszedł do szopy klecić jakąś gablotkę.

Dopiero tego dnia to do Alicji dotarło. Faktycznie, jeśli chodzi o nerwy ojciec był w lepszym stanie niż ona. Na-

stępnego ranka zauważyła, że z jakiegoś powodu ojciec zaczął się golić maszynką elektryczną. Zdziwiła się, bo nigdy nie lubił maszynek. Zapytany, odpowiedział, że człowiek może przecież zmienić zdanie i że z każdym dniem nowe czasy coraz bardziej wkraczają w jego życie. Nie powiedział jej prawdy – że przy goleniu trzęsą mu się ręce. Po kilku dniach Alicja dała za wygraną i dostosowała się do jego codziennych zwyczajów. Rano wstawał koło siódmej i szedł do szopy. Tam pracował do jedenastej. Potem wyjmował gazetę ze skrzynki na listy i szedł odświeżyć się do łazienki. Z gazetą siadał albo na ławeczce w ogrodzie, albo w kuchni, w zależności od pogody. Na początku Alicja starała się, żeby koło południa obiad był gotowy, ale we wtorek ojciec oświadczył, że od dziś będą jadać w gospodzie. Zaoponowała, że jej posiłki są o niebo zdrowsze, ale ojciec tylko machnął ręką i powiedział:

– Na pewno umrę o niebo zdrowszy, ale oprócz tego chcę się tobą w wiosce pochwalić.

Jeśli było ładnie, siadywali przy którymś stoliku pod kasztanami. Ojciec witał się z tym i owym. Alicja w ogóle nie kojarzyła połowy ludzi, z którymi ojciec wymieniał pozdrowienia. Uświadomiła sobie także, że domku, w którym mieszkali, nie powinno się właściwie nazywać chałupą, bo w ciągu ostatnich dwudziestu lat ojciec zmienił wiejską chatę w całkiem przyzwoity domek jednorodzinny. Rozmawiali o różnych rzeczach – od tego, co Alicja zapamiętała z dzieciństwa, aż po ojca więzienne historie. Czasami ich rozmowa zatrzymywała się w martwym punkcie, zwłaszcza kiedy jej tematem była Libusza, którą Josef uparcie nazywał blondyneczką. Na Alicji Libusza zrobiła wrażenie dziewczyny zdolnej i zrównoważonej, ale mimo to nie

mogła wyzbyć się obaw. Ojciec w takich chwilach zawsze przyglądał się jej z uwagą. Ona też patrzyła na niego poważnie:

– Ja wiem, że nic nie zdrałam, ale czuję jakiś niepokój, to wszystko.

Ojciec potem opowiadał, jak oboje z matką byli szczęśliwi, kiedy Alicja przedstawiła im Maksymiliana. Jakie wspaniałe wrażenie na nich wywarł.

– No i co? Ty i ja najlepiej wiemy, co potem z niego wylało, prawda, Alusiu? À propos, co tam u niego?

Od czasu, kiedy przestał płacić alimenty, słuch po nim zaginął. Kiedy Krzysztof osiągnął pełnoletność, Maksymilian przestał utrzymywać kontakt z synem. Alicja nie potrafiła powiedzieć, jaka relacja łączy jej ojca z Krzysztofem. Wiedziała tylko, że obaj zawsze stoją za sobą murem. Wypomniała też ojcu, że obaj zataili przed nią i Kwietą wiadomość o jego udarze.

– To proste, Alusiu – odparł na to Josef. – On dał mi to, czego z tobą nigdy nie mogłem przeżyć. Wszystko mi wynagrodził. Wiesz, kiedy wyszedłem z więzienia, z ciebie już była duża pannica.

– Naprawdę? – zamyśliła się Alicja na głos. – Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Ile mogłam mieć wtedy lat? Dziesięć? Jedenaście?

– Mniejsza o to – machnął ręką Josef. – Nieważne ile. Chodzi o to, że byłaś już prawie dorosła, wiesz? Szkoda. Szkoda, że nie mogłem być z tobą, kiedy byłaś jeszcze malutka. To moja wina. Jak człowiek ma małe dziecko, to powinien trzymać gębę na kłódkę i nie wyrywać się z szeregu.

Alicja powiedziała, że właśnie za tę odwagę zawsze go szanowała i była z niego dumna.

– Dumna? – zamyślił się Josef. – A na co komu potrzebna duma, córciu?

Pod koniec tygodnia ochłodziło się, więc Josef przeniósł się z szopy do domu. Dalej pracował nad drewnianą gablotką ze szklanymi półkami. Przez to spędzali razem jeszcze więcej czasu. Pod koniec tygodnia Josefa odwiedził jakiś szpakowaty pan pod pięćdziesiątkę. Przyjechał z Brna. Był to ten sam dziennikarz, który przed sowiecką okupacją pisał artykuły o więźniach politycznych. Ojciec zapomniał uprzedzić Alicję o jego wizycie, przypomniało mu się na pół godziny przed przyjazdem pociągu. W końcu uległ namowom córki i przynajmniej zmienił spodnie, ale nie dał się przekonać, że flanelowa robocza koszula nie jest odpowiednim strojem do przyjmowania wizyt. Josef zgodził się, by w drodze wyjątku tego dnia Alicja przygotowała obiad. Po obiedzie obaj zamknęli się w pokoju Josefa.

Dziennikarz się zmienił. Przede wszystkim nie był już dziennikarzem. Po wielu latach emigracji powrócił do kraju i pracował w stowarzyszeniu, które starało się pomóc takim ludziom jak Josef. Josef wymienił z nim kilka listów i za jego namową wybrał się do Pragi, do urzędu, który jeszcze raz miał się przyjrzeć sprawie jego aresztowania, skazania i osadzenia w więzieniu. Zapytany, dlaczego się tym zajmuje, dziennikarz odpowiedział, że taki los, jaki spotkał Josefa, przypadł w udziale niemal połowie jego rodziny.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym od razu? – zapytał Josef.

– Jakoś się wstydzilem, panie Czerny – odpowiedział.

– Wstydził się pan?

– Tak. To znaczy... tego, że nie będę odpowiednio obiektywny. Czyli, jak się teraz mówi: bezstronny.

– A gdzie też pana nosiło po świecie? – dopytywał się Josef.

Gość z niejakim zakłopotaniem zaczął opowiadać o krajach, do których go zaniósł. A kiedy wyszedł, Alicja stwierdziła, że ojcu znacznie poprawił się nastrój.

– Teraz jeszcze skończę tę gablotkę, oni w końcu rozpatrzą ponownie moją sprawę, a jak to wszystko się rozkręci, zawiozę tę gablotkę twojej matce, a swojej żonie, do Pragi – powiedział z naciskiem.

Alicja była pewna, że się nie przesłyszała, ale postanowiła nie dać po sobie poznać zaskoczenia. Zachowała się tak, jakby nie powiedział nic ważnego.

– Co takiego? – odezwała się po chwili milczenia. – Co mówisz, tato?

Ojciec przez chwilę zatrzymał na niej wzrok, po czym powrócił do przerwanej zajęcia.

– Przecież rozstałeś się z mamą przed z górą dwudziestu laty.

– Dokładnie przed dwudziestu pięciu laty, trzema miesiącami i siedemnastoma dniami. O ile masz na myśli ten czas, kiedy nie mieszkamy razem.

– Ty liczysz ten czas, tato? – zapytała Alicja.

– Mogę się mylić o parę dni, bo wiesz, jak wtedy leżałem w szpitalu i byłem nieprzytomny, to trochę mi się to pomieszało, i muszę czasem zajrzeć do kalendarza.

– Przez cały czas liczyłeś dni?

– Liczyłem przez całe życie. Jestem statykiem... Do liczenia przywykłem w pracy – odpowiedział Josef, patrząc na Alicję, która ze wzrokiem utkwionym w niego poruszała głową tak, jak to robiła od dziecka, kiedy coś ją zaintrygowało lub zaskoczyło, albo próbowała coś zrozumieć.

– Dwadzieścia pięć lat, trzy miesiące i siedemnaście dni – powtórzyła.

Ojciec odwrócił się, by wyjść z pokoju.

– A skąd wiesz, tato, że mama w ogóle cokolwiek od ciebie przyjmie? Skąd masz tę pewność, skoro przez te wszystkie lata traktowałeś ją jak powietrze i odnosiłeś się do niej z takim... lekceważeniem? Do jasnej cholery, skąd ta pewność?! Co ty w ogóle sobie myślisz?!

Josef opadł na krzesło. Opuściły go wszystkie myśli i siły, cała energia i autorytet. Był już tylko bezwładnym, chorym, starym człowiekiem.

– Wiesz, kochanie... – zaczął. – Prawda jest taka, że... Że ja... w ogóle nic nie wiem. Mogę mieć tylko nadzieję, że matka może mi to wszystko... jakoś... hmmm... wybaczyć. To wszystko... to wszystko, co mi zostało.

– Wybaczyć...?

– Mogę mieć tylko nadzieję, kochanie. Nadzieję.

– No dobrze, tato, dajmy temu spokój – powiedziała Alicja.

– Przecież to tylko gablotka.

– Jasne, tylko gablotka – przytakiwała z zaciśniętymi wargami. – Tylko gablotka.

Powtórzyła to jeszcze raz. Odetchnęła z ulgą, że tego dnia nie miała już nic ważnego do zrobienia, bo z pewnością teraz nie mogłaby się na niczym skupić. Jak pamięta, nieraz próbowała przedrzeć się przez labirynt dziwnych stosunków, jakie łączyły jej rodziców. Labirynt pełen różnych tabu, podstępnie rozmieszczonych zasadzek i pułapek, po którym tamci dwoje poruszali się całkiem chętnie, ze zręcznością poobijanych porcelanowych figurek.

– Ale nie powiesz jej o tym... o gablotce? – zapytał ojciec.

- O gablotce? – powtórzyła Alicja.
- Chciałbym jej zrobić niespodziankę. To co, nie wiesz?
- Nie wiem, tato. Nie wiem.
- Jak to, nie wiesz, kochanie?
- Po prostu. Nie wiem, tato – odpowiedziała Alicja.

2

Przez cały czas, kiedy Alicja mieszkała na wsi, ojciec majstrował coś przy gablotce. Była to stara, połamana serwantka z czasów, kiedy wiek dziewiętnasty, ustrojony w secesję, tanecznym krokiem przeszedł w wiek dwudziesty. Krzysztof kiedyś kupił ją na narzędzia. Potem jednak obaj z Josefem skonstruowali długie drewniane półki, na których obcęgi, śrubokręty, pilniki, młotki, śrubki i gwoździe miały się dużo lepiej. Gablotka stała na czterech nóżkach wysokich na metr dwadzieścia. Na nich osadzona była szafka głęboka na jakieś pół metra, a wysoka na dwadzieścia centymetrów. W rogach miała w zmyślny sposób zamontowane drewniane kołeczki, podtrzymujące półki, które można było rozmieścić na różnych wysokościach co kilka centymetrów. Dla tej brudnej, starej, połamanej i kulawej szafki, stojącej do tej pory w rogu szopy, Josef znalazł nowe zastosowanie. W czasie porządków, do których się zabrał po powrocie ze szpitala, odkrył kilka pudeł z przedmiotami, które kiedyś zbierał razem z Kwietą. Parę glinianych skorup z wykopalisk pod Ołomuńcem. Kilka celtyckich drobnych złotych monet zwanych miseczkami tęczowymi. Jakieś muszle, dwa czeskie grosze, cztery kawałki minerału o nazwie mołdawit, jeden trylobit, wielki okaz

różowego kwarcu, granaty z Kozakova, okrągłe kamyczki z Bojkovic, siekierka z brązu i kilka kopii odcisków pieczęci z Indii. Wszystko to, i jeszcze parę innych rzeczy, zgromadzili, zanim Alicja przyszła na świat. W tym czasie Kwietka i Josef chodzili na wycieczki, odwiedzali sklepy ze starociami i wszędzie znajdowali przedmioty, które przyciągały uwagę Kwietki. Trudno było powiedzieć, jaka jest tego wartość. Tyle co rozwiane wspomnienia. Josef uznał, że zapomniana gablotka nadaje się w sam raz na te stare zbiory. Przystąpił więc do naprawy mebla. Najpierw opalił stary lakier, potem uzupełnił kitem szczeliny i wyrwy, wygładził powierzchnie, pociągnął bejcą, nawoskował, wypolerował, zamówił i wstawił szybki, oczyścił i naprawił zamek, do wewnętrznej ścianki szafki przymocował wielki obrazek przedstawiający teksty pisane pismem klinowym, odkurzył i oczyścił eksponaty, po czym poustawiał je na trzech szklanych półkach gablotki. A potem wszystkie przedmioty spakował na powrót do pudeł, gablotkę rozebrał na części i zaczął się szykować do drogi. To wszystko robił jakby od niechcienia i nie spieszył się, jakby chciał nad gablotką pracować jak najdłużej. Alicja trafiła na ostatnie etapy – woskowanie i polerowanie. Zwłaszcza z polerki Josef nie był zadowolony i wiele razy pytał Alicję, jak jej się to widzi. Alicja nie zastanawiała się nad tym. Gablotka jej się podobała, a na powtarzające się pytania ojca odpowiadała, że nie wie.

– Kto ma wiedzieć? – nalegał. – Tylko ty możesz mi powiedzieć, co spodobałoby się twojej matce.

– Przydałoby się to polakierować – powiedziała Alicja, kiedy uświadomiła sobie, że ta gablotka jest dla ojca bardzo ważna. – Na razie zostaw tak jak jest, a jak ją przewieziesz do Pragi, jakoś mamę wybadam.

Josef nic nie odpowiedział, ale wyraźnie go to uspokoiło.

Kiedy po dwóch tygodniach młodzi wrócili z wakacji, gablotka już była gotowa. Rozłożona i przygotowana do przewiezienia. Jeszcze przez parę dni ojciec nie mógł się zdecydować, gdzie powinno się ją ustawić. W końcu postanowił, że najlepiej będzie się prezentować u Alicji, bo Kwietka narzekała, że mieszkanie ciotki Anny jest strasznie zagracone. Kiedy Alicja powiedziała matce, że ojciec zamierza ustawić u niej secesyjną gablotkę z ich starymi szpargałami, ciotka Anna oświadczyła:

– Temu twojemu Josefowi, droga Kwietuszek, już chyba całkiem padło na mózg. Człowiek ma patrzeć w przyszłość, a nie oglądać się za siebie. Wy oboje zachowujecie się, jakbyście żyli przed dwudziestu laty, a nie dzisiaj. Jesteście dwa dziwolągi. Nie patrz tak na mnie, tylko weź się w końcu za siebie!

3

Pewnego ranka, dokładnie kwadrans po dziewiątej, Josef i Krzysztof pojawili się w mieszkaniu Alicji na Vinohradach. Josef miał plecak, a Krzysztof pomagał mu nieść niesamowicie długą i śmieszoną torbę, w której znajdowały się wszystkie części gablotki. Krzysztof pomógł dziadkowi wypakować rzeczy i powiedział, że zobaczą się wieczorem. Jeszcze przed wyjściem Josef kładł mu do głowy, że powinien się przejść po kilku praskich ratuszach, zanim zdecyduje, gdzie ma się odbyć ślub – w Pradze czy w Kostelcu, do którego administracyjnie należała Lhotka. Po raz pierwszy ktoś w ogóle wspomniał o ślubie i Alicja nie wiedziała, czy to jakiś

niestosowny żart, czy równie niestosowna niezręczność dwóch najbliższych jej mężczyzn, którzy postanowili w taki właśnie sposób poinformować ją, że Krzysztof ma zamiar się ożenić. Potem zaczęła wypytywać o to Josefa, który oświadczył, że od dwóch miesięcy stara się przekonać Krzysztofa, że powinni się pobrać w Pradze. Dodał, że co prawda niechętnie i coraz rzadziej jeździ do tego miasta, ale przynajmniej jest tam większy wybór, jeśli chodzi o sale ślubów. Ale Krzysztof upierał się przy swoim Kostelcu.

Kiedy Krzysztof wyszedł, Alicja zapytała:

– Tato, zdajesz sobie sprawę z tego, że wychowałeś go na wieśniaka?

Ta uwaga rozbawiła Josefa. Roześmiał się i powiedział, że nie robi tego dla Krzysztofa tylko dla blondyneczki, jak uparcie nazywał Libuszę. Alicja oświadczyła, że Kwietka przyjdzie na obiad punktualnie o dwunastej, a Josef oznajmił, że ostatnim razem składanie gablotki zajęło mu godzinę i czterdzieści siedem minut, razem z szukaniem śrubokręta, którego używał Krzysztof, a potem nie odłożył na miejsce. Ponieważ było już prawie za piętnaście dziesiąta, Josef wziął się do pracy.

– Czy twoja matka, a moja żona, nadal zawsze przychodzi pół godziny wcześniej, niż się umówi? – zapytał.

– Już nie, tato – odpowiedziała. – Od dawna. Teraz przychodzi tak dziesięć, piętnaście minut przed czasem, a potem narzeka, że wszyscy oprócz niej są niepunktualni.

– No widzisz, i ona się starzeje – podsumował Josef i zaczął wyjmować z plecaka narzędzia.

Kiedy dokładnie o wpół do dwunastej otworzyły się drzwi i do mieszkania weszła Kwietka, gablotka już od kwadransa była złożona. Ojciec rzucił okiem na zegarek i pomyślał,

że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają i że swoją żonę zna lepiej niż jej własna córka. Kwietka weszła do pokoju, a Josef wstał z krzesła, Alicja uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała go tak roztrzęsionego.

– Dzień dobry, Kwietuszek.

– Cześć, Josifku – odpowiedziała Kwietka. Podeszła do Josefa trochę niezdarnie i podała mu rękę. Josef uściskał jej dłoń. Potem nagle objęli się, pocałowali pospiesznie i równie szybko oderwali się od siebie. Oboje są zdenerwowani, zauważyła Alicja i przywitała się z matką, po czym wszyscy troje poszli obejrzeć gablotkę. W pokoju Alicji Kwietka ujrzała drewnianą, oszkloną secesyjną serwantkę z trzema szklanymi zielononiebieskimi półkami. Środkową wypełniały gliniane skorupy. Na górze leżały celtyckie monety i wielki kawałek różowego kwarcu. Na samym dole, pośrodku był trylobit, obok otoczaki, a z boku siekiera z brązu. Z tyłu – odlewy pieczęci z Mohendzo-Daro. Granaty z Kozakova leżały piętro wyżej.

– Więc jednak znalazły się te monety? – spytała zaskoczona Kwietka. – A te kamyki muszą być z Bojkovic – dodała z radością w głosie.

– Właśnie – przytaknął Josef z satysfakcją. – Wszystko było w tych dwóch pudłach, które niedawno odkryłem.

Kwietka przyglądała się pozostałym eksponatom.

– Aha – powiedziała. – Alusiu, wiesz, że tę rzecz kupiliśmy, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie? – Dotknęła gablotki i wskazała odlew małej podłużnej pieczęci z jednorogim bykiem i kilkoma dziwnymi literami. – A te napisy jeszcze wtedy nie były odczytane, prawda, Josefie?

Na odlewie drugiej pieczęci znajdowało się wyobrażenie łodzi z wiosłarzem.

– Jak to było, Josefie? To, cośmy wtedy czytali w tej książce? Trzy kroki... Nie! Trzema krokami Wisznu odmierzył cały wszechświat. Jakoś tak, prawda?

Po chwili dodała:

– Już to odczytali, Josifku?

– Chyba nie, Kwietuszek – odpowiedział Josef. – To nie może być tak od razu, wiesz, to musi potrwać – dodał po chwili w zamyśleniu.

– Siadajcie już do obiadu, bo wszystko wystygnie. Chodź już, mamo. No chodź! Potem to sobie obejrzysz, ja też jeszcze się temu nie przyjrzałam – powiedziała Alicja i usiadła przy stole.

– A co tam jest z tyłu, Josefku? – zapytała Kwietka przy zupie.

– To jest napisane pismem klinowym, Kwietuszek – odpowiedział Josef.

– Tyle to i ja wiem. Wiem dobrze, bo przecież razem chodziliśmy do biblioteki na te wykłady, prawda?

– Do jakiej biblioteki? – wtrąciła się Alicja.

– Do Biblioteki Miejskiej – odpowiedziała Kwietka. – Ciekawa jestem, gdzie znalazłeś te otoczaki z Bojkovic, Josefie.

– Były w jednym z pudeł.

– Dałabym sobie rękę uciąć, że wzięłam je ze sobą do ciotki Anny. Wtedy jak się wyprowadziłeś.

– A co? To są jakieś niezwykle kamienie? – dopytywała się Alicja.

– Eee... to długa historia – zbyła ją Kwietka.

– Mamo, ty mi jej nie chcesz opowiedzieć! Prawda? Mam rację, tato?

– No... – zawahał się Josef – ...to stare dzieje.

– Innym razem, Alusiu, innym razem. Dużo by opowiadać – dodała Kwietka.

Kiedy Alicja zbierała ze stołu talerze po zupie i przynosiła następne z pieczenią wieprzową, zauważyła, że ojciec z radością w oczach wygląda przez okno, a na twarzy matki pojawił się nikły uśmiech.

– Słyszałaś, mammo, że Krzysztof chce się ożenić z tą swoją Libuszą? – powiedziała, żeby zakończyć przedłużającą się ciszę, przerywaną tylko dźwiękiem sztucców dotykających talerzy oraz bulgotem nalewanego do szklanek piwa. Rodzice idiotycznie się do siebie uśmiechali. Kwestia ślubu na chwilę ożywiła rozmowę. Kiedy wszyscy skończyli posiłek, Kwietka wstała i zaczęła się ubierać.

– A ty dokąd, mammo? – zapytała Alicja, zauważywszy napięcie na twarzy ojca. – Nie możesz jeszcze trochę zostać?

– Nie, nie, ja tylko skoczę po ciastka... – odpowiedziała matka. – Byłam tam wcześniej, ale mieli stary towar. Stare ciastka jeszcze poznam! A ta pani powiedziała, żebym przyszła później, że po południu będą mieć dostawę.

Drzwi trzasnęły, a Josef wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Po chwili dołączyła do niego Alicja i powiedziała, że zrobiła mu kawę. Widziała, jak ojciec nerwowo pali, strząsając popiół do skrzynki z kwitnącymi pelargoniami, więc stanęła obok i spojrzała na niego, żeby dodać mu otuchy. Josef skończył palić i wrócili do pokoju.

– Dobrze, tato, że wziąłeś się do czegoś – powiedziała. Ojciec popatrzył najpierw na nią, potem na gablotkę, znowu na nią, i powiedział:

– Miała tak leżeć i niszczyć? Przynajmniej jeszcze na coś się przyda.

– Myślisz, że mógłbyś czasem odwiedzić mamę w Pradze?

Nie odpowiedział.

– Mam wrażenie, że mama chciałaby cię widywać.

Odkaslnął i powiedział:

– Pytałaś już mamę, czy ta gablotka podoba jej się taka, jak jest, tylko wypolerowana, czy wolalaby, żebym pociągnął ją politurą?

– Jeszcze nie pytałam. Nie było kiedy.

– Może to nie takie istotne, ale...

– Zapytam. Jak nadarzy się jakaś okazja, dobrze?

– Jak myślisz, ucieszyła się? – ciągnął ojciec.

– Co ci mam mówić, przecież sam widziałeś.

– Bo ja myślę, że się ucieszyła.

– No pewnie.

– Naprawdę?

– Jasne.

– A czy ty, Alicjo – dodał po chwili Josef, marszcząc czoło – nie uważasz czasem, że to głupota?

Alicja pokręciła przecząco głową.

– A co zrobisz, jeśli Krzysztof ożeni się z blondyneczką? – zmienił temat Josef.

– Właściwie nic się nie zmieni, tato – odpowiedziała Alicja. – Przecież mieszka u ciebie i pewnie tam zostanie?

– Mam nadzieję.

– Raczej nie da się ściągnąć do Pragi. Już próbowałam.

– Jest bardzo dobrze wychowany... – zaśmiał się Josef – ...i dlatego zostanie ze mną – skończył ze złośliwą satysfakcją.

– No i wszystko zostanie po staremu.

– Masz rację. A ty co będziesz robić? – zapytał ojciec.

– Wiesz, ja się tak trochę tego ślubu spodziewałam. A teraz, kiedy Krzysztof jest z tą Libuszą, to sama nie wiem dlaczego, ale często sobie przypominam, jak to było, kiedy byłam małą.

– O nich się nie bój, dadzą sobie radę.

– Ja się o nich nie boję.

– A jakie rzeczy sobie przypominasz? – zapytał ojciec.

– Różne. Zazwyczaj wieczorem, kiedy nie mogę usnąć...

A wiesz, że ostatnio myślałam o babci?

– Babci nie możesz pamiętać. Zmarła, kiedy miałaś cztery lata, może pięć.

– Dlaczego nie mogę pamiętać?

– Jakoś nie wydaje mi się, żeby to było możliwe.

– Oczywiście, że ją pamiętam... I że mama ciągle nosiła takie długie spódnice. Spódnice do ziemi i bluzki z długimi rękawami. Ciemne.

– Kobiety pamiętają takie rzeczy, ja nie pamiętam nawet, jaki sweter dostałem w zeszłym roku pod choinkę. Okropny jestem, prawda?

– Ty zawsze taki byłeś. Ale ja pamiętam wszystko. Jak babcia umarła, jak potem mama nosiła te długie ciemne sukienki. I że wtedy miała jakąś wysypkę.

– Wysypkę? – zdziwił się Josef.

– Coś w tym rodzaju. Przypomina mi się wszystko. Kilka razy widziałam ją w wannie, miała od tego czerwoną skórę.

– Od czego?

– No od tej wysypki.

– A jak to wyglądało?

– Nie wiem, miała coś jakby takie małe czerwone blizny. Ale na mnie to nigdy nie przeszło. A może to była egzema? Teraz już naprawdę nie wiem.

W tej chwili rozległ się szcęk klucza w zamku i w przedpokoju pojawiła się matka z dwiema zapakowanymi papierowymi tackami. Weszła od razu do pokoju.

– Nareszcie przywieźli – powiedziała. – Musiałam trochę poczekać, ale przynajmniej mamy świeże ciastka. Rozmawiacie, jak widzę, nie przeszkadzajcie sobie – dodała, kładąc na stole papierowe serwetki, i poszła do kuchni. Josef nieśmiało zerkał na stół. Kwietka wróciła z kuchni z talerzykami i łyżeczkami, po czym zaczęła wykladać ciastka.

– A tak sobie wspominaliśmy, mamo – odezwała się Alicja.

– Tak? A co takiego?

– Wyobraź sobie, że tato nie wierzy, że pamiętam babcię.

– Byłaś wtedy malutka – powiedziała Kwietka. Postawiła przed każdym talerzyk z ciastkiem, wyprostowała się i opierając ręce na biodrach, dodała: – Mogłaś mieć wtedy jakieś pięć lat. I mówisz, że pamiętasz babcię?

– Pamiętam, czasem mnie kąpała. I jeszcze pamiętam te twoje długie czarne czy granatowe sukienki, które nosiłaś po jej śmierci.

– Granatowe sukienki? – powtórzyła Kwietka. – W ogóle sobie nie przypominam.

– No wtedy, jak miałaś tę wysypkę, pamiętasz?

– Nie pamiętam! – ucięła Kwietka.

– A potem ci przeszło, kiedy tato wrócił. Jak możesz nie pamiętać?

– Niczego takiego sobie nie przypominam, Alicjo!

– Mniejsza o to. Ja myślę, że to było na tle nerwowym, bo po powrocie taty zniknęło jak ręką odjął – powiedziała Alicja i zajęła się ciastkiem.

Ojciec trzymał w ręku talerzyk z ciastkiem tortowym i wpatrywał się w nią martwym wzrokiem. Nagle westchnął.

Jakby nie mógł złapać tchu. Potem znowu. I jeszcze raz. Alicja i Kwietka spojrzały na niego. Siedział ze wzrokiem utkwionym w talerzyk, a po policzkach płynęły mu łzy. Dziwne, miał mokrą całą twarz, choć zdążył zaledwie dwa czy trzy razy głęboko odetchnąć. Łkał i nie mógł złapać tchu. Łzy płynęły mu po starannie ogolonej brodzie i policzkach, spadały na dywan i na wyglansowane półbuty.

– Co się stało? – zapytała Alicja. – Powiedziałam coś nie tak? Ale ja przecież zawsze lubiłam babcię...

– Alicjo, dosyć, proszę cię! – rzuciła ostro matka.

Ojciec uniósł się nieco na krześle. Wciąż sapał, nie mogąc złapać tchu. Udało mu się sięgnąć do kieszeni i wyciągnąć chusteczkę do nosa i otarł jedną połowę twarzy. Jego prawa noga, jakby niezależnie od reszty ciała, próbowała kilka razy zrobić krok. Kwietka wypuściła z ręki talerzyk, przechyliła się nad stołem i chwyciła go za rękę. Josef powoli osuwał się na krzesło. Alicji przemknęło przez głowę, że za chwilę pod naciskiem jego ciała mebel przewróci się, a on sam runie na podłogę, podparła go więc, po czym obie z matką pomogły mu usiąść. Kwietka jedną ręką rozpiniała mu guziki koszuli, drugą zaś podtrzymywała go, by nie osunął się bezwładnie na ziemię.

– Josifku, mój Boże, wybac mi to, wybac – powtarzała Kwietka półgłosem przez łzy.

– Mamo! Co ja takiego powiedziałam? – nalegała Alicja, masując ojcu skronie.

– Alicjo, zamilcz wreszcie! – krzyknęła Kwietka. Łzy rozmazały jej delikatny makijaż, i spływając po białej bluzce, utworzyły na niej zarys jakiejś mapy. Po chwili obie ułożyły ojca na podłodze. Alicja pobiegła do kuchni, żeby zadzwonić po karetkę, matka została przy Josefie. Podtrzymywała

mu głowę i co chwila pochylała się nad nim, by sprawdzić, czy równo oddycha, głaskała go po włosach, co chwila wybuchała szlochem i w kółko powtarzała jego imię.

Kiedy Alicja wróciła do pokoju i zobaczyła, że matka głaszcząc ojca po twarzy, od razu zrozumiała, że to koniec. Już nie oddychał. Wsparła się o matkę i powiedziała:

– Mamo, mamo, zobacz... Tato nam umarł.

Po chwili odezwała się znowu:

– Tatusiu, mój tatusiu...

Kwiera trzymała w dłoniach głowę Josefa aż do chwili, kiedy rozległ się dzwonek i do mieszkania weszło dwóch mężczyzn w białych fartuchach. Coś mówili, Alicja coś im odpowiadała. Jeden z nich pochylił się nad ciałem Josefa, a drugi nakazał im gestem, aby się odsunęły. Alicja rozplakała się, dopiero kiedy kątem oka spostrzegła, jak jeden z mężczyzn patrzy na tego drugiego i kręci głową, na znak, że już nic nie da się zrobić. W kuchni matka ją objęła. Któryś z sanitariuszy wcisnął jej do ręki jakiś formularz, pożegnał się i wyszedł. Kobiety zostały w kuchni, siedziały przytulone do siebie, matka głaskała córkę po włosach. Jej łzy już wyschły, podczas gdy łzy Alicji dopiero zaczęły płynąć. Wyływały z kanalików łzowych, szukały drogi po obu stronach nosa, przez zagłębienia pod kośćmi policzkowymi, aż do mokrej chusteczki. Kwiera mechanicznie przesuwiała dłoń po pierśiach, jakby chciała zetrzeć z bluzki ślad rozmazanego tuszu, który miał poprawić jej urodę, żeby swojemu mężowi wydała się piękna, ponętna i upragniona. Mężowi, którego mimo tych wszystkich przeszkód, które czas przed nimi spiętrzył, mimo historii, mimo zaskakujących pragnień własnego ciała, mimo rozłąki oraz nieustannego, nieznośnego brzęczenia wspomnień nigdy nie przestała kochać.

List o złodzieju

Czołem, sis!

Wczoraj dostałem nareszcie porządną pracę. Zgadnij, co mam zrobić. Pan Verner, z tego banku, w którym pracuję, polecił mi przygotować uwagi i sugestie dla szefa Departamentu Inwestycji. A sprawa jest taka. W roku 1991 w Pradze odbyła się wystawa. Dostałem stosy papierów i kilka pudeł wycinków prasowych dotyczących tego wydarzenia i zdołałem się zorientować, że wszyscy wiele sobie po tej wystawie obiecywali. Oficjalnie nazywała się: „Uniwersalna Wystawa Czechosłowacka”. Co tam było wystawiane – nie mam pojęcia, a dla banku również jest to bez znaczenia. Znaczenie ma tylko jeden fakt: że po tej wystawie zostało kilkaset milionów długów. Tak, tak, nie pomyliłem się, coś koło miliarda. A ponieważ Czechosłowacja przeszła podział komórkowy na dwa małe państewka, to nie ma chętnego do spłacenia tych długów, no i zostały one na głowie tego właśnie banku, w którym pracuję. A moje zadanie polega na tym, żeby opracować historię tej wystawy (i innych wystaw podobnych do niej) i przedstawić teoretyczne rozwiązanie tego problemu, dla mediów. Bynajmniej nie rozwiązanie finansowe, do tego nie mam odpowiedniej wiedzy, ale rozwiązanie „imaginatywne”. Nie wiedziałem dokładnie, co to może znaczyć, więc zapytałem pana Venera, który mi wyjaśnił, że pewnie chodzi o porównanie tej wystawy z innymi w świetle faktu, że ta wystawa została zorganizowana po to, by upamiętnić inną, która od-

była się w tym samym miejscu w 1891 roku. Wyobrażasz sobie coś podobnego? Sto lat wcześniej. A ta wcześniejsza miała upamiętnić jeszcze inną, która miała miejsce o kolejne sto lat wcześniej, czyli w 1791 roku. Czujesz to? Wtedy jeszcze żył Mozart. I na tym ma polegać moja praca. Nawet już zacząłem. Pan Verner udzielił mi pożytecznej rady: jak nie wiem, z której strony to ugryźć, czyli: *what to do*, to mam odwołać się do historii. To tutaj podobno lubią. Jeśli odwołam się do minionych czasów, wszystko mi ujdzie na sucho. Mam wrażenie, że następnych kilka tygodni upłynie mi pod znakiem studiowania dziejów tego kraju.

A następna nowina jest taka, że umarł pan Czerny. Mąż tej Kwiety i ojciec Alicji, u której mieszkam. Byłem u niego z Alicją raz czy dwa. Snuł dziwne wywody o Pradze. Myślę, że lubił to miasto, ale nie podobało mu się to, co się z nim dzieje. Tutaj to zjawisko nazywają globalizacją, chociaż tak naprawdę chodzi o amerykanizację. Chyba nie potrafią się w tym wyznać. Pan Czerny przyszedł do tego mieszkania, w którym mieszkam, razem ze swoim wnukiem. Montował gablotkę, całkiem ładną, na jakieś zbiory, potem, o ile dobrze zrozumiałem, mieli rodzinny obiad, po którym po prostu wziął i umarł. Alicja wezwała pogotowie, ale chociaż karetka przyjechała bardzo szybko, było już za późno. Nie chciałem ich wypytywać. Wiem tylko tyle, co powiedziała mi Alicja. Przez cały tydzień słyszałem, jak płacze za ścianą. Ale właściwie chciałem ci napisać o czymś zupełnie innym. W tym tygodniu pan Verner poprosił mnie, żebym poszedł za niego do pewnej gospody, bo musiał wyjechać na jakąś delegację do Wiednia, a nie chciał tego spotkania odkładać. Miałem przekazać jego numer telefonu jakiemuś panu, którego dość dokładnie mi opisał. Najpierw zapytałem, dlaczego

sam do niego nie zadzwoni, a on mi na to, że nie ma jego numeru. Na pytanie, jak długo się znają, powiedział, że z górą dwadzieścia lat. Tak więc poszedłem do tej gospody. Był przy niej ogródek ze stolikami, który sąsiedował z boiskiem. Okazało się jednak, że gospoda jest zamknięta. Postanowiłem trochę poczekać i w końcu zauważyłem pewnego starszego gościa, z siwymi włosami ostrzyżonymi na jeża. Zorientowałem się, że to jest ten człowiek, z którym miałem się spotkać, i podszedłem do niego. Zapytałem, czy pan Zdeniek, on na to, że tak, więc dałem mu numer pana Venera. Nieznajomy zaprosił mnie na piwo, ale odmówiłem. W tym kraju strasznie dużo się pije. Ja akurat nie miałem ochoty bratać się z kimś na sposób słowiański, czyli przy alkoholu. Po powrocie pana Venera zapytałem go o tego Zdeńka, a on mi powiedział, że znają się od 21 sierpnia 1968 roku. Kiedy po tym spotkaniu szedłem z placu Pokoju w dół do placu Wacława, żeby kupić tacie jakiś prezent na urodziny, trafiłem na niewielką demonstrację skinów i jakichś neofaszystów. Po drugiej stronie stali policjanci, którzy ich filmowali. Dopiero po upływie tygodnia dotarło do mnie, że to jest właśnie ten dzień, przez który mama i tato zostali w UK. Tutaj UK nazywają Anglią. Szkoci i Irlandczycy nie byłiby z tego powodu uradowani. A poza tą skinowsko-faszystowską demonstracją tego dnia nie było żadnych obchodów ani nic. A pan Verner powiedział mi, że tego wieczoru w roku 1968 siedział w domu sam. Koło dziesiątej poszedł się położyć, ale jakoś nie mógł usnąć. Wydawało mu się, że ktoś chodzi po mieszkaniu. Tak więc zapalił światło, spróbował trochę czytać, potem usnął i przyśniło mu się, że ktoś nim bardzo delikatnie potrząsa. Otwiera oczy i widzi, że stoi nad nim jakiś facet w roboczym kombinezonie, który mówi:

„Proszę pana, niech się pan obudzi! Niech się pan mnie nie boi!”. Pan Verner oprzytomniał, patrzy, a ten facet cały czas go przeprasza i pokazuje na okno. Więc mówi: „Co pan tutaj robi?!” i nagle słyszy, że po ulicy tarabanią się jakieś trakto-ry. Tyle traktorów o piątej rano, myśli sobie, coś tu nie gra. Wygląda przez okno, a tam widzi, że po ulicy sunie kolumna czołgów, aż brzęczą szyby w oknach i wszystko się trzęsie od tego huk. A to były radzieckie czołgi. Siedzą na nich żołnierze w zielonych mundurach i mają odbezpieczone automaty. „Co to jest?” – wyjąkał pan Verner, i jeszcze: „Panie, co pan tu robi?” A tamten tylko w kółko przeprasza i mówi: „Ja przyszedłem, żeby pana okraść, ale to już jest trzecia kolumnatych czołgów, więc postanowiłem pana obudzić, bo wygląda na to, że albo wybuchła wojna, albo nas ruskie napadli. Ja już oddałem to, co wzięłem, wszystko leży na stole... To ja już pójdę, a pan niech może zadzwoni do rodziców i do żony, to znaczy przepaszam... ale widziałem takie ładne rodzinne zdjęcia... A w przedpokoju ma pan telefon... No to niech pan do nich zadzwoni, bo jeśli to jest wojna albo okupacja... To ja znikam i jeszcze raz bardzo przepaszam, ale naprawdę pokrzyżowało mi to trochę szyki”. A pan Verner podobno złapał go za rękę i mówi: „Jezus Maria, człowieku, niech pan zostanie, przecież mogą pana zastrzelić!”. A ten złodziej że nie, że pójdzie, bo się bał, że pan Verner ściągnie mu na kark milicję. Ale kiedy pojawiła się następna kolumna czołgów, obaj zrozumieli, że dzisiaj na pewno żadna milicja nie będzie reagować na wezwania. A potem złodziej zapytał, czy mógłby zadzwonić, i gdzieś zadzwonił, a potem przychodzi z płaczem i mówi: „Moja siostra mówi, że u nich jest to samo, a ona mieszka pod polską granicą. Panie, oni nas napadli”. A pan Verner na to: „Niech mi pan przynajmniej powie, jak

się pan nazywa, żebym wiedział, z kim rozmawiam, i tak nie może się pan stąd ruszyć”. A tamten powiedział, że na imię ma Zdeniek. „No więc, Zdeńku, niech pan sobie weźmie, co panu trzeba, ja tego i tak do grobu ze sobą nie wezmę”. Tamten na to: „O nie, nie mogę. Teraz już tego nie potrzebuję” A pan Verner pyta: „A znalazł pan tę gotówkę, co miałem schowaną?”. A ten Zdeniek: „No jasne. Wszyscy trzymają pieniądze w kredensie, kubkach, które stoją w drugim rzędzie. Ale wszystko oddałem”. Na to pan Verner: „Niech pan weźmie przynajmniej połowę”. Tamten nie chciał, ale w końcu pan Verner wcisnął mu tę połowę kasy. Potem, jak już czołgi przejechały, odprowadził go do skrzyżowania, gdzie akurat ludzie stawiali jakąś zaimprovizowaną barykadę, i obaj przyłączyli się do tego budowania. W końcu ten złodziej powiedział, że już musi iść, bo żona się będzie niepokoić, i wyobraź sobie, że wyściskali się tam na środku skrzyżowania, a pan Verner powiedział: „Uważaj na siebie, Zdeńku, to są Rosjanie, a dla Rosjan ludzkie życie się nie liczy”. Ten Zdeniek mówi: „Jeżeli wyjdziemy z tego cało” – bo się bali, że dojdzie do takiej masakry jak na Węgrzech dwanaście lat wcześniej – no więc, że jeśli wyjdą z tego cało, to za rok w gospodzie Na Rożku on mu te pieniądze odda. „Mam teraz trochę kłopotów – mówi. – To znaczy potrzeba mi pieniędzy. A gospoda Na Rożku jest w połowie drogi między nami”. No i od tej pory każdego roku spotykali się w tej gospodzie, zawsze 21 sierpnia. Pytałem pana Vernera: „Jak to możliwe, że nie zapytał pan o jego nazwisko i adres?”. A on mi mówi: „Drogi kuzynie, życie mnie nauczyło, że trzeba uszanować czyjąś prywatność. On nie powiedział, a ja nie pytałem. To, że raz do roku się spotkamy i razem osuszymy parę kufli, jest dla mnie ważniejsze niż to, żebym się czegoś

o nim dowiedział. Czasami któryś z nas nawali, ze trzy razy tak się nam zdarzyło. Wtedy posyłamy kogoś zamiast siebie, żeby ten drugi wiedział, że nic złego się nie stało. No i tak to jest. A ponieważ przed pół rokiem zmienili mi numer i nie ma mnie już w książce telefonicznej, to posłałem tam ciebie, kuzynie”.

I to na dzisiaj wszystko, sis. Cześć.

George

List miłosny pismem klinowym

Kiedy kuzyn wrócił z pracy, w salonie stała stara, odnowiona secesyjna serwantka, okno było otwarte na oścież, a w kuchni na kredensie leżały jakieś urzędowe formularze. Dopiero kiedy w swoim pokoju zdjął jeden but, usłyszał cichy płacz dochodzący z pokoju Alicji. Założył but z powrotem i wszedł do przedpokoju. Jednak Alicja znała dźwięki w swoim mieszkaniu lepiej niż jej delikatny współlokator. Jeszcze zanim zdecydował się zapukać, sama otworzyła drzwi swojego pokoju. Twarz miała opuchniętą, lecz suchą, bez śladu makijażu. Miała na sobie czarną spódnicę a włosy gładko zaczesane do tyłu. Powiedziała Jirziemmu, że Josef nie żyje. Zanim zniknęła za zamkniętymi drzwiami, by w samotności przeżywać swój smutek, powiedziała, że kolacja dla Jirziego czeka na kuchence, wystarczy ją podgrzać. Ten typowo słowiański nacisk kładziony na regularne spożywanie posiłków zaskakiwał Jirziego i wzruszał zarazem. Jedzenie nie zawsze mu smakowało, ale troska o prawidłowe odżywianie się wydawała mu się sympatyczna.

Kwiera z Alicją pojechały do ciotki Anny. Ciotkę obudził odgłos zatraskiwanych drzwi. Otworzyła oczy, lekko poruszyła się w swoim fotelu, a kiedy obie kobiety weszły do pokoju, zmierzyła je trzeźwym wzrokiem.

– Kto umarł, moje miłe? – zapytała zmęczonym głosem, w którym pobrzmiwała lekka irytacja. O śmierci zawsze

mówiła w ten sposób. Kwiecie znowu napłynęły łzy do oczu, a Alicja kilka razy skinęła głową i powiedziała:

– Tatuś, ciociu.

– O mój Boże – westchnęła ciotka. – Przecież w porównaniu ze mną wszyscy jesteście tacy młodzi...

Powolnymi ruchami zaczęła odrzucać po kolei wszystkie pledy, którymi była otulona, i z trudem spróbowała dźwignąć się z fotela. Kwietka zaprotestowała łamiącym się głosem:

– Siedź sobie, ciociu, gdzie chcesz iść?

– Moje drogie – oświadczyła ciotka. – Dzisiaj jest moja kolej, żebyś koło was skakała.

– Daj spokój, jeszcze upadniesz – wtrąciła się Alicja.

– No dobrze – zgodziła się staruszka. – Usiądę sobie przy stole, a wy mi wszystko opowiecie. Jak to się stało?

Zamiast opisywać ostatnie chwile życia Josefa, obie kobiety zaczęły jedna przez drugą przywoływać różne przepełnione miłością wspomnienia, wyłaniające się z pamięci i lekkim lotem dwupłatówca pokonujące czas i przestrzeń. Kwietka nie mogła powstrzymać szlochu, Alicja połykała łzy, a każda z nich ścisnęła jedną pomarszczoną dłoń ciotki Anny. Następnego dnia obie pojechały do Lhotki, gdzie Krzysztof i Libusza rozpoczęli już przygotowania do pogrzebu. Zdecydowano, że uroczystości pogrzebowe odbędą się w Pradze, ale ciało zostanie pochowane w Lhotce. Libusza nie wtrącała się do nerwowych dyskusji, przerywanych co chwila wybuchami płaczu. Wydawało jej się, że Kwietka i Alicja wołałyby, żeby Josef leżał na praskim cmentarzu, podczas gdy Krzysztof obstawał za Lhotką. W końcu jakoś się dogadali, ale Krzysztof kilka razy powtórzył cicho:

– Kompromis, brudny kompromis.

Kwieta chciała wybrać Josefowi jakieś eleganckie ubranie do trumny, po to między innymi przyjechała na wieś. Na miejscu jednak uświadomiła sobie, że najlepszy garnitur Josef miał na sobie, kiedy przyjechał z gablotką do Pragi. Przed odjazdem wybrały sobie na pamiątkę kilka należących do niego drobiazgów.

Następnego ranka Krzysztof zajrzał na strych, gdzie Josef trzymał puste pudełka i papier do pakowania prezentów. Znalazł najładniejsze pudełko, wytarł z niego kurz i zszedł z nim na dół. Wybrał kilka czarnych płyt z tych najczęściej przez dziadka słuchanych, ułożył je w pudełku i zaniósł do siebie. Kiedy wieczorem Libusza wróciła z pracy do domu, zobaczyła pudło pełne płyt i zapytała Krzysztofa, czy będzie tego słuchać.

– Ależ skąd, do mnie ta muzyka nie przemawia. Ale przynajmniej mam wrażenie, że dziadek jest tu ze mną.

Alicja, wyposażona w notatnik Josefa, zaczęła obdzwaniać jego przyjaciół z informacją o pogrzebie. Kwieta pomagała jej w przygotowaniach, jak mogła, ale szybko uświadomiła sobie, że nie starcza jej sił. Zdołała tylko zamówić klepsydry. Drukarnia mieściła się niedaleko szpitala, w pobliżu placu Karola. Kwieta weszła do biura, gdzie przywitał ją mężczyzna w beżowym swetrze, który wyszedł z sąsiedniego pomieszczenia i wskazał jej krzesło. Rozłożył przed nią katalogi z mnóstwem żałobnych sformułowań do wyboru i wzorami nekrologów. Liście palmowe, paprocie, róże, hiacynty, kilka rodzajów koron cierniowych, różne stylizowane krzyże, niezliczone inne symbole. Kwiecie zakręciło się od tego w głowie.

– Ja wiem, że jest tego sporo – odezwał się pracownik drukarni, widząc zakłopotanie klientki. – Proszę się nie spieszyć. Czy mogę zaproponować pani kawę albo herbatę?

Kwieta pokręciła przecząco głową.

– Proszę spokojnie się zastanowić i dać mi znać, kiedy pani coś wybierze. Będę obok. Zostawię uchylone drzwi, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Kwieta przez chwilę przeglądała wzory, potem wstała i przeszła się po pomieszczeniu. Uświadomiła sobie, że docierają do niej jakieś odgłosy. Zajrzała do sąsiedniego pokoju. Nie było tam mężczyzny, który z nią rozmawiał. W tylnej części biura znajdowały się przeszklone drzwi. Za nimi widać było rytmicznie poruszające się części jakichś maszyn. Z daleka przypominały warsztat tkacki. No jasne, drukarnia, pomyślała Kwieta. To by się spodobało Josifkowi. Maszyny, motorki, to coś dla niego. W końcu wybrała motto nekrologu: „Ten, kto żyje we wspomnieniach, nigdy nie umarł”. Dopiśsała jeszcze: mąż, ojciec i dziadek. Potem poprosiła pracownika drukarni, który dokładnie obejrzał i sprawdził projekt, i wreszcie mogła wyjść. W tramwaju znowu uprzytomniła sobie, że z wiekiem ubywa jej sił. Skąd to się bierze, zastanawiała się. Miała wrażenie, że główną przyczyną wcale nie jest wiek. Nie starzejące się ciało: mózg, mięśnie i wszystkie inne jego składniki. Nadzieja. Tak! To brak nadziei! Mało to pocieszające. I nie da się wyleczyć.

Od pogrzebu minęły trzy tygodnie. Na Kwieta czekał w domu duży, opasły list, którego przyjęcie należało potwierdzić podpisem. Za Kwieta, która poszła po zakupy, zrobiła to ciotka Anna. I od razu o tym zapomniała. List przeleżał pod ciotczynym swetrem do następnego dnia. Przypomniała sobie o nim, kiedy układała swoje rzeczy. Nałożyła okulary i ujrzała godło państwowe na kopercie. Złoty emblemat z godłem. Że też nie zauważyłam tego od razu, pomyślała ciotka, oddając list Kwiecie.

– To przyszło wczoraj – powiedziała.

– A ty dokuśtykałaś do drzwi, ciociu? – zapytała Kwietka z wymówką. – Przecież mogłaś upaść! Odebrałabym to na pocztę.

– Dajże spokój. Pomalutku sobie doszłam. Tyle gadania o jeden list – odcięła się ciotka.

– I listonoszka na ciebie poczekała? – zapytała Kwietka.

– No chyba widzisz ten list? To znaczy, że poczekała. A w ogóle, jak słyszę, że ktoś dzwoni, to od razu krzyczę: Już idę! I: Proszę poczekać, bo idę powolutku! No i listonoszka, jak widzisz, poczekała – powiedziała ciotka, szurając nogami w drodze do skrzynki na listy, gdzie już czekała na nią codzienna porcja gazet.

Kwietka obejrzała kopertę i pomyślała, że szkoda byłoby ją zniszczyć. Rozcięła ją nożyczkami. Wewnątrz znajdował się list napisany na papierze czerpanym z widocznym znakiem wodnym przedstawiającym godło państwowe oraz wiązkę lipowych liści. Zanim Kwietka skończyła czytać, ciotka Anna doczłapała ze swoimi gazetami z powrotem do pokoju, rozłożyła je na stoliku i zaczęła studiować strony tytułowe. Postęp w dziedzinie poligrafii sprawił, że zdjęcia na pierwszych stronach gazet coraz częściej drukowane były w kolorze, co pozwalało ciotce lepiej się orientować w zawartości pism. Była szczerze zadowolona z tej zmiany.

– Wyobraź sobie, ciociu, to znaczy, o ile dobrze zrozumiałam... Będę musiała jeszcze raz to przeczytać... Lepiej od razu zadzwonię do Alicji... I do Krzysztofa.

Ciotka spojrzała na nią nieco rozdrażniona, bo właśnie była zagłębiała w lekturze artykułu o sporządzaniu jakiegoś genomu czegoś tam, w każdym razie autor twierdził, że burak cukrowy i człowiek mają jeden gen taki sam. Ciotka

była trochę zakłopotana, nie wiedziała, co o tym myśleć. Takie artykuły, o których nie wiedziała, co myśleć, zaznaczała czerwoną kredką i wracała do nich po południu. Po powtórnej lekturze zazwyczaj udawało jej się wyrobić sobie jakiś pogląd, choćby ogólny. Staruszka wpatrywała się w Kwietę z rozdrażnieniem, ale nie doczekała się reakcji.

– No więc o co chodzi? – rzuciła.

– Wyobraź sobie, ciociu, że chyba Josifkowi dali jakiś medal...

– Medal?

– Medal.

– Jaki medal? – drążyła ciotka.

– Medal za odwagę.

– Za odwagę?

– Piszą, że Josef został przedstawiony do odznaczenia... za odwagę, którą wykazał się w czasie uwięzienia, kiedy z narażeniem własnego życia pomógł kilku więźniom... I jeszcze, że przeciwstawił się dyktaturze totalitarnej – czytała Kwietka.

Ciotka Anna bez pośpiechu położyła okulary na otwartej gazecie i po chwili milczenia powiedziała:

– Rychło w czas. Jak już biedak przeniósł się do doliny Jozafata.

– Oni piszą, że będzie odznaczony pośmiertnie. *In memoriam*, myślnik, za dzielność, pośmiertnie. Czy wyrażam zgodę i żeby się z nimi skontaktować w sposób najbardziej dla mnie dogodny.

– Czyli jak? – zdziwiła się ciotka. – W jaki sposób, do jasnej?

– To rozumiem, ciociu.

– I kiedy to przyślą?

– Oni tego nie przyślą.

– Nie?

– Nie.

– No to jak to odbierzesz za Josefa?

– Trzeba będzie tam pójść... Czekał, piszą, że jeśli się zgodzę, to mogę to odebrać ja albo ktoś za mnie, jakaś wskazana przeze mnie osoba: córka, wnuk albo przyjaciel rodziny.

– Albo przyjaciel rodziny? – powtórzyła ciotka. – Hmm...
A gdzie to się będzie odbywać?

– Na Hradczanach, ciociu.

– Aha...

Ciotka Anna zamilkła na chwilę, po czym zapytała:

– Czyli wręczać ci to będzie ten... ten... No wiesz, kogo mam na myśli?

Kwiera była tak zaskoczona tą niespodziewaną wiadomością, że słuchała ciotki jednym uchem i tylko chwilami mogła się skupić na jej słowach.

– No jak mu tam... Mam na końcu języka... Ten Król Hulajnoga?

– Tak ciociu, właśnie on.

Kwiera z przejęcia nie była w stanie na niczym się skupić. Pomyślała, że Josef dostał medal za to, co sam nazywał zabawą w harcerzyków.

Jesień zbliżała się wielkimi krokami. Święto państwowe upamiętniające powstanie Republiki Czechosłowackiej jak zwykle przypadło w tym samym tygodniu co Zaduszki. Kwiera dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy, pomyślała o tym dopiero w roku śmierci Josefa. Na cmentarz jeździła regularnie trzy razy w tygodniu. Kiedy Krzysztof przypadkiem dowiedział się o tym, że babcia tak często bywa w Lhotce i nawet do nich nie zajrzy, dał jej porządny wygawor, dorobił klucze i wymusił obietnicę, że będzie przychodzić na kolację

czy choćby na herbatę. Wiejski cmentarzyk znajdował się na zboczu. Kościół stał na pagórku. Kiedy po pierwszych przymrozkach, jak zawsze nieoczekiwanych, drzewa straciły liście, Kwietka z upodobaniem odgarniała je nie tylko z grobu Josefa, ale i z sąsiednich nagrobków. Nieraz wspinała się na pagórek, siadała na murku i patrzyła na pofalowany jesienny krajobraz. Czasami widziała gotujące się do odlotu spóźnione ptaki, których nie umiała nazwać, a później przestała się dziwić, że Josef wyniósł się z Pragi.

Kwietka zajrzała do kalendarza, dopiero kiedy Krzysztof jej przypomniał, że zbliża się uroczystość pośmiertnego odznaczenia dziadka, i stwierdziła, że tego dnia ma zastąpić panią Langmajerową, która pilnowała porządku na cmentarzu. Mieli przyjechać robotnicy, żeby naprawić pompę. Nie dała się przekonać i pojechała do Lhotki, a po medal wysłała Alicję. Alicja postanowiła, że medal, razem z wyściełanym pudełkiem, należy umieścić w gablotce, którą Josef i Krzysztof przywieźli ze wsi. Wszyscy myśleli, że Kwietka ucieszy się z odznaczenia, ale ona zachowywała się tak, jakby wcale jej to nie dotyczyło. Czasem mechanicznie pogładziła Krzysztofa po plecach, innym razem pochwaliła Alicję, że wzorowo zajmuje się domem, ale najchętniej przebywała w świecie wspomnień.

Pod koniec listopada, w dzień świętej Cecylii, usiadła na cmentarnej ławeczce i usnęła. Kiedy obudził ją przenikliwy chłód, było już ciemno. Gwiazdy, które widziała nad głową, wydały jej się niezwykle piękne, chociaż nazwy żadnej z nich nie znała. Z cmentarza poszła od razu na dworzec, a kiedy przyjechała do domu, poczuła, że nie skończy się tylko na przemarznięciu. Nie pomogła jej ani herbata z rumem, ani sok z cebuli – sposób ciotki Anny, przyniesiony przez jej ojca

z okopów na froncie włoskim w czasie pierwszej wojny światowej. Wezwana lekarka stwierdziła, że Kwietta nabawiła się zapalenia płuc, i wypisała jej skierowanie do szpitala. Opiekę nad ciotką Anną przejęła Alicja, która kursowała między pracą, szpitalem i domem. Ciotka Anna była przygnębiona, i to bynajmniej nie dlatego, że nie dowierzała lekarzom – wprost przeciwnie: jej wiara w postęp w medycynie coraz bardziej się umacniała – ale dlatego, że w oczach Kwietty dostrzegła ślad rezygnacji i zmęczenia życiem. Niemal stuletnia kobieta wie, co mówi, powtarzała ciotka. Nie dodawała jednak, że taką rezygnację wiele razy widziała w oczach swoich znajomych na parę miesięcy przed ich odejściem. Wszyscy, no może prawie wszyscy, chcieliby znać przyszłość, gdyby jednak biedacy wiedzieli, co ich czeka, chyba zmieniliby zdanie.

Ciotce Annie doskwierała samotność, więc niezmiernie się ucieszyła, kiedy kuzyn Jirzi zaproponował, że co drugi dzień będzie ją zabierał do domu na kolację swoim samochodem, który przydzielono mu służbowo. Wiedziała bowiem, że nic tak skutecznie nie odstrasza śmierci jak odrobina szaleństwa i żarliwy optymizm młodości. Tak więc kuzyn przyjeżdżał po nią kilka razy w tygodniu. Przyzwyczajał się stopniowo do jej powolnych ruchów, jej zaś spodobało się, że czerwone auto zajeżdża pod dom specjalnie po nią. Nawet pochwaliła się Alicji, kiedy nikt jej nie słyszał, że na starość odkryła w sobie resztki próżności. Całe lata przeżyła w czterech ścianach mieszkania, a jeśli gdzieś wychodziła, to tylko do pobliskiego parku, więc nie mogła się nadziwić, jak bardzo miasto w tym czasie się zmieniło. Nowe budynki. Odrestaurowane fasady. Tyle samochodów. Nowe nazwy starych ulic. Z czasem te wycieczki stały się głównym punktem jej tygodniowego programu.

– Wiesz, co jest zaskakujące, Alusiu? – zagadnęła pewnego razu Alicję. – Że ten kuzyn we mnie, starej babie, budzi pożądanie. Oczywiście nic z tych rzeczy, które ty możesz mieć na myśli. Ty jesteś jeszcze za młoda, żeby to pojąć. W każdym razie jest to coś takiego, jak wtedy, kiedy jeszcze jakoś wyglądałam.

– A czym to się przejawia, ciociu?

– No na przykład tym, że mogłam odstawić te proszki na oddychanie, co mi je przepisała pani doktor. Kiedy ten chłopak jest koło mnie, to po prostu lepiej mi się oddycha. Nie potrzebuję żadnych proszków. Ale trzymam je w szufladzie, tu na dole, przydadzą się, kiedy wróci do tej swojej Anglii. Tylko żebyś sobie nie myślała, to nie jest przez niego. To znaczy, to jest przez niego. Bo to młody mężczyzna. O to chodzi. A kobiety nie powinny stronić od mężczyzn. Zapamiętaj to sobie.

Alicja pomyślała, że lada chwila ciotka wejdzie na swój ulubiony temat, więc zaczęła się zastanawiać, jakby tu skierować rozmowę na inne tory. W tym momencie do pokoju wszedł kuzyn i zapytał:

– Ciociu Anno, czy pani miała męża?

Staruszka zwróciła do niego swoją pomarszczoną twarz i ku zaskoczeniu rozmówców uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście że miałam, mój złoty. Na imię mu było Henryk i miał najszykowniejszy wąsik w całej okolicy. Dzisiaj pewnie byście się z tego śmiali, ale wtedy...! Wtedy to był krzyk mody. Nie żyje od czterdziestu lat.

Ciotka Anna podczas jednej ze swoich wizyt u Alicji postanowiła przyjrzeć się dokładnie gablotce. Ponieważ była wątła i nie mogła długo stać, poprosiła kuzyna, żeby wyjął wszystkie eksponaty i ułożył pod lampą, a ona po kolacji

w spokoju je sobie obejrzy. Na początek zajęła się me-
dalem.

– Ładnie go wymyślili. Naprawdę bardzo ładnie – oświad-
czyła, przyjrzawszy mu się dokładnie przez szkło powiększa-
jące.

Jirzi uświadomił sobie, że już dawno nie widział, żeby
ktoś tak wnikliwie przyglądał się jakiejś rzeczy. Widać ciot-
ka Anna żyła w innym wymiarze czasowym, w którym jej
powolne ruchy były czymś naturalnym. W tym wymiarze
skrupulatne oglądanie rzeczy i ludzi jest źródłem satysfakcji.
Potem oparła się o poręcz fotela i popadła w zamyślenie. Po
chwili zajęła się mołdawitami i celtyckimi monetami. Dłu-
żej przypatrywała się odlewom indyjskich pieczęci, po czym
oświadczyła, że zwierzę, którego wizerunek znajduje się na
jednej z nich, widziała na własne oczy w 1934 roku w czasie
wycieczki do Polski.

– Nazywało się żubr czy jakoś tak i nie mam pojęcia, skąd
się wzięło w Indiach – powiedziała, nie kryjąc zdziwienia.

Potem obejrzała po kolei całą resztę. W odróżnieniu od
Josefa i Kwiety, którzy zgromadzili wszystkie te eksponaty,
ciotkę bardziej interesowała przyszłość niż przeszłość. Oglą-
dała je tak skrupulatnie głównie po to, by pokazać Alicji, że
darzy tych dwoje szacunkiem. Na koniec Jirzi wyjął z gab-
lotki dwa duże kartonowe arkusze, które przypięte od we-
wnątrz do tylnej ścianki mebla stanowiły coś w rodzaju tła
dla całej kolekcji. Ciotka rzuciła okiem na papier pokryty
dziwnymi, zwróconymi w różne strony strzałkami i oświad-
czyła sceptycznie:

– Jakoś mi się nie widzi, żeby to pasowało do tych rzeczy. –
Po chwili milczenia dodała: – Dobrze przynajmniej, że te
rysunki są duże i wyraźne, więc mogę je oglądać bez lupy, nie

tak jak te kamyczki albo medal, ale z drugiej strony nawet nie wiem, czy nie trzymam tego do góry nogami. A może trzymam?

I zajęła się studiowaniem obu kartek, nad którymi ślęczała aż do wieczora.

Kiedy Jirzi odwiózł ją do domu, powiedziała mu na schodach:

– Mam wrażenie, drogi kuzynie, że Josef przyszykował dla nas jakąś niespodziankę.

Ponieważ Jirzi akurat pogrążony był we własnych myślach, sens tych słów dotarł do niego dopiero po dłuższej chwili.

– Jaką niespodziankę?

– Nie wiem – odpowiedziała ciotka – ale zauważyłam, że te znaki były najpierw narysowane ołówkiem, a dopiero potem pociągnięte kolorem. No i pomyślałam sobie, że być może to wszystko coś znaczy, skoro Josef tak się przy tym namęczył.

– Te znaki narysował pan Czerny? – zdziwił się Jirzi.

– Oczywiście. Przecież się podpisał. A na odwrocie napisał coś o Kwiecie i niespodziance, tylko nie wiem co, bo już mi wyleciało z głowy.

– W przyszłym tygodniu razem się temu przyjrzymy, dobrze? – powiedział Jirzi i po raz kolejny pobiegł nacisnąć włącznik światła, które gasło zawsze akurat wtedy, kiedy byli w połowie schodów.

– Dobranoc, Jirziku – powiedziała ciotka Anna, stojąc już przy drzwiach swojego mieszkania. – Jedź ostrożnie. A, i jeszcze mi powiedz, masz jakąś dziewczynę?

– No... może jeszcze mam – odpowiedział kuzyn.

– Jak to: może jeszcze mam? Masz czy nie masz?

– Moja dziewczyna jest w Paryżu.

– W Paryżu? No to jakbyś jej nie miał. Ma być tutaj albo ty powinieneś być tam. A jak nie, to znajdź sobie kogoś na miejscu. Wiem, co mówię, mój złoty.

Jeszcze pomachała mu laską i powłócząc nogami, weszła do mieszkania.

Dopiero kiedy Alicja spotkała się w szpitalu z dawnym przyjacielem ojca, doktorem Lukavskim, uświadomiła sobie, że zaczyna się o matkę bać.

– Nigdy nie zapominała się umalować, zawsze przynajmniej pociągnęła kredką brwi. A teraz, wujku? Coś się z nią dzieje. Prawie wcale się nie odzywa, ciągle tylko wspomina.

Antonin patrzył na nią w skupieniu. Widział, że spotkanie z nim wyzwoliło w niej strach o matkę. Starał się ją uspokoić, ale musiał przyznać, że jego wiedza medyczna na niewiele tu mogła się zdać. Choroba Kwiety na początku wyglądała jak zwyczajne zapalenie płuc. Doktor Lukavski też zauważył, że Kwietę otacza zapach fiołków, który kojarzył mu się z apatią. Postanowił, że nie będzie odnosić się do niej jak do swojej pacjentki, i zamierzał wytrwać w swoim postanowieniu.

W następnym tygodniu Jirzi przypomniał sobie, co ciotka Anna powiedziała na temat obrazków przedstawiających znaki pisma klinowego. Był poniedziałek. Po kolacji Jirzi wyjął obie kartki z gablotki i położył je przed staruszką w ostrym świetle stojącej na stole lampki. Ciotka odwróciła oba arkusze i skinęła na Jirziego, nawet na niego nie spojrzawszy.

– Mój złoty, skoro mam tu ciebie, to nie będą mi potrzebne okulary ani szkło powiększające. Podejdź tu z łaski swojej i przeczytaj, co tu jest napisane.

Kuzyn przyciągnął sobie krzesło i sięgnął po pierwszy arkusz. Rzucił okiem najpierw na znaki, potem na słowa zapisane na odwrocie:

– „Do Kwiety od Josefa”.

Na drugim arkuszu był ciąg dalszy.

– „Droga Kwieto, jak wiesz, zbliża się nasza rocznica ślubu. Postanowiłem więc w ten właśnie sposób wyrazić to, co do Ciebie czuję. Jest to przeznaczone tylko dla Twoich oczu. Ufam, że to, co chcę Ci wyznać na tych dwóch stronicach, sprawi Ci radość. To taka mała niespodzianka ode mnie dla Ciebie. Josef”. I to wszystko – zakończył Jirzi.

– I nic więcej?

– Nic.

Jirzi wieczorem odwiózł ciotkę Annę do domu, a po powrocie zaczął wypytywać Alicję, czy czasem nie wie czegoś o tej dziwnej sprawie. Pokazał jej też list Josefa, napisany maczkiem na drugiej stronie arkusza.

– Tak, to pismo taty – potwierdziła Alicja – ale naprawdę nie wiem, o co w tym wszystkim może chodzić.

Jirzi namówił Alicję, żeby przy kolejnej wizycie w Lhotce rozejrzała się po domu, czy czasem Josef nie zostawił tam jakiegoś listu dla Kwiety. Alicja w końcu uznała, że być może matce sprawiłoby to przyjemność, i zadzwoniła do Krzysztofa. Dowiedziała się od niego, że pokój dziadka czeka na Kwietę, został przygotowany i nawet pomalowany, bo już mu się to należało. Niczego z Libuszą nie wyrzucali, papiery zostały i jeszcze raz je wszystkie dokładnie przejrzy, chociaż na razie na żaden list do babci nie natrafili.

Po kilku dniach Krzysztof potwierdził, że w papierach dziadka nie ma żadnego listu.

Do swojego pokoju Jirzi przechodził przez stołowy, w którym stała gablotka. Za każdym razem, mijając ją, czuł lekki niepokój, aż wreszcie któregoś dnia coś mu przyszło do głowy. Zaraz poszedł z tym do Alicji.

– Alicjo – zaczął. – Mam wrażenie, że wiem, o co chodzi z tym listem.

Trzymał w dłoniach obie kartki pokryte znakami pisma klinowego.

– To jest ten list. Mamy go przed nosem. To jest ten list do Kwiety, tyle że Josef napisał go w obcym języku obcym alfabetem.

Alicja poczuła rozbawienie. Pomyślała, że jej Krzysztof nigdy by się nie zdobył na takie spekulacje.

– No i...? – zapytała bez większego zainteresowania.

– No i pomyślałem, że może pokazałabyś te kartki Kwiecie, jak będziesz u niej w szpitalu? Co ty na to?

– Wiesz co, Jirzi – odpowiedziała Alicja. – Tak się składa, że między mamą i tatą nie najlepiej się układało, więc teraz, kiedy mama leży w szpitalu... Chyba to nie jest dobry pomysł, żeby wypytywać ją o takie rzeczy. Chociaż miałam wrażenie, że ostatnio jakby zaczęli się do siebie zbliżać.

Jirzi patrzył na Alicję uważnie, po czym zapytał:

– Co to znaczy: zaczęli się zbliżać?

– No... zbliżać się... czyli że znowu... jakby zaczynali się lubić. Wiesz? A właściwie, co mi zależy. Jutro jej to pokażę.

Następnego dnia w szpitalu Alicja opowiedziała matce o wszystkim, co Jirzi i ciotka Anna odkryli w związku z gablotką, i zapytała, co o tym myśli.

– Twój tato, Alicjo – zaczęła Kwietka – urodził się tego dnia, kiedy ogłoszono, że pismo Hetytów zostało odczytane. No i jeszcze w młodości chodziliśmy razem na wykłady profesora Hroznego, który rozwiązał zagadkę pisma klinowego.

I tyle. Kwietka nie wykazała żadnego zainteresowania. Wydawało się, że jedyną osobą, która przejmuje się całą tą

historią, jest Jirzi. Pewnego dnia, kiedy Alicja wróciła do domu, pobiegł do niej z rewelacją:

– Alicjo! Już to mam! Wszystko posprawdzałem, a jutro pójdziemy do kogoś, kto nam to rozszyfruje. Czy raczej: przetłumaczy.

Alicja już wiedziała, czym kuzyn będzie ją zamęczać, więc od razu odpowiedziała:

– Wiesz co, Jirzi, ja mam teraz tyle tego wszystkiego na głowie... Zajmij się tym lepiej sam, dobrze?

Tak więc, chcąc nie chcąc, następnego dnia Jirzi sam stanął przed drzwiami z tabliczką, na której widniało: „Dr Milan Mrazek. Konsultacje: wtorki i czwartki 15.00 – 17.00”. I dopisek: „Konsultacje nie są przeznaczone na uzupełnianie luk w materiale przed egzaminem”. Jirzi miał wrażenie, że stoi u progu przygody, jaką przeżyć można już tylko w Europie Wschodniej. Pod drzwiami kilku studentów przestępowało z nogi na nogę. Co chwila któryś z nich wychodził z gabinetu, a na jego miejsce wchodził inny. Na kuzyna przyszła kolej o 16.30. Zapukał.

– Proszę! – dobiegło ze środka.

Jirzi wszedł i powiedział dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedział doktor Mrazek. Przez chwilę lustrował gościa, po czym zapytał: – Co mogę dla pana zrobić?

Jirzi się przedstawił i wyłuszczył swoją sprawę:

– Miałbym do pana prośbę, panie doktorze... Chciałbym pana poprosić, żeby przetłumaczył mi pan ten tekst.

– Jak to możliwe, że pana nie znam? – zapytał doktor Mrazek.

– Ja już skończyłem studia... Co prawda historię gospodarczą... czyli nie ma porównania z pańską dziedziną.

Widzi pan... ten tekst odnalazł się u nas w domu. Nie wiemy, co tam jest napisane, a ja podejrzewam, że napisał to pewien mój krewny, który niedawno zmarł. Że to jest list do jego żony. Ona z kolei teraz leży w szpitalu. Być może... to wszystko nie ma sensu... ale mimo wszystko może zechciałby pan rzucić na to okiem?

– Czy ten pański krewny u nas studiował? – zapytał doktor Mrazek.

– Raczej nie – odpowiedział Jirzi. – To znaczy na pewno nie, on był inżynierem budowlanym. Wiem tylko, że poznali się, to znaczy on i jego żona, na wykładach profesora Hroznego... tak mi się wydaje.

– Chwileczkę, przecież w takim razie oni będą mieli lat...

– Ciocia jest już po siedemdziesiątce – powiedział Jirzi.

– No dobrze, proszę mi to pokazać.

Kuzyn wyjął z aktówki plastikową teczkę i podał ją panu Mrazkowi. Ten przez chwilę przyglądał się papierom, a Jirzi miał wrażenie, że naprawdę coś czyta. Po jakichś dziesięciu minutach orientalista zdjął okulary, wysunął szufladę, wyjął z niej papierową chusteczkę i w zakłopotaniu kilka razy przetarł nią szkła.

– Ehm... – odkaszlnął. – W samej rzeczy, jest to list, i to, powiedziałbym, o dość osobistym charakterze. Można powiedzieć, że jest to... list miłosny. Ale ocena treści nie należy do mnie. – Po chwili milczenia podjął: – Ma pan długopis i kartkę?

– Oczywiście – odpowiedział Jirzi, wyjmując długopis i skrawek papieru.

– Tyle nie starczy – powiedział naukowiec. – A w ogóle to proszę usiąść tutaj – wskazał mu krzesło przy stole, na którym położył kilka liniowanych kartek. – Podyktuję to panu.

Znowu zamilkł na chwilę.

– Wie pan, jest tam parę błędów. Zwłaszcza w perfektum, a także w stronie biernej. Ale z drugiej strony, autor wykazał się wielką inwencją w tworzeniu nowych słów. Jest tam kilka wyrazów, których nie ma w hetyckiej leksyce. Są też w interesujący sposób zapisane słowa obcego pochodzenia. Zrobimy tak: w przekładzie poprawię błędy, a tamte wszystkie słowa przełożę zgodnie z intencją autora. Co pan na to?

– Bardzo proszę – odpowiedział Jirzi. – Jestem *ready*.

A pan Mrazek zaczął czytać: wolno i wyraźnie:

Droga Kwieto,

bardzo późno zorientowałem się, że wciąż Cię kocham. Dlatego muszę Ci to powiedzieć: wciąż Cię kocham! Wstyd, a także zaślepienie wywołane tym, co mnie w życiu spotkało, oraz cierpienie, które przyniosła mi informacja o Twoim dawnym związku z Hynkiem, wszystko to złożyło się na to, że zapiekły ból, od którego nie mogłem się wyzwolić, przez cały ten czas splatał się z poczuciem poniżenia. I dlatego postanowiłem wyprzeć się swojej miłości do Ciebie, chciałem ją zniszczyć. Okazało się jednak, że nie potrafię tego dokonać. Widocznie nigdy nie byłem do tego zdolny, chociaż bardzo się starałem i byłem w tym staraniu konsekwentny. Kiedy przed laty Cię opuściłem, z początku próbowałem Cię zapomnieć. Kilka razy dziennie czułem do Ciebie przyływ nienawiści. Ale ta moja nienawiść nie dała się oddzielić od miłości. Przez wiele lat robiłem wszystko, żeby wymazać Cię z pamięci. A potem zdarzało się, że gdzieś Cię zobaczyłem, i z goryczą stwierdzałem, że cała nienawiść gdzieś się ulotniła. Musiałem więc wzbudzać ją w sobie na nowo. Były to gorzkie chwile, nasycone poczuciem straconej nadziei, że uda mi

się usunąć Cię z mojego życia. I tak mijał dzień za dniem. A potem, kiedy już zacząłem wierzyć, że udało mi się, że zniknęłaś z moich myśli, pojawiłaś się w naszej córce, która coraz bardziej przypominała mi Ciebie. Dorastała, a jej głos coraz bardziej upodabniał się do Twojego. Kiedyś przed laty, kiedy jeszcze nie miałem problemów ze słuchem, poprosiłem ją, żeby gdzieś w Pradze sprawdziła, ile kosztuje imadło, które chciałem kupić do swojego warsztatu w Lhotce. Zadzwoiła po kilku dniach, podniosłem słuchawkę i usłyszałem Ciebie. Nie zaczęła jak zwykle od „Cześć, tato”, tylko od razu zaczęła wymieniać różne rodzaje narzędzi i ich ceny, a ja słyszałem Ciebie, nie Alicję. Odłożyłem słuchawkę, a serce waliło mi jak młotem. Myślałem, że to ostatni dzień mojego życia. Moje przekonanie, że zdołałem Cię wyrzucić z głowy i z serca, legło w gruzach. Starłem się, jak mogłem, ale to, co sobie zaplanowałem, rozpadło się jak wieża Babel. Starannie ociosane granitowe bloki mojego bólu nie były w stanie utrzymać całej tej koszmarnej budowli. Dużo czasu minęło, zanim uświadomiłem sobie, że przyczyną mojego niepowodzenia nie jest niedostatek nienawiści, ale nadmiar miłości, której nigdy nie przestałem do Ciebie żywić. To wszystko, Kwieto, z pewnością wydawać Ci się będzie oczywiste. Ale ja naprawdę nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nigdy nie byłem zdolny roztrząsać ani swoich, ani Twoich uczuć. Za ten fatalny błąd oboje zapłaciliśmy wysoką cenę. Mogę powiedzieć Ci tylko tyle: że proszę Cię o wybaczenie i że bardzo tego żałuję. Stary wariat ze mnie, który w kwestii orientacji w uczuciach nie dorasta Ci do tego gwiazdozbioru ciemnych plamek, które masz na skórze w okolicach prawej kostki. Muszę Ci jednak wyznać, że kiedy zrozumiałem, iż myślę o Tobie z miłością, a nie z nienawiścią, poczułem się jak jakiś

odkrywca albo wynalazca. Naprawdę! Nie przesadzam! Wybacz mi to głupie porównanie, ale czułem się tak, jak musiał czuć się podziwiany przeze mnie w dzieciństwie James Watt, kiedy jego udoskonalona maszyna parowa zaczęła pracować pełną mocą. Nie wiem, jak to mądrze wyjaśnić, w końcu nie jestem poetą i doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że moje przeprosiny i wyjaśnienia rzucają jeszcze jaśniejsze światło na fakt, iż z wiekiem staję się coraz głupszy i jeszcze bardziej szalony. Ale moja miłość nadal trwa i jest coraz większa. Oniemiałem. Czyjeś oczy kiedyś mnie urzekły tak, że aż oniemiałem. Twoje. Dokonały tego bez trudu.

Moja droga, tak więc teraz staram się przewyciężyć swoją zarozumiałość i próżną dumę, które to cechy raczej zasługują na miano pychy, i wiedz, że po licznych daremnych próbach wreszcie udało mi się Ci wybaczyć. Nie było to łatwe. Cegła po cegle rozbierałem tę wielką budowlę, która była zawalidrogą i nie służyła niczemu dobremu. Wyobrażam sobie, że tak mogli się czuć robotnicy rozbierający resztki wieży Babel. Moja ciężka praca została nagrodzona ukojeniem. Chciałbym uniknąć kolejnego niedorzecznego, nieporadnego i trudnego do zrozumienia porównania, ale naprawdę poczułem zapach tających lodów i kielkujących młodych pędów. Daruję sobie opis innych wrażeń, których jeszcze doświadczyłem na tej drodze. Kiedyś Ci o tym opowiem, o ile zgodzisz się, żebyśmy widywali się przynajmniej raz na jakiś czas. Mam nadzieję, że starczy nam na to czasu. Chcę Cię prosić o jedno: wybacz mi moje zaślepienie i egoizm, wybacz mi ból, który Ci sprawiłem. Tylko o to.

Chociaż jestem święcie przekonany, że czas jest niczym innym tylko pewną wielkością fizyczną, i wiem, że sekunda

jest tylko jedną osiemdziesięciosześciotysięczną częścią jednego słonecznego dnia, to muszę Ci się do czegoś przyznać: otóż moja wiara osłabła. Moje zmysły coraz częściej mnie zawodzą, a dni wokół mnie galopują niczym stada spłoszonych źrebiąt. Bardzo się boję, że nie zdążę Ci już powiedzieć o swojej nieustającej miłości. W całym moim życiu nic nie kosztowało mnie więcej trudu niż to właśnie wyznanie. Potem zacząłem się zastanawiać, jak wyglądałby mój list w języku hetyckim, zapisany tym pismem. Do tego szaleństwa skłoniło mnie wspomnienie o naszych pierwszych spotkaniach. Wiem, że to jest jedyna rzecz, której nie muszę Ci wyjaśniać.

Josef

Po powrocie do domu Jirzi wyjął z teczki list podyktowany mu przez doktora Mrazka, który dodał do niego jeszcze kilka linijek własnych uwag. Przebiegł go wzrokiem i uznał, że jest tak nabazgrany, że Alicja nie zdoła go przeczytać, po czym starannie przepisał go na nowo. Arkusze pokryte hetycką inskrypcją umieścił na powrót w gablotce. Alicja wróciła z pracy i zjedli razem kolację. Potem Jirzi dał jej do przeczytania tłumaczenie listu. Alicja dokładnie umyła i wytarła ręce, a następnie położyła kartki na stole. Przeczytała go razem z uwagami orientalisty, zapytała, co to jest neologizm, i w końcu podziękowała Jirzemu i oświadczyła, że jutro pokaże to matce. Jirzi całą tę historię opisał w liście do siostry. Napisał, że czuje się tak, jakby wsiadł do windy, w której jadą namiętni kochankowie, którzy muszą właśnie teraz powiedzieć sobie coś tak ważnego, że nie przejmują się ludźmi, którzy na poszczególnych piętrach wsiadają i wysiadają. I nie pozostaje mu nic innego, tylko z neutralnym,

niezobowiązującym uśmiechem na ustach uciekać wzrokiem od ich spojrzeń i dotknięć, i czekać, aż winda dotrze do jego piętra. Wciąż jednak nie opuszcza go poczucie, że uczestniczy w czymś, w czym nie powinien brać udziału. Powtarzał sobie, że przecież nikt nie mógł przewidzieć, co jest w tym liście, ale wciąż miał wrażenie, że zajrzał za zasłonkę w łazience, gdzie nagie, umęczone, poranione i starzejące się miłości omywają się nawzajem. Nie było to przyjemne. Pocięszało go nieco, że Alicja podchodziła do całej tej sprawy o wiele mniej emocjonalnie niż on. Powiedziała mu też, że powinien jutro pojechać z nią do szpitala i opowiedzieć matce, jak to się stało, że zainteresował się tymi arkuszami w gablotce, i co mu powiedział tłumacz. Jirzi się zgodził i poszli spać.

Do szpitala dotarli parę minut przed ósmą. Weszli po schodach na drugie piętro i korytarzem z półokrągłym sklepieniem ruszyli w kierunku sali, w której leżała Kwietka. Po drodze Alicja zatrzymała się na chwilę, uśmiechnęła się niepewnie i wyjęła z torebki przetłumaczony list. Rzuciła na niego okiem i dogoniła Jirziego, który wyprzedził ją w tym czasie o parę kroków. Kiedy mijali otwarty gabinet, jedna z pielęgniarek wstała z miejsca i podeszła do nich szybko, zwracając się do Alicji, jakby Jirziego w ogóle nie dostrzegła:

– Proszę pani! Proszę pani!

Alicja przystanęła.

– Nie przekazano pani wiadomości? – zapytała siostra.

Alicja pokręciła przecząco głową i spojrzała na Jirziego. Jirzi przybrał wyraz twarzy, z którego nie można było nic odczytać, jak zawsze, kiedy coś wzbudzało jego obawy. Naprawdę jest z niego pół-Anglik, pomyślała Alicja.

Pielęgniarka wprowadziła ich do gabinetu, w którym siedząca przy stole kobieta w białym fartuchu poinformowała

ich, że pani Czerna zmarła dziś o godzinie 5.30 rano. Alicja zacisnęła usta, a Jirzi zauważył, że jest teraz bardzo podobna do matki. Alicja błędziła wzrokiem po wielkiej fotografii jakiejś górskiej doliny za plecami lekarki. Do Alicji dotarło, że kalendarz jest sprzed dwóch lat.

– Bardzo mi przykro – dodała lekarka.

– Ja chyba muszę teraz pojechać do domu... – powiedziała Alicja.

Lekarka odrzekła, że najpierw powinna odebrać rzeczy osobiste zmarłej. Podała jej długopis i formularz, wskazując miejsce, w którym ma się podpisać. Potem otworzyła kopertę, w której było kilka pierścionków, zegarek, złoty łańcuszek, dowód osobisty, portmonetka, kalendarzyk oraz siedemdziesiąt sześć koron i parę halerzy. Alicja nie miała ochoty niczego sprawdzać i podpisała przejęcie wszystkich drobiazgów. Jirzi powiedział, że zajmie się wszystkim. Lekarka dodała, że jeżeli chcą obejrzeć zwłoki przed ich wydaniem, muszą to zgłosić wcześniej, i podała mu świstek z numerem telefonu i adresem kostnicy.

Alicja odwróciła się i wyszła bez pożegnania. Jirzi wyszedł za nią. Uświadomił sobie, że jest rozdrażniona. Zdołali przemierzyć niewielki odcinek korytarza, kiedy znów otworzyły się drzwi tego samego gabinetu, wybiegła z niego siostra i zaczęła wołać w ich stronę:

– Proszę pani! Coś pani wypadło.

Zdyszana podała Alicji kartki z przetłumaczonym listem. Alicja podziękowała i schowała je do torebki. Na schodach znów po nie sięgnęła i spojrzała na Jirziego.

– Dwoje starych szaleńców! Jakby nie mogli powiedzieć sobie tego wszystkiego, kiedy jeszcze był na to czas! Wariaci nienormalni! Jedno lepsze od drugiego. Przecież się kochali!

To po co robili te idiotyczne ceregiele z jakimś tajnym szyfrem? Wariaci!!! I jeszcze mama... Tak właśnie, Jirzi!

Rozpłakała się.

– W co oni się bawili, głupcy beznadziejni? Ci moi nie-normalni rodzice. W co się bawili? Nie mogli porozmawiać ze sobą jak ludzie? Do jasnej cholery, nie mogli powiedzieć jedno drugiemu, co komu leży na sercu?

Siostra, która przyniosła kartki, przypatrywała się im z pewnej odległości. Jirzi obejrzał się za nią kilka razy, kiedy schodzili po schodach, ale w końcu zniknęła mu z oczu.

– Widocznie robili, co mogli – odpowiedział.

Było mu smutno. Kwietę znał, co prawda, niedługo, ale widział ją zawsze jako nieco arogancką, elegancko ubraną, trochę nerwową, starzejącą się damę. Alicja machnęła ręką.

– No jasne, czasy były inne. Ale mimo wszystko: on ją kochał i ona jego też, to co wyprawiali, starzy wariaci?

Zatrzymała się na chwilę.

– Czy ja chciałam, żeby moi rodzice byli jakimiś szalonymi bohaterami? No przecież nie, na miłość boską! Chciałam mieć normalnych rodziców, którzy mieszkaliby razem i żeby jakoś się między nimi układało. Ale oni nie! Każde sobie! Teraz jeszcze mama wzięła i umarła. No tu już przesadzili. Tym mnie dokumentnie wyprowadzili z równowagi. Wkurzyli mnie oboje! Oboje!

Wyszli ze szpitala i ruszyli w stronę domu. Alicja nie chciała, żeby Jirzi złapał taksówkę, poszli pieszo. Po policzkach płynęły jej łzy. Nie wspierała się na nim, szła wyprostowana. Czasami zatrzymywała się nagle i albo głęboko oddychała, albo szperała w torebce w poszukiwaniu kolejnej chusteczki do nosa. Jirzi chciał gdzieś kupić paczkę chusteczek, ale bał się, że Alicja mu się zgubi, jeszcze nie znał dobrze Pragi.

Raz czy dwa razy uśmiechnęła się do niego lekko przez łzy, poza tym nie zwracała na niego uwagi. Równie dobrze mogło go przy niej nie być. Ludzie, którzy czekali na przystanku na tramwaj, uważnie im się przypatrywali. Najwyraźniej uważali, że płacze przez niego. Czuł się głupio, chociaż wiedział, że nie ma do tego powodu. Uspakajał się myślą: marzyły ci się przygody, to masz, co chciałeś.

Pogrzeb był niedługo po Trzech Królach. Chociaż do tej pory nie było specjalnie zimno, to tuż przed pogrzebem nastąpiła prawdziwa wschodnioeuropejska zima. To nie historia ani polityka, ani filozofia dzieli Europę na wschodnią i zachodnią. Wszystko jest o wiele prostsze: chodzi o to, jaka jest gdzie zima. Między Londynem a Pragą była niemal dwudziestostopniowa różnica. Chwycił taki mróz, że wszyscy uznali, że ciotka Anna powinna zostać w domu. Ale ciotka postawiła na swoim i pojechała na pogrzeb. Po długim czasie wreszcie dopuściła do siebie myśl, że ta stara družka, która towarzyszyła tylu jej przyjaciółom w drodze na drugą stronę głośniejszej ciszy, mogłaby wreszcie zawitać w jej sypialni. Jirzi przywiózł ciotkę Annę do krematorium. Zaparkował i pomógł staruszce wysiąść z auta. Śnieg był odgarnięty, tylko tu i ówdzie zostały śliskie lodowe języki, które ciotka, przytrzymywana przez Jirziego, ostrożnie obeszła. Na uroczystość przyszło ze dwadzieścia osób. Krzysztof, Libusza, Alicja, Jirzi i ciotka Anna siedzieli w pierwszym rzędzie, a kiedy po krótkim przemówieniu muzyka umilkła, a za trumną na katafalku zamknęły się masywne drzwi, uczestnicy pogrzebu zaczęli podchodzić do rodziny i składać kondolencje. Alicja z niemałym trudem przekonała ciotkę, żeby nie wstawiała.

– Wszyscy po kolei się przenoszą na tamten świat, tylko ja tu zostanę. – Westchnęła i dodała: – Tobie na karku.

Po kilku dniach Alicja umówiła się z wujkiem Antoninem. Przyszła na spotkanie i po wymianie obowiązkowych formułek grzecznościowych oraz wspomnień, zapytała prosto z mostu:

– Wujku, ty na pewno wiesz, jak to było z mamą i tym jej kochankiem?

– Alicjo, na pewno chcesz się tego dowiedzieć? – odpowiedział pytaniem Antonin.

– Tak, wujku. Chcę się dowiedzieć, jak to z nimi było.

– Dobrze – odpowiedział Antonin i zaczął opowiadać historię trójki przyjaciół. Historię tak banalną, że aż wstyd. Alicja słuchała i nie kryła zdziwienia. Czasami potrząsała głową z niedowierzaniem, czasem zadała jakieś pytanie. Antonin na koniec dodał parę słów od siebie.

– Wiesz, taka reakcja jest całkiem naturalna. Jeśli ktoś kogoś napadnie, kiedy go krzywdzi, kiedy ma nad nim władzę, ten, kto jest ofiarą gwałtu lub przemocy, stara się w jakiś sposób ułożyć sobie stosunki z napastnikiem. Czasami gdy człowiek boi się o swoich najbliższych, a twoja matka naprawdę bała się o ciebie i o Josefa, to wchodzi w bliską relację z oprawcą. Po prostu niekiedy ofiara może się zakochać w swoim krzywdzicielu. Jest to irracjonalne, ale zdarza się. Dzieje się tak, bo ofiara ma nadzieję, że w ten sposób zahamuje agresję. To jest znane i opisane zjawisko. Z czasem i u nas będą dostępne terapie, które tym ludziom pomogą. Ale tacy jak twoja mama musieli z tym żyć cały czas, aż do śmierci. Erotyzacja bólu to tylko jedno z wielu zjawisk współistniejących z agresją.

– No tak, wujku, ale przecież w ten sposób można usprawiedliwić wszystko. W tym problem. Poza tym mama знаła tamtego jeszcze przed ślubem.

– Jesteśmy małym krajem, Alicjo – powiedział Antonin. – Tutaj zawsze może się zdarzyć, że ktoś kogoś zna. Chociaż przez to być może jest jeszcze gorzej...

– No a jeśli chodzi o to... o tę jej... powiedzmy tymczasową orientację erotyczną, to przecież dzisiaj nie przeszkadzałoby to nikomu. Tylko nie powinna była tak dręczyć taty.

– Moja mała, nie powinnaś jej obwiniać – odrzekł wuj.

– Ale ja jestem na nią zła... Strasznie zła.

– Dlaczego?

– Że umarła po tacie. Gdyby tato umarł drugi, pewnie byłabym zła na niego.

Antonin wzruszył ramionami.

– Pamiętasz tego cukiernika, który zrobił tort na twoje wesele?

– No pewnie – odpowiedziała Alicja. – Wesele, jak dotąd, miałam tylko jedno. Takiego tortu się nie zapomina.

– Spotkałem go niedawno. Wyobraź sobie, co mi powiedział. Że to wszystko sobie wymyślił.

– Co sobie wymyślił?

– Te historie, którymi mnie męczył.

– Niby dlaczego?

– To kolejna historia – westchnął wuj Antonin. – Wpadliśmy na siebie na placu Karola i sterczeliśmy tam ze dwie godziny, zanim wszystko mi opowiedział. Gdzieś mam zapisany jego adres. On miał żonę, która zniknęła w tajemniczy sposób. Przez te wszystkie lata mieszkała gdzieś w Niemczech. Czy może w Austrii... Tak, w Salzburgu.

– W Salzburgu?

– Tak mi się zdaje. Ale nie mam pewności. No i ta żona wróciła do niego tuż po rewolucji, dokładnie w roku osiemdziesiątym dziewiątym na Boże Narodzenie.

– Aha... – bąknęła Alicja, która myślami była już gdzie indziej.

– Skoro tu jesteś, Alicjo... – powiedział Antonin – Myślisz, że ten twój kuzyn mógłby przetłumaczyć mi coś na angielski?

– Oczywiście, wujku – potwierdziła Alicja. – Nie ma problemu. On jeszcze nie za bardzo się tu we wszystkim orientuje, ale chętnie poznaje nowych ludzi. Z przyjemnością się z tobą spotka. Nic się nie martw, ja to załatwię. A dokładnie co by to miało być?

– Mniej więcej za miesiąc przyjeżdża jeden mój kolega z Londynu. Częściowo prywatnie, a częściowo na konferencję naukową, którą organizuję. Właściwie nie wiem, jak się o niej dowiedział, nie spodziewaliśmy się gości z zagranicy. W rewanżu mógłbym wziąć kuzyna na jakąś wycieczkę. Na przykład do Krumlova. Żeby chłopak zobaczył kawałek Czech.

– Nie ma sprawy, wujku – powiedziała Alicja. – Załatwię ci to. Bądź spokojny, moja w tym głowa.

Wilcza teologia

Obaj mężczyźni siedzieli w pokoju hotelowym. Za oknem padało. Kuzyn układał coś na łóżku, zerkając czasem w stronę okna.

– Będzie tak lać cały czas – powiedział po chwili.

– Może nie – odpowiedział mu Antonin.

– Czyli nici z teatru – dodał kuzyn.

– Na to wygląda – przytaknął Antonin.

– Może pójdziemy na mszę? – rzucił kuzyn, patrząc, jak jego rozmówca postukuje czubkiem długopisu o blat nocnej szafki stojącej obok łóżka.

– Od wieków nie chodzę do kościoła.

– Dlaczego? – zapytał kuzyn i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Podobno ten kościół, no ten... zapomniałem pod jakim wezwaniem... jest z trzynastego wieku.

– Nie wierzę w Boga – powiedział Antonin. – I jest mi wszystko jedno, z którego wieku jest ten kościół.

Przez chwilę panowała cisza. Kuzyn zauważył, że Antonin przestał stukać długopisem o szafkę.

– A dlaczego? Dlaczego pan nie wierzy? Czy to ma związek z tym, że jest pan lekarzem?

– Nie, dlaczego? Aaaa... właściwie...? Nie, nie ma to z tym żadnego związku.

– Nie wiem, czy to wypada... – podjął po chwili kuzyn – czy wypada o to pytać... – dodał, odwracając się tak, by widzieć twarz swojego rozmówcy.

– To nie jest sprawa, która wkraczałaby w sferę moich uczuć – odpowiedział Antonin. – No i poza tym przestałem wierzyć dawno, dawno temu. Teraz wierzę, że nie wierzę – dodał. – Co, banalne? I nic wesołego?

– Nie, chyba nie, ale chciałbym wiedzieć...

– To co? Pójdziemy gdzieś coś zjeść? – zmienił temat doktor.

– Dobrze. Bo ja zawsze myślałem, że wiara jest lekarzowi potrzebna – odpowiedział kuzyn.

– Co to za gambit otwierający? – zapytał Antonin. – Sposób na przeczekanie deszczu?

– Jaki gambit?

– Nic, od razu wiadomo, kto nie gra w szachy.

Antonin stanął na wprost otwartego okna i nieco je przy-
mknął. Wyjął z teczki butelkę koniaku a z szafki szkło i ges-
tem dał znak kuzynowi, żeby się obsłużył.

– Ma pan rację. Wiara pomaga. To znaczy... pomaga, dopóki się ją ma.

– A panu? Pomaga czy nie pomaga?

– Ależ tak. Oczywiście, że tak: wiara pomagała mi, póki ją miałem. Zapaliłbym.

– Tu nie wolno palić – powiedział kuzyn – ale mnie to nie przeszkadza. Zostawimy otwarte okno.

– Zaplanowałem sobie, że jednego wypalę w drodze do teatru i potem jeszcze w teatrze, bo to jest przedstawienie pod gołym niebem, więc na pewno wolno tam palić, i od rana cieszę się na tę myśl: zapalić papierosa w teatrze. A poza tym spodziewam się, że obsada nie dostarczy nam nadzwyczajnych wrażeń.

– Hmmm... – westchnął kuzyn. – Zapali pan przy kolacji.

– Czyli idziemy na kolację?

– Wie pan, ja właściwie nie jestem jeszcze głodny. Ale jeśli chce pan po drodze zapalić, to możemy iść.

– Nie ma problemu, wytrzymam. Skoro nie mogę ćwiczyć wiary, będę przynajmniej ćwiczyć silną wolę.

Kuzyn w milczeniu patrzył przez okno na zalaną deszczem ulicę.

– Jeśli chce pan zapalić, to uchylę okno – powiedział.

– Nie, wytrzymam – powiedział Antonin, wsuwając długopis do kieszeni koszuli.

– A jak to jest stracić wiarę? – drążył bratanek. – To dzieje się tak... za jednym zamachem, czy też...

– Chce pan powiedzieć: czy jest to raczej proces powolny?

– Nie wiem, jak to dokładnie sformułować. Ale wie pan, co mam na myśli?

– Na rok przed skończeniem studiów miałem praktyki na Słowacji. A potem poprosiłem o nakaz pracy właśnie tam. Nie było to specjalnie trudne, ludzie nie pchali się tam drzwiami i oknami.

– Co to jest nakaz pracy? – zapytał kuzyn.

– To była urzędowa decyzja dotycząca tego, gdzie kto będzie pracował. Zastanawiałem się nad Ostrawą, ale lubiłem przyrodę, więc w końcu pojechałem na sam koniec Słowacji. Ponieważ trochę się tam orientowałem, moje podanie zostało rozpatrzone pozytywnie.

– Chyba już nie pójdziemy do tego kościoła, prawda?

Antonin pokręcił przecząco głową i powiedział:

– Zawsze myślałem, że Bóg jest umiarkowanie łaskawy.

– Jak to: umiarkowanie?

– Wie pan, nasza rodzina była katolicka, od wielu pokoleń. A kiedy wyrasta się w rodzinie od wielu pokoleń katolickiej, to wierzy się w taki sam sposób jak rodzice i dziadkowie.

Wierzy się w to, że Bóg jest nieskończenie litościwy, ale umiarkowanie łaskawy.

– Ale przecież pan już nie wierzy?

– No to chodźmy na tę kolację – powiedział Antonin, wkładając kamizelkę robioną na drutach.

Kuzyn podjął przerwany wątek:

– No i jak tam było? Na tej Słowacji?

– Do tej pory pamiętam, że obok portierni przy wejściu do szpitala stała mała czarna tablica. Taka jak w szkole, wie pan. Ale nigdy nic nie było na niej napisane. Kiedyś zapytałem portiera, po co ona tam jest, a on mi na to, że jest to tablica na wydarzenia nadzwyczajne. Jakie wydarzenia nadzwyczajne? – zapytałem. Takie zdarzenia, które są tak nadzwyczajne, że nie można ich przewidzieć, on mi na to. O których nikt nic nie wie. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek było tam coś napisane. Zawsze przystawałem przy tej tablicy i zapalałem papierosa. Starczało mi go na dotarcie wolnym, porannym krokiem przed drzwi oddziału.

– Przestaje padać. Idziemy?

– No to chodźmy.

– W jaki sposób stracił pan wiarę? – zapytał kuzyn.

– Ciężko się ze mną rozmawia, co?

– Nie, wcale tak nie pomyślałem.

– Wszystko jedno. I tak ciężko się ze mną rozmawia... No więc, jeśli się wierzy tak, jak wierzyłem ja, i pochodzi się z rodziny, gdzie wiara jest tradycją, a tradycja z kolei jest rzeczą, o której się nie rozmawia, to wierzy się spokojnie i niezbyt gorliwie. To znaczy, ja tak wierzyłem. Chociaż chyba nie skłamię, jeśli powiem, że w podobny sposób wierzyli moi rodzice. Matka była w tej kwestii trochę snobką, w odróżnieniu od ojca. Ojciec wierzył tak raczej... pobłaźliwie.

– No a co się właściwie stało?

– Stało się to, że się zakochałem. Zakochałem się i nawet o tym nie wiedziałem.

– Jak można się zakochać i o tym nie wiedzieć?

– Skoro zadaje pan takie pytania, to grozi panu niebezpieczeństwo, że właśnie tak może się pan zakochać. Radzę panu... Proszę mi wybaczyć, nie powinienem tak mówić. Wymądrzam się, daję komuś rady, a to znak, że człowiek się starzeje i nie może z tym dojść do ładu.

Przestało padać.

– Minęło parę tygodni, aż tu kiedyś na terenie szpitalnego parku zobaczyłem Klarę. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tak ma na imię, potem się dowiedziałem. Zobaczyłem, że na ławeczce siedzą dwie kobiety. Ta młodsza była wysoką blondynką, miała rozpuszczone włosy. Dziś pewnie trafiłaby na okładkę jakiegoś czasopisma, jednego z tych, które czyta moja córka. Wtedy nie było takich magazynów. Siedziała wyprostowana i prawie wcale się nie poruszała. Potem nagle się odwróciła i spojrzała mi prosto w oczy. Jej spojrzenie prześwidrowało mnie na wylot. Poczułem ucisk w żołądku. Szaroniebieskie oczy i blond włosy do pasa. Była tak piękna, że papieros o mało nie wypadł mi z ust. Była piękna i naszpikowana ogłupiaczami. Zachowywała się, jakby była z gumy. Tylko chodziła, jadła i spała. Potem spytałem o nią kolegów; powiedzieli mi, że przeżyła szok i nie wiadomo, jak długo będzie z tego wychodzić. Więcej nie pytałem.

– Może byśmy już poszli na tę kolację? Opowie mi to pan po drodze.

– Racja – przytaknął Antonin.

Wyszli na ulicę. W historycznym centrum miasta było zatrzęsienie różnych restauracji.

- Na co ma pan ochotę?
- Co pan powie na ryby? – zapytał kuzyn.
- Jest taka jedna restauracja nad rzeką, ale bardzo wątpię, czy podadzą nam tam ryby z Wełtawy.

Restauracja była w połowie zapełniona. Wybrali stolik i usiedli. Antonin położył papierosy obok popielniczki. Zaczęli niespiesznie przeglądać kartę. Złożyli zamówienie.

– I pan zakochał się w tej blondynce? – zapytał kuzyn po dłuższej chwili ciszy, kiedy już zaczęli jeść zupę.

– Tak, byłem zakochany w Klarze i w otaczającej mnie przyrodzie. To, że jestem zakochany w przyrodzie, na szczęście wiedziałem. Uwielbiałem przyrodę. Schodziłem wzdłuż i wszerz całą okolicę. Gęste zielone lasy. Dziewicze. Ciemna, mokra, soczysta zieleń i pomniczki na pagórkach.

– Pomniczki? – zapytał kuzyn. Siorbnął kilka razy, bo właśnie kończył zupę i przechylał talerz, żeby nabrać na łyżkę resztki zupy. Antonin obserwował spod oka jego manewry i rozglądał się niespokojnie dokoła.

– Ten kawałek kraju był urzekający. I opuszczony. Do końca wojny. Nawet bym nie pomyślał, że tam kiedykolwiek była wojna. Oczywiście, że to wiedziałem, tak samo jak wiedziałem, że w 1882 roku Koch ogłosił swoje pierwsze prace na temat gruźlicy. Informacja, nic ponadto. Ale kiedy chodziłem po okolicznych wsiach, zauważyłem, że miejscowi nigdy nie zapuszczają się w głąb lasu. Najpierw myślałem, że to z powodu bliskości granicy ze Związkiem Radzieckim, dzisiaj Ukrainą. Potem zapytałem pewną kobietę, jak mam przejść do sąsiedniej doliny, a ona mi powiedziała, że chodziło się do niej kiedyś przez góry, ale że tą drogą ostatnim razem procesja szła jakieś dwa lata po wojnie. Kiedy ja tam byłem, od wojny minęło już dziesięć lat.

- No to jak przedostawali się z jednej doliny do drugiej?
- Całkiem zwyczajnie: autobusem.
- A dlaczego nie chodzili przez góry?
- Z dwóch powodów: po pierwsze, wymagało to więcej wysiłku, po drugie, przez ten zapach.
- Jaki zapach?
- W tych okolicach w czasie wojny toczyły się ciężkie walki. Dowiedziałem się, że tam w górach, w różnych przesmykach i innych miejscach okopali się Niemcy, żeby zatrzymać Armię Czerwoną. W żołnierskim żargonie nazywa się to odejściem na z góry upatrzone pozycje. Jeden z kolegów wytłumaczył mi, że tych gór nie da się obejść. Karpaty i tak dalej. No więc toczyły się tam walki. Ten mały skrawek kraju był cały naszpikowany żelastwem. I jeszcze było tam mnóstwo zabitych żołnierzy. Ta kobieta z wioski powiedziała mi wtedy, że jeszcze wiele lat po wojnie w lesie utrzymywał się taki smród, że po prostu miejscowi przestali się tam zapuszczać. Tysiące poległych.
- Hmm... – chrząknął kuzyn. – Chyba już nie mam ochoty na rybę.
- Przepraszam, nie pomyślałem o tym.
- Chciałem, żeby powiedział mi pan coś o wierze...
- A, no tak... przepraszam. Sam nie wiem, gdzie się zagalopowałem. Wie pan, wspomnienia... Minęło już tyle lat...
- Daruję sobie tę rybę – powtórzył kuzyn.
- Niech pan zamówi coś innego.
- Mnie to naprawdę interesuje... Nie jadłem dziś śniadania.
- Musi pan coś zjeść, bo spadnie panu cukier.
- Czy spotkał się pan z nią... kiedyś później?

– Konsultowałem coś z jednym kolegą i rozmowa zesłała na Klarę.

– I czego się pan dowiedział?

– Tam ludzie żyją ze sobą bliżej. Przyroda też jest bliżej ludzi. Widział pan kiedyś wilka? Żywego, nie na zdjęciu czy w telewizji.

– Tak, w zoo. A dlaczego pan pyta?

– Ten kolega opowiedział mi o tym, co się jej przydarzyło. Klara pochodzi z którejś z okolicznych wiosek, z porządnej rodziny. Chodziła do szkoły średniej w mieście powiatowym, właśnie zrobiła maturę. Podobno dyrektor poparł jej zgłoszenie na studia, mogła się dostać do samej Bratysławy. Dzisiaj to już nie jest taka wielka rzecz mieć wyższe wykształcenie, ale wtedy, wie pan, dla kogoś z takiej dziury, przez którą raz na sto lat przewali się wojna, a potem znowu całe lata głucho, to było nie byle co. Miała narzeczonego, przebąkiwali coś o ślubie. Kiedyś zimą wybrali się na potańcówkę. Niektórzy potem mówili, że się poprzytkali, Klara z tym swoim narzeczonym. Nie wiadomo, o co im poszło. Ale słyszałem też od kogoś, że Klara była umówiona ze swoją kuzynką, a później się pokłóciły. A jeszcze inni mówili, że Klara była nie w humorze, bo ten jej chłopak za dużo tańczył z jakąś jej krewną.

– Zamówię polędwicę – stwierdził kuzyn. – A pan?

– Ja zostanę przy rybie...

– No ale jak ta kobieta, czy raczej dziewczyna, trafiła do waszego szpitala?

– Dziewczyna, wtedy jeszcze dziewczyna... Tak jak mówiłem, właściwie nikt dokładnie nie wiedział, co się wtedy rozegrało między Klarą i jej narzeczonym. Krótko mówiąc, Klara gdzieś koło północy wyszła z tej zabawy. Do swojej

wioski miała kilka kilometrów. Była zima, a to znaczy: śnieg. Śnieg i mróz. Trzaskający, taki, o jakim ludzie tutaj nie mają pojęcia. Po jakimś czasie dowiedział się o tym jej chłopak, więc się pożegnał i ruszył za nią. Ale żadne z nich nie dotarło do domu. Po północy jej matka zaczęła się niepokoić. Jedyne telefon w wiosce był u przewodniczącego spółdzielni rolniczej. Obudziła go, zadzwonili do gospody i dowiedzieli się, że młodzi już wyszli. Tyle że nie doszli do domu. Rodzina i przyjaciele zorganizowali poszukiwania, razem z pogranicznikami, robotnikami leśnymi i leśniczym. Żołnierze wzięli broń, robotnicy lampy lutownicze. Niczego innego wilki się nie boją. Najbardziej boją się ognia. Dwie grupy zaczęły przeszukiwać drogę między gospodą a wsią, każda z innego końca. W każdej grupie byli żołnierze z automatami i robotnicy z lampami i śrutówkami. Na jedną z tych grup napadła wataha wilków. Ledwie udało im się te wilki odegnać. Uratowały ich lutlampy, które pluły ogniem na kilka metrów, ale im dalej sięgały ich języki, tym szybciej zużywało się paliwo. Wszyscy zbili się w kupę, a żołnierze puścili w ciemność kilka serii. W nocy trudno jest opędzić się od wilków, które krążą wokół ludzi, zawsze można postrzelić człowieka. Płomienie dają światło, ale też rzucają cienie. No i jeśli zrobi się zamieszanie, wataha może zaatakować. Kiedy ich znaleźli, Klara siedziała na drzewie, kurczowo uczepiona gałęzi. Pień był niemal odarty z kory. Jej chłopak, czy raczej to, co z niego zostało, leżał pod drzewem. Chcieli zdjąć ją z drzewa, dwóch mężczyzn próbowało wejść do niej na górę, ale ona wspinała się coraz wyżej. Podobno nawet nie krzyczała. Tylko ciężko dyszała. Ręce miała opuchnięte od mrozu i tego trzymania się konaru. Paznokcie pozrywane. W końcu musieli ją związać, inaczej by jej nie zdjęli. Skrępo-

wali jej ręce i nogi, bo nie rozpoznawała w nich ludzi. Z gałęzi skonstruowali prowizoryczne nosze i przywiązali ją do nich. Kończyło im się paliwo w lampach, więc całą drogę do wsi przebyli biegiem. Potem, już za dnia, inna grupa żołnierzy i robotników leśnych wyruszyła w to samo miejsce, żeby przynieść ciało chłopaka, ale już go tam nie było. Widocznie wilki wróciły. Rodzina urządziła mu symboliczny pogrzeb, zamiast ciała pochowano kilka zakrwawionych strzępów ubrania. Oto historia Klary.

Kuzyn odłożył widelec obok noża na talerzu, wytarł serwetką usta i odsunął od siebie talerz. Potrącił przy tym pieprzniczkę, ale zdołał ją chwycić. Z wolna podniósł talerz i znów postawił go na brzegu stołu. Przez chwilę panowała cisza.

– Zamówi pan kawę? – zapytał Antonin.

– Gdybym pił alkohol, zamówiłbym pięćdziesiątkę. Ale musi mi wystarczyć kawa.

– W ogóle pan nie pije?

– Normalnie piję, tylko dzisiaj nie.

– Dlaczego?

– Dzisiaj jest przecież post.

– Aha, o tym nie pomyślałem. Wie pan, każdy myśli, że Bóg chodzi w barwach jego drużyny. Ja kibicuję Sparcie i do głowy by mi nie przyszło, że Bóg mógłby kibicować powiedzmy Slavii. Kiedy jeszcze wierzyłem, byłem przekonany, że Bóg jest katolikiem. Bynajmniej nie wydawało mi się to dziwne. Ale kiedy dowiedziałem się o tym, co właśnie panu opowiedziałem, straciłem wiarę. To ją podkopało.

– To właśnie jest głównym zadaniem diabła: podkopać naszą wiarę – powiedział kuzyn.

– Oczywiście. Tylko że ja, po lekturze Ignacego Loyoli, byłem przekonany, że diabeł podszywa się pod to, co fascy-

nujące i przyjemne. Że ukrywa się w takich rzeczach i takich sytuacjach, które nie przywodzą na myśl Boga. I od razu panu mówię: niech pan mi tu nie wyjeżdża z Księgą Hioba.

– No to dlaczego to się stało, jak pan myśli?

– Nie doszedłem do żadnego wniosku, na tym polega problem. Żadnego. Bóg to na nich zesłał, a potem ich zostawił własnemu losowi. Nagłowiłem się nad tym, ale nic nie wymyśliłem. Mój Bóg przestał być życzliwy, umiarkowanie łaskawy, stał się nieskończenie bezlitosny.

– Nie zawsze możemy przejrzeć boskie zamysły.

– Nic podobnego! Prawie nigdy nie możemy! Spróbować pogodzić Tertuliana z eunuchem Orygenesem to zamiar z góry skazany na niepowodzenie.

– *Credo, quia absurdum*, wierzę, bo to niedorzeczność, powiedział Tertulian, a *credo ut intelligam*, wierzę, żeby zrozumieć, powiedział święty Anzelm z Canterbury, nie Orygenes.

– Tak? Już zapomniałem – powiedział Antonin. – Jak to szło? – dodał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – „I umarł Syn Boży, co dlatego jest wiarygodne, że jest niedorzeczne. I złożony w grobie zmartwychwstał, to jest pewne, bo niemożliwe”?

– Tak właśnie. To jest pewne, bo niemożliwe. *Credo, quia absurdum*.

– I tak jak mówię, zostałem pozbawiony wiary przez mojego Boga. W sposób absurdalny zostałem pozbawiony absurdalnej wiary.

– Może myślał pan o nim w niewłaściwy sposób?

– A jak inaczej możemy o nim myśleć niż w sposób niewłaściwy? I niedoskonały?

- No oczywiście, ale...
- A w końcu jej życie tak się potoczyło, że musiałem przyznać rację pańskiemu wujowi.
- Komu?
- Josefowi.
- A co on ma wspólnego z religią?
- Z religią ma niewiele wspólnego, ale wtedy udzielił mi dobrej rady.
- Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałem, był już stary, mówił od rzeczy i wyglądał na chorego.
- Wtedy byliśmy młodzi. Josef był innym człowiekiem, miał dużo uroku i energii, dopiero więzienie i te... i inne rzeczy tak go zmieniły.
- I co panu poradził?
- Wtedy pasjonował się logiką. Oprócz pracy.
- No i?
- A te jego kombinacje szachowe! Dostawałem od niego tęgiego łupnia. Był mistrzem końcówek wieżowych. Pan pewnie o tym nie wie?
- Nie – powiedział kuzyn ze śmiechem – rzeczywiście, nie wiedziałem o tym.
- Jego końcówki wieżowe miały logikę jak hartowana stal. To były niezapomniane przegrane. Moje najpiękniejsze przegrane.
- Antonin zamilkł. Rozmowy przy sąsiednich stolikach przycichły. Za oknem znowu się rozpadało.
- Co on miał wspólnego z logiką?
- To było jego hobby, logika... Wtedy mi coś poradził. I dobrze mi poradził. Powiedział, żebym na cały ten problem spojrział obiektywnie, pod kątem nieskończonej logiki. Takiej, przed którą drży sam Pan Bóg. Tak mówił.

- Co takiego panu poradził?
- Że mam tę kwestię rozłożyć na proste kroki logiczne. Jak ruchy na szachownicy.
- Z Bogiem nie można grać w szachy. To już naprawdę błuźnierstwo.
- Tak myślałem. Że w którymś momencie poczuje się pan dotknięty.
- Niech mi pan to wyjaśni!
- Jedną z cech Boga jest jego nieskończona dobroć, tak czy nie?
- No oczywiście.
- Josef wtedy powiedział, że liczba posunięć, które Bóg ma do dyspozycji, jest ściśle określona. O ile nie będziemy brać pod uwagę różnych teologicznych wybiegów i bzdurnych wykrętów o tym, że dróg boskiej opatrności nie przejrzymy naszym rozumem.
- Jakież to są posunięcia?
- Josef tłumaczył to w ten sposób. Jeśli chodzi o atrybuty Boga, to są one następujące: Bóg jest, po pierwsze, wszechmogący, po drugie, wszechwiedzący, po trzecie, wszechobecny, po czwarte, nieskończenie dobry i miłosierny. Pomijam atrybuty mniej ważne, co do których nawet wy, chrześcijanie, nie możecie się ze sobą dogadać. Pytanie brzmi: skoro jednym z boskich atrybutów jest nieskończona dobroć, to jak wytłumaczyć to całe gównno i biedę z nędzą na tym świecie? Może ten twój miłosierny chrześcijański Bóg tego nie widzi i dlatego nic z tym nie robi? To byłoby w sprzeczności z waszym konceptem Boga wszechobecnego. Może więc nie jest w stanie ocenić, co jest dobre, a co złe? Jeśli tak, to powinien być zostać w raju razem z pluskwami, brontozaurami i tym nieszczęsnym wężem. Ta możliwość jednak odpada, bo, jak już

stwierdził, w przypadku twojego wielkiego katolickiego wszechobecnego Boga aktualny jest także punkt czwarty, a więc nieskończone miłosierdzie. Josef wyliczał mi to na palcach. I dodał, że utknęliśmy w martwym punkcie, bo, jak sam zauważyłeś, do tego wszystkiego jest on jeszcze wszechmogący. Trzecia możliwość jest taka: że Bóg istnieje, wszystko widzi, jest wszechmogący... i podoba mu się to, co widzi. Wówczas ta wszechmogąca i wszechobecna istota nie może być nieskończeniem dobra. Przecież coś powinna zrobić w kwestii tego... gówna na świecie... Jeśli więc istnieje coś, co jest wszechmogące i wszechobecne, ale nie reaguje, nie może to być Bóg. A z tego wypływa logiczny wniosek, że ta istota jest... diabłem. Z przedostatniej możliwości wynika również, że on, czyli mniej więcej możliwy, hipotetyczny katolicki Bóg to wszystko widzi, nie podoba mu się to, ale nie może nic z tym zrobić. Wtedy byłby kimś takim jak pan czy ja. Podkreślić, podliczyć i wychodzi nam ostatnia, piąta możliwość.

– Jaka?

– Że nie istnieje.

– Nie istnieje?

– Właśnie tak.

– Ale, ale! To jest prymitywne myślenie.

– Może i prymitywne, ale z pewnością logiczne.

– Przecież nie można zredukować Boga do jakiegoś niezbyt udanego argumentu logicznego?

– Zawsze kiedy pan zapyta o jakąś całkiem prostą rzecz, na przykład jak Bóg stworzył wszechświat albo gdzie Bóg odpoczywa, albo przebywa, ci wszyscy wierzący zaczną panu wmawiać, że zadał pan niewłaściwe pytanie i że pańskie argumenty są powierzchowne. Nawet gdybym zadał

najprostsze pytanie, choćby takie: dlaczego Biblia nie wspomina o brontozaurach w Arce Noego, zaraz wszyscy by mnie przekonywali, że źle zadaję pytanie. Że zadaję niewłaściwe pytania.

– Ja nie znam odpowiedzi. Ja tylko próbuję się czegoś dowiedzieć.

– O, to jest pan w lepszej sytuacji niż większość wierzących.

Zzewnątrz dobiegło miauczenie. Przestało padać. Kot odezwał się nieco głośniej, teraz wydawało się, że miauczenie dochodzi z kuchni. Antonin zamówił dwie kawy i duży koniak dla siebie. Spojrzał na kuzyna przepaszająco i powiedział:

– Post.

Zapałił papierosa i zaciągnął się. Powtórzył tę czynność jeszcze kilka razy. Wdech, wydech. Kuzyn w zakłopotaniu poprawił się na krześle. Nie chciał przeszkadzać. Znowu wdech i wydech. W końcu odezwał się:

– Ten kot, to miauczenie, to było gdzieś od rzeki.

– Miejmy nadzieję. Miejmy nadzieję, że nie z kuchni.

– To ten zapach ryb je nęci.

– Pewnie tak.

– Zlezie się ich więcej.

– Prawdopodobnie – przytaknął Antonin. W tej chwili w kuchni coś się rozbiło. Słysząc było chrzęst jakichś skorup. Goście umilkli. Barman uśmiechnął się z zakłopotaniem. Nie wiedział, czy ma tam zajrzeć, czy udawać, że nic się nie stało. Zdecydował, że zostanie na miejscu. Z kuchni dobiegł stukot szybkich kroków i jakieś niespokojne głosy.

– To musi być jak opium dla tych kotów – powiedział kuzyn. Jego rozmówca patrzył przez okno na mokrą ulicę.

– Co jest jak opium?

– No te ryby.

– Ryby są jak opium?

– Dla kotów.

– Aha – rzucił Antonin, przysłuchując się, podobnie jak większość gości, odgłosom dochodzącym z kuchni. Teraz dołączył do nich jeszcze jeden głos. Barman, już nie kryjąc zaciekawienia, także nadstawił ucha. Po chwili z masy dźwięków wyodrębnił się jeden, przypominający długie, modulowane miauczenie na wysokim tonie.

– A jednak w kuchni.

– Co jest w kuchni? – zapytał kuzyn.

– Ten kot – odpowiedział Antonin i dodał po chwili: – Nic dobrego z tego nie może wyniknąć, jeśli weźmiemy pod uwagę ich nawyki higieniczne.

– Mówiłem, to działa na nie jak opium.

Nagle drzwi od kuchni otworzyły się gwałtownie i do sali wpadło dwóch mężczyzn. Jeden miał na sobie garnitur, drugi był w sztruksach i podkoszulku. Ten w podkoszulku coś krzyczał do tego w garniturze. W tym samym czasie obaj starali się złapać ptaka, który uciekał przed nimi, uskakując na boki i przeraźliwie miaucząc.

– To przecież paw! – stwierdził Antonin, ale zanim kuzyn zdążył otworzyć usta, paw był już na drugim końcu sali i zniknął pod stołem, od którego zerwali się przerażeni goście.

– Ty go chciałeś przerobić na mózdzek i ozorki! – krzyczał mężczyzna w garniturze.

– Wcale nie, on tu sam przyszedł, z zamku.

– Tak! Uciekł! Sam! Z zamku! Ja ci dam z zamku! – wrzeszczał ten pierwszy. – Jeżeli coś mu zrobisz, to słono za to zapłacisz i jeszcze dostaniesz ode mnie w mordę!

Nagle coś pod stołem zakwiliło, po czym ptak prześlizgnął się pomiędzy nogami gości i goniących, a także między nogami stołowymi. Wiedziony jakimś pawim szóstym zmysłem, a może zupełnie przypadkowo, przebiegł przez szklane drzwi, które właśnie otwierał przed swą towarzyszką jakiś pan w średnim wieku, ta zaś, zobaczywszy ptaka, uskoczyła z okrzykiem przerażenia. Człowiek w podkoszulku w biegu rzucił okiem na kobietę i wrzasnął:

– Durna babo! Wiesz, ile ten ptak jest wart?

Ten w garniturze przystanął na chwilę, wykrzywił się w stronę kobiety w przepaszającym grymasie, ale zaraz ruszył w pogoń, krzycząc do tego w podkoszulku:

– To przypadek, Mirku! Przypadek!

Grupa gości siedzących przy dwóch długich stołach zaczęła bić brawo i wznosić jakieś okrzyki.

– To muszą być cudzoziemcy – stwierdził Antonin.

– Ja też jestem cudzoziemcem – powiedział kuzyn. – Tak trochę.

– Ależ skąd, jaki z pana cudzoziemiec, przecież pan mówi po czesku.

– To mi nie przyszło do głowy – odrzekł kuzyn.

Kelner zrobił taką minę, jakby chciał wygłosić jakieś przemówienie, ale w końcu tylko zapytał, czy ktoś z gości życzy sobie rachunek.

– A ja przez cały czas myślałem, że to kot – odezwał się kuzyn.

– Ja też – przytaknął Antonin.

– Kto by pomyślał, paw w restauracji...

– No właśnie. Strach pomyśleć, jakie mieli względem niego plany. W kuchni.

– W kuchni...? No tak. Lepiej niech mi pan opowie, jak to było dalej z tą... z Klarą.

– Jak to było dalej z Klarą... – powtórzył Antonin.

– Jak to się stało, żeście się poznali?

– Raz czuła się trochę lepiej, raz gorzej, aż w końcu chciała się nam wieszać. Miała straszliwe depresje.

– Wcale się nie dziwię – skomentował kuzyn. – Po tym, co przeżyła.

– Pewnie. A potem przyszły elektrowstrząsy.

– Nie dało rady inaczej?

– Owszem. Można było zrobić jej leukotomię.

– Co to takiego?

– Laicy mówią na to: lobotomia. Czyli oddzielenie przednich płatów czołowych od reszty mózgu.

– Boże ty mój, to dopiero barbarzyństwo!

– Nie będę panu, laikowi, tłumaczył, że koncept leczenia zależy od poziomu wiedzy w danym czasie.

– Czy dotyczy to również logiki?

– Nie wiem.

– A panu nie wydawało się to dziwne? Że tak po prostu kroi się komuś mózg?

– To nie było żadne „po prostu” krojenie mózgu.

– Przecież ten człowiek potem nie był już sobą.

– W pewnym stopniu nie był. A my mieliśmy nadzieję, że stracił tę gorszą część siebie, która działała na jego szkodę.

– W pewnym stopniu?

– Tak. Chociaż prawdą jest, że czasem trudno było stwierdzić, w jakim stopniu: mniejszym czy większym.

– A wam było wszystko jedno?

– Oczywiście, że nie było nam wszystko jedno.

– W takim razie, jak mógł pan do tego dopuścić?

- Przecież myśmy chcieli pomóc naszym pacjentom. Myśmy im tylko chcieli pomóc.
- I nie przyszło wam do głowy, że robicie im krzywdę?
- Cała medycyna zasadza się na tym, że pacjentowi robi się jakąś krzywdę.
- Jakąś krzywdę. To się nazywa „jakaś krzywda”?
- Niech mnie pan nie łapie za słówka.
- Sam pan się tak wyraził.
- Tę metodę stosowano jedynie w skrajnych przypadkach.
- I mógłby się pan w niej po czymś takim zakochać?
- Pan się niepotrzebnie unosi.
- Mógłby pan ją po czymś takim jeszcze kochać?
- Chwileczkę, po kolei.
- Tak czy nie?
- Spokojnie, po kolei. Sam nie wiem. Skąd mogę wiedzieć. Przecież w końcu nie zrobiono jej tego.
- J e j nie zrobiono, to zrozumiałem. Jej nie.
- Przeprowadzano to u innych pacjentów. Ja wtedy zajmowałem się innymi rzeczami. Nie tym.
- I nie miał pan wątpliwości?
- Oczywiście, że miałem. A oprócz tego jeszcze miałem wiarę. Nie dlatego, że to nie ma sensu, ale dlatego, żeby zrozumieć. Starałem się zrozumieć i zrozumiałem. Przynajmniej wtedy tak myślałem. Że wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej w rękach Boga.
- A dziś już pan tak nie myśli?
- Już nie. Przestałem tak myśleć po tym, co przydarzyło się Klarze.
- To są naprawdę niełatwe rzeczy. Ale przyroda nie jest Bogiem. Może naprawdę Bóg do tego dopuścić?

– Gdzie w tym doszukiwać się woli Boga? W cierpieniu? A kiedy wilki z lasu wygania głód? A kiedy człowiek człowiekowi jest wilkiem? A kiedy nasz dobry Bóg jest wilkiem?

– Nasz?

– A czyj inny? Przecież nie ma sensu próbować tego uniknąć, nawet kiedy człowiek jest niewierzący. Dobrego Boga przesuwa się tam, gdzie jego miejsce.

– Jak to, gdzie jego miejsce?

– Jeżeli mieszkałby w hotelu, dałbym mu z pewnością gorszy pokój niż Kochowi.

– Kto to jest Koch?

– Roberta Kocha już nie ma, ale przynajmniej próbował zmierzyć się z gruźlicą. Ale znowu odchodzę od tematu. Chciałem powiedzieć tyle: że w przypadku Klary elektrowstrząsy były skuteczne w leczeniu depresji, tylko że ich skutki uboczne okazały się dla nas całkowitym zaskoczeniem.

– Jakie skutki uboczne?

– Na początku nie mieliśmy o nich pojęcia, ale jedna z pielęgniarek odkryła to wcześniej niż my, lekarze.

– Co takiego odkryła?

– Klarę zaczęli odwiedzać różni ludzie. Przychodziło ich coraz więcej. A potem pewnego dnia wezwał mnie ordynator i powiedział, co zaobserwował. Mianowicie, że liczba odwiedzin rośnie, kiedy Klara jest po elektrowstrząsach.

– Po elektrowstrząsach?

– Porównał wpisy w książce odwiedzin z jej kartą, i wszystko się zgadzało. Przycisnął oddziałową, która najpierw próbowała się wymigać, ale potem powiedziała prawdę. Że Klara wróży ludziom.

– Wróży? Jak to wróży?

– Przepowiadała przyszłość.
– Jak? Jak mogła przepowiadać przyszłość?
– Od czasu, kiedy rozpoczęliśmy leczenie elektrowstrząsa-
mi, zawsze po zabiegu odczuwała bóle głowy. Nie wstawiała
z łóżka. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale któregoś dnia,
kiedy syn oddziałowej wybierał się w podróż do Koszyc, od-
działowa rzuciła ot tak sobie, że nie może się tego doczekać,
bo wtedy będzie mogła zrobić w domu generalne porząd-
ki. Nagle odezwała się Klara: że jej syn nigdzie nie pojedzie
i że tamta jeszcze będzie się z tego cieszyć. Po paru dniach
zderzyły się dwa lokalne pociągi. Nic poważnego, ale kil-
ku rannych przywieźli też do nas. Oddziałowa o mało nie
zemdląła, bo jednym z tych pociągów miał jechać jej syn.
Nie było go na liście rannych, w ogóle policja nie miała go
na liście pasażerów. Chłopak w południe wpadł do matki
do szpitala. Po prostu zasnął. Nic nie wiedział o wypadku.
Oddziałowa zupełnie wyjątkowo dała upust swoim uczuciom
i wyściskała go na wszystkie strony. I przypomniała sobie,
co jej powiedziała Klara. Następnego dnia zapytała ją, skąd
wiedziała, co się stanie, ale Klara niczego już nie pamiętała.
Oddziałowa opowiedziała o tym pozostałym pielęgniarkom,
no i tak się to rozniosło. Tym również należałoby tłumaczyć
nadmierzające zainteresowanie dyżurami na oddziale w okreś-
lone dni. Wszyscy zaczęli zadawać Klarze pytania.

– O co pytali?

– Właściwie o wszystko. Jedna z pielęgniarek chciała wie-
dzieć, czy dostaną od teściów obiecane pieniądze. Druga,
czy ich wniosek adopcyjny zostanie rozpatrzony pozytyw-
nie. Jeszcze inna pytała o spadek.

– A... z jakim skutkiem?

– Wszystko się sprawdzało.

- Naprawdę?
- Naprawdę. W takim stanie Klara pozostawała przez dzień lub dwa po elektrowstrząsach, a potem wszystko wracało do normy. Można jej było zadać jedno, dwa, maksymalnie trzy pytania, potem czuła się wyczerpana i zasypiała.
- No i co z tym zrobiliście?
- Co z tym zrobiliśmy? Chcieliśmy to jakoś zbadać. Wstrząsy jej pomagały, więc leukotomia już jej nie groziła.
- Mimo wszystko wydaje mi się to barbarzyńskie.
- Proszę pana, ja już miałem pacjentów, którzy cierpieli na takie depresje z myślami samobójczymi, że błagali mnie na kolanach, żebym ich skierował na elektrowstrząsy.
- Nie wątpię w pańskie dobre intencje ani też w biegłość w sztuce lekarskiej, ale to nie zmienia faktu, że tamte czasy wydają mi się barbarzyńskie.
- Zawsze będę podziwiał niepokalaną niewinność młodości, podobnie jak dziewiczość dyletanctwa oraz czystość niepokalanego poczęcia.
- *Credo, quia absurdum!* Coś jest absurdalne, proszę bardzo, inaczej: bezsensowne, czyli pozbawione sensu, ale bezsensowne nie znaczy przecież barbarzyńskie!
- Oczywiście, *credo, quia absurdum!* Też mi to wtedy pomagało.
- A...
- Wtedy tak... No, aż wreszcie pogłoski o zdolnościach Klary dotarły do sekretarza zakładowej komórki partii.
- No i?
- Najpierw wcisnął się na rozmowę do ordynatora. Nasz ordynator był dość przykry w obejściu, ale za pacjentami zawsze stawał murem. Potem więc sekretarz wezwał na dywanik dyrektora szpitala, no i ordynator został wysłany

na długi staż w pewnym instytucie badawczym, o który przedtem bez powodzenia wiele razy się ubiegał. Kiedy wyjechał, w jego funkcji obsadził człowieka, który miał wobec niego dług wdzięczności.

– Dlaczego nie protestowaliście?

– Byłem w przyjacielskich stosunkach z lekarzem prowadzącym Klary, więc wiem, że robił wszystko, co w jego mocy. W końcu doszło do tego, że sekretarz kazał zwiększyć jej ilość zabiegów, w nadziei, że w ten sposób zwiększą się też jej prorocze zdolności, ale mój przyjaciel nie wykonał tego polecenia.

– I co?

– I został przeniesiony na inny oddział, na którym brakowało personelu.

– Jak to możliwe?

– Wszystko jest prawie zawsze możliwe. Jak powiedział Tacyt: *Rara temporum felicitas ubi sentire quae velis et quae sentias dicere licet* – oświadczył Antonin.

– Co to znaczy?

– Znaczy to: „Rzadkie są szczęśliwe czasy, kiedy możesz myśleć, co chcesz, i mówić, co myślisz”. A my byliśmy za blisko rosyjskich granic.

– To dziwne...

– Myśli pan, że to wymówka.

Kuzyn wzruszył ramionami.

– Może rzeczywiście ma pan rację, myśmy się po prostu bali. No i ciągle szukaliśmy wymówek. A w tym czasie ta Klary... jak to powiedzieć... sława... rozniosła się wśród pielęgniarek i dziewczyna zaczęła się cieszyć specjalnymi względami.

– Czym się to przejawiało?

– Zauważyłem, że pielęgniarki z jej oddziału zaczęły dostawać prezenciki. Klara też, a do tego kwiaty, mnóstwo kwiatów, które potem rozdawała pacjentom. Również do jej rodziców wszyscy zaczęli odnosić się jakby z szacunkiem. Nigdy później już się z czymś takim nie spotkałem.

– Może to była jakaś zbiorowa histeria?

– Też tak najpierw pomyślałem, ale...

– Co ale?

– Przeczyły temu wyniki badań. Jeszcze zanim wtrącił się do tego ten komunistyczny sekretarz, zrobiliśmy jej serię testów.

– Jakich testów?

– Jej lekarz prowadzący, ordynator i ja napisaliśmy każdy z nas jedno pytanie, które jej potem zadaliśmy. Pytania i odpowiedzi schowaliśmy do sejfu.

– Jakie to były pytania?

– Ordynator zapytał, jaką ocenę będzie miał jego syn na dyplomie. Martin, jej lekarz, chciał wiedzieć, kto zostanie przyjęty na wolne miejsce, które było na naszym oddziale. A ja zapytałem, kiedy moja siostra wyjdzie za mąż.

– No i...?

– Klara powiedziała, że syn ordynatora nie skończy studiów, co było dziwne, bo szło mu świetnie. No ale potem wyszło na jaw, że miał romans z jakąś kobietą, czemu jego ojciec się sprzeciwił, więc chłopak najpierw się wyprowadził, a potem rzucił studia. Jeśli chodzi o ten wakat na naszym oddziale, to przyjęli bardzo dobrego lekarza z sąsiedniego powiatu, który właśnie się rozwiódł i szukał pracy z mieszkaniem. To akurat nie była żadna niespodzianka, bo on był bez wątpienia najlepszym kandydatem. No a to, co powiedziała o mojej siostrze, też się spełniło.

– A co potem?

– Kiedy ordynatora wysłali na staż, a Martina przenieśli na inny oddział, praktycznie nie miałem dostępu do Klary. Włączyli mnie do zespołu, ponieważ mieli nadzieję, że na coś im się przydam, ale bez ich pozwolenia nie miałem tam wstępu. Wyraźnie mi to powiedział jej nowy lekarz prowadzący.

– Ale przecież musiał pan coś zrobić.

– Tak. Przestało mi się to wszystko podobać. Zacząłem podejrzewać, że dają jej jakieś leki, które pogłębiają te jej dziwne stany, ale niczego nie mogłem się dowiedzieć. Podobno miewała ataki epilepsji. Potem zaczęli do niej przychodzić krewni i znajomi różnych aparatczyków i inne szuchy, pewnie wszyscy pytali o przyszłość. A ona później się budziła i niczego nie pamiętała. Była dla nich bardzo wygodna. Chociaż z pewnością na dłuższą metę musiało się to jakoś odbić na jej zdrowiu.

– I co pan zrobił?

– Kiedyś postanowiłem poczekać na nią w parku. Siedziałem tak obok niej i nie wiedziałem, jak zacząć. Nie chciałem stosować metody „klin klinem”, żeby nie wywołać w niej kolejnej traumy. W końcu, w dobrej wierze, zacząłem luźną rozmowę. Całkiem neutralną. Przynajmniej miałem taką nadzieję. Zapytałem o nazwę jakichś kwiatków na klombie. Odpowiedziała. A kiedy siedziałem tak blisko niej, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jaka jest piękna. Wtedy zaobserwowałem u siebie wszystkie symptomy pewnej przypadłości sercowej, bynajmniej nie zawału, lecz nieuleczalnej choroby, na którą nie ma szczepionki.

– A ona?

– Siedzieliśmy sobie razem na ławce, a ona nagle mówi: „Dlaczego? Dlaczego to wszystko?”. I wtedy zaczęło do

mnie docierać, że ona chyba wszystko rozumie: zna moje myśli i uczucia. Jeszcze nie całkiem oswoiłem się z tą myślą, ale dla niej wszystko było jasne. Bo po chwili powiedziała: „Nic z tego nie będzie. Niech pan o tym zapomni, panie doktorze”. „O czym?”, zapytałem. „Czy to wszystko prawda?”, zapytała. „Mój Boże, dlaczego ludzie są tacy? Czy nie starczy tego, co mnie spotkało?”. A potem wstała i odeszła. Próbowałem wydostać ją jakoś ze szpitala, nalegałem, żeby zakończyli leczenie elektrowstrząsami, ale bez skutku. W końcu poszedłem do sekretarza partii. Spodziewałem się, że mnie wyrzuci, ale nie wyrzucił. Wysłuchał mnie, potem wypytywał o to i owo, na koniec powiedział, że przyjrzy się sprawie. Zaskoczył mnie. Po dwóch dniach wezwał mnie do siebie dyrektor szpitala. Najpierw przez pół godziny kładł mi do głowy, że mogę zapomnieć o swojej niedawno rozpoczętej karierze, skoro chodzę na skargę do sekretarza. Już on osobiście się o to postara. A potem jeszcze wykrzyczał mi w twarz, że Klara jest wypisana, że mogę sobie z nią robić, co chcę. A jak się trochę uspokoił, zapytał mnie jakby mimochodem, czy sekretarz nie pytał mnie czasem o pawilon numer 7. Odpowiedziałem, że nie. Byłem szczęśliwy. Następnego dnia Klara została wypisana. Po kilku tygodniach udało mi się ją przekonać, żeby zaczęła nowe życie, gdzie indziej, od początku. W końcu przez znajomych znalazłem jej coś w Bratysławie. Potem wrócił ze stażu ordynator, a kiedy wszystko mu opowiedziałem, zapytał: „Czy pan wie, co się dzieje na siódemce?”. Zacząłem mu opowiadać jakieś rzeczy, które znałem z materiałów informacyjnych, ale przerwał mi i powiedział: „Panie kolego, to jest wersja oficjalna”. Zdziwiłem się: „Czyżby istniała jakaś nieoficjalna?”. „Nie”, odpowiedział, wzruszając ramionami. Następnego dnia, kiedy

szedł na obchód, zatrzymał mnie na schodach, rozejrzał się wokół, a kiedy upewnił się, że jesteśmy sami, powiedział: „Proszę nikogo nie pytać o siódemkę. To przerażające miejsce. Tam wożą ludzi aż... aż... i robią z nimi straszne rzeczy. Widocznie się bali, że przez tę pańską Klarę i jej kuriozalne zdolności ktoś się nimi zainteresuje, więc ją wypuścili, dlatego dyrektor pytał pana o siódemkę”. „Ale co tam jest?”, nie wytrzymałem i zapytałem. „Niech pan nie pyta”, powtórzył. „To koszmar, nikt z nas nie chciałby tam trafić. A oni wszyscy trzymają na tym łąpę, sekretarz partii, dyrektor, i tak to jest”. Przez kilka lat jeszcze widywaliśmy się z Klarą co jakiś czas, ale potem uświadomiłem sobie, że ciągle jej przypominam to, co się w tym lesie wtedy stało. I powiedziałem sobie, że więcej nie będę się z nią spotykać. Musiałem tak zrobić. Tak było dla niej lepiej.

– Myślałem, że to była wielka miłość?

– Wielka? Nigdy nie przeżyłem większej miłości. To, że nigdy nie mieszkaliśmy razem w jednym pomieszczeniu, albo że nie wymienialiśmy między sobą płynów ustrojowych, w ogóle nie miało znaczenia.

– No a potem? Co było potem?

– Potem już nic nie było. Po paru latach ożeniłem się z moją obecną żoną, jesteśmy razem do dzisiaj.

– A ona? Ta Klara?

– Zdaje się, że przesadziłem z tym koniakiem. Ale do hotelu trafię. Tylko będzie musiał mnie pan czasem podtrzymać, kuzynie.

– Ale co się stało z Klarą?

– Już powiedziałem więcej, niż mogłoby wyjść komuś na zdrowie. Zaraz będą zamykać. Musimy zapłacić.

List ostatni, referat na temat targów i kilku połamanych krzesel

Cześć sis,

w poprzednim liście pytałaś, jakie wrażenie zrobiły na mnie Czechy oraz Czesi, pisałaś, żebym to sobie przemyślał przed powrotem do Londynu. Przemyślałem, ale jest *to for your eyes only* albo, jak tu się mówi: ściśle tajne. Ponieważ my dwoje jesteśmy również w jakiejś mierze Czechami, być może z przedstawicielami tego narodu mamy więcej wspólnego niż inni cudzoziemcy, chociaż może to także oznaczać, że będę trzymać ich stronę. Uwaga: znajdź sobie w słowniku, co znaczy „trzymać czyjąś stronę”, nie ma to nic wspólnego z trzymaniem. To jest jedno z wyrażen, których nauczyłem się tu w Pradze, Hodoninie, a może w Krumlovie. Bycie Czechem oznacza przynależność do małego narodu, który ma jakieś wspólne doświadczenie historyczne, a do tego jeszcze mówi po czesku. No więc tak: ci Czesi to są naprawdę dziwaczne okazy. Na przykład są dziwnie chłodni w obejściu. O wiele zimniejsi niż Brytyjczycy. Jest niemal nie do pomyślenia, żeby na ulicy w Pradze czy Hodoninie ktoś się uśmiechnął. A zachowanie sprzedawców i kelnerów! To dopiero coś! Wyobraź sobie, że w stosunku do klientów są aroganccy i niegrzeczni, czasem wręcz chamscy!!! Czytałem o tym w przewodniku, ale nie chciało mi się wierzyć, teraz jednak widzę, że pod tym względem jest o wiele gorzej, niż mogłabyś sobie wyobrazić. Idziesz do sklepu, na przykład

po ziemniaki, i musisz liczyć się z tym, że sprzedawca cię objedzie! Wyobrażasz sobie? Dobrze, co? Choćby po to warto zrobić sobie wycieczkę do Czech. I następna zadziwiająca rzecz: mimo że ludzie w ten sposób się do siebie odnoszą, to uważają, że są w czołówce najbardziej kulturalnych narodów świata. Godne podziwu! Po pierwsze, w ogóle nie płacą swoim nauczycielom. To znaczy płacą, jak sprawdziłem: tyle, ile w Albanii. Po drugie, na kulturę w przeliczeniu na jedną osobę przeznaczają mniej niż w Rosji. A skutek jest taki, że na przykład do Budapesztu corocznie przyjeżdża mniej więcej cztery razy więcej turystów niż do Pragi. Chociaż Praga jest nieporównanie ładniejsza. Oni jednak uważają, że nie trzeba o tym trąbić, ponieważ i tak wszyscy to wiedzą. Uważają się za pępek świata, tak jakby. Że to prowadzi w prostej drodze do rasizmu i różnych zachowań dyskryminujących mniejszości (a w przyszłości będzie jeszcze gorzej), jeszcze do nich nie dotarło. Krótko mówiąc, tutaj fakty, czy w ogóle informacje, nie mają najmniejszego znaczenia. To jedna z cech charakterystycznych tego kraju. Jeśli fakty są nie po ich myśli, tym gorzej dla faktów. Również wygląda na to, że uważają się za cyników, chociaż wynika to pewnie z tego szybkiego przejścia od komunizmu do kapitalizmu. Jak powiedział Oscar Wilde, cynik to człowiek, który zna cenę wszystkiego, a nie zna wartości niczego. Przecież wiesz, co mam na myśli. Podobnie jak inni ludzie z Europy Wschodniej (z wyjątkiem Polaków) w kontaktach z innymi są dość nieśmiali i zachowują dystans. Poza tym uważają, że jeżeli ktoś ma depresję, z pewnością musi być myślicielem (*thinker* – nie myśliwym, *sis*). Tak naprędce nie potrafię Ci tego wyjaśnić, może kiedy indziej, w każdym razie myślą, że każdy, kto mówi coś o śmierci albo o wszechświecie, musi

mieć niezwykłą osobowość, chociaż przeważnie takiemu nieborakowi potrzebny jest psychiatra (*nuttcase*). Poza tym mają kuriozalny stosunek do psychologii i filozofii. Wyobraź sobie, że na tutejszych uniwersytetach na psychologię zgłasza się więcej kandydatów niż na jakikolwiek inny kierunek. Niesamowite. Podobno jest tak od kilku pokoleń. Tak mi przyszło do głowy: słyszałaś może o jakiejś sławnej czeskiej szkole psychologicznej? Coś w rodzaju: *Name three the most famous Belgians? Anyway*. Pewnie wynika to z tego, że Czechy są najbardziej ateistycznym państwem w Europie, a tym samym na świecie. Jakoś musi się to przejawiać. A jeśli chodzi o filozofię – to też ciekawa rzecz: wczoraj przeczytałem w gazecie nekrolog pewnego skandynawskiego reżysera filmowego (*film director*). W artykule dwa razy wspomniano Platona i raz Arystotelesa, ale nie dowiedziałem się, kto był jego mistrzem, ani też na kogo on sam wywarł wpływ. Potrafisz wymienić trzech wybitnych czeskich filozofów? *Navel gazing again*. Może Masaryk? Nie, Masaryk raczej uprawiał socjologię. A jeśli chodzi o brak religijności, to istnieje tutaj coś w rodzaju naturalnej plebejskości. Z tego, co zaobserwowałem, w czasie Bożego Narodzenia nikt nie ubiera się odświętnie. Nie ma takiego zwyczaju, żeby do rodzinnej kolacji kobiety zasiadały w eleganckich sukienkach, a mężczyźni w garniturach. Po domu chodzą w dresach, chociaż nie uprawiają żadnego sportu. Przez jakiś czas myślałem, że jest to taki sympatyczny rodzaj nieformalnego ubioru, ale później zauważyłem, że oni po prostu, z małymi wyjątkami, w ogóle nie ubierają się inaczej! To, co jest na porządku dziennym wszędzie w Europie, tutaj nie ma racji bytu. A teraz pozytywne strony. Jeśli już kogoś poznasz, to świetnie się z nim gada. Mają specyficzne poczucie czarnego

humoru. Pięknie odnoszą się do starych ludzi. Wyobraź sobie, że w zatłoczonym tramwaju czy w autobusie potrafią wstać i ustąpić miejsca komuś starszemu i uważają to za zupełnie normalne. Zauważyłem również, że relacje rodzinne są tu bardzo ważne, niemal jak we Włoszech, chociaż na pierwszy rzut oka Czesi mają niewiele wspólnego z Włochami. Nasi rówieśnicy (ładne słówko, co? to znaczy ludzie, którzy mają tyle lat co my) są właściwie tacy sami jak ich koledzy z Anglii, Holandii czy jakiegokolwiek innego kraju. Prywatnie są bardzo bezpośredni i nie mają zahamowań, na przykład potrafią przy filiżance kawy opisać Ci całe swoje życie, nie wyłączając najintymniejszych szczegółów. Na coś takiego nie zdobyłby się żaden Brytyjczyk. Naprawdę umieją być niezwykle otwarci. Trudno jest mi jakoś się odnaleźć w tym wszystkim, ale codziennie dowiaduję się o nich czegoś nowego. Czasami pod pewnymi względami i w określonych sytuacjach Czesi trochę przypominają Niemców, ale tego nie wolno im mówić. To tak jakbyś komuś powiedziała, że powinien się umyć, i chociaż miałabyś rację, byłaby to obraza majestatu. Tak czy inaczej, spośród mieszkańców wszystkich ościennych państw najbardziej przypominają Niemców. Czesi ich trochę podziwiają, ale jednocześnie trochę się nimi brzydzą (zdaje się, że podobnie jak reszta Europy). Mają specjalną etykietę wypowiedzi, która określa, co kiedy można powiedzieć, a kiedy lepiej nie mówić, żeby ten drugi uniknął zażenowania. Nasz tato też czasami tak się zachowywał, chociaż u nas nie ma to najmniejszego sensu. Wyobraź sobie na przykład, że twój sąsiad wystawił na schody jakieś stare graty, stoją tam i wszystkim zawadzają. Pytam: dlaczego mu nie powiecie, żeby to usunął? Wiesz, co mi odpowiedzieli? Że nie wypada, a dopóki jeszcze da się przejść, wszystko jest w porządku. Mimo

że te rupiecie im przeszkadzają i działają na nerwy. Czasami mam wrażenie, że żyję w jakimś filmie o samurajach w średniowiecznej Japonii. Etykieta jest bardzo skomplikowana i szczegółowa. Ale młode pokolenie już się tym tak bardzo nie przejmuje. Tyle w skrócie odpowiedzi na Twoje pytania przed moim wyjazdem z Pragi. Reszta dotyczy tego mojego referatu dla banku, pisałem Ci o tym w poprzednim liście. Ja tylko gromadziłem materiały, autorem jest mój szef, Karel. Miłej lektury.

George

PS

Nie bardzo mogę się w tym wszystkim połąpać. Napisz, co o tym myślisz.

Sprawdził: Naczelnik Oddziału Karel Verner

Materiały przygotował: Jirzi Novacek

Status sprawy: poufne

Przedmiot: Uwagi na temat historii wystaw wyrobów przemysłowych w Czechach – przyczynek do wypracowania rozwiązań problemów związanych z długami po Powszechnej Czechosłowackiej Wystawie Przemysłowej z 1991 roku.

Pierwsze w historii targi artykułów przemysłowych zostały zorganizowane przez Society for Promotion of Arts, Manufacture & Commerce w latach 1756 i 1757 w Londynie. W pozostałej części Europy prym wiedzie Praga. Właśnie w Pradze, we wnętrzach dzisiejszego Karolinum, odbyła się pierwsza wystawa przemysłowa, która miała uświetnić uroczystości z okazji koronacji Leopolda II na króla Czech. Wystawy tej nie określano jeszcze mianem „targów” – nosiła nazwę Kolekcji Towarów. Warto przypomnieć, że austriacki

kompozytor W.A. Mozart został poproszony, aby uświetnić obchody związane z koronacją poprzez skomponowanie opery. Uporał się z tym zadaniem w osiemnaście dni, a dzieło nosi tytuł *La clemenza di Tito*.

Jubileuszowa Wystawa Przemysłowa odbyła się w Pradze w 1891 roku na cześć swej skromniejszej poprzedniczki sprzed stu lat i była przedsięwzięciem na zgoła inną skalę. Miała dwadzieścia siedem działów, a wystawcy otrzymali łącznie 6 348 nagród. Jeśli chodzi o aspekt finansowy, który najbardziej interesuje nasz bank, należy zauważyć, że chociaż Jubileuszową Wystawę w 1891 roku odwiedziło 2 432 356 osób, które wykupiły na nią bilety, a pierwotny budżet oszacowano na 1 132 000 złotych, to faktyczne wydatki wyniosły 1 606 522 złote. Z przytoczonych liczb wynika, że budżet przekroczone o ponad pół miliona złotych, dokładnie: o 474 522 złote. Fakt ten powinni byli wziąć pod uwagę organizatorzy Powszechnej Czechosłowackiej Wystawy Przemysłowej w roku 1991.

Następnie uważam za konieczne wyłożyć pewne idee, które legły u podstaw organizacji wystawy z 1891 roku. Na przykład centralny pałac wystawienniczy został nazwany „Czeską Świątynią Pracy”. Na terenie targów ustawiono rzeźby przedstawiające „Rolnictwo” i „Przemysł”. Jeden z czeskich poetów (J. Neruda) napisał, iż „[...] wystawa przyczyniła się do zażegnania wszelkiej nędzy moralnej i materialnej, głosiła równe prawo wszystkich ludzi do korzystania z największych osiągnięć ludzkiego ducha oraz dawała podniecie do współzawodnictwa różnych plemion ludzkich w dążeniu do postępu na rzecz dobrobytu ludzkości”. Jak widać z przytoczonego cytatu, językiem literatury został wyrażony entuzjazm bardzo podobny zapałowi, który, choć z innych

powodów, inspirował Wystawę Powszechną w roku 1991 (choć tym razem do współpracy nie został zaproszony żaden artysta rangi Mozarta).

W trzydzieści jeden lat po Wystawie Jubileuszowej z 1891 roku w tym samym miejscu, a więc w praskim parku Stromovka, zaczęto organizować Praskie Targi Wzornictwa Przemysłowego. Otwarcie pierwszej wystawy tego typu odbyło się 12 września 1920 roku o godzinie dziewiątej rano w Pałacu Przemysłowym. Mowę wygłosił ówczesny burmistrz Prażi dr Karel Baxa, po nim głos zabrał premier rządu Vlastimil Tusar. (Na marginesie należy zauważyć, że było to ostatnie publiczne wystąpienie premiera Tusara, ponieważ następnego dnia jego rząd podał się do dymisji.) Praskie Targi przeznaczone były dla hurtowników, którzy kupowali tam różne artykuły prosto od producentów przed wiosennym i jesiennym sezonem targowym. Chodziło o to, żeby wyroby nie leżały zbyt długo w magazynie, tak więc targi organizowano w marcu i wrześniu. Tak było aż do kryzysu gospodarczego. Największą frekwencją targi cieszyły się jesienią 1929 roku, kiedy gościły około 560 000 odwiedzających. Już kilka lat wcześniej, w roku 1925, rozpoczęto budowę Pałacu Targowego, w którym obecnie mieści się Galeria Narodowa. Zakończenie budowy planowano na jesień 1927. W skład kompleksu miały wchodzić cztery budynki, jeden za czterdzieści milionów, dwa po pięćdziesiąt milionów i jeden za dwadzieścia sześć milionów koron. Tak więc łączne nakłady na całą inwestycję miały wynosić około stu sześćdziesięciu sześciu milionów koron. Z czasem doszły inne wydatki, co podwyższyło tę kwotę do stu dziewięćdziesięciu dziewięciu milionów. W czasie budowy okazało się, że wydatki na pierwszy budynek przekroczyły dwukrotnie pierwotną

kwotę, w związku z czym nigdy nie przystąpiono do prac związanych z pozostałymi budynkami. Kryzys gospodarczy wpłynął na to, że praskie targi po pierwszej wojnie światowej startowały ze sporym deficytem finansowym. Organizatorzy próbowali stawić mu czoło w ten sposób, że wyprawili specjalny pociąg na Półwysep Bałkański, w nadziei, że w ten sposób uda się przyciągnąć nowych klientów. Za wyprawę odpowiadał krewny dyrektora targów, niejaki Kamil Vrana. Ten niezwykły pociąg w okresie od października do grudnia przemierzył Słowację, Ruś Podkarpacką, ówczesną Rumunię i Bułgarię. Każdy postój pociągu wiązał się z propagacją Praskich Targów Wzornictwa Przemysłowego. Pociąg przejechał przez następujące miasta: Oradeę, Kluż, Temeszwar, Krajową, Bukareszt, Ruszczuk (dzisiaj Ruse), Warnę, Starą Zagorę, Sofię, Gałac i Jassy. Wynik całego przedsięwzięcia był wszakże trudno wymierny i raczej niezadowolający, tak więc w przyszłości nigdy więcej nie powtórzono takiej akcji. Organizatorzy starali się znaleźć dla tej imprezy różnego rodzaju wsparcie, na przykład w roku 1929 Praskie Targi Wzornictwa Przemysłowego brały udział w przygotowaniach wyborów Miss Czechosłowacji, a w Pałacu Targowym organizowano koncerty, a także umieszczono tam wystawę carskich klejnotów.

W latach drugiej wojny światowej wszystkie obiekty targowe zostały przejęte przez Geheime Staatspolizei, Staatspolizeistelle Prag, czyli gestapo. Później w kilku budynkach mieściła się Zentralstelle für jüdische Auswanderung, czyli Centralny Urząd do spraw Emigracji Żydów, z tego miejsca do obozów koncentracyjnych wysyłano praskich Żydów. Istnieje tylko jeden dokument dotyczący tych wydarzeń – jest w nim mowa o tysiącach „zniszczonych przez Żydów”

krzesel. W 1942 roku niemiecki minister propagandy Goebbels wydał rozkaz zakazujący wszelkich imprez tego typu na terenie Rzeszy Niemieckiej. Po wojnie Praskie Targi Wzornictwa Przemysłowego zostały wznowione. Ostatnie z nich zostały otwarte w 1951 roku przez ówczesnego premiera Antonina Zapotockiego. Do Pragi przybyły 122 specjalne pociągi oraz 208 przodowników pracy. Praskich Targów już nigdy więcej nie zorganizowano.

Jak wynika z tej krótkiej, przytoczonej tu historii, przeszłość ma dla nas jedno przesłanie: przyszłość nie będzie łatwa. Najprawdopodobniej będzie równie trudna do przewidzenia, jak nasza przeszłość w czasach, kiedy jeszcze nie była przeszłością. Wydaje się, że o ile obecny system społeczny, a wraz z nim nasza instytucja finansowa, przetrwa do tej pory w mniej więcej znanym nam kształcie, to kolejna wystawa „powszechna” i „jubileuszowa” powinna się odbyć w roku 2091. Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy spodziewać się nacisków społecznych na to, aby ta wielowiekowa tradycja została zachowana. Z tego względu wydaje się wskazane, żeby długi wciąż istniejące w związku z wystawą z roku 1991 zostały umieszczone na specjalnym rachunku, który pozostawałby w związku z przyszłą wystawą, przewidywaną na rok 2091. Ponieważ wszystkie trzy dotychczasowe wystawy z lat 1791, 1891 i 1991 miały charakter narodowy, a dwie ostatnie odbywały się w parku Stromovka, można więc się spodziewać, że kolejna wystawa również zostanie zorganizowana w tym miejscu. Byłoby zatem wskazane mieć na oku wszystkie przedsięwzięcia związane z tym rejonem aż do roku 2091, albowiem w miarę upływu czasu prawdopodobnie nastąpi tam pewien wzrost wszelkich działań o charakterze inwestycyjnym oraz politycznym. Dzięki temu

nasza instytucja zawczasu zyska znacznie lepszą orientację w tej sprawie niż nasi konkurenci, przez co uzyskamy wzrost szans na wyegzekwowanie (być może z niewielkim spóźnieniem) naszych roszczeń. Życzylibyśmy sobie, aby miejsce to było terenem przeznaczonym do prowadzenia działalności handlowej i żeby nigdy więcej nie stało się punktem startowym deportacji żadnej grupy naszego społeczeństwa. Jak wynika z naszych dokładnych badań, takiego rozwoju wypadków nigdy nie można wykluczyć. Jednakże ten nieprzychylny scenariusz pozostaje poza głównym nurtem niniejszej analizy. W każdym razie, gdyby pojawiły się jakiegokolwiek negatywne symptomy znamionujące podobne niebezpieczeństwo, nasz bank prawdopodobnie zrezygnowałby z działalności w regionie Europy Środkowej i przeniósł się do innego kraju, w którym demokracja cechowałaby się wyższym poziomem rozwoju.

Kilka ostatnich informacji dotyczących trzydniowej konferencji naukowej dotarło do doktora Antonina Lukavskiego zbyt późno. Pani doktor Kadlecova, która razem z nim zajmowała się sprawami organizacyjnymi, uparła się, że wszystkie wiadomości będzie mu posyłać pocztą elektroniczną. Co prawda, doktor Lukavsky był dumny z tego, że w swoim emerytalnym już przecież wieku nauczył się posługiwać mailem, ale kiedy wczoraj administrator sieci zaczął go w zawiły sposób przekonywać, że jego komputer znowu funkcjonuje doskonale, choć może nieco inaczej doskonale niż przedtem, uznał, że ma wszystkiego dosyć, i nawet nie zajrzał do poczty, gdzie czekała na niego informacja o przyjeździe angielskiego kolegi. Dopiero teraz, w drodze na lotnisko, skąd miał go odebrać, zaczął czytać tego naprędce wydrukowanego maila. Zatrzymał się dłużej przy nazwisku. Złapał się na tym, że spodziewał się nazwiska brzmiącego z angielska, a tu coś takiego: doktor V.S. Sukthankar. Nie wygląda to ani trochę na angielskie nazwisko. Czyżby indyjskie? Czytał dalej. Stanowisko doktora Sukthankara było określone jako *Consultant*, czyli był kimś w rodzaju naszego ordynatora. Dalej znajdowała się informacja o jego wieku: 35 lat. Dość młody jak na ordynatora, pomyślał Antonin, u nas nie byłoby to możliwe, przed czterdziestką mógłby sobie o tym tylko pomarzyć, chociaż czasy się zmieniają. Kiedy autobus przyjechał na lotnisko, doktor wysiadł, wszedł

do hali przylotów, siadł na ławce i szybko na odwrocie kartki z wydrukowanym mailem napisał wielkimi literami: DR SUKTHANKAR. Z kartką w ręce dołączył do grupy oczekujących na przylot samolotu z Londynu. Po kilku minutach przeszli obok niego wszyscy pasażerowie, których było około trzydziestu, lecz żaden z nich nie zareagował na kartkę z nazwiskiem. Ten samolot musiał być prawie pusty, pomyślał doktor Lukavsky, rozglądając się wokół. W tej nielicznej grupce pasażerów nie było nikogo, kto wyglądem przypominałby chociaż trochę mieszkańca Indii, nie mógł więc go przeoczyć. Tylko tego brakowało, pomyślał, mam tyle pracy, a jeszcze ten mi się spóźni na samolot. I będę musiał tłuc się tu jeszcze raz. Jestem już na emeryturze i pracuję na ćwierć etatu. A w ogóle to w przyszłym tygodniu biorę wolne i nareszcie się wyśpię. Zmartwił się, że nie spotkał doktora Sukthankara. Trochę pochodził po pustoszejącej hali, po czym wyszedł, poczekał na autobus i wrócił do przychodni. Właśnie zdążył zaparzyć sobie ulubioną herbatę z lipy, kiedy odezwał się telefon. Doktor Kadlecova. Powiedziała, że właśnie dzwonił z lotniska pan Sukthankar, który miał jakiś problem z odprawą. Powiedział, że jedzie do pensjonatu, w którym miał zarezerwowany pokój. Ta wiadomość ani trochę nie poprawiła Antoninowi humoru, ale w końcu stanęło na tym, że zajrzy do gościa o piątej po południu.

Kilka minut po piątej Antonin wkroczył do wąskiego holu, w którym po jednej stronie znajdowała się recepcja, a po drugiej stało parę foteli z wysokimi oparciami. Z jednego z nich wstał niepozorny człowiek, który przedstawił mu się po angielsku jako doktor Sukthankar. Miał gęste kruczoczarne włosy. Antonin z początku podejrzewał, że będzie miał problem ze zrozumieniem jego angielszczyzny,

lecz z ulgą stwierdził, że niepotrzebnie się obawiał. Wymowa gościa była podręcznikowa. Doktor Sukthankar wyraził życzenie typowe dla wszystkich cudzoziemców, a mianowicie chciał się przejść po Pradze. Tego właśnie Antonin się spodziewał, więc podjął się roli przewodnika. Po drodze na Stare Miasto gość opowiedział, że na lotnisku został zatrzymany i poddany rewizji. Odebrano mu walizkę i dokumenty, a on sam dobre pół godziny siedział zamknięty w jakimś pomieszczeniu bez okien. Zanim Antonin zdołał się zastanowić, co mógłby w związku z tym powiedzieć, doktor Sukthankar zastąpił mu drogę i zapytał:

– *What is sikan?*

– Co to jest sikan? – zastanowił się Antonin. – Nie mam pojęcia. – Zamyślił się, po czym dodał: – W naszym języku nie ma takiego słowa.

– Aaa... może źle zrozumiałem – powiedział Sukthankar. – Tak mówili ci ze straży granicznej.

– Proszę to jeszcze raz powtórzyć, panie kolego – poprosił doktor Lukavsky.

Zatrzymali się, a Sukthankar kilka razy powtórzył usłyszane słowo:

– Sikan. Sykan. Siikan.

Antonin kręcił głową, przysłuchując się dziwnej wymowie cudzoziemca.

– Siikan. Sikan. Sykan.

Wreszcie coś mu zaświtało.

– *Do you think: tsygan?*

– *O yes!* – przytaknął Sukthankar. – *That's exactly it!*

– Wszystko jasne – powiedział Antonin.

Gość się uśmiechnął, widząc, że jego rozmówca zwleka z odpowiedzią.

– Jeśli jest to coś niecenzuralnego, to proszę nie mówić.
– Cygan znaczy Rom – powiedział doktor Lukavsky.
– Aha. Mam rozumieć, że zostałem zatrzymany, bo wyglądam na Roma?

– Wszystko na to wskazuje – przytaknął Antonin.

– O waszym kraju wiem co nieco z gazet – oświadczył doktor Sukthankar – ale nie jest to wiedza dogłębna. Mam nadzieję, że bycie Romem nie jest karalne? – zakończył ze śmiechem.

– Złożę skargę – oświadczył doktor Lukavsky. – Jest pan oficjalnym gościem przybyłym na naszą konferencję naukową.

Sukthankar zauważył, że jego rozmówca poczerwieniał na twarzy.

– Ależ dajmy spokój – zaproponował. – Właściwie przyjechałem tu na wycieczkę. Przed kilku laty miałem pacjenta z pańskiego kraju. A potem mam zamiar zajrzeć na Węgry i do Austrii. Ja już do tego przywykłem. Jest to po prostu oficjalna forma prześladowania.

Zapanowała kłopotliwa cisza, przerywana tylko odgłosem przejeżdżającego tramwaju.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak dostać się stąd na plac Wacława? Dużo słyszałem o tym placu – powiedział Sukthankar i obaj mieli świadomość, że zapytał tylko po to, by zakończyć to niewygodne milczenie, które już zaczynało nabrzmiewać niewypowiedzianą treścią.

– Oczywiście. Zaprowadzę tam pana – powiedział Antonin. – Potem możemy na chwilę gdzieś usiąść, napijemy się kawy, a ja opowiem panu o naszej konferencji, która zaczyna się jutro.

– To miło z pana strony – odpowiedział gość.

Kiedy doktor Sukthankar obejrzał plac, Antonin zaprowadził go do kawiarenki w bocznej ulicy. Tam nareszcie rozmowa potoczyła się swobodnie. Doktor Sukthankar był psychiatrą i psychologiem, ordynatorem w jednym ze szpitali w północno-zachodniej części Londynu. Przyjechał w celach turystycznych, co kilkakrotnie powtórzył.

– Przez cały rok przenikam w głąb dusz swoich pacjentów, ale wakacje są od tego, żeby człowiek odpoczywał, niczego nie musiał zgłębiać i patrzył na świat okiem konsumenta.

Antonin zastanawiał się, czy w tym zdaniu zabrzmiał ton ironii, ale ponieważ nie był w stanie tego ocenić, w końcu nie był aż tak biegły w angielskim, na wszelki wypadek się nie zaśmiał. Zapytał, by zmienić temat:

– Właściwie jak mam się do pana zwracać? Bo wie pan... wydaje mi się, że nie wymawiam pańskiego nazwiska poprawnie.

– Proszę mi mówić Wisz – odpowiedział Sukthankar. – To skrót od Wisznu.

– Wisznu, Wisznu, Wisznu... – powtarzał Antonin. – To chyba imię boga?

– Tak. Moi rodzice są hinduistami, ja również. – Zauważył, że Antonin patrzy na niego z uwagą, więc dodał: – Wisznu jest bogiem, który według naszych wierzeń stworzył wszechświat. W trzech etapach.

– Ta tradycja jest zupełnie odmienna od europejskiej – stwierdził Antonin. – U nas dzieciom nadaje się imiona świętych, nie Boga.

– Urodziłem się w Anglii, niedaleko Londynu, w hrabstwie Surrey. Chodziłem do katolickiej szkoły. Jestem Brytyjczykiem, Europejczykiem, który ma indyjskich przodków.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął Antonin, z niepokojem myśląc o tym, że ich rozmowa może rozwinąć się

w niebezpiecznym kierunku. – A z jakiego powodu zawitał pan właśnie do nas? – zapytał po chwili.

– Kilka lat temu miałem pacjenta z Czechosłowacji – odpowiedział Sukthankar. – Mieszkał w Londynie i długo nie mógł wrócić do kraju. Bardzo tęsknił za Pragą. Mówił, że jest to najpiękniejsze miasto na świecie. No więc powiedziałem sobie, że je odwiedzę.

– I jak tu się panu podoba?

– Piękne miasto. Naprawdę piękne – odpowiedział doktor Sukthankar. – Tak piękne, że czasem przypomina mi niektóre nasze miasta.

– Ach tak... – powiedział Antonin, starając się, by jego ton wyrażał jak najmniej emocji.

Cały następny dzień doktor Sukthankar poświęcił na udział w konferencji, a przez resztę czasu swojej cztero-dniowej wycieczki zachowywał się jak rasowy turysta. Zwiedził Hradczany, most Karola, Kampę, rynek Starego Miasta, spróbował piwa, zajrzał do kilku księgarni i spędził pół dnia w bibliotece uniwersyteckiej. W wieczór poprzedzający dzień jego wyjazdu doktor Lukavsky zaprosił go na kolację. Miał jeszcze trochę sił, a poza tym uważał, że należy podtrzymywać kontakty międzynarodowe. Zapytał doktora Sukthankara o wrażenia z jego krótkiego pobytu w Pradze.

– Wie pan – powiedział Wisz – ten mój czechosłowacki pacjent miał sen, który często mu się powtarzał. Śniło mu się, że znalazł się w zaświatach. Przed ich bramą spotkał olbrzyma jadącego na wielkim byku. Jeździec zatrzymał się, byk stanął dęba, ale olbrzym zdołał go okiełznać, po czym odezwał się do mojego pacjenta w te słowa: „Zjedz resztki jadła, które pozostawił mój byk. Uczyń to, co niegdyś

uczynił twój ojciec”. Mój pacjent, dajmy na to, że miał na imię Max, zawahał się przez chwilę, ale w końcu wykonał polecenie. Przeszedł przez bramę i znalazł się w zaświatach. Było tam miejsce, które podobno przypominało któryś z praskich placów. Przechodnie wyglądali jak zwykli mieszkańcy miasta. Max zatrzymał się na chwilę, żeby się zastanowić, co dalej, aż tu nagle widzi, jak w jego stronę biegnie jakiś obdartus. Ten człowiek, zapewne bezdomny, zachowywał się naprawdę dziwnie: raz było go widać, a za chwilę już nie. Wpadł na Maksa akurat w chwili, kiedy był niewidzialny, a zanim mój pacjent otrząsnął się z wrażenia, już go nie było. Wówczas Max zauważył, że ten bezdomny zabrał mu dokument, w którym znajdowało się jego nazwisko oraz cel wizyty w zaświatach. To oznaczało, że być może już nigdy się stamtąd nie wydostanie. Max zaczął nerwowo przemierzać zaświaty. Kilka razy zabłądził, nie wiedział, którądy ma iść. Minął kilka ulic, aż znalazł się w ogrodzie na tyłach jakiegoś wielkiego pałacu. Siedziały tam dwie kobiety, które na krosnach tkwały jakąś materię. Jedna tkwała czarną nicią, druga białą. Nieopodal znajdowało się wielkie koło, obracane przez cztery dziewczyny. Koło miało 365 szprych, a pośrodku całej konstrukcji stał w rozkroku mężczyzna bardzo podobny do jeźdźca, którego Max spotkał u bram zaświatów. Był jednak nieco młodszy i uśmiechał się do niego. W końcu nasz wędrowiec odnalazł drogę, która wiodła poza miasto. Kiedy minął mury miejskie, dostrzegł niewielki staw, a na nim kilka lilii wodnych. Zerwał jedną z nich, a kiedy dotarł do domu, zapytał swojego ojca o to, co widział. Ojciec mu odpowiedział: „Dwie niewiasty spletały terażniejszość oraz to, co dopiero się stanie, z przeszłością. Mężczyzna wewnątrz koła jest Strażnikiem Prawdy i Kłam-

stwa, a jego zadaniem jest dbać o to, by jedno nie mieszało się z drugim. Koło, rzecz jasna, wyobraża rok z jego trzysta sześćdziesięcioma pięcioma dniami, a cztery dziewczyny są porami roku. Resztki, które pozostawił olbrzymi byk, a które zjadłeś, były eliksirem nieśmiertelności, a więc tym, co uratowało ci życie w zaświatach, kiedy przyrodni brat Strażnika Prawdy i Kłamstwa, obrońca Mitów i Złudzeń, skradł ci dokument niezbędny w twojej podróży”. I to wszystko – zakończył doktor Sukthankar.

Antonin przez chwilę się wahał, nim zdobył się na jakiś komentarz:

– Rzecz jasna, jeśli spojrzymy na to z punktu widzenia teorii Junga i spróbujemy zmodyfikować Adlerem, to...

Doktor Sukthankar łagodnie pokręcił głową.

– Nie, panie kolego. Otóż ten sen jest niemal całkowicie zbieżny z pewnym epizodem z *Mahabharaty*. Dzieła, które jest czymś w rodzaju hinduskiej *Odysei*, lecz piętnaście razy dłuższej. Wczoraj tę przypowieść znalazłem w elektronicznym archiwum biblioteki, którą poleciła mi jedna z pańskich koleżanek. Bibliotekarka była tak miła, że przetłumaczyła mi fragment tego tekstu na angielski. Prawdopodobnie ten mój pacjent wziął to właśnie stąd. Pewnie znalazł to w jakiejś książce. No i przyśniło mu się po latach.

– Czyli: nie ma w tym żadnej zagadki?

– Żadnej.

– Czy to zjawisko nie nazywa się czasem globalizacją? – zapytał Antonin.

– Można to tak ująć – odpowiedział Sukthankar.

– Chciałbym o coś zapytać. Pan na pewno będzie wiedział. Dlaczego w Indiach lotos jest tak bardzo ważny?

Sukthankar się zamyślił.

– Pewnie dlatego, że symbolizuje czystość i piękno. Do kwiatu lotosu nigdy nie przyłgnie błoto, chociaż ta roślina wyrasta właśnie z błota.

– No dobrze. I jak się panu u nas podobało?

– Piękne miasto – odpowiedział Sukthankar. – Naprawdę przepiękne. A te rzeźby na moście... Na moście Karola, prawda?

– Tak, jest to most Karola. Ale większość tych rzeźb czy może nawet wszystkie...? to są rzeźby świętych. Świętych chrześcijańskich. Co pan myśli o chrześcijaństwie?

– Sam nie wiem – odpowiedział Sukthankar. – Chyba wspominałem, że chodziłem do katolickiej szkoły.

– Ale co pan o tym myśli? Jako człowiek obu kultur? – nalegał Antonin.

– Nie mam żadnego poglądu – odrzekł Sukthankar. – Mogę powiedzieć tyle: Gandhi, ojciec współczesnych Indii, twierdził, że byłoby naprawdę fantastycznie, gdyby to chrześcijaństwo kiedyś naprawdę zaczęto praktykować.

– Aha – powiedział doktor Lukavsky. – No... faktycznie, historia naszej wiary nie jest wesoła ani optymistyczna. Mnóstwo w niej miejsc ciemnych i zasnutych pajęczyną...

– To dla mnie żadne zaskoczenie – stwierdził gość. – Takie piękne miasto nie mogło powstać z niczego. Musiało wyrosnąć na jakiejś pożywce.

– Jak ten wasz lotos! – wykrzyknął Antonin.

– Właśnie, jak lotos – przytaknął Sukthankar i dodał z uśmiechem: – Mój indyjski dziadek niektóre obrzędy kończył zdaniem: „Koło życia toczy się w tym świecie bez początku i bez końca. Toczy się, przynosząc życie i niszcząc życie.

Koło życia toczy się i będzie się toczyć, bez początku i bez końca”.

– Krótko mówiąc, globalizacja.

– Można to tak ująć – odpowiedział Sukthankar. – W pewnym sensie.

Bieg przez las

Josef biegł. Przez głowę przemknęła mu myśl, że świat jest podzielony na dwie części. Górną i dolną. Lewą i prawą. Tę w ruchu i tę w spoczynku. Tę, która jest tak stara jak sam świat, i tę młodą, z krwi, kości, żył i zwojów mózgowych. Świat rozszczepia się pionowo na sferę czerwoną i zieloną – tę krwawą: zwierzęcą i ludzką, oraz tę roślinną, osadzoną w ziemi za pomocą korzeni, czasem płytko, a czasem głęboko. Świat traw, drzew, bylin, świat soków i żywic. Świat, który istniał przed światem serc – zawodnych owadzych i ludzkich mięśni, których zadaniem jest pompowanie krwi.

Bez względu na to, czy Josef rozglądał się w prawo, czy w lewo, z tym światem było coś nie tak. Jakby został wywrócony na nice albo może zwierciadło czynów obróciło się już wokół swej osi tak bardzo, że człowiek mógł zwątpić w sens przyrody. Przecież to niemożliwe, po prostu to niemożliwe, pomyślał Josef. Jest to absolutnie niemożliwe, żeby tutaj, gdzieś pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym stopniem na północ od równika oraz trzynastym a czternastym stopniem na wschód od obserwatorium w Greenwich, w przyrodzie nastąpiło takie pomieszanie. Przecież w tym świecie nie da się odnaleźć żadnego sensu. Świat żywic i świat krwi nie mogą tak się ze sobą splątać, wpasować w siebie w taki sposób, żeby pod naszym niebem chodziły sobie na wolności dwie żyrafy, jeden nosorożec i trzy kolczatki. Przecież to niemożliwe, jeszcze parę miesięcy temu wszędzie tutaj leżał

śnieg. Co się dzieje z tym światem? Całkiem mu wysiadły stawy? Czy jest to tylko lekkie zwichnięcie, które można wykurować za pomocą okładów z octu i unieruchomienia w łubkach? Josef się odwrócił, jego ciało wykonało ruch, przy którym lewa stopa z trzaskiem nastąpiła na jakąś gałąź. Gałąź się rozpadła, bardziej z powodu własnej suchości niż ciężaru, który ją przygniótł. Podskoczył, wystraszony obłoczkiem pyłu zarodników, który pobłyskując w słońcu, wzleciał z poziomu wysuszonej ściółki na wysokość jego oczu. Ciało Josefa zakończyło piruet w prawą stronę i zachwiało się. Josef spojrział w kierunku, z którego przyszedł. Wpatrywała się w niego żyrafa. Nie mógł sobie uprzytomnić, jakież to zwierzę ma takie piękne, wielkie oczy. Z okrzykiem: „To niemożliwe!”, „Pięćdziesiąt stopni na północ od równika!” oraz „W Czechach? W Czechach?” i „O Boże!”, ruszył biegiem, byle dalej od dwóch żyraf i trzech kolczatek. Nosorożec albo został daleko z tyłu, albo gdzieś sobie poszedł.

Było środowe popołudnie, wciąż jeszcze gorące. Rok: 1945. Miejsce: gdzieś na południowo-południowy wschód od Pilzna.

Josef wciąż biegł. Potykał się, przeskakiwał przez pnie, nawet nie próbował uchylać się przed gałęziami. Był człowiekiem w locie. Tracił już siły. Bał się spojrzeć za siebie. Zwierzęta, egzotyczne zwierzęta w samym środku Czech. Gdyby miał siły, pewnie by się uśmiechnął, przecież środek Czech nie znajduje się na południowy wschód od Pilzna. Był zlany potem i wiedział, że długo już nie da rady biec. Zaczęło być stromo, Josef kilka razy upadł i przekoziółkował w dół, zatrzymał się wreszcie i zaczął nasłuchiwać. Najpierw usłyszał potok, potem go zobaczył. Ruszył biegiem w jego stronę, ukląkł i rozglądając się niespokojnie wokół,

ochlapał sobie twarz. Zanurzył w wodzie głowę, potem zaczął pić. Ciągłe się rozglądał, nie przerywając picia. Wstał. Znow się rozejrzał, nasłuchując odgłosów, ale zwierząt już nie zobaczył. Gdyby go goniły, lada chwila powinny tu być. Czekał, wpatrując się w zbocze, ale nie dostrzegł żadnego ruchu. Uważał, żeby żadna gałązka nie trzasnęła mu pod nogą. Cisza, promienie słoneczne przenikające w dół przez korony drzew i wirujący w nich pył. Uświadomił sobie, że przez cały czas starał się powstrzymać oddech. Oparł się plecami o pień drzewa i odetchnął głęboko. Przeciągnął się i odchylił głowę do tyłu, żeby popatrzeć na gałęzie nad sobą. Po dłuższej chwili dotarło do niego, co widzi. Zerwał się na równe nogi. Na przeciwległym drzewie siedziała niewielka małpka i wpatrywała się w niego olbrzymimi oczami. Jej łapki zakończone były długimi palcami. Czegoś takiego w życiu nie widziałem, pomyślał, nie przerywając biegu.

Wkrótce Josef wyczuł pod stopami coś w rodzaju ścieżki. Nie patrzył pod nogi, gdyż ciągle gorączkowo się rozglądał, ale wyczuł, że patyków, suchego igliwia i kawałków gałązek jest coraz mniej. Nogi radziły sobie coraz lepiej, mimo zmęczenia, które czasem wprawiało je w drzenie. Wrażenie miękkiego podłoża dotarło już do jego głowy, ciało pochyliło się i zważyło na ziemię. Josef przylgnął policzkiem do pylistego igliwia i drobnych kawałków rdzawej kory. Przerazone oczy starały się zarejestrować spodziewane kształty, obraz wyostrzał się z wolna i wypalał w mózgu. W końcu z mglistych plam zaczęła się wyłaniać ścieżka. Oko badało kąty, linie i odkrywało różne formy, wśród nich i ścieżkę pokrytą rozpalonym kurzem. Jej obraz rysował się tylko wtedy, kiedy skroń Josefa, mocno przyciśnięta do ziemi, dawała oku pewny punkt podparcia, kosztem życia mrówek,

które zdołały jeszcze parę razy ukąsić to wielkie zwierzę, które się na nie zważyło. Josef wstał. Jego wyczerpane ciało coraz gorzej radziło sobie z koordynacją ruchów. Nagle odczuł radość, która podsyciła jego energię. Radość! Radość! Dawno zapomniana siła, stłumiona przez śmiertelny strach. Ciało podskoczyło wyżej, niż wynikało to z potrzeby, nogi znowu były w ruchu, pierwszy krok wykonały jakby w powietrzu. Ciało, pozbawione podparcia, chwiejnie wylądowało na ziemi, po czym znowu ruszyło, teraz już w pełnej synchronizacji wszystkich przekładni organizmu. Josef biegł w kierunku ścieżki, która po kilku minutach rysowała się już całkiem wyraźnie. Jeszcze kilka oddechów i w zasięgu wzroku pojawił się skraj lasu. Kilka mrugnięć okiem i Josef znalazł się na polnej drodze. Jeszcze biegł, ale już wolniej. Potem na zmianę szedł i biegł truchtem, wciąż rozglądając się na wszystkie strony, aż wreszcie zrezygnował z biegu. Szedł jak mógł najszybciej. Już opuściły go siły. Sam nie wiedział, jak długo tak kroczył, coś koło godziny. Nie potrafił się zorientować, czy zmęczenie i ogarniająca go fala słabości sprawiają, że czas płynie wolniej, czy szybciej. Spróbował ocenić odległość, którą przebył. Bezskutecznie. Wydawało mu się, że od spotkania z żyrafami, nosorożcem i kolczatkami nie minęła jeszcze godzina. Aż w końcu zobaczył to, czego oczekiwał: jakieś rozpadające się zabudowania. Gospodarstwo. A więc w pobliżu musi być wieś, której wszakże nie było widać. Droga prowadziła wzdłuż gospodarstwa i ginęła gdzieś za nim. Josef dopiero teraz uświadomił sobie, że wokół panuje niezwykła cisza. Las ze wszystkimi wietrznymi odgłosami pozostał daleko w tyle, teraz otaczała go otwarta przestrzeń. Nigdzie żywego ducha. Wszedł na teren obejścia lub raczej tego, co z niego zostało. Podłużne zabudowania,

z jednej strony stajnie, dalej stodoła i studnia. Jeden bok prostokąta ograniczały pojedyncze sztachety, które tworzyły niegdyś płot. Wszystko wybielone wapnem. Nie docierały do niego odgłosy zwierząt gospodarskich. Josef zrobił parę kroków. Chciał kogoś zawołać. Właściwie chciał tylko dać znać, że tu jest. A może i to nie, po prostu chciał się umyć, ugasić pragnienie i w spokoju zastanowić się nad tym, co mu się przydarzyło. I jeszcze ulżyć pęcherzowi. Przeszedł się po podwórku, zajrzał do stodoły i stajni. Spróbował wyłowić uchem jakieś odgłosy, ludzi lub zwierząt, nadal nic. Oparł się o studnię, wsłuchując się we własny ciężki oddech. Sapał jak parowóz. Zajrzał do studni, podniósł wiadro i przerzucił je do środka. Zauważył, że sznur się kiedyś przerwał i został związany. W tym momencie poczuł, że ktoś – lub coś – łapie go od tyłu za nogi, i zanim się połapał, co się dzieje, już leciał głową w dół w głąb studni. Krzyczał, wyrzucając resztkę powietrza, które zostało mu jeszcze w płucach. Wrzeszczał, darł się, ryczał. Spadał długo, setki tysięcy lat, aż poczuł ostre szarpnięcie i jego ciało zawisło w całkowitych ciemnościach. Lewa noga zaplątała się w sznurze, na którym wisiało wiadro. Dłonie miał otarte do krwi, widać bezwiednie starał się zaczepić o wewnętrzne ściany studni. Szarpnięcie przeszło mu całe ciało. Josef wisiał głową w dół. Pokrwiawionymi dłońmi rozpaczliwie starał się przytrzymać ściany, resztką tchu wydał jeszcze jeden krzyk, po czym nabrał powietrza w płuca i spróbował spojrzeć w górę, ku światłu. W górze, tam, gdzie jeszcze przed kilkoma oddechami rozpościerała się błękitna płachta nieba z okiem słońca, teraz znajdował się... wszechświat. Mały czarny krąg wylotu studni usiany był gwiazdami. Zamiast błękitu – nocne niebo. Zdezorientowany mózg zaczął je składać w niedokończone

gwiazdozbiory i oceniać, która część widma światła widzialnego została przesłonięta przez studnię oraz na jakiej głębokości mógł się znajdować. Josef miał wrażenie, że bolą go nawet te strzępki skóry, które zostawił na cembrowinach. Miał wszystkiego dosyć.

Zastanawiał się, czym sobie na to wszystko zasłużył. Nie przychodził mu do głowy żaden powód. Lewa noga całkiem mu zdrętwiała, czuł uderzenia krwi do głowy. Serce tłukło mu się w piersiach tak mocno, że ten odgłos musiał docierać na samą górę. Miał wrażenie, że lada chwila popękają mu żyły i krew zacznie tryskać z jego ciała na wszystkie strony, wypełni studnię, a on się w niej utopi. Zachłyśnie się i skona tu z przerażenia i pod naporem własnej krwi. Nie, spokój. Spokój, powtarzał sobie. Niezależnie od tego, kto był (a może co było) tam na górze, musi się stąd wydostać. Spróbował unieść górną połowę ciała. Nie udawało mu się. Wiedział, że tam na górze ktoś lub coś czyha, więc starał się nie robić hałasu. Starał się być cicho jak mysz, żeby to coś na górze nie przypomniało sobie o nim i nie postanowiło go utopić. Nie miał siły, znów się naprężył i znów zawisł. Jeszcze raz. Powoli. I jeszcze raz. Nie da rady. Znowu. Pomału. Jeszcze trochę. Już, już prawie... Nie. Od początku. I... Cicho. Złapać się. Następna próba. I jeszcze raz... Trzymam się... Nie. Tak. Powoli, nie oddychać. Podciągnąć się. Kawałek. Ostrożnie. Zaraz tam będę. Jeszcze trochę. Jestem. Tak, tak, tak. Jestem. Trzymam się. Josef po troszeczkę się podciągał. Najpierw zaczepił się środkowym palcem lewej ręki. I podciągnął się. Chwycił linę, która się rozhuśtała. Święta Mario, Matko Boża. Nie! Chciał krzyknąć, ale się nie odważył. Sznur się bujał, aż wreszcie przestał. Josef złapał go drugą dłonią. Podciągał się po centymetrze. Wstrzymywał oddech. Starał

się nie być. Sznur znowu się rozhuśtał. Nie! Znowu zdusił krzyk. Głowę miał już na wysokości kostek, już mógł się zaprzeć rękoma. W dłoniach i w nodze skrępowanej sznurem pulsowała mu krew. Przełykał ślinę i bezgłośnie oddychał. Udało się. Stopa, wokół której okręciła się lina, była tam, gdzie miała być. Obie stopy były na dole, głowa na górze. Josef przytrzymał się sznura, a czaszkę rozsadzały mu myśli: Chce mnie zabić! Chce mnie zabić! Coś chce mnie zabić! Coś albo ktoś. Wrzuciło mnie do studni. Uwaga. To coś chce mnie zabić. Muszę się wydostać. Ostrożnie. Baaaaardzo ostrożnie. Josifku, uważaj. Wspinał się coraz wyżej, ale na wszelki wypadek puścił linę, tylko zapierał się rękoma i nogami o cembrowinę. Powolutku przesuwiał się w górę. Najpierw widział tylko gwiazdy w czarnym kręgu wylotu studni. W miarę tego, jak pokonywał odległość dzielącą go od wyjścia, niebo stawało się coraz jaśniejsze. W końcu gwiazdy się rozpuściły, a czarny wszechświat zginął w martwym niebie koloru farbki do bielizny. Pokonał już połowę drogi, kiedy wylot studni przesłonił jakiś kształt. Tylko kształt, nic mniej i nic więcej niż kształt. Nagle rozległ się krzyk:

– Mało ci jeszcze, ty gnoju? Chciałbyś wyleźć, tak? No, poczekaj, ty lumpie jeden!

– Jezus Maria! – krzyknął Josef, już nie dbając o to, czy ktoś go usłyszy. – Oni naprawdę chcą mnie zabić!

Zaczął się wspinać jeszcze energiczniej. Wylot ponownie przesłonił jakiś cień i na głowę posypały mu się kamienie. Ledwie zdążył przylgnąć do ściany, kiedy obok niego przeleciał spory głaz.

– Nie! – wrzasnął Josef. – Nie!!! Ja panu nic nie zrobiłem, niech pan przestanie! Niech mi pan pozwoli wyjść! Przecież

nic panu nie zrobiłem! – krzyczał w komin nad swoją głową.

Teraz już rozpoznawał zarys człowieka. Cień znieruchomiał.

– Coś ty za jeden? – dobiegło z góry.

– Wszystko wytłumaczę! – krzyczał Josef. – Ja nic złego nie zrobiłem, nic złego!

Po chwili z góry rozległo się:

– Powiedz: trzydzieści trzy srebrne sikawki!

Josef niczego nie rozumiał, ale posłusznie odkrzyknął w górę:

– Trzydzieści trzy srebrne sikawki!

– Nie tak. Całość! Powiedz: trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy srebrne sikawki... I tak dalej. Jeśli to znasz, to powiesz.

Josef zaczął krzyczeć:

– Trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy srebrne sikawki sikały przez trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy srebrne strzechy!

– A co to są te sikawki? – zapytał głos.

– Sikawki? No to są takie te... na wodę... do... do... do gaszenia ognia.

– No dobrze – usłyszał Josef. – Wyłaź, ale powoli. Powolutku, rozumiesz? – Po chwili wahania głos dodał: – Możesz się podciągać po sznurze.

Josef jednak nie odważył się skorzystać z pozwolenia i dalej zapierał się nogami o ściany studni, a rękoma przytrzymywał się liny.

– A! – dobiegło znowu z góry. – I wyrecytuj mi jeszcze raz trzysta trzydzieści trzy!

– Już, już! – krzyknął Josef i zaczął jeszcze raz: – Trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy srebrne sikawki sikały przez trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy srebrne strzechy! Trzy tysiące

trzysta trzydzieści trzy srebrne sikawki sikały przez trzy tysiące trzysta trzydzieści trzy srebrne strzechy!...

I tak w kółko, póki nie znalazł się na górze. Kiedy już mógł dosięgnąć brzegu studni, poczuł, że serce chyba wpompuwało mu całą krew do uszu. Nie słyszał nic oprócz własnej tętniącej krwi. Wiedział, że powinien być ostrożny, ale nie miał już na to siły. Najpierw wystawił głowę, a potem przewalił się całym ciałem przez cembrowinę. Upadł na ziemię i zaczął rozglądać się wokół. Wolnym krokiem zbliżał się do niego starzec z dubeltówką wycelowaną prosto w jego brzuch. Był siwy, miał okulary, a na ramieniu siedziała mu małpka, podobna do tej, którą Josef widział po drodze w lesie i która wywołała w nim atak paniki. Małpka miała wielkie, czerwone, dziecięce oczy i niesamowicie długie palce. Jednym ramieniem obejmowała starca za szyję, jednocześnie oblizując palec wskazujący drugiej łapki. Patrzyła na Josefa, tak samo jak jej pan. Josef przeniósł wzrok z małpki na strzelbę. Starzec nadal przypatrywał się Josefowi, nie wypuszczając broni z rąk.

– Czyli że jesteś Czechem – powiedział w końcu, wciąż patrząc na Josefa.

– No pewnie! A kim mam być, jak nie Czechem?

Gospodarz wciąż mierzył go wzrokiem, a małpka oblizywała palec.

– Ja już ją widziałem! – rzucił Josef.

– Co widziałeś?

– To! – odpowiedział Josef, wskazując na małpkę. – Już ją widziałem.

– To nie jest ona tylko on – sprostował starzec. I dodał: – Czego tu szukasz?

– Szukałem grzybów – odpowiedział Josef.

- Uważasz, że to jest pora na grzyby? Jest maj. I wojna.
 - Może i nie jest. Ale byłem na grzybach. Ma pan zamiar mnie zabić?
 - Nie – odpowiedział rozmówca.
 - To dlaczego wrzucił mnie pan do studni?
 - Bo myślałem, że jesteś od tamtych.
 - Jakich tamtych? – zdziwił się Josef.
 - No od nich – uściślił starzec.
 - Nie wiem, o kim pan mówi.
 - O nich. O tych dezterterach, co włączą się po okolicy i chcą się przedostać do Amerykanów. W sąsiedniej wsi były z nimi problemy.
 - Proszę pana, ja jestem Czechem.
 - No dobrze, dobrze, już wiem – przytaknął starzec.
 - No to dlaczego chce mnie pan zabić?! – wykrzyknął Josef.
 - Wcale nie chcę – zaprzeczył tamten.
 - Przecież celuje pan we mnie!
 - A... Tym się nie przejmuj. Ta strzelba nie działa – uspokoił go stary. – Przestań się drzeć i chodź do domu.
- Odwrócił się i zmierzał w kierunku zabudowań. Małpka na jego ramieniu odwróciła głowę i patrzyła ogromnymi oczami na Josefa.
- No chodź! – powtórzył starzec.
 - Już idę, dziękuję – odpowiedział Josef. Odwrócił się i podbiegł do płotu. Rozpiął rozporek i jeszcze w biegu zaczął oddawać mocz na sztachety ogrodzenia. Starzec przystanął i obejrzał się za Josefem, małpka znowu odwróciła głowę tak, by mogła patrzeć na przybysza. Gospodarz z niesmakiem pokręcił głową, poczekał, aż Josef się pozapina i wszedł do domu. Tam wskazał mu krzesło. Josef usiadł.

– Wybacz, synu – zaczął starzec. – Myślałem, że jesteś od tych żołnierzy, wiesz.

Josef skinął głową.

– Wczoraj i przedwczoraj była w lesie strzelanina.

Josef znowu przytaknął.

– Obaj cię obserwowaliśmy, jak tylko wybiegłeś z lasu. Ja i on. – Starzec spojrział na małą. – Jemu nic nie umknie. Kiedy coś się dzieje, od razu robi się nerwowo.

– Skąd się to tu wzięło? – zapytał Josef i kilka razy przełknął ślinę. – Przecież to niemożliwe. W lesie spotkałem żyrafy! Dwie żyrafy, nosorożca i trzy kolczatki. Przecież nie jesteśmy w Afryce.

Starzec lekko się uśmiechnął.

– To dlatego tak pędziłeś i byłeś blady jak śmierć. To przez to – powiedział ze śmiechem.

Josef wskazał na małą.

– Takie coś patrzyło na mnie w lesie.

– No, no, młody, wolnego! To nie jest żadne „coś”, to jest Henryczek.

– Henryczek? – powtórzył Josef.

– A tak, Henryczek. A jeżeli widziałeś w lesie taką samą małą, to musiała być jego żona.

– Jego żona? – zdziwił się Josef. – A skąd się tam obie wzięły?

– Ty chyba nie jesteś z tych okolic, co? – zapytał stary.

– Nie jestem. Skąd się wzięły? – nalegał Josef.

– Jakbyś był tutejszy, to byś wiedział, że nasz pan hrabia trzymał w ogrodach przy zamku różne zwierzęta. Miał takie swoje prywatne zoo.

– Zoo?

– Tak – ciągnął gospodarz. – Za młodu dużo podróżował

i interesował się zwierzętami, no i za każdym razem przywoził sobie jakiś okaz.

– No ale jak te zwierzęta znalazły się w lesie?

– Nie mam pojęcia. Ale ludzie mówią, że hrabia pewnie nie żyje, bo on sam nigdy by ich nie wypuścił. Przez całą wojnę kombinował, żeby miały żarcie. Mówił, że ludzie ja-koś sobie poradzą, ale żyrafy w Czechach nie mają szans.

– Jakie miał zwierzęta?

– Miał nawet lwa, ale lew zdechł jeszcze przed wojną...

Josef kręcił się przez chwilę niespokojnie na krześle, wreszcie powiedział:

– Jak ja się teraz dostanę do domu? Matka i Kwietka na pewno będą odchodzić od zmysłów, ale ja przez ten las nie wracam.

– No to będziesz musiał tu zostać – odpowiedział stary. – Poczekać, aż się trochę uspokoi. A w ogóle to masz szczęście, że trafiłeś na żyrafy i nosorożce. One przynajmniej nie chodzą z pukawkami.

Gospodarz wstał i postawił blaszaną kankę na piecu. Kiedy woda zawrzała, zalał cykorię i podał kubek Josefowi. Josef zaczął upijać po łyczku.

– Mam odejść? – zapytał po chwili.

– No... nikt cię tu nie zapraszał – odpowiedział stary. – Ale z drugiej strony, nie bardzo masz dokąd. Myśmy też mieli pietra – dodał po chwili. – Ja i Henryczek.

Josef nie wiedział, co na to odrzec, burknął coś tylko i skinął głową. Wypił kawę i uświadomił sobie, że lepszej nie pił od trzydziestego dziewiątego roku, czyli przez całą wojnę. Spojrzał na starca i już się zbierał, żeby mu podziękować, ale małpka właśnie nabrała odwagi i postąpiła ku niemu parę kroczków. Usadowiła się na stole i uważnie go obser-

wowała. Nozdrza jej się rozszerzyły, na przemian wciągała i wypuszczała powietrze. Obwąchiwała go z bezpiecznej odległości.

– Poszedł! – opędził się Josef.

Starzec z uśmiechem pokiwał głową.

– Nie myśl sobie, że ty mu pięknie pachniesz. – I po chwili dodał: – Powinieneś to sobie czymś przewiązać, żeby coś ci się nie wdało.

– Hmmm... – burknął Josef.

Gospodarz zniknął w sąsiednim pokoju. Było słychać, jak drze jakiś materiał. Po chwili wrócił z delikatną szmatką nasączoną jakimś słodko pachnącym alkoholem. Skinął na Josefa, żeby położył ręce na stole i zaczął mu czyścić poranione dłonie. Josef co jakiś czas syczał z bólu, ale słodki zapach go uspokajał.

– Jedwab? – odezwał się po chwili, patrząc na tkaninę, która zabarwiała się jego krwią.

Gospodarz wstał. Spojrzał na Josefa i rzucił ostro:

– Sam to sobie wyczyść. Ja mam teraz coś do zrobienia. Opatrz to sobie, a potem wynocha. Nikt cię tu nie zapraszał!

Cmoknął na małpkę, która wskoczyła mu na ramię, wziął strzelbę i wyszedł z izby. Josef oczyścił krwawiące otarcia, po czym złożył materiał, który teraz przybrał brązową barwę od utleniającej się krwi, i położył go na stole. Siedział i czekał. Po jakimś czasie wstał i zapukał do sąsiednich drzwi. Otworzyły się. Stał za nimi gospodarz z dubeltówką.

– Ja... – zaczął Josef i przerwał. – Myślę, że na mnie czas – zakończył.

– Dobrze. Pokażę ci drogę – przytaknął gospodarz.

Wyszli przed dom.

– Jeśli nie chcesz wracać przez las, musisz iść naokoło. Tą ścieżką, aż dojdiesz do wsi. Stamtąd już jest droga do miasta.

– Dziękuję – powiedział Josef.

– Jak się właściwie nazywasz? – zapytał starzec.

– Josef. A pan?

– Mniejsza o to – odpowiedział stary. – Już mam swoje lata, mniejsza o to. – Odetchnął głęboko, a po chwili dodał: – Możesz też iść na pociąg, chociaż nie wierzę, że coś będzie jeździć. Stacja jest w następnej wsi. Nadłożysz trochę drogi, ale jest tam telefon i telegraf, będziesz mógł dać znać swoim.

– Dziękuję – powtórzył Josef, patrząc na strzelbę, której stary nie wypuszczał z rąk.

– Nie ma za co – odpowiedział tamten.

– No to idę – dodał po chwili.

– No to idź.

Josef ruszył drogą w kierunku lasu, zgodnie ze wskazówkami gospodarza. Przyspieszył kroku, potem jeszcze bardziej, aż wkrótce przeszedł w lekki bieg. Obejrzał się raz i drugi, za każdym razem widział starca, który jedną ręką opierał się o płot. W drugiej wciąż trzymał strzelbę. Biegł tak parę minut, kiedy usłyszał odgłos strzału. Serce w nim zamarło. Odwrócił się i zobaczył sylwetkę mężczyzny mierzącego gdzieś w niebo, wydawało mu się też, że dostrzegł lekki obłoczek dymu unoszącego się z lufy. Przyspieszył.

Po godzinie dotarł do wsi. Kwiaty w oknach i zakurzona droga. Nim doszedł do wiejskiego placyku, dostrzegł rozwidlenie dróg. Zapukał do jakichś drzwi. Otworzył je i wszedł.

– Dzień dobry – przywitał się.

– *Grüß Gott* – usłyszał w odpowiedzi.

Kobieta podniosła oczy od szycia, mogła mieć koło pięćdziesiątki. Josef wyjaśnił jej po niemiecku, że musi znaleźć telefon albo telegraf. Kobieta zaprowadziła go do sąsiadów, a tam mu wytłumaczyli, którądy ma iść, i powiedzieli, że prawie całe wojsko niemieckie poddało się już Amerykanom. Na koniec Josef zapytał o starca z samotnego domu pod lasem. To, że stary wrzucił go do studni, zachował dla siebie.

– A... stary Mann – usłyszał. – Mann pracował u hrabiego i opiekował się jego menażerią. Podobno niektóre zwierzęta brał nawet do siebie do domu.

Jeszcze przez kilka lat z lasu dochodziły dziwne odgłosy. Wojna się skończyła, lecz zwierzęta nie mogły wiedzieć, że światowe mocarstwa przecięły las wymyśloną, ale najzupełniej realnie funkcjonującą linią, która oddzielała wojsko amerykańskie od Armii Czerwonej. Zwierzęta, uwolnione przypadkowo przez wybuch amerykańskiego szrapnela oraz dozorcę, który spanikował, znalazły się w sowieckiej strefie wpływów. Jeszcze przez kilka miesięcy chodziły słuchy o węzach grubych jak udo dorosłego mężczyzny, o dziwnych małych i dużych małpkach, które skakały po gałęziach, o żyrafach i nosorożcach, lecz trudno było oddzielić prawdę od zmyśleń. Opowiadano także, że kilku wygłodzonych rosyjskich żołnierzy urządziło na nie polowanie z nagonką. Podobno ich dowódcę krew zalała, kiedy się o tym dowiedział. Postawił na baczność i obsobaczył całą jednostkę, bo nawet chwała zwycięstwa opromieniająca naród, któremu przewodzi Józef Wissarionowicz Stalin, nie upoważnia żołdatów z Armii Czerwonej do takich wybryków, nie mówiąc już o chlaniu, i przypomniiał, że prawo wojenne wciąż obowiązuje. I pewnie te dzikie wrzaski rosyjskiego

oficera na zaimprovizowanym placu apelowym gdzieś na południowo-południowy wschód od Pilzna egzotycznym zwierzętom z menażerii hrabiego ocalały jeszcze kilka miesięcy, a może i lat życia. No ale fakt faktem, że po kilku ostrzejszych zimach nikt już nie opowiadał historii o dziwacznych mieszkańcach lasu. W końcu wojna się skończyła. Nastął pokój, ład i porządek.

Josef dotarł do dworca i dowiedział się, że żadne pociągi nie jeżdżą. Nie wiadomo, kiedy będą jeździć, a nawet gdyby jeździły, szczytem głupoty byłoby wsiąść do któregoś z nich, ponieważ wożą wojsko. Co prawda, jak zauważył dyżurny ruchu, to wojsko długo już tymi pociągami nie pojeździ. Telefon nie działał, telegraf też. Lepiej, żeby młody znalazł sobie nocleg we wsi. Josef pomyślał, że w takim razie wróci przez las. Wszystko już mu się w głowie poukładało. Kiedy rozmawiał z zawiadowcą, uświadomił sobie, że właściwie ucieszyła go wiadomość o tym, że nie ma pociągów, druty nie przenoszą sygnałów, a on musi tutaj zostać. Przez chwilę nawet nie wiedział, dlaczego się ucieszył. Potem dotarło do niego, że to dlatego, że już się nie boi. Strach minął. W skroniach nie czuł miarowych uderzeń krwi zaszczutego zwierzęcia. Jeszcze dyżurny ruchu nie skończył mówić, a on już wiedział, że pójdzie przez las. We wsi kupił sobie coś do jedzenia, posilił się i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Tym razem omijał miejsca, gdzie mogliby go zobaczyć ludzie, z którymi już rozmawiał. Nie miał ochoty się z nimi spotkać, a poza tym nie wiedział, jak miałby wytłumaczyć im swoją kulawą niemczyzną, dlaczego wraca do lasu, z którego wybiegł przed kilkoma godzinami. Wracił. Ciągle istniało niebezpieczeństwo, że spotka żołnierzy, unikał więc dróg, ale starał się nie tracić ich z oczu. Tak jak

przedtem. Minał wieś, przeszedł przez potok, kroczył dalej, a potem wracał kilka razy, bo pomyliły mu się kierunki, ale w końcu upewnił się, że dobrze idzie, i nawet rozpoznał ścieżkę, którą już szedł. Miał wrażenie, że droga powrotna trwa krócej. Wkrótce zobaczył samotne gospodarstwo, w którym mieszkał stary Mann. Przezornie ominął je szerokim łukiem, starając się jednakże wyłowić uchem jakikolwiek dźwięk. Nic nie słyszał. Zatrzymał się i przyjrzał się zabudowaniom. Nie dostrzegł gospodarza, nie dobiegł go też żaden odgłos, nawet kiedy ucichł wiatr. Josef stanął na skraju lasu. Poczł się bezpieczny. Tajemnica egzotycznych zwierząt przestała go już niepokoić. Nie martwił się nawet tym, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie żyją kolczatki, w Afryce czy w Australii. Trochę kluczył, zanim znowu trafił na znajomą ścieżkę. Zwolnił. Zaczł się rozglądać. Zatrzymywał się co parę kroków, nadstawiając ucha i chłnąc zapachy. Teraz bardzo chciał zobaczyć zwierzęta, które tak go przestraszyły. Chciał za pomocą badawczej, chłodnej obserwacji zmazać tamten strach, który sparaliżował jego ciało i umysł. Ale zwierząt nie było. Las był pusty. Wypełniały go tylko różne dźwięki: szum wiatru, szelest liści, odgłos kroków i łomot bijącego serca. Josef postanowił zmienić podejście – wyzbyć się emocji i zadać sobie pytanie: gdzie te zwierzęta mogą być. Uświadomił sobie, że niewiele o nich wie. Nie wiem, jakie lubią jedzenie. Żarcie, poprawił się w myślach. Co lubią. Co im smakuje w ich naturalnym środowisku, no i tutaj, w kraju dla nich zupełnie egzotycznym, w jakimś lesie na południowo-południowy wschód od Pilzna. Jak się tutaj czują, zastanawiał się. Najbardziej rozdrażniło go to, że nie wie, co jest ich pożywieniem. Mniejsza o to, że gdzieś się pochowały. Zachciało mu się pić. Spróbował sobie

przypomnieć, gdzie jest ten potok, z którego przedtem pił. Obrócił widok, który miał przed oczami, o 3,142 radiana, czyli o sto osiemdziesiąt stopni, i po kilku minutach dotarł do potoku. Oplukał twarz, ugasił pragnienie i nagle go olśniło! Że niezależnie od tego, gdzie się te zwierzęta kryją, prędzej czy później będą musiały napić się wody. Tak samo jak ja. Że też nie pomyślałem o tym wcześniej. Ruszył dalej wzdłuż potoku, który stopniowo zamieniał się w rzeczkę. Josef zbliżał się do miasta. Wyszedł na jakąś podmiejską fabrykę. Po drodze nie natknął się na żadne zwierzę, jeśli nie liczyć dwóch rudych wiewiórek.

W mieście panowało ożywienie. Właśnie świętowano – do miasta dotarła amerykańska jednostka zwiadowcza. Gumy do żucia już zostały porozdawane, a braku Josefa nie odczuwał nikt oprócz jego narzeczonej Kwiety. Podobno poddanie się kilku niemieckich oddziałów poprzedziła ostra wymiana ognia w podmiejskich lasach. W tych lasach, po których Josef dzisiaj biegał. Ojciec Josefa co rok jeździł tam na letnisko i znał wszystkich mieszkańców tych okolic. On właśnie przekazał mu te nowiny. Na szczęście Josef nie spotkał tam nikogo oprócz egzotycznych zwierząt po drodze w jedną stronę, i dwóch wiewiórek w drodze powrotnej. Strzelanina przesunęła się podobno w okolice zamku, a zwierzęta z menażerii dostały się w krzyżowy ogień między nacierającymi Amerykanami, cofającymi się Niemcami i depczącymi im po piętach Rosjanami. Josef długo nie chwalił się nikomu swoją przygodą, dopiero po jakimś czasie opowiedział o niej Kwiecie. Dziewczyna zganiła go za lekkość i powiedziała, że zachował się jak szaleniec, który nie zdaje sobie sprawy z tego, na co się naraża. Josef jednak bardziej przejmował się tym, że za drugim razem nie udało

mu się spotkać żadnych zwierząt, niż tym, że prawdopodobnie dwa razy przekroczył linię frontu. Powiedział, że niedługo wszystko się uspokoi i w końcu będą mogli się pobrać, tak jak to sobie przyrzekli na początku wojny. Kwietka znowu pomyślała, że nie może się na niego gniewać, że to nie ma sensu. Bo, jak zwykle, nic tym nie wskóra.

Po kilku dniach powiedzieli o swoich zamiarach rodzicom. Matka Kwiety, przed laty zastępczyni naczelniczki oddziału Sokoła, szybko otrząsnęła się ze zdumienia i wygłosiła do obojga długą, płomienną mowę, w której wyraziła przekonanie, że są młodzi, zakochani i pełni energii, co nie było żadnym odkryciem, że dzięki Bogu szczęśliwie doczekali wyzwolenia, co było prawdą, i że z tej drugiej już wojny, którą przeżyło jej pokolenie, zarówno Europa, jak i cały świat wyciągnie odpowiednie wnioski. Co było twierdzeniem odważnym i optymistycznym.

– Przed wami szczęśliwe życie, moje dzieci – mówiła przyszła teściowa Josefa. – W naszym kraju skończyła się wojna, spotkały się tu dwie armie, amerykańska i rosyjska, faszyzm został pokonany, a to oznacza, że już niedługo wszystkie problemy zostaną rozwiązane. I że czeka was naprawdę piękne życie. Ludzkość zawsze wychodzi mądrzejsza z tych wszystkich tragicznych zdarzeń. Teraz to jasne jak słońce! Dwie wojny w ciągu dwudziestu lat, to przecież więcej niż dość. To nie może się powtórzyć. Dzieci, przed wami wszystko, co najlepsze.

Matka Kwiety wzruszyła się własną przemową, ale zauważyła, że Josef właśnie coś szepcze jej córce na ucho, ona zaś nie może oderwać od niego wzroku, i zrozumiała, że w ogóle jej nie słuchają.

Uwagi

Motto – cytat z Makrobiusza – jest opisem trzygłowego boga słońca Serapisa ze świątyni w Aleksandrii (*Saturnalia*, księga I, rozdział XX).

Cytat z Bertranda Russella pochodzi z jego wstępu do *Traktatu logiczno-filozoficznego* Ludwiga Wittgensteina.

W rozdziale 20. wykorzystałem niektóre informacje z publikacji Miroslava Moutvica *Pražské vzorkové veletrhy 1920–1951*, któremu tą drogą pragnę podziękować.

Spis treści

Ślub

7

Cukiernik

36

Po ślubie. Pierwsze spotkanie z ojcem

58

Hitler – wizja

75

Przesłuchanie na własne życzenie

115

Dante stosowany i pewna teoria języka

127

Oświadczenie personalne, czyli życiorys
(lata dziewięćdziesiąte)

136

Nieśmiertelność – wizja pierwsza

155

Igraszki miłosne

173

Dręczyciel

192

Nieśmiertelność – wizja druga

212

Maksymilian

224

Kwieta

241

Przyłot kuzyna – List – Rozmowa z Josefem

255

List o karpiach

272

Alicja u ojca – Gablotka – Próba zbliżenia

276

List o złodzieju

297

List miłosny pismem klinowym

303

Wilcza teologia

331

List ostatni, referat na temat targów
i kilku połamanych krzesel

358

Sukthankar

368

Bieg przez las

378

Uwagi

397